ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXVIII.

TOM IV. — ZESZYT III.

Grudzień.

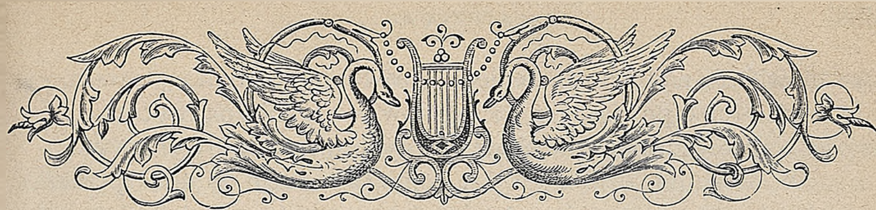
WARSZAWA.

1892.

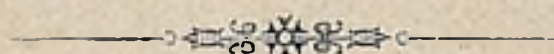
DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Druk ukończono d. 10 Grudnia 1892 r.



U SCHYŁKU ROKU.



Jakieby to było ciekawe i pouczające, gdyby przy końcu roku można było, za przykładem porządnie prowadzącego swe interesy kupca, sporządzić dokładny bilans majątku społecznego, obliczyć jego aktywa i pasywa, przewyżkę dochodu rocznego nad wydatek, lub naodwrót — wykryty deficyt!

Trudności są tu jednak nieprzezwyciężone, — pominąwszy, iż zebranie i uszykowanie kolosalnych cyfr wymaga pracy, która w ramach kilkunastu miesięcy zamykać się nie daje, i dopiero po dłuższym przeciągu czasu rezultaty swe ujawnić może, — bo do bilansu wciągnione być winny i czynniki moralne, dorobek duchowy, wzrost cywilizacyi i oświaty, co cyfrowo obliczone być nie może.

W pojedyńczém gospodarstwie ważnemi są dwa tylko żywioły ekonomiczne: wytwarzanie i spożycie, — jeżeli pierwsze przewyższa drugie, jeżeli dochody pokrywają wydatki z pozostaniem jeszcze pewnéj oszczędności, wówczas bilans uważany jest za korzystny i gospodarstwo za wzrastające w pomyślność.

W gospodarstwie społecznem obok tych żywiołów ważnym jest jeszcze rozdział bogactw, przy wzroście bowiem poszczególnych fortun następować może jednoczesne ubożenie mas, a wówczas pomimo korzystnego bilansu, pomimo przewyżki wytworu nad spożycie, pomyślność społeczeństwa nietylko nie wzrasta, ale przeciwnie znajduje się w stanie upadku.

Komplikacya różnorodnych tych wyników utrudnia bardzo zdanie sobie sprawy z przebieżonéj w niedalekiej przeszłości drogi, — co najwyżéj można sobie przywołać na pamięć najogólniejsze fakta,

zastanowić się nad ich znaczeniem i prawdopodobnym wpływem, — ale o ścisłości, o powiązaniu szczegółów w organiczną całość, o możności wyprowadzenia wniosków pewnych nie może być mowy.

W ostatnim dziesiątku lat rolnictwo nasze ciężkie przeszło przesilenie, wprawdzie i inne kraje od niego wolnemi nie były, — ta jednak zachodzi na naszą niekorzyść różnicą, że nie wszystkie płody rolnicze w równym stopniu w cenie się obniżyły, niektóre nawet znacznie podrożały, a nasz kraj przeważnie takie wytwarza płody, których cena najdotkliwszéj uległa obniżce.

Wiadomo, że rolnictwo nasze głównie produkuje żyto, pszenicę, kartofle i przytém prowadzi znaczną hodowlę owiec. Otóż obniżka cen na rynku wszechświata nastąpiła w stosunku następującym:

pszenicy	21%
żyta	14%
kartofli	3%
wełny	34%

Natomiast ceny innych produktów rolnych, a głównie z hodowli zwierząt pochodzących, znacznie się w cenie podniosły, a mianowicie:

kukurydzy	7%
mięsa wołowego . . .	29%
„ baraniego . . .	46%
mléka	41%
masła	23%
jaj	19%

Kraje zatém, które na większą skalę prowadzą hodowlę bydła, powetowały na produktach téj hodowli straty, poniesione na produkcyi ziarna.

W latach 1872—1876 rolnik nasz osięgał na rynku warszawskim za korzec pszenicy rubli 6 kop. 30, żyta rs. 4 kop. 50, w latach zaś 1886—1888 otrzymał za korzec pszenicy zaledwie rs. 4 kop. 50, żyta rs. 2 kop. 60.

Jakkolwiek przesilenie rolnicze, ani u nas, ani w pozostałéj Europie jeszcze nie minęło, straciło ono jednak swój ostry charakter. Zreflektowano się, że siły wytwórcze najniebezpieczniejszego współzawodnika rolnictwa europejskiego, jakim jest Ameryka Północna nie są niewyczerpane, a przytém zmiana polityki ekonomicznéj tejże Ameryki osłabiła na tém polu jéj siłę konkurencyjną. System Mac Kinleya zmniejszył przywóz towarów z Europy do Ameryki, a skutkiem tego wpłynął na podrożenie frachtu na okrętach, które dawniéj,

aby nie wracać próżne do Europy, zabiérały ze sobą za bezcen ładunki zbożowe.

W drugiej połowie zeszłego roku zaszedł fakt, który zdawał się z innéj strony grozić ciężkiemi następstwami rolnictwu naszemu, a mianowicie zamknięcie granicy dla wywozu zboża. Nieurodzaj jednak w wewnętrznych guberniach Cesarstwa utrzymał ceny na wysokim poziomie.

W końcu zeszłego i w pierwszéj połowie bieżącego roku ceny pszenicy doszły do rs. 8 kop. 50, żyta do rs. 7 kop. 50 za korzec.

Jak zamknięcie granicy dla wywozu zboża omyliło w zeszłym roku obawę co do spadku cen zbożowych, tak znowu otwarcie granicy w bieżącym roku nie ziściło nadziei co do ich podwyżki, — obecnie bowiem płacą rs. 6 kop. 30 za korzec pszenicy, rs. 5 za korzec żyta, a przy tych nawet cenach wywóz teraz nie opłaca się, z powodu niższych jeszcze cen na rynkach zagranicznych.

Każde przesilenie, siejąc w teraźniejszości spustoszenie, nosi w swém łonie zarodki lepszéj przyszłości. Słabsi padają ofiarą, silniejsi natomiast wychodzą z katastrofy bogatsi w doświadczenie, wytrwali na przeciwności, uzdolnieni do walki z losem. I u nas ciężkie przesilenie nie musiało przejść bez nauki. Kto wyszedł cało, natężył swą pracę i oszczędność, udoskonalił warsztat na którym pracuje, zmniejszył koszta produkcyi, podniósł urodzajność ziemi, wynalazł nowe źródła dochodu. O ile z rozmaitych objawów wnosić można, to zwykłe te następstwa kryzysu, w połączeniu ze średniemi urodzajami i powróceniem cen zbożowych do norm z ósmego lat dziesiątka zagoić musiały wiele ran przez ciężkie lata zadanych, skargi też ucichły, przymusowe wywłaszczenia stały się rzadszemi, a alarmująca sprawa dewastacyi zeszła z porządku dziennego.

Znamieniem ciągle jeszcze krytycznego stanu rolnictwa jest brak kredytu. Kiedy banki wszystkie przepełnione są kapitałami szukającemi lokacyi, a prywatny kredyt hypoteczny, udzielany na nieruchomości miejskie, spadł z 8% na 6%, to dla dóbr ziemskich kredyt po Towarzystwie kredytowém, dobrze byłoby gdyby tylko podrożał, ale gorzéj daleko, stał się zupełnie niedostępnym.

A jaka stąd szkoda dla bogactwa narodowego! Gdyby kredyt dostarczył rolnictwu tyle tylko kapitału, ile go potrzeba do podniesienia wydajności ziemi nie więcéj, jak o jedno ziarno, to roczny dochód rolnictwa krajowego podniósłby się o 20 milionów rubli.

Dla zadośćuczynienia naglącéj potrzebie kredytu dla ziemian powstały projekty utworzenia kredytu melioracyjnego, różniącego

się tém od praktykowanych dotychczas form kredytowych, iż nie może być przeznaczony na kapitał zakładowy, a w szczególności na kupno dóbr, lub spłatę sukcesorów, ani na żadne cele nieprodukcyjne, a nawet produkcyjne, lecz z gospodarstwem rolném ściśle nie związane, ale musi koniecznie być użyty na ulepszenie warsztatu rolnego. Trudności jednak techniczne i prawne, jakie się tu nastręczają, zbyt są wielkie, aby projekt kredytu melioracyjnego w bliskiéj przyszłości mógł być urzeczywistniony. Tymczasem pożądane byłoby rychłe rozciągnięcie przez Bank państwa na kraj nasz operacyi pożyczek właścicielom ziemskim na solaweksle z hypoteczném zabezpieczeniem, która to operacya już od r. 1884 prowadzona jest z dobrym skutkiem przez oddziały Banku państwa, w Cesarstwie istniejące.

Przemysł krajowy ściśle związany jest z polityką celną i losami rubla kredytowego. Wysokie cła, nałożone na towary zagraniczne, nie są jeszcze dostateczną dla przemysłu ochroną, potrzebuje on nadto puklerza w niskiéj wartości rubla. To téż kiedy przed dwoma laty wartość rubla podniosła się z 200 na 250 marek za 100 rubli, wielki przemysł widział się zachwianym w swych posadach, i jako kompensatę za stratę na kursie rubla wyjednał sobie podwyżkę celną o 20%. Rubel niedługo późniéj wrócił do dawnego poziomu, podwyżka jednak celna redukcyi nie uległa. Nowa taryfa celna, w zeszłym roku wydana, podniosła w dalszym ciągu cło na wytwory wielu gałęzi przemysłu, a w szczególności tkackiego, żelaznego i chemicznego; z nielicznych wyjątków, jakie w tym kierunku zrobiono, na szczególną uwagę zasługuje zniżka cła od machin rolniczych, jako ustępstwo na korzyść upadającego rolnictwa.

Dzięki wysokiéj téj opiece celnéj, nawet tak ciężkie dwa lata jak ubiegłe, które dotknięte były klęską nieurodzaju i epidemii, nie zostawiły żadnego śladu na przemyśle fabrycznym. Głód i cholera zmniejszyły bezwątpienia siłę konsumcyjną państwa, a pomimo to w przemyśle tkackim, żelaznym, cukrowniczym i wielu innych widzimy wielkie ożywienie; nie mogą one nadążyć obstalunkom, powiększają produkcyę i podwyższają ceny swych wyrobów. Wytłómaczyć się to daje tylko tém, iż wysokie cła czynią wyroby zagraniczne niedostępnemi dla coraz szerszych warstw ludności, nawet zamożniejszych, które zmuszone są poprzestawać na wyrobie krajowym, choćby on wszystkim jéj wymaganiom nie odpowiadał.

Przeflancowany z gorączkowym pośpiechem na grunt nasz, przemysł obcy ma jeszcze i tę ujemną stronę, że wraz ze sobą sprowadził obcych kierowników, a nawet niekiedy i obcych robotników.

Prawo o cudzoziemcach coraz szerzéj stosowane nietylko do zarządców dóbr ziemskich, ale i do dyrektorów fabryk, oczyszcza stopniowo przemysł krajowy od obcych naleciałości i otwiéra wstęp dla żywiołu miejscowego, który coraz więcéj opuszcza inne stanowiska i przechodzi na pole przemysłu.

W motywach do nowéj taryfy celnéj znajdujemy wyjaśnienie, że przy podwyżce cła, rząd nie kierował się względami fiskalnemi, ale ekonomicznemi,—jest przeto nadzieja, że w miarę, jak przemysł krajowy pod opiekuńczemi skrzydłami protekcyi celnéj nabierze sił, doświadczenia i uzdolnienia do walki z zagranicą, to i haracz, płacony na jego korzyść przez ogół spożywców stopniowo zmniejszać się będzie.

Reakcya w tym kierunku zdaje się już zbliżać. Z rozmaitych stron dochodzą wieści o układach, zawiązanych pomiędzy Rosyą i Niemcami w przedmiocie traktatu handlowego. Wysokie cła nakładane na towary zagraniczne wywołały w Niemczech odwet w postaci cła wchodowego na zboże. Gubernie Cesarstwa mają możność wywiezienia swéj produkcyi zbożowéj przez porty morza Czarnego i Baltyckiego bezpośrednio do Anglii, Włoch i Francyi, kraj zaś nasz z powodu geograficznego swego położenia zmuszony jest wywozić zboże swoje przeważnie do Niemiec, przeto wchodowe cła niemieckie są nierównie dotkliwsze dla Królestwa, aniżeli dla innych części państwa. Świéżo zawarty traktat handlowy niemiecko-austryacki, na mocy którego cło wchodowe od zboża austryackiego obniżone zostało do 35 marek od tony, kiedy zboże ruskie opłacać musi 50 marek, jeszcze bardziéj utrudnił położenie naszego rolnictwa, napotykającego na rynkach niemieckich konkurencyą tańszego skutkiem niższéj opłaty celnéj zboża austryacko-węgierskiego.

Wprawdzie niektórzy pocieszają się teoryą, że ponieważ Niemcy z powodu braku w dostatecznéj ilości własnego zboża dla wyżywienia swéj ludności, zmuszone są sprowadzać obce zboże, przeto opłata celna całém swém brzemieniem spadać musi na konsumenta niemieckiego. Tak jednak nie jest,—ścisłe obliczenia wykazały, że niemiecki spożywca w części tylko ponosi skutki cła, na przywożącego zaś do Niemiec producenta zbożowego ciężar cła spada w następującym stosunku: od żyta 18%, od jęczmienia i owsa 40%, od pszenicy aż 59%.

W traktacie handlowym, jaki ma być zawarty pomiędzy Rosyą a Niemcami najważniejsze miejsce zająć musi zboże, które Rosya ma do zbycia, a którego brak Niemcom. Obniżenie cła od zboża,

wchodzącego do Niemiec, ma pierwszorzędne dla kraju naszego znaczenie i jest nader pożądane w interesie rolnictwa, chociażby w zamian za to zniesione, lub zniżone zostały cła od niektórych wyrobów przemysłu, które tylko w sztucznéj cieplarni protekcyi celnéj rozwijać się są zdolne,

Polityka celna musiała wywrzéć wpływ swój i na kierunek handlu naszego. Dawniéj przy wielkim przywozie do Rosyi towarów zagranicznych, Królestwo z powodu sąsiedztwa swego z Niemcami, i większéj skutkiem tego łatwości zawiązywania stosunków z zagranicą, było niejako pośrednikiem handlowym pomiędzy przemysłowemi krajami środkowéj i zachodniéj Europy, a odleglejszemi guberniami Cesarstwa. Warszawa była centrem, do którego zagranica nadsyłała towary, i stąd dopiéro rozchodziły się one po Cesarstwie. Zmniejszony skutkiem wysokich ceł przywóz towarów zagranicznych sparaliżował ten handel,—natomiast wywiązał się nowy rodzaj handlu, wytworzony przez wzrastający przemysł tak Królestwa, jak i Cesarstwa. Produkcya fabryczna Królestwa, prześcigająca znacznie potrzeby konsumcyi miejscowéj, szuka zbytu na rynkach ruskich,—z drugiéj strony wiele gałęzi przemysłu ruskiego znajduje licznych odbiorców w kraju tutejszym, i stąd wywiązał się obszerny handel zamienny pomiędzy przemysłem tutejszym a wytwórczością Cesarstwa. Miejsce towarów zagranicznych, zapełniających dawniéj sklepy Warszawy i miast prowincyonalnych, zajęły towary ruskie, które coraz więcéj do nas napływają, w zamian za towary naszego przemysłu, odpływające na rynki ruskie.

Z pośród jednostajnie snującego się pasma życia ekonomicznego mało w ostatnich czasach wybiło się na wierzch faktów doniośléjszych, mających znaczenie ogólne, społeczne; ludzie pracują jak mogą, każdy na swoją rękę; ale nie widać ducha stowarzyszenia, łączenia się jednostek i kapitałów w organizmy silniejsze dla dokonania dzieł większego znaczenia.

Towarzystwa akcyjne, jakie w ostatnich czasach zorganizowały się, nie są to nowe przedsiębiorstwa, ale tylko nowe formy, przybrane przez dawniéj już istniejące zakłady w widokach dogodniejszych działów pomiędzy spólnikami lub spadkobiercami.

Mała przedsiębiorczość, więcéj bezwątpienia aniżeli wzrastająca oszczędność, wywołała to nadmierne nagromadzenie po bankach kapitałów, podniesienie 4% papiérów publicznych do *pari*, a 5% wyżéj nominalnéj ceny, tudzież spadek stopy procentowéj do rozmiarów, nigdy u nas niepraktykowanych. Wprawdzie daleko nam jeszcze do stosunków zagranicznych, gdzie w Berlinie i Londy-

nie obniżono na początku roku stopę procentową do 1½% rocznie, ale i obniżka przez nasze banki prywatne, a w ślad za niemi i Banku państwa stopy procentowéj od dyskontowanych weksli do 4½% rocznie należy u nas do zjawisk niebywałych.

Za przykładem rządu, który skonwertował 5% swe obligacye na 4%, a nawet emitował pożyczkę złotą 3%, tudzież ruskich banków ziemskich, które zamieniły swe 6% listy zastawne na 5 procentowe, i nasze instytucye kredytowe przystąpiły do operacyi konwersyjnych. Kaliskie Towarzystwo miejskie zaniechało wydawania 6% listów zastawnych i emituje same tylko 5% listy. Towarzystwo kredytowe ziemskie powzięło zamiar zamiany 5% listów zastawnych na 4%, ostatecznie postanowiło dopełnić konwersyi listów na 4½ procentowe, co zdaje się być bliskiém urzeczywistnienia.

Nadmiar kapitałów w bankach naszych jest wynikiem nietylko małéj przedsiębiorczości, ale nadto wadliwéj ich organizacyi kredytowéj. Potężny Bank francuski dyskontuje weksle, poczynając od 10 franków i to w takim rozmiarze, że weksle od 10 do 100 franków zajmują ¼ część portfelu. Gdyby do któregokolwiek z naszych banków, nie wyłączając tych, które założone zostały specyalnie dla drobnego kredytu, przyniesiono do dyskonta kilko-, lub kilkonastorublowy weksel, uważałyby to za ujmę dla siebie. Skutek tego wstrętu do demokratyzowania kredytu jest taki, że w tym samym czasie kiedy banki skarżą się na przesyt kapitału, lud cierpi głód kredytowy, kiedy zamożna klientela bankowa korzysta z nadmiernie niskiéj stopy dyskontowéj, ludzie pracujący w rzemiosłach, drobnym przemyśle i handlu rujnowani są przez lichwę.

Liczne usiłowania, podjęte tak w Warszawie, jak i w wielu miastach prowincyonalnych o założenie w interesie drobnego mieszczaństwa kas pożyczkowo-wkładowych, dotychczas bez skutku pozostały.

Obok większéj własności ziemskiéj i wielkiego przemysłu fabrycznego, grupuje się liczna rzesza włościan i robotników, których los i dobrobyt zasługują na najtroskliwszą opiekę.

Od czasu uwłaszczenia ludność wiejska wzrastała rocznie w sposób następujący:

od r.	1863—1872	. . . .	23 na 1,000 głów
„	1873—1882	. . . .	15 „ „ „
„	1883—1887	. . . .	14 „ „ „
w roku	1887	. . . .	17 „ „ „
„	1888	. . . .	15 „ „ „
„	1889	. . . .	14 „ „ „

Ten przybytek ludzi na wsi najwięcéj przyczynił się do podniesienia ludności Królestwa w okresie lat 1863—1892 z 5 milionów do 8,300,000, — miasta bowiem, za wyjątkiem Warszawy i Łodzi, mało pod względem ludności i dobrobytu naprzód postąpiły.

W ruchliwym świecie ekonomicznym widzimy bezustannie wzajemne na siebie oddziaływanie przyczyn i skutków. Wzrost ludności wiejskiéj w ciągu lat kilkudziesięciu jest niewątpliwym wynikiem polepszenia się jéj dobrobytu, biorącego swój początek w uwłaszczeniu, i rozwijającego się następnie pod wpływem samodzielnéj pracy na własnym kawałku ziemi. W miarę wszakże wzrostu ludności zaczyna jéj brakować ziemi, a tém samém środków do egzystencyi. Przez pewien czas ludność włościańska, dzięki swéj pracy i oszczędności, była w stanie zbiérać zasoby, przy pomocy których rozszerzyła znacznie granice swych posiadłości. Włościanin stał się ważnym konkurentem o kupno ziemi, i parcelacya większych dóbr pomiędzy drobnymi nabywcami ze sfery włościańskiéj, zajęła pierwszorzędne miejsce w tranzakcyach o kupno i sprzedaż majątków ziemskich. Rozszerzenie wszakże granic posiadłości włościańskich nie szło równomiernie z powiększaniem się ludności. Pod wpływem działania prawa malthusowskiego ludność włościańska w ciągu jednego pokolenia wzrastała o kilkakroć szybciéj, aniżeli ziemia w posiadaniu jéj będąca i dostarczająca jéj środków wyżywienia. Około miliona ludności wiejskiéj jest dziś bezrolną, a drugie tyleż małorolną, to jest posiadającą ziemię w ilości niewystarczającéj na wyżywienie rodziny. Zmniejszony od roku 1885 ruch parcelacyjny jest niewątpliwym objawem wyczerpania się zasobów i zmniejszonéj siły nabywczéj włościan. Ziemi bowiem, kwalifikującéj się do parcelacyi nie brak. P. Bloch oblicza, że dobra obdłużone, które w drodze dobrowolnéj, lub przymusowéj zmienić właścicieli są zmuszone, obejmują przestrzeń dwóch milionów mórg.

Nadzieje pokładane w Banku włościańskim dotychczas w części tylko ziściły się, — obecnie władza poczyniła w ustawie Banku ważne zmiany, zmierzające do uproszczenia procedury i usunięcia tamujących jéj działalność formalności, tudzież do zniżenia stopy procentowéj i przedłużenia terminu amortyzacyi; można przeto spodziewać się, że lud wiejski znajdzie przy pomocy Banku włościańskiego znaczniejsze środki do rozszerzenia swéj własności.

Sprawa agrarna od dawnych już czasów silnie agituje umysły w kraju naszym, natomiast kwestya robotnicza, jako ściśle z wielkim przemysłem związana, dopiéro od czasu powstania i rozwoju młodocianéj téj u nas gałęzi pracy, baczniejszą na siebie zwracać zaczęła uwagę.

W dzisiejszym ustroju produkcyi i zbytu, w którym konkurencya najważniejszą rolę odgrywa, każdy przedsiębiorca dążyć musi do możności oddania swego wytworu po najniższéj cenie. Dla dopięcia tego celu zmierzać musi do zmniejszenia kosztów produkcyi do ostatecznych granic. Jedną z najważniejszych części składowych kosztów produkcyi stanowi płaca robotnicza, — i tę więc przedsiębiorca zniżyć się stara do *minimum*. Najlepsze chęci przedsiębiorcy nic tu nie pomogą, — prawa rynku są silniejsze od niego. Przedsiębiorca, któryby powodując się poczuciem sprawiedliwości, podniósł płacę robotnika ponad zwykłą jéj cenę, runąćby musiał, bo nie wytrzymałby konkurencyi z tymi, którzy poczuciem tém nie powodują się i o własnym tylko myślą interesie.

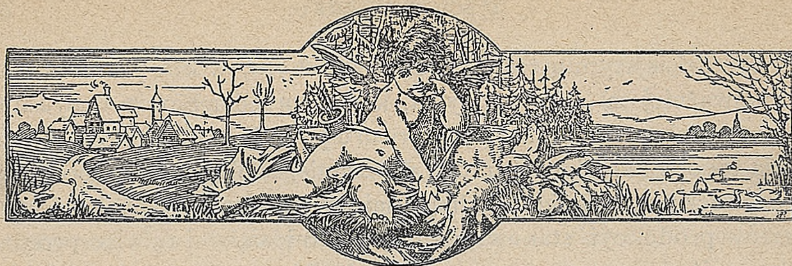
Na polepszenie losu robotnika najskuteczniéj wpłynąć może władza państwowa. Prawu wszyscy poddać się muszą: jeżeli ono nakazuje wprowadzenie pewnych ulepszeń, wówczas obowiązek ten spada na wszystkich i nikt nie ma obawy, aby konkurent jego wyzyskał je na swoją korzyść. To téż nawet w Anglii, hołdującéj najsilniejszéj wolności ekonomicznéj, uznano za konieczne utworzenie państwowych inspekcyi fabrycznych, które kładą tamę zbytecznemu wybujaniu zasad szkoły manchesterskiéj w stosunku pracodawcy do robotnika.

W roku 1891 i do kraju naszego wprowadzona została ustawa o najmie robotników i o nadzorze nad zakładami fabrycznemi. Ustawa ta reguluje wzajemne stosunki prawne przedsiębiorcy i robotnika, następnie nakazuje przedsiębranie środków, zabezpieczających zdrowie i życie robotnika. Wielką doniosłość mają przepisy o pracy i kształceniu robotników małoletnich. Dzieci do lat 12 wcale do pracy dopuszczane być nie powinny, a od lat 12 do 15 tylko przez ośm godzin na dobę, w nocy nieletni do lat 15 wcale pracować nie mogą, kobiéty nie mogą być używane do pracy nocnéj w fabrykach bawełnianych, płóciennych i wełnianych. Małoletni, zatrudnieni w fabryce, powinni trzy godziny dziennie przepędzać w szkole.

Przepisy te mają wielkie społeczne znaczenie nie tylko przez to, że oszczędzają siły dorastającego pokolenia, które karłowaciało fizycznie i moralnie w dusznéj atmosferze fabrycznéj, pod brzemieniem nadmiernéj pracy, ale i przez to, że pośrednio wpływają na podwyższenie płacy robotniczéj. Tania praca dzieci i kobiét stanowi ciężką konkurencyą dla dorosłego robotnika mężkiego, — ograniczenie pracy małoletnich i kobiét wywołać musi większy popyt na pracę pozostałych robotników, a tém samém i na podniesienie ich płacy.

J. Kirszrot-Prawnicki.





WMÓWIONE CIERPIENIA.

(Dokończenie) *).

Helena do Stasi.

Jesień już; jaskółki odfrunęły na południe, a jeszcze nie mam listu od ciebie...

Rodzice naglą mię do powrotu. Mama pisze, iż dla saméj opinii ludzkiéj zimę muszę spędzić w Warszawie. Kłopocze ją, coby powiedzieli znajomi, gdybym na tak długo wyjechała z domu?

Mnie tak się nie chce myśléć o mdłém życiu miejskiém! Co mię tam czeka? Kilka nudnych rautów, trochę plotek i ta wieczna gonitwa za mężem, która obrzydziła mi życie...

Jestem teraz zdrowa zupełnie: nic mi nie dolega, prócz nieokreślonych obaw i smutków, które napadają mię często bez przyczyny. Wdrożyłam się w pracę pod kierunkiem Ewy. Ułożyłyśmy już sobie plan robót na rok przyszły. W ogrodzie zaprowadzamy całkowitą reformę: przytém kwiaty będą pod moją wyłączną opieką. Tak przykro rzucać na raz wszystko! Ewa, u któréj dotąd nigdy łez nie widziałam, płacze na myśl rozstania się ze mną. Dziś od rana zasłania rękami małe, ruchliwe swoje oczki, aby nie schwycić jéj na akcie rozrzewnienia.

Wrzesień mieliśmy smutny, szary, deszczowy: za to październik błyszczy szeregiem dni pogodnych. Czerwonawo-żółte liście kaszta-

*) Patrz „Ateneum" zesz. listopadowy r. b., str. 72.

nów mienią się w słońcu, jak roztopione dukaty. Białe nitki pajęczyny, błądząc w powietrzu, zahaczają się o czubki drzew miękkiém puchowém swém dotknięciem. Szara, zorana ziemia, drzémiąc posępnie, przypomina wprawdzie niedaleki pogrzéb swój pod całunem śniegów, niebo jednak, jak zalotnica, dla któréj istnieje tylko wiosna, połyskuje puchem obłoków, niby mlecznemi opalami, wstawionemi w oprawę turkusów, i niweczy żałobę jesieni.

Złoty dészcz liści żegnał mię dziś w alei kasztanów, gdym błądziła tam, prawdopodobnie po raz ostatni. Jutro rano mam wyjechać stąd. Chcę, żeby się rozdeszczyło. Miałabym złudzenie, iż cichy dworek tutejszy, niebo, gałęzie więdnących kasztanów, puszyste liście szparagów w ogrodzie i wielka baszta ruin na wzgórzu płaczą po mnie. Z wiosną wrócę tu: tą myślą tylko będę żyła.

Do widzenia! Stanowczo nie napiszę teraz pierwsza. Czekam listu z Drezna. Jestem niespokojna o ciebie.

Helena.

Stasia do Heleny.

Ostatni twój list odbył całe szeregi wędrówek, zanim dostał się do rąk moich, od miesiąca bowiem nie jestem w Dreznie, lecz w Hamburgu.

Co robię tutaj na gruncie „wolnego portu“, na rynku olbrzymich manipulacyi giełdowych, ja, ze swojém gardłem śpiewackiém i wymarzoną przyszłością głośnéj primadony?—pomyślisz zapewne.

Stało się tak. Rodzice, którzy długi czas byli przeciwni karyerze mojéj teatralnéj i chcieli wykierować mię co najwyżéj na śpiewaczkę estradową, czyli inaczéj powiedziawszy „filantropijną“, spotkawszy tym razem opór z méj strony, niczém nie zwalczony, musieli przystać na występy moje, podali jednak warunek, aby się odbyły nie w kraju i nie pod mojém staro-szlacheckiém, dotąd publicznie chyba tylko na plakatach pogrzebowych, lub w herbarzach ogłaszaném nazwiskiem.

Naturalnie, przyjęłam ich zastrzeżenie i odtąd gardło moje otrzymało pseudonim „*dal Braghi*“.

Traf zrządził, że w ostatnim roku pobytu mego w Dreznie poznałam reżysera opery hamburskiéj, który przyjechał tam dla poznania miejscowego teatru. Polki mają szczęście do cudzoziemców: to rzecz wiadoma. Nie wiem, co we mnie zachwyciło reżysera, dosyć, że po kilku zamienionych ze mną słowach stał się najgorętszym moim przyjacielem i obiecał urządzić mi trzy debiuty w operze hambur-

skiéj. Lamperti wyuczył mię doskonale trzech partycyi koloraturowych: w „Cyruliku Sewilskim", „Łucyi" i „Hugonotach". Za tydzień ukażę się zdumionemu Hamburgowi jako Rozyna, za dwa tygodnie jako Łucya, a za trzy—jako królowa.

Czemu nie możesz być paziem moim, jak o tém marzyłam?

Co za kostyumy przepyszne przygotowałam sobie z pomocą modniarek i mateczki!...

Ta ostatnia płacze chwilami na myśl, że naszyjniki i dyademy brylantowe, które ongi na czołach i szyjach prababek moich ukazywały się dworom europejskim, dziś ściągną wzrok niejednego żydka z paradyzu, a może znajdzie się ktoś, co pomyśli o nich, że są sztuczne...

Mam nadzieję jednak, iż pierwszy mój tryumf osuszy jéj łzy i przerwie wspomnienia prababek.

Dotychczas nie doznaję ani odrobiny tego, co nazywają „tremą".

Ale-bo téż trafiłyśmy tutaj na dobrych, serdecznych ludzi, którzy nie dopuszczają złych myśli. Reżyser zapoznał nas z garstką bawiących w Hamburgu stale Polaków. Dwaj z pomiędzy nich zajmują poważne stanowiska: pierwszy—dyrektora jednego z towarzystw żeglugi parowéj na Elbie, drugi — naczelnika jakiegoś biura prywatnego, a reszta—to studenci wydziału handlowego, mili, rozkoszni chłopcy, którzy nawet nosząc się z myślą samobójstwa, zdołaliby doprowadzić do śmiechu. Jest ich pięciu, a wszyscy bardzo brzydcy i dlatego stanowią klub t. zw. „piękników", którego prezesem zrobią mię, jeżeli przejdę ospę, lub postaram się o piegi na twarzy...

„Piękniki" oddają mi wielkie usługi. Od godziny trzeciéj po południu mam ich do rozporządzenia. To téż, naśpiewawszy się zrana i odbywszy wszelkie praktyki, potrzebne do utrzymania gardła w porządku, biegam z niemi po mieście. Podziwiam codzień pyszną Alsterę, łukami mostów na kilka basenów podzieloną: każdy z nich obramowany pękiem zieloności, każdy płonie wieczorem miliardem świateł, na bulwarach rozpalonych i w głębi wód atłasowych skąpanych. Podziwiam, a raczéj zachwycam się w staréj dzielnicy miasta szeregiem domków, robiących zdaleka wrażenie dekoracyi z grubéj tektury. Jedne z nich niskie a szerokie, inne zaś wąskie a sterczące ku górze, jak słupy; wszystkie, zakończone trójkątem okopconych dachówek, zdają się chylić ku upadkowi. Pełno w nich okien. Jedno tuż przy drugiém. Oddzielone od siebie wąskiemi skrawkami muru, wyglądają, jak najdelikatniejszy ażur koronki. Szyby ich błyszczą w słońcu, jak brylanty, oprawiane w zaśniedziałe stare srebro.

W każdém z nich białe, jak śnieg firanki i porcelanowe doniczki z kwiatami. Z każdego z nich o zmierzchu lub rano, bardzo rano, wyglądają zdrowe, czerstwe twarze rzemieślników i wyrobników.

Przyjechawszy tutaj, pierwszego dnia pomyślałam:

— Gdzie ten ruch olbrzymi, cechujący wielkie miasto portowe? Gdzie zgiełk, gorączka życia, szybka, niecierpliwa działalność, o któréj mi opowiadano?

Na bulwarach spokojnie. Ludzie bez pośpiechu przechodzą z trotuaru na trotuar, bez pośpiechu, z uśmiechem dobrobytu, jak obywatele, których nie przeraża nagły przewrót giełdowy, zapijają czarną kawę w pawilonie lub pod arkadami Alstery...

Ruch, gorączka, życie zaczyna się w porcie dopiéro. Tu setki ludzi wyczekują pracy. Nadchodzą olbrzymie okręty ładowne i w téj chwili bezczynna setka dostaje zajęcie. Lasy masztów, burty okrętów i srebrna łuska Elby połyskują w słońcu. Nikt nie zwraca uwagi na panoramę krajobrazu: wszyscy zajęci. Tym, co jadą lub idą tędy, zawsze pilno. Gorączka niepewności, pośpiech, myśl, kombinująca szybko, bez zwłoki czasu, wyryta na każdéj twarzy. Niekiedy dwóch mężczyzn, biegnących prędko, jak gdyby od pieszego ich wyścigu zależało zdobycie głównéj wygranéj, spotykają się nagle. Nie powitawszy jeden drugiego, rzucają sobie błyskawiczne, niecierpliwe pytania. Rozprawiając żywo, rozchodzą się po chwili, każdy w swoją stronę, nie uchyliwszy na pożegnanie nawet kapelusza.

Wczoraj odbyłyśmy wraz z towarzystwem naszém podróż Elbą wzdłuż portu. Maleńki statek śrubowy „Marta i Lili“ wiózł nas między szeregami olbrzymich, jak piętrowe kamienice, okrętów. Ślicznie było na wodzie. Słońce zachodząc, różowiło drobne jéj fale. Maszty parowców wyglądały zdaleka, jak rozpięta w powietrzu gipiura o powikłanych pionowo niteczkach. Drobny dészcz spadł na nas z drobnéj, perłowéj chmurki, gdyśmy podjeżdżali pod wielki most łukowy z herbami Hanzy; jednocześnie śruba statku, rozkołysawszy go, obryzgała nas pyłkami wody. Podwójny ten natrysk wprawił wszystkich w znakomite humory: zaczęto śpiéwać chórem...

Po raz pierwszy żałowałam, że jestem „*dal Braghi*“ i strzedz muszę gardła przed wilgocią, jak kataryniarz pudła katarynki...

Wszyscy śpiéwali: ja nawoływałam o odwrót.

Dziś — „Piękniki“ moje przywieźli nas na obiad tutaj, do białego domku Jakuba, gdzie przyszła mi fantazya napisania listu niniejszego.

Jechaliśmy cienistą aleją, usianą gmachami letnich willi. Każda z nich obwiedziona kobiercami szmaragdowych, w pasy strzyżo-

nych trawników. Niektóre uderzają wdziękiem stylu odrodzenia, inne—powagą gotyku, lub lekkością łuków romańskich. Otaczają je ogrody ze szpalerami z bzów, akacyi, klonów i kasztanów. Coraz to jakaś wieżyczka strzela w powietrze. Gdzieniegdzie z za zieleni krzewów wyłamują się tajemniczo domki maurytańskie, o basztach w zęby uzbrojonych i fantastycznych konturach fasady.

Tu, w białym domku Jakuba, cicho, spokojnie, dobrze. Jasnowłosa Anna w blankenezyjskim czépeczku na głowie, nakrywając stół, kokietuje towarzyszy naszych szeregiem lśniących, perłowych ząbków i oczami młodéj sarny...

Płowo-szarawe nurty Elby podmywają wzgórze, na którém jesteśmy w téj chwili. Srebrna łuska rzeki nęci gromady mew białych, które muskają ją wachlarzami rozpiętych skrzydeł. Płaty łąk zielonych, ciągnące się wzdłuż prawego wybrzeża, lśnią w promieniach słońca, jak roztopione szmaragdy. Łódki o spuszczonych lub rozpiętych żaglach, wąskie, małe, lekkie, chwieją się na wodzie, jak łupiny orzecha.

Nie umiem ci powiedzićć, jak mi dobrze teraz, jak jestem szczęśliwa! Czas cudowny: słońce od rana, księżyc całemi długiemi wieczorami, które spędzamy nad Alsterą.

Nawet nie pilno mi do występów. Przypuszczałam, iż kilka tygodni przed debiutem będę cierpiała na gorączkę, którą Niemcy nazywają „*Ruhmfieber*“. Tymczasem—nic z tego: tak mi jakoś dobrze, spokojnie, tyle równowagi i uczucia słodkiego dobrobytu mam w sobie, że wszystkich tém wprawiam w podziw.

„Piękniki“ organizują dla mnie wielką klakę. Całe czwarte piętro na „Cyruliku“ zajmą handlowcy. Reżyser, dobry i troskliwy o mnie, jak o swoją córkę, obiecuje powodzenie. Mam śpiewać ze znanym tu i uwielbianym tenorem, z — dorożkarzem: to zabawne, nieprawda?

Martwi mię tylko dyrektor: zdaje się, że zakochany we mnie. Codzień odbiéram od niego bukiety i cukierki. Jeżeli oświadczy mi się, będę miała moc nalegań ze strony rodziców, by wyjść za niego, a teraz—co innego mam w głowie. Muszę upić się sławą, jak wódką, aby nazajutrz po pijaństwie doznać *katzenjammeru* i... zatęsknić może do spokojnego, bezbarwnego życia przeciętnéj mieszczki.

Od kwadransa wołają na mnie: Anna wniosła już ulubioną moją zupę windsorską. Wszyscy głodni i złorzeczą mamie, że kazała uczyć mię kaligrafii.

Bądź zdrowa! Listy twoje czasami czytam, czasami daję je do przejrzenia mateczce i proszę, aby opowiedziała mi wiernie, co się

w nich mieści. Pisuj jednak w każdym razie: może przyjdzie kiedy chwila, że rzucę się na nie z chciwością głodomora. Mam je wszystkie w oddzielnéj skrytce podróżnego kufra.

Myśl o mnie teraz dużo, życząc mi powodzienia, albo i nie myśl: przez suggestyę mogłabyś mi udzielić coś z płaczliwéj swéj nerwicy, a ja—chcę być wesołą i figlarną Rozyną.

Do widzenia!

Stanisława.

Helena do Stasi.

Zdziwisz się, czy nie zdziwisz? Od pół roku jestem narzeczoną. Stało się to tak szybko i niespodziewanie, że dziś nie wiem sama, czy wierzyć szczęściu swemu, czy też uważać je za złudzenie?

Przyjechawszy ze wsi, marzyłam o tém tylko, aby wrócić tam jaknajprędzéj. Rauty i „skromne herbatki“ warszawskie zbrzydły mi do tego stopnia, iż płakałam na samo wspomnienie o nich.

Pomimo gwałtownego mego oporu, mama zaciągnęła mię w parę dni po przybyciu mojém na zebranie u krewnych naszych, tych samych, u których niegdyś poznałam Sławińskiego. Poszłam tam zła, nachmurzona; zaklinałam się w duszy, że słowa jednego nie przemówię do nikogo.

Pierwszą osobą, jaką spotkałam w progu drzwi, był Edward Milewski, zwany ogólnie „młodym rejentem“, wysoki, przystojny szatyn o ciemnych, głęboko osadzonych oczach i słodkim, dobrym wyrazie twarzy.

Widywałam go dawniéj już niejednokrotnie na rautach, koncertach, spacerach, w teatrze. Wydawał mi się zawsze najsympatyczniejszym z mężczyzn, jakich znałam dotąd. Myślałam nieraz, że jego jednego tylko mogłabym pokochać prawdziwie. Patrząc w jego oczy, doznawałam wrażenia słodyczy: było mi z tém dobrze; czułam się spokojną, szczęśliwą...

Edward ma lat trzydzieści. Dotąd trzymał się zawsze zdaleka od panien. Prześladowano go starokawalerstwem: nie miał żalu o to, owszem—dowodził, iż, rzeczywiście, nie ożeni się nigdy; kaprysy bowiem, stroje i nerwy kobiét przerażają go bardziéj, niż tyfus, ospa, paraliż.

Starsze panie lubią grywać z nim w gieryłasza lub rumelpikietę: mężczyźni wyciągają go na szachy lub winta; panny tylko próżno zawsze zerkały nań z ukosa: stanowiąc pod każdym względem to, co zasługuje na miano „dobréj partyi“, był rozważny i ostrożny. Głośno

odzywał się niejednokrotnie, iż warszawianek nie lubi i że, gdyby jaka panna ze wsi oświadczyła mu się, to, kto wié, może, zważywszy korzyść uniknięcia kłopotliwych oficyalnych konkurów, namyśliłby się w końcu na ożenek...

Ja przed wyjazdem swoim na wieś nie rozmawiałam z nim nigdy, dziwna rzecz jednak: żaden mężczyzna dotąd nie pozostawił w umyśle moim tak silnego i trwałego wrażenia, jak on. Nie patrząc na niego, mogłam dokładnie odtworzyć w pamięci każdy rys jego twarzy: stawał przed wzrokiem moim, jak żywy; byłabym mogła szkicować jego portret.

Na wsi nieraz w chwilach, gdy najżywiéj rozmawiałam z Ewą, lub najgorliwiéj pracowałam w ogrodzie, on, a raczéj sylwetka jego, wyryta w moim mózgu, przesuwała się przedemną tak wyraźnie, iż otwierałam oczy szeroko, aby sprawdzić, czy to rzeczywistość, czy tylko halucynacya? Szczery, serdeczny i dobry, pełen pobłażliwości uśmiéch, który błądził stale dokoła różowych ust jego, odsłonięte białe czoło, którego zmarszczka pionowa świadczyła o pracy i samodzielném zdobywaniu niezależnego bytu, każdy najlżejszy gest jego, każde poruszenie oczów, twarzy żyło w méj pamięci.

Czy przypominasz sobie scenę w ruinach, którą opisywałam ci półtora roku temu, kiedy, jak szalona, płakałam i śmiałam się naprzemian, wyciągając ręce do nieba, ziemi i słońca?...

Edward wtedy był przy mnie, czułam niemal jego oddech, muskanie ciemnych jego włosów, spojrzenie dużych czarnych oczu... A jednak... gdyby rok temu kto mi powiedział, że go kocham, wzruszyłabym ramionami powątpiewająco i prosiła, aby przestano mówić o tém.

Zbliżyliśmy się z Edwardem szybko, niespodziewanie. Ludzie nie mieli czasu obrzydzić nas sobie wzajemném częstowaniem: „uderz do niéj!“ „wyjdź za niego!“

Stało się to prosto i niemal błyskawicznie. Spostrzegłszy mię po roku niewidzenia w salonie, wśród tłumu panien o ufryzowanych i spudrowanych grzywkach, o zalotnych uśmieszkach, rzucanych z za wachlarzy, Edward przystąpił wprost do mnie, może dlatego właśnie, iż byłam milcząca i nie ścigałam go zalotném spojrzeniem, że włosy tego dnia właśnie miałam gładko przycesane nad czołem, że zerwałam z kokieteryą i sztuczném wabieniem mężczyzn.

— Jakie czary tak przeobrażają? — spytał, siadając obok mnie na błękitnéj pluszowéj kanapce, pod cieniem wielkiego chińskiego parasola, dokoła którego drgały niespokojnie zawieszone u każdego pręta ptaki egzotyczne.

— Rok temu—dodał—była pani tak podobną do całego szeregu panien, spotykanych na wieczorach, iż nie odróżniałem jéj prawie od innych: dziś—dostrzegam w niéj coś zupełnie odrębnego: sam nie wiem na czém odrębność ta polega?

I wzrokiem, pełnym zdziwienia, oraz zaciekawienia, wodził po całéj mojéj postaci.

— Wieś nauczyła mię wielu dobrych rzeczy: myślę dziś i czuję inaczéj, aniżeli przed rokiem; może to wyodrębnia mię cokolwiek — odrzekłam, nie patrząc na niego.

Mówiliśmy następnie o różnicy w trybie życia na wsi i w mieście. Wyraziłam chęć jak najprędszego powrotu do „Jaskółek“ twierdząc, iż Warszawa męczy mię i nudzi niesłychanie.

On z widoczną przykrością słuchał słów moich.

— Więc tylko wieś posiada przywiléj wyrwania pani ze szponów nudy?—spytał ironicznie.

— Ktoś w „Jaskółkach“ musiał zawładnąć sercem pani, skoro ono z taką niechęcią odwraca się od miasta i jego rycerzy — dodał, spoglądając mi w oczy badawczo.

— Bawiłam na wsi kilka miesięcy zaledwie: prócz chorego, od lat trzech nie schodzącego z łóżka wuja mego, kilku starych sąsiadów i sąsiadek, oraz kuzynki, z którą pokochałyśmy się szczerze, nie poznałam tam nikogo, sercu mojemu zatém nie groziło niebezpieczeństwo—odparłam krótko.

Rozmowa przeszła następnie na inny temat. Pod koniec wieczoru Edward, patrząc na mnie, z prośbą w oczach spytał:

— Czy pozwoli pani odwiedzać się jaknajczęściéj i robić wszelkie starania, w celu przywrócenia jéj miejskich upodobań, a przedewszystkiém, niedopuszczenia pierwszego ataku nudy, która mogłaby zapędzić ją na wieś powrotnie?

Skinęłam głową twierdząco i nie wiem, dlaczego uczułam w téj chwili tętno krwi, zalewającéj czoło, ramiona i szyję moją szybko, iż salon, pełen gości, zawirował mi w oczach, a gwar prowadzonych rozmów przeszedł w głuchy szmer, w którym nie mogłam rozróżnić ani słowa.

Edward, pochylony nademną, mówił coś jeszcze krótkiemi urywanemi zdaniami: nie rozumiałam go dobrze, słyszałam tylko, że mówił o mnie: serdeczna, ciepła wibracya jego głosu budziła we mnie uczucie rzewnéj słodyczy. Miałam ochotę wyciągnąć ku niemu obie ręce, spojrzéć w duże jego oczy i powiedziéć:

— Jesteś najpiękniejszy, najmilszy z ludzi, jakich znałam kiedykolwiek.

Nie powiedziałam tego, naturalnie. Palce moje skubały niecierpliwie brzeg batystowéj chusteczki. Z lękiem, z trwogą myślałam, czy słowa jego nie są grą pustych frazesów, rzucanych wieczorem w salonie, aby tém szybszemu zapomnieniu uległy nazajutrz, przy świetle dzienném?

— Pozwolą państwo złożyć sobie uszanowanie moje w jaknajkrótszym przeciągu czasu?—spytał Edward rodziców moich, żegnając ich przed progiem naszego domu.

— Prosimy, bardzo prosimy—brzmiała odpowiedź.

Nazajutrz o zmierzchu, gdy zamknięta w swoim pokoju marzyłam, nie wiem dobrze o kim czy o czém, lecz marząc, najwyraźniéj czułam w powietrzu woń heliotropów i fiołków, jakkolwiek dokoła mnie nie było kwiatów, — w mieszkaniu naszém rozległ się głos dzwonka.

Edward wszedł do salonu, przepraszając, iż pierwszą wizytę składa nie według przepisów towarzyskiego regulaminu.

— Południa w dnie powszednie zajęte mam pracą, a do niedzieli daleko. Obawiałem się—rzekł, zwracając głowę w moją stronę, aby pierwszy atak spleenu pani nie przyszedł zbyt prędko. Jutro bardzo ładny koncert w resursie: może panie pozwolą wziąć bilety i towarzyszyć sobie? Pragnąłbym rolę impresarya zabaw, którą wziąłem na siebie, spełnić jaknajsumienniéj i uzyskać całkowite zadowolenie władzy wyższéj...

Oczy jego, patrząc na mnie, miały wyraz takiéj słodyczy, iż serce moje wezbrało rzewném uniesieniem: byłabym z rozkoszą oparła głowę o jego piersi i z przymkniętemi powiekami słuchała łagodnéj wibracyi głosu, który pieścił mię i upajał...

Jesień minęła. Zima rozpostarła białe swoje skrzydła nad dachami domów i chodnikami ulic, nad pustemi przestrzeniami wielkich placów i ogrodów miejskich, nad zmarzniętą na skraju miasta rzeką i zaludnionemi rojem łyżwiarzy stawami.

Edward przychodził codzień. Z początku, za każdym razem, proponował teatr, koncert, odczyt lub publiczną jaką zabawę. Pod koniec jednak przestał przynosić bilety.

— Nadmiar przyjemności nudzi tak samo, jak brak ich zupełny—rzekł któregoś wieczora do mnie.—Bawiąc się codzień, zatęskniłaby pani szybko do wiejskiéj ciszy, a wtedy...

Szary zmierzch zaléwał pokój, w którym nie było nikogo. Blask latarni, zapalonych na ulicy, rzucał bladawo-żółte refleksy na białe jego, lekką zmarszczką niepokoju przecięte czoło.

— Nie nudzę się teraz w mieście i nie zatęsknię za wsią, chyba...

Obie moje ręce szybko, jakby za rozkazem, przesłanym mi z zewnątrz, bez udziału świadomości, wyciągnęły się w stronę Edwarda.

— Chyba, gdyby pan stracił nadal chęć bronienia mnie od nudy —dodałam dźwiękiem głosu, którego wibracya zdziwiła mię samą.

— Tyś moja!—zawołał Edward, przyciągając mię do siebie.

Serce zabiło mi gwałtownie. W téj chwili na swoich ustach uczułam jego usta.

— Tyś moja, tyś moja!—powtarzał Edward z uniesieniem, całując ręce moje, oczy, włosy, ramiona.

Ciemno było w pokoju. Nagle mama weszła z lampą w obydwóch rękach.

Oczy nasze wpiły się w arabeski dywanu, rozłożonego na podłodze.

Edward ocknął się pierwszy.

— Mateczko, chciéj przyjąć mię za syna—rzekł, podszedłszy do mamy, całując ręce jéj, w których drżała lampa.

— Powiédz, że jesteś szczęśliwa — szepnął w godzinę potém do ucha mego. — Powiédz, że mnie kochasz i że nikt na świecie nie jest ci droższym nademnie...

— Kocham cię i jestem...

Utknęłam przy wyrazie „szczęśliwa"... Zdawało mi się, że, jeżeli go wypowiem, szczęście to, które wibrowało w méj piersi wrażeniem żywéj, ciepłéj rozkoszy, pierzchnie przedemną jak złudna mara, że nastąpi po niém noc smutków i niepokoju...

Płacząc, oparłam głowę o ramię Edwarda, płacząc myślałam:

— Czemu ja tak, jak inni, nie mogę być szczęśliwą bez granic, bez miary? Czemu, gdy życie uśmiécha się do mnie, staje przedemną, jak widmo upiora, szereg przewidywanych zgryzot i goryczy? Czemu z mózgu swego nie mogę wypruć dręczących mię zabobonnych urojeń? Czemu jestem kaléką, jak daltonista, dla którego każdy przedmiot zasuwa się barwą krepy? Czemu, czemu, czemu?..

Serce pękało mi z bólu. Łzy dławiły mię: nie mogłam mówić. Edward nie rozumiał, co działo się ze mną. Chmurny, zasępiony, przypuszczał, że nie kocham go tak, jak on chciał być kochanym.

Rozstaliśmy się tego wieczora smutni, pognębieni: on z żalem i nieufnością do mnie, przypuszczając, iż taję coś przed nim; ja z burzą złych przeczuć, z niewiarą w to, aby miłość nasza mogła przejść spokojnie, jak sielanka Zosi i Tadeusza.

Cmentarz i żałoba majaczyły mi tego wieczora przed oczami, gdy kładłam się do snu. Zamiast płakać z radości, z nadmiaru szczęścia, które mrugało na mnie barwą złota i tęczy, — ja płakałam ze smutku... Grobowa płyta cisnęła mi piersi: nie miałam odwagi i siły zrzucić jéj z siebie...

Pół roku minęło od tego czasu. Edward pogodném swojém usposobieniem umiał oddziałać na mnie zbawiennie. Ciemne myśli pierzchły. Dobrze mi. Jestem szczęśliwa. Przyszłość rysuje się przedemną złotą wstęgą rozkoszy. I tylko jedna trwoga dręczy mię: aby ponure moje urojenia nie wróciły kiedy znowu. Dziś zdobyłam władzę nad niemi i widzę, gdzie rzeczywistość. Jeżeli ulegnę im z czasem i one same staną się dla mnie rzeczywistością, — szczęście nasze zatruje chimera...

Obecnie miewam jeszcze niekiedy chwile strasznych lęków i niepokoju: czasami, gdy Edward spóźni się o kwandrans w oznaczonym terminie przyjścia swego, szaleję z obawy: zdaje mi się, iż spotkało go wielkie nieszczęście, że zachorował lub umarł w drodze do mnie. Słyszę wyraźnie szept żałobników, wnoszących go do bramy i szarpię na sobie ubranie z trwogi, z rozpaczy. A gdy Edward w takiéj chwili wchodzi do pokoju niespodziewanie i, stanąwszy za mną, zasłania mi oczy rękami, jak to czyni zwykle, witam go z taką szaloną radością, z płaczem i śmiechem na przemian, że on patrzy na mnie zdziwiony, nie wiedząc co się ze mną stało, przyciskając mię do serca łagodnie, jak chorą, którą trzeba uspokoić.

Za tydzień ślub nasz. Mam ogromnie wiele zajęcia. Zapomniałam ci donieść, że od pierwszéj chwili powrotu swego ze wsi jestem bardzo zapracowana, mam bowiem dwóch uczniów: Józka, który skończył już lat dziewięć i zawsze jest bóstwem rodziców, oraz Władka, syna kucharki naszéj: obudwóch ich przygotowuję do szkół. Lekcye będę prowadziła i nadal po ślubie. Edward, wiedząc, iż należę do rzędu jednostek, które próżniactwo i nuda wpędza w chorobę, nie tylko nie zniechęca mnie w postanowieniu mojém, lecz, przeciwnie, utrwala mnie w niém.

Żegnam cię droga moja! Następny list mój odbierzesz jako od mężatki, jeżeli... coś nie stanie na przeszkodzie projektom naszym...

Widzisz, jak jestem zabobonna: nawet w myśli nie powiem sama przed sobą nigdy: „tak będzie“ w obawie, iż to, czego pragnę, pierzchnie przedemną, jak złudzenie...

Czekam wieści od ciebie o karyerze twéj artystycznéj. Dziś nie zazdroszczę ci niczego: jestem... jest mi bardzo dobrze.

Twoja *Hela*.

Helena do Stasi.

Dwa lata nie mając wieści od ciebie, nie pisałam. Przykro mi było, iż życzenia swoje w dzień mego ślubu przesłałaś jako suchy telegram tylko. Miałam pewne prawo oczekiwać z twéj strony kilku ciepłych, serdecznych słów. Przebaczałam ci niejednokrotnie dłuższe milczenie, przebaczam je i teraz, jakkolwiek ze stłumionym żalem w sercu... Karyera artystyczna pochłania cię zapewne całkowicie, skoro nic już od siebie nie możesz dać przyjaciołom swoim. Próżno w pismach szukam wzmianki o tobie: próżno wyczekuję echa twéj sławy, które powinno dotrzéć do nas... Nie wiem dobrze gdzie jesteś? Piszę na ręce ojca twego, który, przypuszczam, list niniejszy ci prześle.

Ja od dwóch lat tedy jestem mężatką. Edward nazywa mię skarbem swoim, gołąbką, koteczką i codzień w innéj litanii odmienia moje imię. Pieści mię przytém, znosi tysiące książek i łakoci dla osłodzenia chwil, które spędzam bez niego.

Nie przeczuwałam nigdy, że stosunek dwóch istot, obcych dla siebie nazwiskiem i pochodzeniem, a jednak tak ściśle związanych ze sobą wolą przeznaczenia, które je odszukało i połączyło jak dwie połowy rozkrajanego i rzuconego na dwa krańce świata jabłka, że stosunek ich, to wzajemne poznawanie się i odnajdywanie w sobie, że tak powiem, instynktu deterministycznego, który jedno pchał w objęcia drugiego, — tyle może miéć uroku!

Dwa ubiegłe lata minęły mi, jak jedna doba, któréj nie zdołałam nawet zapamiętać dobrze: tak godziny jéj były szybkie i przelotne, a tak wszystkie podobne do siebie wrażeniem słodyczy, jakie zostawiały...

Dziś — oswoiłam się już z położeniem swojém: dziś — w téj chwili właśnie — po raz pierwszy od lat dwóch nudzę się trochę, troszeczkę i może dlatego tak łatwo przebaczyłam urazę swoją, pisząc do ciebie...

Józiek i Władek od kilku dni chodzą do szkół, trzy godziny zatém, które im poświęcałam dotąd, mam wolne i nie wiem, co zrobić z niemi?..

Gospodarstwo na nas dwoje zabiéra mi godzinę czasu dziennie zaledwie. Edward przychodzi z kancelaryi swojéj o zmierzchu dopiéro: nie liczę kilku chwil południa, kiedy wpada na śniadanie, które jé stojący prawie... Czytanie książek przez dzień cały nuży; zresztą, jest to tylko rozrywka, a ja lubię widziéć cel praktyczny i produkcyjny zajęć swoich.

Dopóki nie znajdę znowu sympatycznego jakiego dziecka, które miałabym chęć uczyć, dopóty, pomimo miłości Edwarda, godziny będą wlokły się dla mnie jak wieczność.

Gdyby tak dobre losy zesłały mi chłopca o gęstéj, czarnéj czuprynce i ciemnych oczach Edwarda, o małym zadartym nosku i różowych usteczkach, jaka szczęśliwa byłabym wówczas!

Zazdroszczę sąsiadce mojéj, którą dziesięć razy na noc budzi kontraltowy głos malca, domagającego się jéj piersi. Wstawałabym do niego sama, znosiłabym najcięższe niewygody, aby tylko módz nazwać go moim własnym drogim skarbem.

Edward śmieje się ze mnie i powiada, że nie rozumié pragnień moich, że, co do niego, ja wystarczam mu w zupełności, że nie marzy i marzyć nie może o inném uczuciu nad to, jakie ma dla mnie: wypełnia mu ono serce i życie. Z tém wszystkiém, ponieważ ja tego sobie życzę, i on nie miałby nic przeciw temu, aby mieszkanie nasze ozdobiła mała, pisząca, jak kociak, laleczka, którą kołysałoby się i cisnęło do piersi dzień cały...

Dopisek późniejszy.

Listu, zaczętego przed rokiem, nie wysłałam, sama nie wiem, dlaczego? Dziś, przerzucając teczkę z papiérami, znalazłam go, odczytałam i nie umiem ci powiedziéć, jakie wrażenie zrobił na mnie...

To, czego tak gorąco pragnęłam, spełnione i jak wiernie, jak dokładnie!

Od trzech miesięcy mam syna z czarną stojącą czupryną na główce, z ciemnemi oczyma Edwarda, z zadartym, małym noskiem i różowemi, jak dwa płatki róży, usteczkami. Płacząc nizkim, dziecinnym kontraltem, prosi mię o pierś, którą mu daję.

Jaka to rozkosz karmić saméj! Za nic szczęścia tego nie ustąpiłabym nikomu...

Przyszedł na świat ze skulonemi piąstkami, które przyciskał do czoła, jak gdyby skarżąc się na kłopoty i utrapienia życia...

Po tygodniu już stracił czerwono-siny koloryt ciałka, który u innych dzieci trwa tak długo; po miesiącu zaczął śmiać się i rozglądać, jak gdyby wszystko dokoła siebie rozumiał. Dreszcz upojenia przechodzi mię, ilekroć, zawieszony u piersi mojéj, łaskocze mię różowemi, aksamitnemi swemi paluszkami;

Edward zazdrosny o miłość moją dla niego, jakkolwiek kocha go bardzo.

Czy to nie dziwne, że przeznaczenie tak wiernie, tak dokładnie spełniło me życzenia?

Zaczynam się obawiać: zanadto, stanowczo zanadto, jestem szczęśliwa!..

Na pogodném niebie chmury gromadzą się nieraz długo, niepostrzeżone w perłowym swym blasku, dopóki naraz nie zbiją się w ciemną, ołowianą płatę, ziejącą zniszczeniem...

Oby nie było tak ze mną! Trwoga, jakiéj doznaję w téj chwili, zabija mię!..

Czy wychowam Jerzyka? Czy wypielęgnuję tę wątłą egzotyczną roślinkę?

Pełne uszy mam opowiadań znajomych moich o kłopotach, zmartwieniach i przejściach, jakie miały z dziećmi. Jednéj z nich trzyletnia córeczka zmarła na ospę, drugiéj — dziesięcioletni chłopiec na tyfus, trzeciéj — dwumiesięczne niemowlę na krup... Ostrzegają mię coraz to przed jakąś inną groźną a nieuchronną chorobą, która, jeżeli nie zabija odrazu, to zostawia po sobie kalectwo na całe życie...

Boże, czy ja go uchronię od tego wszystkiego.!.

Helena do Stasi po dwóch latach.

Dlaczego list ten zaczynam pod twém wezwaniem? — Wiem, że go nie poślę, że po napisaniu podrę jego kartki lub spalę je nad płomieniem świécy...

Tego, co boli naprawdę, nie dzieli się z nikim, to zostaje przy nas, jak rana, której najzręczniejszy chirurg nie jest w stanie zagoić...

Długi czas przewidywałam nieszczęścia i przykrości, które zamącą mi życie. Aż oto przyszedł smutek, nie nagły, z burzą ciosów, odbierających rozum, lecz cichy, powolny, stopniowy... Rósł on w mém sercu, jak wyrasta z ziemi kiełkująca słabym pędem roślina, dopóki nie owładnął duszą moją i zmysłami.

Taki ciężar przygniata w tej chwili piersi moje, że oddychać nie mogę, a pióro kreśli niewyraźne zygzaki, jak w ręku pijaka.

Dziś nie po raz pierwszy powiedziałam sama przed sobą głośno, wyraźnie to, czego przed rokiem przypuszczać byłabym się bała: Edward nie kocha mnie już. Miłość jego uleciała, jak motyl, nasycony lepem róży. Wpadł w życie hulaszcze, które go pochłania. Jestem mu obojętna: nie zna mnie; nie jest w stanie zrozumiéć moich cierpień; a ja... ja gardzę nim...

Nieszczęście przyszło ze strony, z któréj nie oczekiwałam go nigdy; przyszło, gdyż przyjść musiało, gdyż życie nie może być jedném pasmem rozkoszy...

W trwodze mojéj o Jerzyka może zanudzałam Edwarda niekiedy smutnemi memi przeczuciami co do dziecka; może niepotrzebnie odzywałam się nieraz, gdy on, zmęczony i skołatany pracą, wracał do domu, aby odpocząć:

— Zobaczysz, on nam się nie wychowa...

I płakałam przy tém, jak gdyby coś rzeczywiście groziło malcowi, który wyrastał na zdrowego, dobrze wyglądającego chłopca, budzącego zazdrość w innych matkach...

Edward uspokajał mię. Tuląc głowę do moich piersi, mówił łagodnie:

— Jesteś dziecinna: kto słyszał wmawiać w siebie cierpienia bez przyczyny? Tyle dzieci wychowuje się na świecie bez takiéj drobiazgowéj opieki, jaką ma Jerzy: dlaczegóżby z nim właśnie miało być inaczéj?

Któregoś dnia jednakże, zniecierpliwiony mojemi wróżbami, nazwał je „krakaniem kruka na dyabła, którego nie widzi“ i wzruszając ramionami, zawołał podniesionym głosem:

— Zaczynasz być nudna w końcu z wieczném swojém przewidywaniem złego. Dlaczego brać życie nie takiém, jakiém ono jest w rzeczywistości, lecz wymyślać sobie sztuczne udręczenia i gnębić niemi siebie oraz innych?..

Może był tego dnia bardziéj zmęczony, niż zwykle; miał przytém w biurze podobno przykre przejście z jednym z pomocników, który nie spełnił danego mu zlecenia; dosyć, że, trzasnąwszy drzwiami z całéj siły, zamknął się w swoim pokoju na cały wieczór.

Czułam już wtedy, że szczęście moje stracone na zawsze...

Od dnia ślubu było to pierwsze i prawdziwe nieporozumienie między nami. Edward, którego głos mój drażnił widocznie, nie wyszedł tego wieczora do mnie ani na chwilę. Herbatę kazał podać sobie w swoim pokoju: tam też przespał noc całą.

Nazajutrz rano, obudziwszy się w lepszym nastroju umysłu, chcąc zapewne w żart obrócić przeprawę dnia poprzedniego, przystąpił do mnie z Jerzykiem na ręku i rzekł, uśmiéchając się:

— Syn prosi matkę za ojca o przebaczenie mu kaprysów dnia wczorajszego, które nie powtórzą się już nigdy...

W milczeniu wyciągnęłam rękę do niego; w milczeniu podałam mu czoło do pocałownnia. Czułam jednak, iż usta moje i oczy mówiły to, co myślało serce:

— Przebaczyć mogę, lecz zapomnieć — nigdy...

— Chodź ze mną do teatru dziś wieczorem — rzekł Edward tego samego dnia przy obiedzie. — Dają po raz trzeci operę, któréj byłaś

ciekawa; tenor włoch, cieszący się wielkiém powodzeniem w Medyolanie, ma śpiéwać tytułową rolę...

Spuściłam oczy przed spojrzeniem jego, które byłoby mnie może ułagodziło.

— Idź sam, jeżeli masz gwałtowną chęć spędzenia dzisiejszego wieczoru w teatrze: ja zostanę w domu przy dziecku, które wymaga stałéj mojéj i troskliwéj opieki — odrzekłam zbyt cierpkim może, krótkim i suchym tonem głosu; zanadto jednak przykre wrażenie pozostało mi z dnia poprzedniego, abym mogła uspokoić się szybko, a témbardziéj — aby tenor włoski mógł zatrzéć troskę moją i kiełkujące cierpienie.

Edward tym razem wstał od stołu zniecierpliwiony i wzburzony silnie. On, taki łagodny zwykle, odsunął krzesło z hałasem i nerwowym krokiem, ze zsuniętém nad brwiami czołem zaczął chodzić po pokoju. Chwilami przystawał, jak gdyby chcąc coś powiedzieć: ilekroć wszakże spojrzał na mnie, zaciskał usta i przygryzał wargi. Gniéwał go może wyraz niemćj rezygnacyi, wyryty na méj twarzy, nie byłam w stanie jednak przemódz się i okazać coś innego nadto, co czułam w téj chwili.

Jerzyk z kolan niańki wyciągnął ręce do ojca: ucałował go machinalnie i wybiegł z pokoju, nie spojrzawszy już nawet w moją stronę.

— Wrócę późnym wieczorem dopiéro: powiedz pani, żeby na mnie nie czekała z herbatą — rzekł do służącéj, na którą zadzwonił, aby podała mu laskę, kapelusz i palto.

Zatrzasnął drzwi przedpokoju za sobą, a w sercu mojém coś jęknęło w téj chwili: miałam ochotę wybiedz za nim, powiedzieć mu:

— Czekaj, pójdę z tobą!..

Zostałam jednak na miejscu. Ból niepokojący, jak kłucie drobnych szpilek, ścisnął me piersi.

— Ha, trudno — powiedziałam sobie — muszę cierpiéć, skazaną jestem na cierpienia, jak każdy człowiek...

Teraz dopiéro życie roztoczyło się przedemną tak, jak je pojmowałam zawsze: we łzach i smutku. Dotąd — śniłam sen szczęśliwy, który nie mógł trwać wiecznie...

Od tego dnia rozpoczął się między mną a Edwardem szereg drobnych a bolących, jak nieszczęście, nieporozumień. Wywoływało je niekiedy jedno słowo, jeden giest, jedno spojrzenie, nieopatrznie przezemnie lub przez niego rzucone, a zawsze podejrzliwie i z wzajemném uprzedzeniem przez obie strony tłómaczone.

Ilekroć odtąd Edward proponował mi, abym towarzyszyła mu do teatru, na koncert lub wizytę, za każdym razem odpowiadałam:

— Idź sam: ja zostanę przy dziecku... Czułam przytém, iż oczy moje dodawały to, czego nie domówiły usta:

— Wiem, że zabawisz się lepiéj bezemnie. Wiem, że jestem teraz dla ciebie ciężarem, który dźwigasz przez poczucie obowiązku jedynie. Psuję twoją wesołość, wolę zostać...

Od roku Edward bywa sam wszędzie. Jeżeli którego dnia przypadkiem pozostaje w domu, wieczór schodzi nam dziwnie jednostajnie, długo i nudno. Jerzyka układam do snu przed dziewiątą, po herbacie zatém spędzamy parę godzin sam na sam w milczeniu i zakłopotaniu, jak gdyby nic już nie łączyło nas ze sobą... Jeżeli on pyta mię o co, odpowiadam mono-sylabami; jeżeli wyciąga do mnie ręce, aby uścisnąć lub pocałować, nie usuwam mu się, lecz pieszczotą nie odpowiadam na pieszczotę.

Wiem dobrze, iż czułość jego teraz — zdawkowa moneta, która przeszłości nie wskrzesi...

Wieczór schodzi nam na milczącém przeglądaniu pism lub czytaniu książek. Edward wstaje zwykle od stołu pierwszy, ziewając, i albo wybiega jeszcze na miasto, aby wrócić w nocy dopiéro, albo téż zamyka się w swoim pokoju, zkąd dolatuje głos szybkich, równomiernych jego kroków.

Przechadza się godzinami całemi: niekiedy przystaje u drzwi moich, a mnie — sama nie wiem czemu — serce bije wówczas, jak młotem.

Cofa się najczęściéj i chodzi znowu długo w nocy, a ja — płaczę i zdaje mi się nieraz, że piersi pękną mi z bólu.

Parę miesięcy temu wszedł do mnie. Siedziałam nad robotą sama. Jerzyk spał już od godziny. Czerwony odblask lampy, przysłoniętéj abażurem, padał krwawą smugą na palce moje i na fałdy sukienki, którą szyłam dla dziecka.

Wszyscy mówili mi od pewnego czasu, żem zmizerniała i zeszczuplała bardzo. Sama przeraziłam się kiedyś, spojrzawszy na siebie w lustrze uważniéj. Oczy moje wpadły głęboko: podkrążyły je sine, a raczéj prawie czarne obwódki. Rumieńce zniknęły z policzków moich zupełnie. Pionowa zmarszczka, któréj dawniéj nie miałam, wryła się w czoło głęboko.

Edward, usiadłszy przy mnie, objął mię w pół rękoma i przycisnął do swych piersi.

Czułam, iż krew zaléwa mi czoło w téj chwili.

— Co tobie? — spytał miękkim, łagodnym głosem. — Jesteś

chora od pewnego czasu albo też masz wielki jakiś żal do mnie. — Powiédz, powiédz wszystko: nie jesteśmy dziećmi; przyrzekliśmy sobie szczerość wzajemną...

Miałam ochotę zarzucić mu obie ręce na szyję i wyszeptać drżącemi ustami:

— Sądziłam, że mnie już nie kochasz, że poemat uczuć między mną a tobą skończony na zawsze, że nie odzyskam ciebie nigdy... Jeżeli tak nie jest, będę napowrót spokojna i szczęśliwa...

Jakiś głos jednak ostry i przekorny szepnął wewnątrz mnie:

— Nie mów tego; on gra komedyę przed tobą!..

— Cierpienie moje nie skończy się tak prędko i skończyć się nie może. To, co było mi drogie, straciłam na zawsze bez szans powetowania straty kiedykolwiek. Życie jest smutne: rodzimy się po to, aby dławił nas ból wieczny — odparłam krótko, sucho, nie patrząc na Edwarda.

W oczach moich mignął w téj chwili cały szereg żałobnych obrazów, któremi przywykłam karmić swój umysł.

Zapłakałam. Życie wydało mi się jednym wielkim grobowcem, który pochłania i czarną ziemią przysypuje nietylko drogie sercu istoty, lecz także nadzieje, uczucia i skarby marzeń naszych. Czułam się nieszczęśliwą, osamotnioną, nie rozumianą przez nikogo.

— Czy to ostatnie twoje słowa? — spytał Edward, zsuwając głowę moją ze swych piersi powoli.

Zaczęłam mówić o cierpieniach swoich. Miałam ochotę mówić długo, wyskarżyć się i wyżalić na wszystkie bóle, na żałobę zawiedzionego serca. Lubowałam się tym wielkim smutkiem, który napełniał mą duszę.

Edward nie okazywał skłonności wysłuchania rozprawy mojéj na ten temat.

— Jeżeli zarzucisz mi coś pozytywnego, faktyczne jakieś wykroczenie przeciw tobie — rzekł stanowczym, lecz cokolwiek zniecierpliwionym głosem — w takim razie podejmę wątek rozmowy. Będziemy dysputowali. Potępię lub obronię siebie. Skargi twoje jednak na cierpienie, którego nie doznajesz, gdyż nie masz powodu doznawania go, wydają mi się sentymentalném, na ton minorowy nastrojoném zawodzeniem Aldony... Nie jesteś osadzona w pustéj wieży; życie uśmiécha się do ciebie; nie powinnaś malować na czarno tego, co ci ono w jasnych daje barwach. Małżeństwo, jak każdy związek dwóch lub kilku osób, jest twardą szkołą bytu. Bez miłości, dobréj woli i rozsądku stron obudwu nie ma zgodnego pożycia. Drobne sprzeczki powinny ulegać zapomnieniu natychmiast po ich wybuchu,

jak płomień zapałki: inaczéj — tworzy się cała przepaść żalów, przedawnionych, a zatem — już nie do rozstrzygnięcia, gdyż zanadto przez cały czas swego trwania jątrzyły duszę. — Czy czujesz w sobie, odrobinę téj dobréj woli i trochę uczucia dla mnie, aby zatrzéć w umyśle ślady dawnych nieporozumień i nie dopuścić do nowych?

Ująwszy obie moje ręce, spojrzał mi w oczy badawczo.

I znowu miałam ochotę objąć go silnym uściskiem; całując usta jego, chciałam zawołać:

— Kocham ciebie dziś tak samo, jak rok i dwa lata temu; nie przestanę kochać cię nigdy...

Znowu jednak ten sam głos uparty, buntowniczy, szorstki szepnął mi wprost do ucha:

— Nie mów tego...

— Czas okaże, czy pożycie nasze w dalszym ciągu zmienić się może na lepsze? Co do mnie. — Mam dobre chęci, to jednak nie wystarcza: pobudki z zewnątrz muszą działać wespół z niemi — odpowiedziałam chłodno, sztywno, sucho, nie usuwając rąk swoich z rąk Edwarda, lecz nie zdradzając ciepłym, serdecznym uściskiem, że dobrze mi, gdy czuję tętno krwi jego w swéj dłoni.

— A zatém — kiedy nie masz nic więcéj do powiedzenia, rozmowę naszą na temat, który sam obrałem, uważam za ostatnią. Sądziłem, iż zachowasz się względem mnie inaczéj, że okażesz mi choć odrobinę uczucia... Jeżeli miłość dla mnie wygasła w twém sercu zupełnie, w takim razie całe lata traktatów i porozumiewań nie doprowadzą do niczego. Ostrzegam cię tylko przed jedném: nie stwarzaj sobie dobrowolnych, urojonych smutków; to gra niebezpieczna...

Spojrzał na mnie raz jeszcze badawczo... Głowę miałam spuszczoną. Na końcach rzęs moich drgały łzy. Przygryzłam wargi, aby stłumić spazmatyczne łkanie, które rozrywało mi piersi.

Edward stał chwilę, czekając sama nie wiem, na co? — Może sądził, iż powiem coś jeszcze do niego lub zwrócę się ku niemu z pieszczotą?

Palce moje, drżąc, ujęły rzuconą przed chwilą na stół robotę. Szyłam, płacząc. Czerwone błyski światła ześlizgiwały się po palcach moich, jak smugi krwi.

Odwróciwszy się szybko, Edward wyszedł. Nie upłynął kwandrans, gdy głośno z hałasem zatrzasnął drzwi przedpokoju za sobą.

Słyszałam kroki jego w bramie. Słyszałam je a raczéj goniłam wyobraźnią, gdy biegł wzdłuż asfaltowego chodnika po białéj, szronem przyprószonéj ulicy.

Serce moje ścisnął ból gwałtowny. Wstałam. Z odkrytą gło-

wą, w cienkich pantofelkach, w lekkim flanelowym szlafroczku, jaki miałam na sobie, chciałam wybiedz, dogonić go, zawrócić.

Służąca zatrzymała mię w przedpokoju.

— Ja pójdę po pana — rzekła, śpiesząc do drzwi.

— Zostań! — jęknęłam głucho. W piersiach moich wezbrał cały potok żalu i zrozpaczenia.

Padłam na kanapę w ciemnym pokoju Edwarda i płakałam.

Jerzyka bezemnie tego dnia ułożono do snu. Nie wiedziałam nawet, kiedy niańka przyniosła go do mnie, aby na dobranoc ucałował moje ręce.

Edward tym razem całą noc spędził po za domem. Gdy nazajutrz rano, wstydząc się służby, sama otworzyłam mu drzwi, aby wpuścić go do mieszkania, spostrzegłam, jak zataczał się i nie mógł trafić do swego pokoju. Wzrok miał błędny, wyraz twarzy pełen ogłupienia, oddychał przykrym, dławiącym oddechem człowieka, który pił noc całą.

Ze wstrętem patrzyłam nań, gdy chwiejnym krokiem, zginając nogi w kolanach, minął próg przedpokoju i całym ciężarem bezwładnego ciała padł na kanapę, aby zasnąć po chwili snem pijaka z dławiącém rzężeniem w gardle.

— Nie cierpię, nienawidzę ciebie: napełniasz mię ochydą i wstrętem — myślałam, krzątając się nazajutrz koło ciepłéj kąpieli dla niego.

On patrzył na mnie błagalnie.

— To się nie powtórzy — rzekł w końcu, całując moje ręce. Głos jego brzmiał pokorą winowajcy, błagającego o przebaczenie.

— To się powtórzy i powtarzać będzie coraz częściéj — odparłam, zaciskając wargi. — Kto raz wszedł na tę drogę, nie zejdzie z niéj prędko...

Tego dnia Edward został w domu, pokorny, onieśmielony.

Nie mówiliśmy nic ze sobą. Po herbacie zaraz kazałam rozebrać mu łóżko.

— Jesteś zmęczony zapewne po wczorajszym dniu i pragniesz położyć się wcześniéj — rzekłam sucho.

Edward podał mi czoło do pocałowania. Dotknęłam go zlekka chłodnemi wargami. Chciałam zdobyć się na serdeczniejszą pieszczotę, nie mogłam jednak: głos wewnętrzny mówił mi:

— Struna, raz pęknięta, nie da nawiązać się powtórnie: to, co było, nie wróci już nigdy...

Edward wpadł w wir hulaszczy, który teraz pochłonął go całkowicie. Jeżeli którego wieczora, zmęczony kilkoma dłuższemi noc-

nemi siestami, chce zostać w domu dla odpoczynku, — natychmiast listy, bileciki, natrętni posłańcy kolegów i przyjaciół, którzy przywykli grywać z nimi w karty, pić i bawić się codziennie, wyciągają go na miasto.

Nie rozumiem, jak życie takie nie znudzi go w końcu. Zmienił się teraz do niepoznania. Wesoły dawniéj, swobodny, spochmurniał. Milczy godzinami całemi, a, jeżeli ktoś zagadnie go o przyczynę tego milczenia, wpada w złość, graniczącą z furyą. Ściągła jego twarz nabrzmiewa z dniem każdym, przybierając niezdrową limfatyczną cerę człowieka, który noce całe trawi przy grze i kieliszku. Powieki czerwienią się, nabrzękłe. Na policzki codzień nad wieczorem występują gorączkowe wypieki. Zaczyna kaszlać, a nie zwraca na siebie uwagi. Zimą wychodzi w jesiennem, lekko podwatowanem palcie. Z biura, często nie zajrzawszy nawet na chwilę do domu, biegnie na miasto, aby ułożyć wraz z kolegami program wieczornych rozrywek.

Jeżeli który z dawnych jego przyjaciół zwraca mu uwagę, mówiąc: „szanuj się!“ — macha ręką niecierpliwie, śmieje się szyderczo, ironicznie i hula w dalszym ciągu.

Co to wszystko znaczy? — Nie rozumiem zupełnie. Edward stał się dla mnie obcym człowiekiem, z którym łączy nas dziś tylko dziecko, wspólna własność nasza, któréj ani on ani ja wyrzec się nie chcemy... Niekiedy, patrząc na niego w chwili, w któréj on spojrzeń moich dostrzedz nie może, pytam sama siebie:

— Ktoś ty? Jakim sposobem spotkałam ciebie na drodze swego życia?

Kontury jego twarzy rysują się przed wzrokiem moim jakoś dziwnie, nie te, jakie niegdyś kochałam, nie te, jakie nosiłam w sercu z pieszczotą...

Dziś — taką wzgardę czuję dla niego, że imię jego brzmi w moich uszach, jak zgrzyt fałszywego akordu. Dziś — chciałabym znaleźć tylko jedno, dwa słowa, któremi bym tę wielką wzgardę swoją cisnąć mu mogła w oczy... W stanie zbydlęcenia, w jakim żyje obecnie, nie rozumié pocisku moich spojrzeń, szyderczego drżenia warg, jakiemi witam go, gdy z rana, po hulaszczéj nocy, nabrzmiały, z czerwonemi powiekami, wchodzi do pokoju dziecka, aby popatrzéć na nie zdaleka. — Nie całuje go, gdyż nie śmié zatrutym swym oddechem kalać ust i czółka jego.

Niekiedy pytam siebie: może zawiniłam względem niego, nie usiłując sprowadzić go z drogi, na którą wszedł tak szybko, z takiém zapomnieniem obowiązków swoich?..

Co miałam robić? Jak postępować? Cierpiałam i cierpię w mil-

czeniu. Szczęście moje nie mogło trwać wiecznie. Los srogą pokutę nakłada na tych, co przeżyli kilka dni słonecznych...

Dopisek w pół roku później.

Edward od dziesięciu dni kaszle nocami całemi: kaszel ten rozsadza mi głowę...

Kikakrotnie z lekarstwem w ręku podchodziłam do drzwi jego pokoju, zawsze jednak stawałam przed progiem, jak wryta, nie mając odwagi postąpić dwóch kroków naprzód. Co może obchodzić mię dziś ten człowiek? Jego ból fizyczny nie jest moim bólem; jego cierpienia nie ranią moich piersi: pokutuje za życie, jakie prowadził, za skłonności, które pchały go ku złemu...

Za każdym razem wracałam do siebie, nie dotknąwszy nawet ręką klamki drzwi jego. Wciskałam głowę w poduszki, aby nie słyszéć kaszlu, który kaléczył uszy moje, jak suwanie żelaza po szkle.

Dziś kaszel ten trwał dłużéj i uparciéj niż zwykle. Stałam pół godziny, może dłużéj pod drzwiami pokoju Edwarda ze świécą w ręku i kilku kroplami opium na łyżeczce, gdy w tém kaszel przeszedł w ciche lecz męczące krztuszenie, które przerwał nagle okrzyk „wody!..“ wyrzucony matowém brzmieniem głosu z zadławionéj krtani.

Nie wahając się dłużéj, pchnęłam drzwi obiema rękami i wpadłam do pokoju, jak szalona.

Edward leżał na kanapie z głową, wciśniętą w poduszki. Z ust jego sączył się strumień krwi. Wzrokiem, pełnym trwogi, wzywał ratunku.

Rzuciłam się ku niemu i twarzą swoją zasłoniłam jego usta, aby zatamować krew, która kilkoma ciepłymi kroplami spłynęła po szyi mojéj.

Odtrącił mię, poruszeniem ust wzywając lekarza.

Lekarz przyszedł i po kwadransie pracy przerwał krwotok.

— Mąż pani nie musiał prowadzić regularnego życia — rzekł do mnie, zapisując lekarstwo. — Tego rodzaju organizmy brak systemu i ciągłego baczenia na siebie niszczy szybko...

Zalecił jaknajdłuższy wypoczynek w zupełnéj ciszy i spokoju. Na zapytanie moje, czy polepszenie nastąpić może prędko, odpowiedział:

— Przewidywania lekarzy bywają niekiedy w sprzeczności z prawami zdrowéj, silnéj, samouzdrawiającéj się natury ludzkiéj: pragnę gorąco, aby tym razem ona zwyciężyła... Cisza, spokój — dodał, wychodząc — to najkonieczniejsze, niezbędne warunki lecznicze w danym wypadku...

Dopisek po dwóch dniach.

Dziś i wczoraj krwotok nie powtórzył się. Dziś Edward wstał z łóżka i — przy pomocy mojéj — osłabiony bardzo, przeszedł kilka razy przez pokój. Mówi, iż dziwną zmianę czuje w całéj swéj istocie: siły jego opadają, umysł opanowywa wielkie, przygniatające zwątpienie, i jednocześnie coś rwie się w nim do życia. Głowa jego opada bezwładnie na piersi, lecz — wysiłkiem woli — trzymając się sztywno, powtarza co chwila:

— Lepiéj mi, daleko lepiéj dziś aniżeli wczoraj...

Ja mówię za nim:

— Lepiéj ci, sama widzę, że ci lepiéj... Wzrok mój ślizga się po zmienionéj jego twarzy, po wydłużonych, wklęsłych policzkach i podkrążonych oczach, po zapadniętych skroniach i osiwiałych nagle, przez jedną noc, włosach, jak po obrazie, który ma zniknąć za chwilę, aby odtworzyć się w ciepłym, pełnym blasku kolorycie.

Nie wierzę, aby Edward miał być chorym na prawdę.

Uczucie, które — sądziłam — zamarło w sercu mém zupełnie, dziś odzywa się z taką siłą, iż życie bez niego wydaje mi się cmentarzem, grobem.

Całując ręce jego w chwilach, gdy śpi i pocałunków tych nie czuje, mówię sobie:

— On wyzdrowieje niedługo, za dni kilka: rozpoczniemy wtedy nowe życie. Wybaczywszy sobie wzajemne żale nasze, będziemy unikali dalszych nieporozumień; pokochamy się na nowo i musimy, musimy być nadal szczęśliwi!..

Dziwnie: teraz, kiedy choroba Edwarda mogłaby rzucić na wzrok mój widmo żałoby, ja wyobraźnią gonię tylko obrazy szczęścia...

W lecie wyjedziemy na wieś. Jerzyk będzie rozweselał ojca rozkosznėm swojem szczebiotaniem. Weźmiemy dużo książek: ja będę czytywała głośno Edwardowi; nie dopuszczę do tego, aby miał tęsknić za miastem...

Gwałtowne ataki kaszlu Edwarda przechodzą chwilami w męczące krztuszenie i pochrząkiwanie bez przerwy. Głos jego nabrał matowego brzmienia. Mówi cicho, powoli, z tym krótkim, przerywanym oddechem, który zdradza silne osłabienie.

Niańka Jerzyka odezwała się do niego wczoraj.

— Ojciec twój nie pożyje: zostaniesz sierotą...

Mnie ogarnęła pasya, gdy Jerzyk z płaczem wpadł do mnie, powtarzając mi te słowa. Uderzyłam w ramię bezczelną niańkę i kazałam jéj w téj chwili opuścić służbę.

Nieznośni, niegodziwi ludzie! Kraczą mi nad głową, jak wrony, że czeka mię nieszczęście, kiedy ja w to nie wierzę...

Dopisek po tygodniu.

A jednak — widzę sama, że siły Edwarda opadają z dniem każdym, że z każdym dniem, z każdą niemal godziną chudnie, mizernieje: ciało jego zanika, cera twarzy nabiéra przejrzystości opłatka; oczy tylko świécą ogniem, który mię przeraża...

W trzy dni po pierwszym krwotoku nastąpił drugi, trzeci, czwarty i cały ich szereg. Po każdym z nich biedny mój chory zapada w wielką senność. Niekiedy, walcząc z bezwładnością i ociężeniem, jakie go opanowywa, podnosi powieki i mówi do mnie:

— Nie daj mi spać: boję się tego snu, który czuję na oczach. Przeczytaj mi co albo opowiedz, — albo lepiéj jeszcze — każ przyjść Jerzykowi: niech zadeklamuje mi ten wierszyk, którego nauczyłaś go dla mnie.

Biorę książkę i czytam, pierwsze słowa moje przerywa jednak, mówiąc:

— To mię męczy; daj pokój...

Jerzyka, którego wzywam na jego żądanie, odprawia, nim stanie na progu pokoju, twierdząc, iż nie znosi obecności dwóch osób przy sobie...

Dopisek w dwa miesiące późniéj.

Dziś mamy pierwszy dzień wiosny. Lekarz na zapytanie moje, jak ocenia stan chorego i prośbę o szczerość względem mnie, odpowiedział:

— Nie ma nadziei: kwestya czasu jedynie...

Zmieniłam się w żmiję, usłyszawszy te słowa. Taki szał gniéwu, rozpaczy, żalu i oburzenia zawrzał w méj piersi, iż, wskazując drzwi lekarzowi, zawołałam głośno:

— Proszę wyjść natychmiast: nie trzeba mieć litości, aby w podobny sposób odzywać się do kobiéty, któréj całe szczęście wisi na włosku tego jednego, biednego życia...

Doktór, nie odpowiedziawszy ani słowa, skłoniwszy się sztywno, grzecznie, przygryzając wargi z lekka, wyszedł z salonu.

Jak wstrętnym wydał mi się w téj chwili ten niby protektor biednych, upośledzonych fizycznie, ten apostoł łagodnéj, tkliwéj opieki, ewangelista braterskiéj pomocy, anachoreta w kangarnowym tużurku, w brylantach na piątym palcu, z trzyrublówką, którą wcisnęłam mu w rękę za słodkie jego, rzewne ostrzeżenie!..

Zapowiedziałam służącemu, aby nie wpuścił go nazajutrz, gdyby o zwykłéj porze zadzwonił do drzwi, rozpisałam natomiast listy do innych, może bardziéj ludzkich lekarzy, do lekarzy-ludzi, liczących się z tém, co może przenieść słaba, pragnąca szczęścia swego kobiéta...

Edward musi żyć: nieprawda, aby mogło być z nim źle; on musi, musi żyć, inaczéj — ja umrę chyba z nim razem...

Los nagradza każde cierpienie najsłabszym choćby promykiem rozkoszy. Ja przez ból, jaki przeszłam, zdobyłam sobie prawo nagrody. Żebrak uliczny, upiwszy się za groszaka, który mu rzuca przechodzeń, sądzi, że jest królem i w złudzeniu swojém ma chwilę wielkiéj radości. Ja nie jestem żebrakiem: dlaczegóż miałabym wyrzec się szczęścia? Dziś — wiem już, jak je oceniać: dziś, dziś — treść życia, przedstawia mi się, jak jeden promyk słońca, za którym gonić powinien człowiek. Raz zdobywszy małą, złotą strzałkę, trzeba pielęgnować ją i pieścić, jak skarb zaklęty. Na szczęście swoje, jak na bogactwo, tytuły i honor należy pracować rozumną wolą i szczerém uczuciem: inaczéj — pierzchnie z niedołężnych rąk naszych i może nie wrócić już nigdy...

Helena do Stasi po trzech latach.

Piszę, piszę i piszę... Wiem, że listy moje nie dochodzą rąk twoich: drę je, palę lub rzucam, zmięte, na ziemię, potrzebuję pisać jednakże i dlatego codzień z myślą o tobie siadam przed biurkiem...

Wczoraj słyszałam, jak lekarz, którego, niewiadomo, po co, sprowadzają do mnie co tydzień; szepnął mamie do ucha:

— Nie zabraniajcie jéj tego: to taka nieszkodliwa mania!..

Miał z pewnością na myśli pisanie moje, przypuszcza iż potrzebuję go do szczęścia, jak pijak wódki...

Co mi to szkodzi, że posądzają mię o chorobę, manię, dziwactwo, a może nawet waryacyę? — Mnie tak dobrze, gdy piszę! Wspomnienia cisną mi się pod pióro wyraźnie, jak gdybym przeżyła je wczoraj: płaczę nad niemi i to właśnie jest mojém zbawieniem. Łzy rozsadziłyby mi piersi, gdybym nie płakała codzień...

Lekarze, ci apostołowie ewangelicznego dobra i życzliwéj pomocy, znęcają się nademną i dokuczają mi, czém mogą.

Niech dokuczają, niech nazywają „manią“ to, co jest zwykłem przyzwyczajeniem: co mi to szkodzi?

Dziś — nie mam obrońcy. Czy ja wiem, ile lat upłynęło, odkąd umarł Edward? — Szaro, zawsze szaro odtąd w mym umyśle: nie

umiem liczyć dni i nocy, a cóż dopiéro tygodni, miesięcy i lat całych!

Pamiętam dobrze jedną tylko chwilę, lecz niech nikt nie pyta, kiedy to było, jak dawno? Pytanie takie mogłoby spłoszyć wspomnienia moje, jak kroki myśliwego dziką sarnę w zwierzyńcu, a ja chcę, ja muszę pamiętać...

Edward, oddychając krótkim, szybkim oddechem suchotnika, rozmawiał ze mną cicho.

— Rok temu — mówił — gdy byłem zdrów, życie przykrzyło mi się: marzyłem o śmierci; dziś — tak się jéj boję, tak bym nie chciał umiérać.

Dwie pałające smugi wystąpiły mu na policzki; oczy jego błyszczały; głos łamał się lub przechodził w nagłe krztuszenie.

Całując jego ręce, odpowiedziałam:

— Nie myśl o takich smutnych rzeczach: za kilka tygodni wyzdrowiejesz; pojedziemy na wieś: będzie nam dobrze; zobaczysz...

Mały Jerzyk wpadł z hałasem do pokoju, skarżąc się, że bona chciała odebrać mu bacik, którym miał popędzać konia.

Chory poruszył się niespokojnie. Wargi jego zadrżały; krople potu wystąpiły na czoło: szczebiot malca zmęczył go; ręką nakazywał milczenie.

— Bądź grzeczny, pocałuj ojca i wyjdź z pokoju — rzekłam, przyprowadzając Jerzyka do fotelu, na którym siedział Edward.

Jerzyk spuścił oczy i zaczerwienił się. Bacik wypadł mu z rąk: był zawstydzony. Tak często powtarzałam mu przedtem:

— Bądź grzeczny, baw się po cichu, ojciec twój chory!.. a on teraz narobił hałasu.

Na palcach przystąpił do ojca, objął go za szyję, pocałował w rozpalone gorączką policzki i wyszedł, rzucając na mnie trwożliwe, pytające spojrzenie.

Z drugiego pokoju doleciał głos jego w chwili, gdy mówił do bony:

— Bądź grzeczna, nie hałasuj i nie kłóć się ze mną: ojczulek chory.

Usiadł następnie w kąciku i, wycinając papiérowych żołnierzy, bawił się spokojnie.

Edward tego dnia był bardziéj rozgorączkowany i niecierpliwy, niż zwykle. Z łóżka co chwila kazał przeprowadzać się na fotel, z fotelu na kanapę. Ręce jego drżały, oczy pałały dziwnym blaskiem.

— Hela! — zawołał na mnie tym matowym, bezdźwięcznym głosem, który zdradza silne osłabienie płuc, lub zanik ich zupełny.

— Hela! — powtórzył.

Przygotowywałam w téj chwili lekarstwa, przepisane przez doktora: jedno z nich miałam podać mu zaraz. Gdy podeszłam ku niemu z łyżką, pełną różowego płynu, on kiwnął ręką i rzekł złamanym szeptem:

— Nie męcz mnie; nie mam ochoty na lekarstwo: chcę pomówić z tobą; usiądź przy mnie.

Ręką wskazał na krzesło, stojące tuż przy fotelu.

Usiadłam, pełna trwogi, lekarz bowiem zalecał choremu spokój i zabraniał mu mówić, on zaś dziś od rana w dziwnie gadatliwém był usposobieniu. Ilekroć prosiłam go: „nie mów tyle!“ okazywał silne rozdraźnienie. Łagodny dotąd, spokojny w chorobie swojéj, dziś nie znosił oporu.

— Powiédz, Hela — odezwał się — dziś, gdy mówimy ze sobą może po raz ostatni, powiédz, czy nie dobrowolnie popsułaś szczęście nasze?

Osunęłam mu się do kolan, błagając:

— Edwardzie, nie mów tyle!...

On, wyprostowawszy się w fotelu, zmarszczył brwi, czoło i z wysiłkiem stanowczéj woli zawołał:

— Muszę mówić: jeżeli nie chcesz słuchać, zostaw mnie samego.

Umilkłam. Usiadłszy na krześle, oparłam głowę o poręcz fotelu i słuchałam słów jego, z których każde, ulatując, zdawało się porywać za sobą cząstkę niknącéj ludzkiéj istoty.

Edward, wpatrzony w smugę światła, która padała od strony okna na białą framugę drzwi, mówił:

— Zastanów się, czy nie dobrowolnie zniszczyłaś szczęście nasze? Czy nie ty postępowaniem swojém doprowadziłaś mię do trybu życia, który podkopał siły moje i zniszczył organizm.

Głos jego to podnosił się chwilami, przerywany gwałtownem krztuszeniem, to opadał, przechodząc w głuchy szept.

— Kochałem ciebie — ciągnął daléj — ty nie ufałaś mi; podejrzywałaś mię ciągle... Przeczuwałem myśli twoje, jakkolwiek nie wypowiadałaś mi ich... Byłem dobry dla ciebie; szukałem twego towarzystwa: ty unikałaś mnie... W spojrzeniu twém czytałem żal do mnie, w wyrazie ust twoich widziałem rezygnacyę niemego cierpienia... Ta rezygnacya, ten milczący żal do mnie wprawiały mię w szał gniewu i oburzenia. Uciekałem z domu i piłem z kolegami,

aby nie patrzéć na ciebie... Wmawiałaś w siebie cierpienia: nie miałaś dla nich racyonalnego, słusznie umotywowanego powodu. Podejrzenia, jakiemi obrzucałaś mię, trawiąc bezprzyczynowy swój smutek, byłyby się rozwiały, jak mgła w powietrzu, gdybyś chociaż raz jeden chciała pomówić ze mną szczerze, serdecznie... Przypomnij sobie, jak często chciałem zmusić do spowiedzi milczące twoje usta... Nie miałem bynajmniéj zamiaru odegrania roli rozgrzeszającego kapłana; przeciwnie, uważałem się wobec ciebie raczéj za pokutnika, który myślał:

— Musiałem ją czémś dotknąć, musiałem obrazić najdraźliwsze struny jéj uczuć...

I nic więcéj nie pragnąłem, jak tylko wiedziéć ze szczerych, otwartych twoich wyznań, czém cię dotknąłem, czém obraziłem?

Tyś milczała. Niemota twoja wobec biernéj rezygnacyi i bólu, wyrytego na twarzy twojéj, obrzydzały mi życie. Piłem, hulałem, nie szczędząc sił i zdrowia, targając je umyślnie...

Gwałtowny kaszel przerwał ostatnie jego słowa, wypowiedziane z wysiłkiem. Ruchem ręki wskazał, aby przeprowadzono go na łóżko, stojące na środku pokoju w pełnym blasku zachodzącego słońca.

Podniosłam go i, jakkolwiek opiérał się na mnie całym ciężarem bezwładnego ciała, sama, bez pomocy służącego, podprowadziłam go ku łóżku, ułożyłam głowę jego na poduszkach i okryłam go ciepłym szalem.

Wodząc pół otwartemi oczami dokoła, skinął na mnie:

— Usiądź przy mnie jaknajbliżéj! — szepnął, dotykając palcami krawędzi łóżka.

— Nie odchodź, choćbym spał—dodał—chcę być z tobą...

Godzinę przeszło siedziałam, zahaczona o krawędź łóżka. Bałam się poruszyć, aby szelestem nie zbudzić Edwarda.

Żółtawy odblask latarni, zapalonéj na ulicy, padał na woskową twarz jego. Ciszę w pokoju przerywało tylko cykanie zégara. Zresztą, znikąd nie dolatywał szmer najlżejszy.

Płakałam. W piersiach moich jęczał żal głuchy. Dotąd — jeżeli czułam się nieszczęśliwa, potępiałam los za to: teraz—Edward podsunął sumieniu mojemu straszne, pełne grozy oskarżenie:

— Tyś winna!

Zahaczona o krawędź łóżka, łkałam cicho.

Łkanie moje obudziło w końcu Edwarda. Otworzywszy oczy, słabym, złamanym głosem zażądał wina. Gdy mu je podałam, zale-

dwie dotknął kieliszka ustami, już ruchem ręki wskazał, że ma dosyć i nie chce pić więcéj, prosił natomiast, aby podnieść go cokolwiek wyżéj na poduszkach.

— Teraz dobrze — rzekł, gdy okrywszy go szalem, urządziłam mu ciepłe, wygodne i miękkie oparcie.

— Dlaczego tu tak ciemno?—spytał po chwili. — Gdy zasypiałem, świeciło jeszcze słońce.

— Już wieczór—odpowiedziałam—a dzień teraz krótki...

Kazał zapalić światło. Kiedy wniesiono lampę do pokoju, skrzywił się boleśnie: blask raził osłabione jego oczy.

— Postawcie ją daléj, jaknajdaléj, w samym rogu pokoju — powiedział szeptem.

Spełniłam natychmiast jego życzenie. Lampa, przysłonięta zielonym abażurem, rzuciła mdły światłocień na środek pokoju, na którym stało łóżko Edwarda i stolik z szeregiem lekarstw.

— Przesuńcie mię bliżéj do okna: nie mogę tak leżéć na środku pokoju, jak w trumnie... Tam, przez okno, wyjrzę przynajmniéj na ulicę...

Przy pomocy służącego przesunęłam łóżko powoli, ostrożnie, za każdém skrzypnięciem jego jednak Edward zaciskał wargi, marszczył brwi i mrużył oczy, jak gdyby uczuwał ból dotkliwy.

— Podajcie mi ręce: chcę przejść się trochę po pokoju — rzekł, skoro łóżko stanęło już pod oknem, przez które zaglądała szara noc bezksiężycowa.

Ostrożnie i trwożliwie nasunęłam szal na ramiona jego. Zgiął się i pochylił pod ciężarem miękkiéj wełny.

— Prowadźcie mię—szepnął głosem, który rwał się i łamał za każdą zgłoską.—Usiądę trochę w fotelu... tam... przy lampie.

— Dziś mi lepiéj... Czuję wracające powoli siły... Kilka dni temu ciągłą mgłę miałem na oczach... Teraz widzę dobrze... Nawet, zdaje mi się, że tu jasno, bardzo jasno... Ta lampa tak się pali, jak gdyby miała kilka płomieni... Przykręćcie ją cokolwiek i przenieście na drugi róg pokoju—ot, tak, dobrze... dobrze...

— Jak wyzdrowieję, urządzimy się zupełnie inaczéj: zmienimy przedewszystkiém mieszkanie... Tu ciasno, duszno, niewygodnie...

— Gdzie Jerzyk?... Niech przyjdzie: chcę go zobaczyć--tylko żeby nie hałasował...

Posłałam po Jerzyka. Edward posuwał się zwolna ku fotelowi, prowadzony przezemnie i przez służącego. Głos jego przycichał

stopniowo w miarę mówienia: ostatnie zdania wyszeptał niedosłyszalnie prawie, poruszeniem warg, które drżały silnie.

Naraz stanął. Nogi jego zesztywniały, ręce, któremi obejmował szyję moją, zwisły bezwładnie: całym ciężarem ciała padł na fotel, do którego dociągnęliśmy go.

Gdy Jerzyk wszedł, ojciec spojrzał na niego szklistym, przerażonym wzrokiem, w orbitach którego nie drgało już życie...

* * *

Tak dawno, tak dawno stało się to wszystko! Straciłam pojęcie czasu: może to lepiéj, a może gorzéj dla mnie; chyba gorzéj, nie mogę bowiem liczyć, ile dni przeżyłam i zdaje mi się, że przedemną jeszcze niezgłębiona otchłań życia...

Codzień od śmierci Edwarda chodzę na cmentarz. Dziś pierwszy raz spostrzegłam kilku przechodniów, których minęłam; pierwszy raz spostrzegłam, że nad głową moją świeci słońce...

Dotąd nie widziałam nic i nikogo...

Mówią o mnie, że jestem jak automat, to znaczy, że poruszam się, chodzę, mówię sztucznie. Być może. Niekiedy doznaję wrażenia, iż mózg mój, wzrok i słuch zamarły, że cokolwiek zrobię, pomyślę lub powiem, czyn mój, każde pojęcie moje, każdy wyraz stanowią echa dawniéj nabytych impulsów, działających we mnie, jak działa maszynerya zégara, który ma stanąć za chwilę.

Lekarz i rodzice nazywają to stanem „biernéj rezygnacyi“: mniejsza o nazwę; życie moje już skończone; nie ma dla mnie nadziei...

Ludzie twierdzą, iż Jerzyk, który wychowuje się i rośnie pod moim bokiem, powinien być pociechą moją: może byłby nią, gdyby nie świadomość, która jest zarazem ciężkim bólem serca...

Co ja mu dać mogę? Codzień, gdy wraca ze szkoły, całuję go w oczy i w usta na powitanie, lecz pocałunek mój chłodny, martwy, jak śmierć... Szczebiot jego razi mię, czasami nie słyszę go wcale, choć, siedząc na kolanach moich, mówi coś do mnie...

Wzrok mój lubi wpatrywać się w jeden punkt bezmyślnie: cierpię, jeżeli mi go w inną stronę zwrócić wypadnie... Mówią, że jestem automatem, więc mają słuszność. Dawne bodźce, przyzwyczajenia lat poprzednich dyktują mi nieraz czyn jakiś, jako akt ciążącego na mnie, lecz niespełnionego obowiązku, sama nie wiem, jak przychodzi do tego, że go wykonywam... Każdy ruch dowolny, każdy z konieczności, musowo wypowiedziany wyraz—dławią mię w gardle, jak nie

przełknięta kula piasku... Zamykam się nieraz na cały dzień w swoim pokoju: miałabym ochotę zasłonić okna i ściany czarną krepą, nie robię tego jednak z obawy, aby nie pomyślano, że jestem waryatką...

Dziś — pierwszy dzień wiosenny po długich słotach i szarugach zimowych ocucił mię z odrętwienia. Mijając kręte ulice cmentarza, podawałam czoło, ramiona i szyję promieniom słońca: ciepło ich rozgrzéwało zastygłą krew moją; po raz pierwszy oddawna, patrząc w niebo, doznałam wrażenia odległych, bardzo odległych wspomnień. Przyszło mi na myśl, że mogłabym pojechać do Ewy, która kocha mię zawsze, ale... to tak daleko!... Zdaje mi się, że nie dowiezionoby mnie tam! Męczy mię samo wyobrażenie takiéj wielkiéj nieskończonéj podróży, a przytém—pól, łąk i lasów bez końca...

Twarz Edwarda, zawieszona na cieniutkiéj niewidzialnéj niteczce w powietrzu, gdziekolwiek jestem, przesuwa się przedemną ze smutnym wyrazem ust i oczów, które mówią:

— Tyś winna: tyś mię zgubiła!...

Wizya ta dokucza mi dniami i nocami całemi: dziś nie miałam jéj przez chwilę, kiedy, wychodząc z cmentarza, usłyszałam wyraźnie świegot ptaków, szelest gałęzi i brzęczenie małych, jak łebki szpilek, muszek w powietrzu...

Ktoby był patrzył na mnie w téj chwili, byłby mógł przypuszczać, iż jestem blizką obłędu: czułam, że wzrok mój wyraża zdumienie, a usta poruszają się lękliwie...

Szybko zaczęłam przeciskać się przez szeregi przechodniów; hałas uliczny, którego dotąd nie słyszałam, naraz uderzył mię, jak warczenie burzy...

Wróciłam do domu zmęczona. Pisząc teraz, czuję niezręczne, koszlawe zakręty pióra: w prawą skroń ktoś, może duch jaki, wbija mi kłujące gwoździe; jednocześnie czaszka moja ciąży w tył, jak gdyby ciągnięto ją ku ziemi...

Twarz Edwarda pochyla się nademną: słyszę gorzki wyrzut i płaczę...

Oh, gdyby nie te łzy, życie byłoby ciężkie i nie do przeniesienia!

Stasia do Heleny.

Od wczoraj bawię w Warszawie. Nie przychodzę dziś do ciebie sama, gdyż wolę uprzedzić cię listownie, iż zmieniłam się bardzo, zestarzam i zbrzydłam, proszę jednak, abyś za widzeniem

nie dała mi tego poznać i unikała, o ile możności, wykrzykników w rodzaju:

— Co się z tobą stało? Jak mogłaś przyjść do podobnego stanu?...

Wybuchy współczucia dawnych moich znajomych doprowadzają mię do wściekłości. Nie chcę posprzeczać się z tobą na samym wstępie po tylu latach niewidzenia, to też — dla uniknięcia nieporozumień—uprzedzam cię z góry, iż osobą, która stawi się jutro w południe w progach twego domu, będę ja, twoja Stasia, kwalifikująca się wprawdzie z pożółkłą swoją i pomarszczoném czołem na prezesa klubu „Piękników“, lecz — z tém wszystkiém — nie rezygnująca jeszcze z rozkoszy tego świata.

Ludzie i ich losy tańczą wiecznego kontredansa: kombinacye „*pas*“ suwanych zmieniają się w miarę potrzeb symboliki, pozostaje jednak „*balancez*“, jednakowe w każdéj figurze: po tysiącznych „*changement*“ wracamy do niego; słodkie, odurzające kołysanie, mgliste spojrzenie tancerza, podniecająca rytmiką muzyka czyż nie osładzają życia.

Posłuchaj opowiadania o figurze, którą przetańczyłam, odkąd nie miałaś żadnych wieści odemnie.

Czy pamiętasz ów pierwszy mój debiut w Hamburgu, o którym pisałam ci niegdyś, iż ma nastąpić?

Dziś jeszcze, gdy pomyślę o nim, ogarnia mię płacz i śmiéch naprzemian: zgrzytam zębami, jak szalona, aby zagłuszyć wir wspomnień...

Talent, jak uznawali we mnie wszyscy znajomi, prócz proroków: Olka i Ludka, talent, pielęgnowany i ceniony przedewszystkiém przez samego mistrza Lamperti'ego, którego kasę zbogacałam czterdziestoma markami tygodniowo, — talent mój, śmiéch powiedzieć... Dziś, po ośmiu, dziesięciu czy dwunastu latach wysiłków bezowocnych (przestałam liczyć porządnie, odkąd w lustrze spostrzegłam pierwszą zmarszczkę na twarzy swojéj), dziś czuję, iż prędzéj chyba zostałam stworzoną na akrobatkę lub prima-balerinę, aniżeli na artystkę-śpiewaczkę...

Debiut mój w Rozynie zrobił zupełne *fiasco*. Trema nie pozwoliła mi zacząć na dane hasło. W przerażeniu straciłam poczucie muzykalności i słuchu, który zresztą stanowił zawsze słabą moją stronę: zaatakowawszy pierwszą nutę recitatiwa o pół tonu wyżéj, aniżeli wskazywała partycya, w niezgodzie z orkiestrą trzymałam tak głos przez wszystkie arye; wytykana, wyśmiana, uciekłam po pierwszym

akcie i, nie pożegnawszy nikogo ze znajomych, rannym pociągiem nazajutrz wyjechałam wraz z mamą do Berlina.

Ktoś inny na mojém miejscu byłby powiedział sobie:

— Basta! Artystką być nie możesz!

We mnie jednak wstąpił jakiś dyabeł: zacięłam się, przysięgłam sama przed sobą, że raczéj stracę głos, aniżeli wyrzeknę się sceny dobrowolnie. Mama musiała wracać do ojca, któremu dokuczały samotność i astma. Z ciotką, starą panną, znalezioną naprędce, zaczęłam rzucać się po świecie. Z Berlina pojechałam do Wiednia, z Wiednia do Medyolanu, Florencyi, Rzymu.

Uczyłam się wszędzie, zmieniając co kwartał szkołę i nauczyciela, aż wreszcie—utknęłam w Paryżu, skąd jakiś muzyk szarlatan po wszystkich dziennikach zagranicznych rozsyłał ogłoszenia, iż mechanicznym sposobem nastawia głosy tym nawet, co zupełnie słuchu pozbawieni.

Tutaj odżyłam. Rzuciwszy się do pracy z wściekłością gracza, który majątek cały stawia na ostatnią kartę, — doznawałam nieraz wrażenia pijaka, któremu kieliszek wódki postawiono na słupie, ostremi gwoździ najeżonym: szał żądzy rozsadzał piersi, mózg i serce moje; kaleczyłam ręce, lecz sięgałam po kieliszek...

Wychodziłam z domu na lekcyę tylko, zresztą — uczyłam się dzień cały; wieczorem czasami biegłam na najustronniejsze ulice miasta, aby zaczerpnąć odrobinę powietrza, do którego przywykły moje piersi.

Unikałam ludzi. Nie chciałam spotkać nikogo; byłabym wdziała na siebie habit i kaptur barnadynki-mniszki, aby tylko módz skryć się przed oczami przechodniów, z których każdy—przypuszczałam—jak w otwartéj karcie, czytał w twarzy mojéj wspomnienie minionych niepowodzeń.

Po całym dniu pracy miewałam nieraz jednak chwile rozkoszy: były niemi marzenia...

Kiedy zmęczona, senna, wyciągałam się na kanapie maleńkiego swego, jak schronisko liliputa, pokoju,—kiedy przymykałam ciążące, snem nabrzmiałe powieki, — słyszałam wyraźnie dokoła siebie jakieś szepty i szmery, które przechodziły nagle w jeden okrzyk brawa. Równocześnie w piersiach mych rozbrzmiewały arye, które śpiewałam, tony falcetowe, któremi czarowałam sama siebie... Zrywałam się, jak szalona: ze snu i spoczynku budziło mię widmo sławy... Za rok—burza oklasków, okrzyki uwielbień i zachwytów miały towarzyszyć mi wszędzie, dokądkolwiek byłabym się zwróciła. Widziałam się ubóstwianą, w głowie szumiał mi szmer pochwał.

Kwiaty, oklaski, hołdy, dym piżmowych kadzideł — to miało być życie moje.

Ty — z dzieckiem u piersi i mężem u boku, jęcząca zawsze na smutki życia, wydałaś mi się głupim, niedołężnym filistrem, o którego świat dba tyle, ile ja o szarą, pełznącą leniwie, wiecznie zadrzemaną glistę ziemną.

Szał opanowywał mój umysł. Czułam w piersiach coś nakształt wielkiéj kuli, która rośnie jak balon i rozsadza twardą powłokę skóry, kości bezmierném pożądaniem, zmieniając całą moją istotę w lekki biały opar, nasycony aromatem sławy... Tchu mi brakło. Otwierałam okno, wychylałam głowę na wązką, ściśniętą uliczkę, piłam powietrze i napić się nie mogłam.

Po dwóch miesiącach pobytu w Paryżu dostałam wiadomość o ciężkiéj chorobie ojca. Wróciłam do kraju, nie odwiedzając nikogo po drodze, nie pokazując się nikomu: znajomi i przyjaciele mieli ujrzéć mię dopiéro na tryumfalnym rydwanie sławy...

Ojciec chorował długo. Po nim zasłabła matka. Pielęgnowałam ich oboje, a wśród niespanych nocy przy łóżku chorych, jak Faustyna Goncourt'a wobec umierającego kochanka, myślałam o sławie, o scenie...

Dwa lata chorowali rodzice: dwa lata byłam przy nich. Opatrunki i pielęgnowanie ich przychodziło mi z łatwością. Intuicyjne pomysły moje w stosowaniu dorywczych środków wobec nagłych, nieprzewidzianych przez lekarzy ataków, zdumiewały całe gremium wielkich mistrzów, wzywanych na konsylia. Mówiono mi, iż byłam stworzoną na lekarza: ja śmiałam się z tego. Sława moja miała zaćmić sławę Patti: czém wobec niéj filisterskie kopanie się w receptach i czczych formułkach, które zbawiały jednostki, albo—gubiły je. Talent mój miał czarować tłumy, miał elektryzować je dreszczem rozkoszy, miał dawać im chwile słodkiego zapomnienia o troskach i bólach życia...

Po dwóch latach najtroskliwszych starań moich i opieki, rodzice umarli, prawie jednocześnie oboje.

Przysypałam czarną ziemią ich mogiły, narysowałam plan nagrobka, który z wiosną miał stanąć na cmentarzu i — wyruszyłam w świat z automatem moim, ciotką, starą panną, która jedno tylko zadanie miała do spełnienia: słuchać mię we wszystkiém i nie robić mi żadnych uwag...

Mój szarlatan paryski przyjął mię ostentacyjnie: pół roku pracy tylko żądał, a późniéj...

— *La voix de mademoiselle brillera comme le rayon du soleil...*

Temi słowy witał mię i żegnał codziennie.

Pół roku minęło. Wydałam dwie trzecie swego posagu, gdyż mistrz, szanujący komplementy swoje, kazał je opłacać tysiącami franków... Któregoś rana przed pójściem na ulicę Rivoli, miejsce zamieszkania mistrza, probując głosu na czczo, jak zwykle, uczułam lekkie podrażnienie w krtani i nie mogłam dobyć ani jednego tonu...

Franki moje błyszczą może do dziś dnia w sakiewce mistrza: ja—dotrzymałam danego sobie słowa: straciłam głos i to tylko zniewala mię do porzucenia marzeń o scenie...

Projekty moje obecnie następujące: ponieważ resztka posagu mego wystarcza na utrzymanie jednéj zaledwie osoby, a ja, prócz siebie, muszę mieć na myśli ciotkę-automata, którą wyrwałam ze stosunków jéj i odciągnęłam od pracy, z któréj żyła przed laty, — zatém—przyjmuję w téj chwili miejsce nauczycielki na dalekiéj północy z pensyą tysiąca rubli rocznie, którą mi zaofiarowano; ciotkę zabieram ze sobą, gdyż to wymówione. Po dwóch latach nauczycielstwa, uzupełniwszy swój kapitalik, jadę do Zurychu lub Genewy — Paryż obrzydł mi — na studya medyczne. Za lat dziesięć usłyszysz o mnie może, iż nie mam zębów, lecz—że z powodzeniem dokonałam cięcia, po którém pacyent w dwa dni umarł...

Będzie to „*balancez*“ szóstéj figury, ostatnie chyba, ale właśnie dlatego, że ostatnie, wyrzec się go nie mogę: kontredans mój nie miałby „finału“...

Jeżeli przed przyjazdem do Warszawy miewałam chwile zwątpienia i goryczy, to teraz minęły one zupełnie. Z nową otuchą i świeżemi siłami zabieram się do galopady, wielkiego „*rond*“ i „*grande promenade*“.

„*Pas*“ moje lekkie, jak dawniéj: że pożółkłam, nie martwię się: zawsze żółta cera i zmarszczki lepsze od piegów i ospy...

Mówiłam ci nieraz, że nie dam zmódz się losowi i kocham życie, gdyż... jest w niém balet...

Do widzenia do jutra! Tylko ani słowa o moim śpiewie: wolę pisać o tém, aniżeli mówić...

Helena do Stasi.

List twój zelektryzował mię: coś we mnie odżyło nagle na myśl, iż cię zobaczę. Świat wydał mi się przez chwilę lepszy, ładniejszy. Doznałam wrażenia człowieka, któremu zręczna ręka chirurga wsączyła w skrzepłą krew jego, kilka kropel płynu, który rozbu-

dził go z martwoty i odrętwienia, nakarmił zmysły jego blaskiem i ciepłem.

Jerzyk nie poznał mnie, gdy z ożywieniem, jakiego nie widział u mnie jeszcze, powiedziałam mu:

— Jutro poznasz nową ciocię, którą bardzo pokochasz. Kazałam mu pocałować cię na przywitanie i być dobrym, grzecznym dla ciebie...

Cały dzień gorączkowo kręciłam się po mieszkaniu, przygotowując pokój dla ciebie, powiedziałam sobie bowiem, że z nami zamieszkasz przez czas pobytu w Warszawie.

Jerzyk cieszył się, że cię pozna, a ja... ja nie mogłam doczekać się jutra. Kilkanaście godzin, dzielących mię od zobaczenia ciebie, trwały dla mnie wieki. Dawno już nie czułam się tak szczęśliwą, jak wczoraj: w piersiach moich wzbierało uniesienie dla ciebie, jak dla kochanka.

Zwykle wieczorami, pocałowawszy Jerzyka na dobranoc, zamykam się w swoim pokoju i płacząc, piszę listy do ciebie, których ty nie odbierasz... Wczoraj po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że mogę pobawić się z Jerzykiem.

Kazałam mu przynieść zabawki. Ustawialiśmy razem pociąg: on był maszynistą, ja—konduktorem.

Wieczór przeszedł szybko. Jerzyk, całując mię, spytał:

— Dlaczego ty codzień nie bawisz się ze mną?

— Dlatego—odpowiedziałam,—że nie codzień spotyka mię takie szczęście, jak dzisiaj: dostałam przecież list od cioci twojéj, która przyjdzie jutro...

Cały wieczór myślałam, jak my się przywitamy, co powiemy sobie?...

Położywszy się do łóżka, zasnęłam natychmiast, pomimo iż zwykle kilka godzin z wieczora męczy mię bezsenność. Całą noc spałam spokojnie, mocno, bez majaczeń, jak jeszcze nigdy. Nad ranem coś rozbudziło mię nagle: hałaś jakiś czy stuknięcie. Otworzywszy oczy, spojrzałam przed siebie.

Szary zmrok zalewał pokój. Po wczorajszym pogodnym dniu słota. Dészcz bił o szyby jednostajnym pluskiem. Kontury przedmiotów rysowały się słabo w cieniach uciekającéj nocy. Wśród obumarłéj ciszy plusk deszczu wydawał się kołataniem duchów do okna.

Przymknęłam oczy napowrót. Opanował mię wielki, bezbrzeżny, niewypowiedziany smutek. Uczułam gorzki wyrzut, że wczoraj

na myśl o spotkaniu się z tobą doznałam wrażenia radości, kiedy prawem mego życia ból, nigdy i niczém nie ukojony, pokuta za błędy spełnione...

Płacząc, skryłam głowę w poduszki.

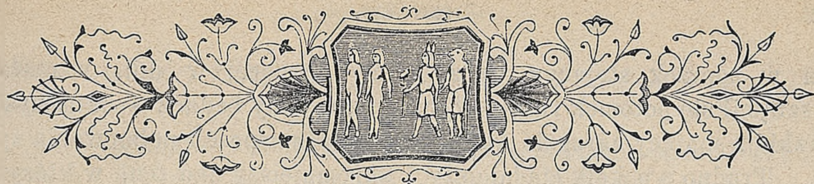
Co mogę napisać ci dzisiaj, gdy jestem smutna, jak przez wszystkie dni dotąd?

To, że nie chcę widzieć ciebie. Umarłam dla tych, których znałam i kochałam: nie mam prawa przemawiać i kochać na nowo.

Życie — to ogrom rozpaczy. Cierpię, cierpię bardzo: nie wolno mi być szczęśliwą.

Cecylia Walewska.





ERNEST RENAN.

Śmierć Renana stanowi wielki wyłom w literaturze francuskiéj. Francya straciła w nim nietylko wielkiego pisarza, ale i człowieka, który jaknajdokładniejszym był wyrazem jéj stanu umysłowego w drugiéj połowie XIX-go stulecia. Śmiało można powiedzieć, że był on dla czasów dzisiejszych tém samém, czém dla XVIII-go wieku byli Bayle, Voltaire i Rousseau razem wzięci; sceptycyzm pierwszego, ironia drugiego i mistycyzm poetycki trzeciego, zjednoczyły się w nim w dziwnie oryginalną i potężną jednocześnie całość.

Renan, podobnie jak Voltaire, wielką wywołał rewolucyę w sposobie myślenia i czucia dzisiejszych pokoleń; przyczynił się on w znacznéj mierze do wytworzenia stanu umysłowego, właściwego naszym czasom. Krytycyzm filozoficzny XIX-go wieku nie mógł zadowolić potrzeb metafizycznych większości umysłów, nie mógł zaspokoić religijnych ich aspiracyi. Zatarg pomiędzy uczuciem religijném a analizą naukową, doprowadzić musiał do usiłowań pogodzenia dwóch tych kierunków ducha ludzkiego, do prób przerzucenia jakiegoś mostu nad dzielącą je przepaścią. Zadanie to wziął na siebie Renan. On jeden zresztą najumiętniéj i najskuteczniéj mógł to uczynić.

Przyjrzyjmy się najprzód postaci uczonego, a następnie przejdziemy do jego filozofii.

I.

Ernest Renan urodził się d. 27 lutego 1823 r. w miasteczku Tréguier, w Bretanii, którą siostrą Grecyi nazywał. W domu ubo-

gim w poprzek stojącym, przy ulicy biegnącéj w dół, wzrastał i kształcił się potomek rasy celtyckiéj, przyszły badacz świata myśli ludzkiéj, mający narzucić swéj epoce pewien sposób pojmowania życia. Trudno o pokoik ciaśniejszy i skromniejszy nad ten, w którym się urodził i wychował. Gabinet pracy mieścił się wysoko w pawilonie, skąd oko młodziutkiego pracownika ulatywało od czasu do czasu, by poigrać z zielenią ogrodów, z rzeką wpływającą do morza, z chmurami goniącemi się po płaszczyznie niebieskiéj bez końca. Tutaj toczyła się walka pomiędzy tradycyą a nauką, pomiędzy urojeniem a krytycyzmem.

„Ojciec mój — mówi Renan — dał mi życie po powrocie z pewnéj długiéj podróży. W pierwszych chwilach mego istnienia odczuwałem chłodne mgły morza, wiatry poranne, przechodziłem przez ostrą i melancholijną bezsenność wskutek burz morskich, co spowodowało długotrwałą słabość fizyczną.“ Po śmierci ojca, kapitana statku żeglugi przybrzeżnéj, śmierci, która niewiadomo z czego nastąpiła — zwłoki jego znaleziono na wybrzeżu Goëlo [1]), rodzina jego znalazła się bez środków do życia i wyjechała do miasteczka pobliskiego Lannion. Po kilku latach Renan powrócił do Tréguier, gdzie się kształcił w szkółce elementarnéj, w któréj siostra jego Henryka była nauczycielką, a następnie w kolegium, skąd uzyskawszy stypendyum udał się, mając lat 15, do seminaryum św. Mikołaja w Paryżu; stamtąd zaś przeszedł do seminaryum św. Sulpicyusza w téjże mieście.

Urodzony w mieścinie zamieszkiwanéj przez księży i zakonników, zachował on w sobie ślady otoczenia tego na zawsze. Łagodny, bojaźliwy, ponury, milczący, zadumany, stroniący od ludzi, nie lubiący zabaw, bardzo nabożny, sposobiący się od dzieciństwa do stanu duchownego, lubił błądzić po pustkowiach zamiejskich, pośród ruin i oddawać się marzeniom samotnym, szukać błędów w dogmatach i prawdy w zarzutach przeciwko nim skierowanych. Umysł o żywéj wyobraźni zanurzał się w głębiach metafizyki, a owładnięty myślą nieskończoności, walczył z prawdą ulatującą w obszary zwątpienia. Były to trwogi religijnéj agonii. Uczucie walczyło rozpaczliwie z rozumem, który je unosił w sfery innego świata. Mimowolnie wyrywa mu się z piersi krzyk zawiedzionych nadziei: „Gdybym się był urodził protestantem w Niemczech! Tam było moje miejsce. Herder był biskupem, a był tylko chrześcianinem. Lecz w katolicyzmie potrzeba być ortodoksyjnym, nie słuchać rozumu.“ O kilka zdań wyżéj sam

---

[1]) Renan opisał śmierć swego ojca w książeczce, drukowanéj w stu egzemplarzach, którą dedykował siostrze swéj Henryce.

powiada jednak, że Boga nie rozumem, ale „sercem tylko poznać można.“

Nie czując w sobie powołania kapłańskiego, opuścił seminaryum św. Sulpicyusza, zerwał krępujące go więzy i przygnębiony, zmęczony, z sercem zakrwawioném, oddał się całkowicie pracy naukowéj na polu lingwistyki, filozofii i historyi.

„Były to najokropniejsze chwile w mojém życiu — pisze on w swych *Souvenirs d'enfance et de jeunesse.* Wyobraźcie sobie najzupełniejsze odosobnienie, bez przyjaciela, bez rady, bez znajomości, bez poparcia żadnego, wśród osób zimnych i obojętnych, ja, który tylko co opuściłem swą matkę, swą Bretanię, swe życie całe złote, tylc uczuć czystych i prostych! Żegnajcie radości czyste i słodkie, gdzie sądziłem się być blisko Boga; żegnaj kochana moja przeszłości; żegnajcie me wierzenia, któreście tak słodko mnie kołysały! Nie ma już dla mnie szczęścia pogodnego. Nie ma przeszłości, nie ma jeszcze przyszłości. A czy mnie zechce przyjąć świat ten nowy? Opuszczam świat, który mnie kochał i pieścił.“

Renan pozostawał jeszcze czas pewien jako nauczyciel w szkole przygotowawczéj kolegium Stanisława, którego dyrektorem był ksiądz Gratry, późniejszy członek akademii francuskiéj, oraz w seminaryum w Issy pod Paryżem jako profesor hebrajskiego, gdzie napisał sławną swą historyę porównawczą języków semickich; lecz, czując się na niewłaściwéj dla siebie drodze, porzucił zupełnie sutannę.

Pozbawiony dochodów (siostra Henryka przysyłała mu trochę pieniędzy z Niemiec, gdzie była nauczycielką), zaczął dawać lekcye matematyki i literatury w zakładzie naukowym przy ulicy *de l'Abbé de l'Epée*, gdzie zamieszkał, poświęcając resztę czasu słuchaniu wykładów w Sorbonie i studyom w bibliotekach, w celu przygotowania się do otrzymania licencyatu. Usilna praca była dla niego schroniskiem przed męczarniami duszy zawiedzionéj, niespokojnéj, odosobnionéj.

„Nie mam ani jednéj duszy ludzkiéj — pisze on daléj w swych „Wspomnieniach“, — przed którą otworzyćbym mógł swe serce... W Paryżu bardziéj można być samotnym, niż w głębi pustyni; ja tego doświadczam. Nie chodzi o widzenie ludzi, stanowiących towarzystwo, ale o stosunki z nimi, przypominające, iż nie jest się samym na świecie. Niekiedy, gdy zdarzy mi się wejść w te tłumy obojętne, napełniające ulice, wyobrażam sobie, że jestem w lesie drzew chodzących; jestto zupełnie to samo. Gdy myślę o szczęściu, którém cieszyłem się niegdyś w poprzedniéj epoce, wielki ogarnia mnie smutek,

szczególniéj, jeśli wspomnę, że czyste te rozkosze pożegnałem na zawsze... Nic dla mnie nie ma cięższego nad to, gdy muszę powiedzieć o rzeczach nawet najobojętniejszych: „Skończone, zupełnie skończone na zawsze.“

Po opuszczeniu seminaryum zaznajomił się z Berthelot'em. Co wieczór, po wykładach w Sorbonie, przechadzali się razem bulwarem św. Michała na prawy brzeg Sekwany do wieży św. Jakóba i z powrotem, rozmawiali długo o kwestyach niepokojących umysł Renana, a gawędki te naukowe wywierały nań zawsze wpływ jaknajlepszy, uspokajały go i dodawały mu otuchy do kroczenia po nowéj drodze.

W rok późniéj (w r. 1847) pisał już zupełnie spokojnie: „Co do zewnętrznéj méj pozycyi, wszystko mi jedno. Nie zaciągnę się nigdzie. Gdy znajdę ludzi mych poglądów, będziemy sympatyzowali z sobą, w razie przeciwnym — sam pozostanę. Wielkim jestem egoistą. Zamknięty sam w sobie, śmieję się ze wszystkiego. Spodziéwam się, iż znajdę dla siebie utrzymanie... Potrzeba o ile możności utrzymać się w pozycyi, ażeby być gotowym do lawirowania przy brzegu, gdy zmienia się wiatr wierzeń. A ileż to razy zmienia się on w życiu? Zależy to od długości istnienia.“

Wiara nie zamarła jednak w duszy Renana, gdy to pisał; sceptycyzm przygniótł ją swym ciężarem, ale jéj nie unicestwił.

Mając lat 25, uzyskał pierwszą agregacyę w konkursowym egzaminie z filozofii. Ofiarowano mu katedrę na prowincyi, lecz jéj nie przyjął, uważając za właściwsze dla siebie prowadzić daléj studya, uwieńczone już powodzeniem. W r. 1848 otrzymał nagrodę Volney'a, udzieloną mu przez instytut francuski, za rozprawę o językach semickich: *Histoire générale et systèmes comparés des langues sémitiques*, a w dwa lata późniéj drugą nagrodę za studyum historyczne: *Étude de la langue grecque au moyen âge;* sumienne te prace zjednały mu imię uczonego. W r. 1849 przyjął miejsce nauczyciela w liceum wersalskiém. Odtąd zjawiają się jego prace w *Liberté de penser*, czasopiśmie wydawaném przez J. Simona, w *Journal de l'Instruction publique*, w *Revue asiatique*, w *Journal des Débats*, w *Revue des Deux Mondes* i t. d. Artykuły te wydane zostały późniéj w osobnych książkach p. t. *Études d'histoire religieuse* (1857 r.), *Essais de morale et de critique* (1859 r.), *Questions contemporaines* i t. d. Wysłany w misyi literackiéj przez akademię francuską do Włoch w r. 1849, zgromadził materały do dzieła swego o filozofii arabskiéj: *Averroès et l'Averroïsme* (1852 r.). Po powrocie z Włoch został zarządzającym w bibliotece narodowéj, w dziale rękopisów i zamieszkał przy ulicy *Val-de-Grâce*

z siostrą swą Henryką, która powróciła wówczas z Polski, gdzie była nauczycielką. W r. 1856-ym przyjęty został do akademii napisów i literatury na miejsce opróżnione przez śmierć Augustyna Thierry.

W ścisłych będąc stosunkach z Sainte-Beuve'm i mając poparcie u Napoleona III-go, wysłany został w r. 1860 na koszt rządu do Syryi dla zbadania szczątków cywilizacyi fenickiéj. Podróż tę odbył w towarzystwie siostry, utracił ją jednak wkrótce po przybyciu do Palestyny. Żona jego (córka malarza Henryka Scheffera, a siostrzenica Ary Scheffera), dowiedziawszy się o śmierci Henryki, pośpieszyła do niego z nowonarodzonym synem Arym, by ulżyć boleści męża. W Syryi spotkał się Renan z Edwardem Lockroy, wysłanym w roli korespondenta przez jedno z pism paryskich na miejsce rzezi, dokonanéj przez muzułmanów na chrześcianach. Niezmordowany w swych poszukiwaniach archeologicznych, przebiegał na koniu lub na mule różne wioski arabskie, rozprawiał z arabami o ich poezyi, którą znał znakomicie, tłómaczył im niezrozumiałe dla nich ustępy, ułatwiając sobie w ten sposób gromadzenie materyałów do swéj przyszłéj „Historyi początków chrystyanizmu“.

Po powrocie z Syryi otrzymał krzyż legii honorowéj i w lutym 1861 r. mianowany został profesorem literatury hebrajskiéj w Collège de France. Wstępny jego wykład o udziale ludów semickich w historyi cywilizacyi poruszył partyę klerykalną w wysokim stopniu i za jéj wpływem wykłady Renana, jako „sprzeczne z religią“, zostały wzbronione. Na dekret ministeryalny Renan odpowiedział broszurą: *La chaire d'hebreu au Collège de France; explications à mes collègues*, w któréj bronił prawa omawiania w swych wykładach najwyższych zagadnień historyi religijnéj i rozwiązywania ich podług danych nauki; nie miało to jednak skutku.

Minister oświaty, Duruy, przyrzekł mu cofnąć zakaz wykładów, jak tylko opinia publiczna się uspokoi. Opinia publiczna jednak nietylko się nie uspokoiła, ale zawrzała silniéj jeszcze przeciw Renanowi, gdy w roku 1863 ukazało się jego dzieło p. t. „Życie Jezusa“. W czerwcu 1864 roku katedrę literatury hebrajskiéj odebrano Renanowi urzędownie, a wzamian za nią ofiarowano mu miejsce pomocnika dyrektora w bibliotece cesarskiéj, którego nie przyjął. Dopiéro po 4 września 1870 r. odzyskał katedrę w Collège de France i pozostał na niéj do zgonu.

Renan nie uważał się jednak za nieprzyjaciela kościoła. Świadczy o tém list jego pisany w r. 1869 do Emila Ollivier'a, w którym zaznacza, iż nie jest ani Lutrem, ani papieżem cywilnym i że kościół żałować będzie swych napaści przeciw niemu wymierzonych. „Gdy

kościół znajdzie się wobec przeciwników, którzy nie będą mieli mego umiarkowania i powoła się na mnie, jako na swego apologistę przeciw napaściom obelżywym i niszczącym, światli katolicy żałować będą, iż zatruwali życie uniżonego dysydenta, którego niesłuszne z nim obchodzenie się nie popchnęło nigdy po za granicę, na jakiéj chciał się zatrzymać.

Pisząc słowa powyższe, nie przypuszczał Renan zapewne, że przepowiednia jego ziści się zaraz po jego śmierci, że rehabilitacya z ust papieża najpierw wyjdzie. Leon XIII-ty, dowiedziawszy się o zgonie Renana, powiedział: „Człowiek ten więcéj dobrego niż złego wyrządził kościołowi. Wyrwał on naszych teologów ze stanu lenistwa, w jakiém się pogrążyli, i ucieleśnił zwątpienia myśli nowoczesnéj. Zaskoczył nas niespodzianie. Powinniśmy pamiętać, że tego rodzaju zdarzenia nie mogą się dokonywać bez woli Boga. I niewątpliwie Najwyższy pobłażliwym się okaże dla tego, który był jego narzędziem, biczem jego gniewu. Lepiéj, że umarł bez spowiedzi, dowiódł bowiem przez to, iż zwątpienie jego było szczerém. Sądzony będzie na podstawie téj szczerości, która, jeśli była zupełną, może go uniewinnić."

Zdaje się, że po tych słowach, przez głowę kościoła wyrzeczonych, nikt z katolików w grób zmarłego kamieni oburzenia rzucać nie powinien. Nie nienawiść dla chrystyanizmu, ale miłość prawdy kierowała zawsze tym człowiekiem. To też pragnął, ażeby na grobie jego umieszczono słowa: *Veritatem dilexi.*

Renan usiłował wystąpić także na arenie życia politycznego, ubiegając się w r. 1869 o mandat do izby deputowanych i w r. 1876 o krzesło w senacie, lecz w obu razach bezskutecznie. W czerwcu 1878 r. wybrany został członkiem akademii francuskiéj na miejsce Klaudyusza Bernard'a; przyjęcie nastąpiło w kwietniu 1879 roku. W r. 1888 mianowano go wielkim oficerem legii honorowéj.

Renan był twórcą Towarzystwa celtyckiego; w chwili założenia, w r. 1879 Towarzystwo składało się z pięciu osób, w r. 1884 liczyło już 150 członków [1]).

---

[1]) Oprócz wyżéj wymienionych Renan następujące zostawił po sobie dzieła: „Les Apôtres" (1866 r.), „Saint-Paul et sa mission" (1867 r.), „L'Ante-Christ" (1873 r.), „Les évangiles et la seconde génération chrétienne", „L'Eglise chrétienne" (1879). „Marc-Aurèle et la fin du monde antique", „Livre de Job" tłóm. w prozie rytmicznéj (1859), „Cantique des cantiques" tłóm. (1860), „Ecclésiaste", „Histoire du peuple d'Israel", 5 tomów, dzieło to uważał za niezbędne dopełnienie historyi początków chrystyanizmu; „De l'origine du langage", „La reforme intellectuelle et morale". „Dialogues philosophiques", „L'Avenir de la science",

II.

„Ojcowie ciemnego plemienia, w ognisku którego czerpałem wiarę w rzeczy niewidzialne; skromny klanie rolników i marynarzy, któremu zawdzięczam zachowanie siły méj duszy w kraju zagasłym, w wieku beznadziejnym; błąkaliście się niewątpliwie na tych morzach zaczarowanych, gdzie ojciec nasz Brandan szukał ziemi obiecanéj; oglądaliście wyspy zielone, których trawy w falach się kąpały; przebiegaliście ze św. Patrykiem okręgi świata, których oczy nasze nie zdolne są już widziéć. Żal mi niekiedy, iż łódź wasza, opuszczając Irlandyę lub Kambryę, nie usłuchała innych wiatrów. Widzę je w swych marzeniach owe miasta pokojowe Clonfertu i Lismory, gdzie powinienem był żyć, biédna Irlandyo, karmiony dźwiękiem twych dzwonów, przy opowiadaniu tajemniczych twych odysei. Niepotrzebni oboje na tym świecie, rozumiejącym to tylko, co go poskramia lub co go obsługuje, pomknijmy razem ku wspaniałemu Edenowi rozkoszy dusznéj, ku temu samemu, który święci nasi w snach oglądali. Pocieszmy się swemi ułudami, swą szlachetnością, swą wzgardą. Kto wié, czy marzenia nasze nie są prawdziwszemi dla nas, niż rzeczywistość? Bóg mi świadkiem, starzy ojcowie, iż jedyną radością moją to, że śnię niekiedy, iż jestem waszą świadomością i że przezemnie nabieracie życia i głosu“ [1]).

Co za cudowna poezya w słowach powyższych! jak czuć w nich jęki morza bretońskiego, jak widać owe sny tęskne, jakiemi niezmierna płaszczyzna wodna napełnia duszę autora, jak słychać tchnienia owych istot zagrzebanych w szerokiéj mogile Atlantyku! Lecz nietylko mgły celtyckie, ale i błękitne fale Sorrentu, ciepło Ischii i Neapolu, słońce południa i wschodu pociągały ku sobie Renana. Piękna równina Esdrelońska, szemrzące wody Tyberyady, wspaniałe krajobrazy Galilei znakomitego znalazły w nim malarza.

Starożytność semicka ze swemi walkami strasznemi, ze swą surowością i nienawiścią nie nadawała się do odtwarzania w barwach właściwych pod piórem Renana; starożytność natomiast grecka

---

„Mission de Phénicie“, „Mélanges d'histoire et de voyages“, „Discours et conférences“, „Souvenirs d'enfance et de jeunesse“, „Pages choisies“, „Feuilles détachées“, „Caliban“, dramat filozoficzny; „L'Eau de Jouvence“, dramat filozof.; „Prêtre de Nemi“, dram. filoz.; „Abbesse de Jouarre“, dramat.

[1]) Urywek powyższy wyjęty z „Poésie des races celtiques“, artykułu drukowanego w „Revue des Deux Mondes“ w r. 1854, który powszechną zwrócił na siebie uwagę.

i rzymska w epoce upadku, jakżeż znakomicie zostały uchwycone i zobrazowane!

„Jest w historyi cud — powiada on — (cudem nazywam to, co się zdarzyło jeden raz tylko), to Grecya starożytna. Na pięćset lat przed Chrystusem zarysował się w ludzkości typ cywilizacyi tak doskonałéj, tak zupełnéj, że wszystko, co ją poprzedziło, zaćmionem zostało. Były to istotnie narodziny rozumu i wolności. Obywatel, człowiek wolny zjawił się wśród rzeszy ludzkich. Moralność ugruntowana na rozumie stwierdzała się w wiecznéj swéj prawdzie, bez mieszaniny fikcyi nadprzyrodzonych. Człowiek wyzwolony z płonnych obaw swego dzieciństwa spokojnie przyglądać się począł swemu przeznaczeniu. Nauka, t. j. prawdziwa filozofia została ustanowiona. Mechaniczny system świata dostrzegany był chwilami, nie umiano się jednak przy nim trzymać; bądź co bądź, znaleziono zasadę. Kopernik, Galileusz, Newton wyprowadzili jedynie wnioski z szeregu pojęć, które pozbawiały ziemię pozycyi jéj centralnéj i pozwalały dostrzegać nieskończoność wszechświata... Czy zobaczę jeszcze Akropol ateński? Wątpię, nie mam nadziei. Sądzę, że brzydkie mgły północy ostatnim będą horyzontem dla mych oczu" [1]).

„Grecya zawdzięcza wszystko swym bogom, swym morzom, swemu niebu, swym górom; uprzywilejowany ten zakątek świata, ten niebiański liść morwy, rzucony pomiędzy morza, widział rozwinięcie się zarodek świadomości ludzkiéj w naiwnéj jéj piękności. Dlatego to Grecya jest rzeczywiście ziemią świętą w pojęciu tych wszystkich, co istotnie czczą cywilizacyą... Rzeczywiste początki ducha ludzkiego tam się znajdują... W wiekach starożytnych nie było nic takiego, coby mogło nazywać się dogmatem, religią pozytywną, księgą świętą. Dziecko nie dysputuje, nie potrzebuje rozwiązania, gdyż nie stawia samo zagadnienia; wszystko dla niego jest jasném. Aureola, jaką świat jaśnieje w jego oczach, życie ubóstwiane, wołanie poetyczne jego duszy — oto jego kult, kult niebieski, zawiérający w sobie akt czci bezwarunkowéj i wyzwolony z wszelkiéj subtelności rozumowanéj... Fidyasz nie był bezbożnym, chociaż nie w tradycyi, ale w własnéj swéj myśli szukał typu swego Jowisza. Przeciwnie, poważne świadectwa wykazują, iż zmiana owa w sztuce odpowiadała pewnemu odrodzeniu religijnemu i przyczyniła się do rozgrzania pobożności. Za nieszczęśliwych uważano tych, co umiérali, nie zobaczywszy obrazu Jowisza olimpijskiego, i sądzono, iż brakuje czegoś świadomości ich

[1]) Słowa powyższe wypowiedziane zostały przez Renana w Towarzystwie studyów greckich w d. 6 maja 1892 r. w Paryżu.

religijnéj, gdyż nie oglądali najwyższéj realizacyi ideału. Bo czyż forma ludzka nie jest najwyrazistszym ze wszystkich symbolów?“ [1]).

Myśl Renana w czarownych rozlewająca się barwach stylu, nieuchwytna, delikatna nie mogła się naginać do wielostronnéj rzeczywistości i dlatego zdawała się iluzyą dla umysłów niegłębokich, niedostrzegających skomplikowanych podstaw budowy, widzących tylko jéj fasadę. Renan był pisarzem najbardziéj skończonym, był historykiem i lingwistą, był najgłębszym erudytem. Nauki filologiczne i historyczne uważał za najdoskonalsze narzędzia badań, za najlepsze pomocnice do poznania czasów ubiegłych, za „nauki ludzkości,“ które w dziedzinie zjawisk etycznych doprowadzić mogą do rezultatów takich, jakie w dziedzinie zjawisk fizycznych nauki przyrodnicze zdobywają. Filologia była dla niego nauką ścisłą w rzeczach umysłu. Zamiast prób tłómaczenia całości świata wolał cierpliwe badania szczegółów. Nie lubił spekulacyi czysto metafizycznych, nie lubił gry formuł prostych, uogólnień i sylogizmów.

Renan poszukiwał prawdy z zapałem, gromadził jaknajdokładniejsze dane w tym celu, ażeby przy ich pomocy można było kiedyś rozwiązać zagadkę świata.

Prócz historyi początków chrześciaństwa, będącéj głównym celem jego usiłowań, myśl jego zwracała się ku polityce, filozofii, poezyi, a w wycieczkach tych zadziwiał często swą nieufnością do teoryi zbyt pośpiesznych, do twierdzeń przedwczesnych. Encyklopedyczny umysł Renana przesiéwał przez sito krytyki wszelkie pojęcia. Puszczał on wodze swéj myśli w rozmaitych kierunkach, ażeby z rozmaitych stron przyglądać się biegowi prądów wiecznego oceanu bytu, pozostał jednak przedewszystkiém teologiem, ale teologiem świeckim. Drogą odtwarzania uczuć pierwotnych i aspiracyi ciemnych w nowéj formie odświéżania ich, przerabiania odpowiednio do potrzeb chwili obecnéj rzucił on pewne światło nowe na proces powstawania religii, dał początek psychologii religijnéj.

Oburzało go to, że gdy idzie o odrzucanie dogmatów i wierzeń, pierwszy lepszy śmiertelnik umie to samo, co największy uczony. Proste negacye tłumu i sceptycyzmy w tonie naukowym z profesorskiéj głoszone katedry zbiegają się razem, mieszają się z sobą, do wspólnego schodzą poziomu. Brutalność téj oczywistości bolała go. Przekonywał się nadto od czasu do czasu, iż pomimo negacyi, pomimo spostrzeżeń rozbijających jego wiarę, nie przestawał być religijnym, nie przestawał wierzyć w coś pozagrobowego. Krytycyzm nie pozwalał

---

[1]) „Etudes d'Histoire religeuse, p. 31.“

mu powracać do wierzeń. z których wyzwolił się oddawna, lecz uczuciowość jego tęskniła za owym bagażem religijnym, który niegdyś dźwigał z przyjemnością. Z dwoistości téj wyniknąć musiało wahanie się, dwuznaczność jego filozofii. Księża wyklinali go i skazywali do piekła, ateiści nie chcieli go również zaliczać do swych szeregów.

Pragnął np. mieć grób swój w Tréguier, w klasztorze i ubolewał, że kościół niesłusznie go się wyrzeka. „Wielkie obniżenie poziomu moralnego, a może i intelektualnego, nastąpi wówczas, kiedy religia zniknie ze świata. Nie wyrzekajmy się Boga Ojca; nie negujmy możliwości sądu ostatecznego. O Boże, którego czcimy mimowolnie, do którego się modlimy dwadzieścia razy na dzień bezwiednie, jesteś istotnie Bogiem utajonym!

Pomimo tego aktu wiary, pomimo téj deistycznéj afirmacyi, Renan pozostaje jednak burzycielem chrystyanizmu w teologiczném jego znaczeniu.

W pismach swych Renan zupełnie był szczerym. „Nie tylko, że nie powiedziałem nic innego, jak to jedynie, co myślę, ale rzecz daleko rzadsza i trudniejsza, powiedziałem wszystko, com myślał. W rozmowie méj jednak i korespondencyi dziwne mam niekiedy niemoce. Nie zależy mi prawie na tém i z wyjątkiem małéj liczby osób, z któremi uznaję braterstwo intelektualne, każdemu mówię to, co uważam, że może mu sprawić przyjemność... Gdy jestem z kimś, staram się odgadnąć jego myśli i przez nadmiar względności podać mu je naprzód. Wiąże się to z przypuszczeniem, iż bardzo mało ludzi oderwanych jest o tyle od swych poglądów, ażeby nie czuli się zadraśniętymi, słysząc co innego, niż myślą. Wyrażam się swobodnie jedynie z ludźmi, o których wiem, iż od wszelkiéj wyzwoleni są opinii i stoją na stanowisku życzliwéj ironii powszechnéj. Co do méj korespondencyi, to wstyd mi ona przyniesie po méj śmierci, jeżeli zostanie opublikowaną. Napisać list jest dla mnie torturą. Rozumiem wirtuoza wobec dziesięciu jak i wobec dziesięciu tysięcy osób, ale przed jedną!.. Zanim zacznę pisać, waham się, rozmyślam, układam plan na szmat o czterech stronicach i często zasypiam. Potrzeba tylko zobaczyć te listy nakreślone ciężko, skręcone nierówno ze znudzenia, ażeby widzieć, iż wszystko to zostało ułożone w odrętwieniu półsenném. Odczytując to, com napisał, widzę, iż jest bardzo słabe, że umieściłem tam mnóstwo rzeczy, których nie jestem pewny. Z rozpaczy zamykam list, czując, iż oddaję na pocztę coś nędznego.“

III.

Zstępując z swych wysokości filozoficznych, Renanizm musiał wiele ze swych właściwości utracić. Jakiemi tajemniczemi ujściami, jakiemi drogami różnorodnemi myśl mistrza danéj epoki rozléwa się dookoła i jakim ulega przeobrażeniom, niespostrzeganym pomiędzy blizkiemi odmianami, ale w rezultacie znacznie odbiegającemi od swego punktu wyjścia! Wszelka subtelność, każda delikatność myśli, upowszechniając się, ginie po drodze, zatraca się, treść jéj ulega stopniowo ciągłym uproszczeniom i wskutek tego zostaje spaczoną.

Renan nie stworzył właściwie żadnego systemu filozoficznego. Renanizm nie jest filozofią w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, jest on raczéj negowaniem filozofii; jest to sceptycyzm walczący z wiarą, negacya z twierdzeniem. „Wszystko każe przypuszczać, że tak jest, ale nie jestem zupełnie tego pewny; być może, iż jest inaczéj" — oto formuła rozumowania Renana. Szuka on prawdy z myślą, iż jéj nie znajdzie; lęka się jéj, gdy ją spostrzega: ztąd sprzeczności w jego sądach, brak w nich wyraźnych twierdzeń i wyraźnych negacyi. Zapytany, czy życie jest dobrém czy złém, odpowiedział: Życie nie jest ani złém ani dobrém, jest ono nieocenialném (*inqualifiable*).

Całe swe życie strawił Renan na badaniu, na szukaniu prawdy i pomimo pozornego spokoju, umiéra z rozpaczą, iż nie mógł poznać istoty życia, nie mógł znaleźć pewności co do pośmiertnych przeznaczeń ludzkich. Bolał on w głębi duszy, czując się tak wiele i tak mało wiedzącym.

„Nikt nie jest pewny — mówił do swych przyjaciół przed siedmiu laty — posiadania wyrazu zagadki świata; otaczająca nas nieskończoność wymyka się z wszelkich ram, z wszelkich formuł, jakie chcemy jéj narzucić. Jedno tylko można twierdzić, a tém jest szczerość serca, oddanie się prawdzie i uczucie poświęceń dla niéj spełnianych. To świadectwo składam i złożę je głośno i stanowczo na sądzie ostatecznym. Życie, które zostało mi dane, a którego nie żądałem, było dla mnie dobrodziejstwem. Gdyby mi je zaofiarowano znowu, przyjąłbym je z wdzięcznością. Wiek, w którym żyłem, nie będzie prawdopodobnie uznany za największy, lecz niewątpliwie okaże się najzabawniejszym z pośród innych wieków... Żegnając się z życiem, nie pozostanie mi nic innego, jak wyrazić podziękowanie przyczynie wszelkiego dobra za uroczą przechadzkę, jaką daném mi było odbyć przez świat rzeczywistości... Skarżyć się na życie może ten tylko, kto żąda od niego niemożliwości." Renan nie żądał od życia

niemożliwości, nie skarżył się nigdy na nie, ale się téż niém nigdy nie zachwycał. W chwilach nawet wesołych czuć w nim zawsze pewną melancholię, pewną smutną nutę sceptycyzmu.

Godność człowieka polega, zdaniem Renana, na myśleniu. Myśléć dobrze—jestto zastosowywać się do konieczności praw wiecznych i poddawać się bez wahania surowéj, bezzłudnéj rzeczywistości. Renan marzył o przyszłéj ludzkości, zdolnéj żyć w zgodzie ze wskazaniami nauki i dość odważnéj, ażeby się nie buntować przeciw rzeczywistości, ażeby kroczyć w przyszłość, bez kierowania się przywidzeniami rzeczy nadprzyrodzonych i tajemniczych, przy jasném spostrzeganiu przyczyn i skutków. „Nauka — powiada on w swéj *Avenir de la science* — jedynym zawsze będzie dla człowieka środkiem, jaki ma, do polepszenia swego losu. Zabezpiecza ona raczéj od pomyłki, niż daje prawdę; znaczy już to jednak cośkolwiek, gdy się ma pewność, że nie jest się oszukiwanym.“

Zupełne oddanie się pracy naukowéj, rozkoszom badania, czystéj twórczości estetycznéj było życiowym ideałem Renana. Lubił rozmyślania i kontemplacye samotne na wyżynach myśli nieuczęszczanych przez tłumy, lubił przesiadywać w tym ogrodzie wiszącym, w cieniu alei utkanych ze swych fantazyi.

Renanizm nie daje się ująć w żadną formułę, w żadną definicyę. Jestto synteza sceptycyzmu i śmiałéj spekulacyi, ścisłéj erudycyi i fantazyi poetyckiéj, wiary i niewiary, religijnego namaszczenia i negacyi, optymizmu życiowego i filozoficznego pesymizmu. Jestto synteza sprzeczności powiązanych z sobą harmonijnie. Naturalność i sztuczność, ironia i dobroduszność, głębokość obserwacyi i naiwność dziecięca razem się w niéj łączą. Renan spostrzegał te sprzeczności w swych myślach i usprawiedliwiał ich konieczność. „Świadomość jest latarnią morską—powiada w swéj mowie akademickiéj — o światłach zmieniających się w pewnych godzinach; światła te pokazują się, wydają oczywistemi, późniéj jednak dziwimy się, iż można było istnieniu ich wierzyć. Dwadzieścia razy ludzkość im zaprzeczy, lecz późniéj znowu je potwierdzi... Najczystszy kult bóstwa kryje się niekiedy po za negacyami pozornemi. Jestem idealistą, najdoskonalszym zaś idealistą jest ten, kto może z pewną szczerością nazwać się materyalistą. Iluż to świętych bywa pozornie bezreligijnych!“

„Czy prawdą jest, czy ułudą — w inném powiada miejscu—marzenie o nieskończoności zawsze ciągnąć nas będzie ku sobie. Party nieprzezwyciężenie ku wierze w sprawiedliwość i rzucony w świat, który jest i będzie zawsze niesprawiedliwością tylko, potrzebując wieczności, ażeby zrównoważyć złe z dobrem i powstrzymywany nagle

przez mogiłę śmierci, co ma czynić? Buntuje się przeciw trumnie, obdarza ciałem kość nagą, życiem mózg pełen zgnilizny, światłem oko zagasłe, wynajduje sofizmata z których śmiałby się, gdyby je usłyszał z ust dziecka, ażeby nie przyznać, iż natura mogła posunąć ironię aż do narzucenia mu brzemienia pożerającego bez żadnéj wzamian kompensaty“... [1]). „Religia jest udziałem ideału w życiu ludzkiém; zamyka się ona cała w tém słowie: Człowiek nietylko chlebem żyje, — inna jest potęga, która rości również pretensyę do tego, iż streszcza duchowe życie ludzkości... Nie istnieje ona dla wielkiéj liczby. Wzniosła w kole mędrców, dla których stanowi pokarm i rozrywkę, filozofia, gdy jéj się przyjrzymy, jest faktem nieuchwytnym w dziejach ludzkości. Możnaby policzyć dusze, które uszlachetniła; na czterech stronicach możnaby spisać historyę téj drobnéj arystokracyi, jaka się zgrupowała pod tym znakiem. Reszta, oddana potokowi swych marzeń, swych oczarowań, wpadła bezładnie w przypadkowe łożyska instynktu i szału, w oślepieniach swego mózgu i w biciach swego serca szukając racyi swych działań i wierzeń... Bóg, Opatrzność, nieśmiertelność, stare poczciwe słowa, przyciężkie może, którym filozofia nada znaczenie coraz wznioślejsze, lecz których nigdy niczém lepiéj nie zastąpi... W téj lub innéj formie Bóg będzie zawsze streszczeniem naszych potrzeb ponadzmysłowych, kategoryą ideału, t. j. postacią, w jakiéj pojmujemy ideał. Ludzkość nie składa się z uczonych i filozofów; myli się ona często niewątpliwie nawet w rzeczach faktów i osób, nie myli się jednak co do przedmiotu swego kultu. To, co czci, jest istotnie czcigodném, gdyż to, co czci w cechach przez siebie wyidealizowanych, jest pięknem i dobrém. Symbole oznaczają to tylko, co im się każe oznaczać. Człowiek czyni świętość z tego, w co wierzy, jak czyni piękność z tego, co kocha“ [2]).

Bóg, w pojęciu Renana, jest ideą świata, najwynioślejszym typem myśli i życia, wiedzy i sztuki, pobudką tajemniczą, wewnętrzną, wszystkich wielkich aspiracyi. Istnieje w świadomości indywidualnéj i koncentruje się w świadomości powszechnéj. Boskość rodzi się i potężnieje w świecie przez gromadzenie się naszéj dobréj woli, naszych pojęć sprawiedliwości, naszych uczuć szlachetnych. Renan wierzy w królestwo Boże i pragnie przyśpieszyć stopniowe jego zrealizowanie.

Renan wielkie miał powodzenie, wyrażał bowiem nasze smutki i radości, nasze wątpienia, nasz pociąg do tajemniczości, do rzeczy

---

[1]) „Journal des Débats“ z d. 4 kwietnia 1879 r.

[2]) „Etudes d'Histoire religieuse“, XI—XXI, 2, 418.

nierozwiązalnych, do wniosków niewyraźnych, ulatujących niepochwytnie gdzieś w nieskończoność. Filozofia jego stanowi najdokładniejsze streszczenie współczesnego stanu ducha ludzkiego.

Czarował on świat głęboką i delikatną muzyką swego stylu i pozostawił po sobie na powierzchni morza ludzkiego smugę swego przejścia, blask swéj poezyi. Wielu możnaby przeciwstawić Renanowi uczonych historyków, lingwistów, filozofów, teologów, ale nie ma pomiędzy nimi żadnego, ktoby tak świetnie budował zdania, wiązał je z taką prostotą zadziwiającą architektonicznie w łuki czarodziejskie, lekkie, wyraziste, dźwięczne. Nikt w drugiéj połowie XIX-go wieku nie pisał tak świetnie po francusku, jak Renan.

Dzieła jego pozostaną na zawsze skarbnicą wielkiéj sztuki literackiéj, poezyą zawsze świéżą, zawsze czarującą.

Dr. Antoni Złotnicki.





ŚWIAT NADPRZYRODZONY

W „BOSKIÉJ KOMEDYI."

W dziejach literatury powszechnéj nie ma poważniejszéj postaci niż Dante Alighieri. Surowe, pełne majestatu jego oblicze spogląda na nas z portretu współczesnego, malowanego przez Giott'a i zda się wyzierać z poza kart „Boskiéj komedyi." Na czele tego „świętego poematu, do którego niebo i ziemia przykładały rękę," możnaby położyć parafrazę słynnego napisu na bramie piekielnéj: Wy, którzy do rąk mię bierzecie, zostawcie wszelką płochość i pustotę. Bo oto otwiérają się tutaj przed nami podwoje wieczności; natchnienie wieczne „do wnętrza tajnych wprowadza nas rzeczy" i ukazuje niepojęte dla rozumu ludzkiego dziwy zagrobowego świata.

Wiadomo, że za życia Dantego naiwna wiara ówczesnych ludzi w literalném znaczeniu brała fantastyczną jego wędrówkę. Mieszkańcy Werony, jak świadczy Boccacio, z zabobonną trwogą pokazywali sobie przechodzącego ulicą poetę, jako człowieka co zwiedził otchłań piekielną i oglądał męki dusz potępionych; na czarnych kędziorach jego włosów i w ciemnéj cerze oblicza widzieli ślady dymu i ognia piekielnego.

My, ludzie obecnego wieku, dzieci sceptycznéj epoki, dalecy jesteśmy od téj naiwności średniowiecznéj: nietylko, że nie wierzymy w rzeczywistość tych widzeń nadziemskich poety, ale powątpiewamy nawet o rzeczywistém istnieniu owych krain zagrobowych, o których śniła, wzniosła jego fantazya. A jednak i dzisiaj postać śpiéwaka „Boskiéj komedyi" ukazuje się nam w aureoli dziwnego majestatu i cześć budzi mimowolną.

Jest w jego poemacie jakiś duch wielki, wznoszący się ponad warunki miejsca i czasu, do wiekuistego i wszechludzkiego znaczenia. Czy to jest duch średniowieczny upiększony i utrwalony na wieki czarami poezyi? Niewątpliwie „Boska komedya“ nosi na sobie wybitne cechy średnich wieków, wyraża zasadnicze ich dążenia i aspiracye. Ale czyż jest tylko obrazem artystycznym téj epoki, dalekim jéj odgłosem, dźwięczącym w harmonijnych tonach pieśni. Czy posiada dla nas wartość tylko doskonałego dzieła sztuki, — czyli téż zawiéra w sobie objawienie żywotnéj prawdy ducha, przyodziane w przepiękną szatę poezyi? Zanim odpowiemy wyczerpująco na to pytanie, zważmy przedewszystkiém, że każdy prawdziwie genialny utwór poezyi, odzwierciedlający w pełni ducha danéj epoki, obok właściwych jéj rysów rasowych, zawiéra pewien trwały, wszechludzki pierwiastek. Bo natura ludzka, choć zmienia się i przeobraża ciągle, zachowuje w swéj głębi pewne żywioły, których trwanie liczy się na wieki, niekiedy na dziesiątki wieków. Geniusz twórczy, sięgając do samego dna duszy, wydobywa z niéj te głęboko ukryte żywioły i nadaje im żywy, plastyczny wyraz, zrozumiały dla ludzi wszystkich krajów i wszystkich wieków.

Blisko trzy tysiące lat oddziela nas od chwili, gdy jakiś rapsod grecki wyśpiéwał wzruszające pożegnanie Hektora z Andromachą a któż odczyta dziś z obojętném sercem tę cudną scenę rodzinną? — kto nie dosłyszy dźwięczącego w niéj głosu szczero-ludzkiego uczucia? Równy, a może i większy okres czasu upłynął odkąd Hiob wygłaszał swe skargi bolesne, a psalmista opłakiwał nad wodami Babilonu nieszczęsną dolę swego ludu, — a czyż te dźwięki nie budzą i dzisiaj żywego echa w naszych sercach? Jest w tych pieśniach nieśmiertelnych coś więcéj niż odgłos daleki zamierzchłych czasów: jest wiecznie prawdziwy i wiecznie świéży głos serca ludzkiego.

I w poezyi Dantego głos ten nie raz się odzywa. Słyszymy go w rzewnych wyznaniach Franczeski i w pełnéj grozy opowieści Ugolina i w innych, licznych epizodach, słusznéj zażywających sławy. — Ale nie na nich jedynie polega żywotność „Boskiéj komedyi.“ Oprócz tych oderwanych epizodycznych motywów, są w niéj motywy główne, zasadnicze, zjednoczone w harmonijnym całokształcie, które, należycie odczute i pojęte i dzisiaj okażą się w téj saméj sile i świéżości, jaką posiadały za życia poety.

Pod tym względem poemat Dantego zupełnie inne ma dla nas znaczenie niż wspomniane wyżéj arcydzieła starożytnych Greków i Hebreów. W tamtych są szczegóły, porywające swą wiekuistą, żywą prawdą, ale naczelne idee i wyobrażenia po większéj części budzą

tylko zachwyt estetyczny dla przyodziewającéj je pięknéj formy, lecz nie mogą w nas obudzić pełnego uznania dla wewnętrznéj swéj treści. Nie możemy podzielać uwielbienia Homera dla jego barbarzyńskich bohatérów, ani téż odczuwać pietyzmu śpiewaków hebrajskich wobec potęgi groźnego i mściwego Jehowy, inaczéj wyobrażamy sobie prawdziwe bohatérstwo i odmiennie pojmujemy naturę wszechmocnego Bóstwa. Wieki rozwoju cywilizacyjnego przedzielają nas od czasów „Iliady“ i „Psalmów“; zmieniły się zasadniczo od owych czasów idee i pojęcia, uczucia i aspiracye głębokim uległy przeobrażeniom.

Całkiem inny jest stosunek nasz do Dantego i jego epoki. Średnie wieki różnią się wprawdzie bardzo od naszych czasów, ale zasadnicza ich dążność nie jest, a przynajmniéj nie powinna być nam obcą. Prawda, ich ideały polityczne i społeczne, ich filozofia scholastyczna, ich egzaltacya rycerska, nawet ich poezya romantyczna i sztuka gotycka po większéj części należą już do dziejowego archiwum, stanowią jedynie ciekawe zabytki przebrzmiałych już stosunków. Ale czyż można powiedzieć to samo o potężnym duchu religijnym, ożywiającym tę epokę, o owych wzniosłych ideałach chrześciańskich, które tak żywym blaskiem jaśniały w świeżych i dzielnych sercach ówczesnych ludzi? Czyż i one, razem z feudalizmem legły pod gruzami rycerskich zamków i rozwiały się na równi z marzeniami filozofii scholastycznéj?

Niech na to pytanie odpowiedzą dzieje rozwoju duchowego nowożytnéj Europy.

Nie brakło w nich usiłowań, zmierzających do usunięcia z życia pierwiastku religijnego i zastąpienia go teoryami racyonalnemi. Rewolucya francuska strąciła krzyże z ołtarzy chrześciańskich i umieściła na nich bóstwo rozumu, następnie filozofia niemiecka osadziła kolejno na tronie boskim różne idee i pojęcia absolutne, widząc w nich ostateczne przyczyny wszechbytu, wreszcie za naszych już dni pozytywizm francusko-angielski uznał wiedzę doświadczalną za jedyną prawowitą władczynią w krainie ducha i ogłosił zamknięcie raz na zawsze przed myślą ludzką sfery nadzmysłowéj. Wszystkie te i tym podobne zasady i teorye w swoim czasie święciły tryumfy nad uczuciem religijném, ale czyż zdołały wyplenić je z serc ludzkich, lub przytłumić płynące zeń pragnienia i aspiracye! Nie sięgając już w niedaleką przeszłość do epoki bankructwa racyonalizmu ośmnastowiecznego, lub spekulatywnéj filozofii Hegla, rzućmy tylko okiem na stan umysłów w obecnéj dobie. Jakże wymownie świadczy on o bezsilności doktryn racyonalistycznych wobec wiekuistych zagadnień ducha. Przed laty kilkunastu jeszcze pozytywizm wszechwład-

nie nam panował. Słuchaliśmy z głęboką wiarą jego uczonych wyroków, pokornie poddawaliśmy się jego zakazom, wzbraniającym wszelkich wycieczek po za granice materyi i zmysłów, wskazany przezeń ziemski, doczesny pożytek, poczytywaliśmy za jedyny rozumny cel naszych dążeń. A oto dzisiaj niespodziana następuje zmiana. Wszechwładztwo doktryny pozytywistycznéj widocznie chyli się do upadku. Pragnienie nadzmysłowości z nową siłą budzi się w sercach ludzkich, a myśl ludzka zuchwale przekracza zakreślone jéj przez pozytywizm granice. Zwrot ten objawia się w licznych i różnorodnych kierunkach współczesnéj myśli, niekiedy doniosłych i pełnych znaczenia, niekiedy dziwacznych i chorobliwych. Dostrzegamy go w przywidzeniach i mrzonkach współczesnego spirytyzmu, w mglistych tęsknotach i nieokreślonych aspiracyach symbolizmu francuskiego, w poważnym i głębokim mistycyzmie powieści ruskich, w szerzącém się wśród angielskiego społeczeństwa zamiłowaniu do teozofii indyjskiéj; wreszcie w ogólnym, idealno-spirytualistycznym nastroju wielu współczesnych pisarzy i w niepokoju, ogarniającym najtrzeźwiejsze umysły, którym niewystarczają już pozytywne hasła wieku.

Cóż nam mówią wszystkie te objawy? Świadczą one niewątpliwie o spotęgowanéj żywotności uczuć i pragnień religijnych, które długo tłumione w swym rozwoju wezbrały potężną falą w duszach dzisiejszych ludzi i wylewają się na zewnątrz w licznych strumieniach różnéj mocy i różnego stopnia czystości. Czy te strumienie zleją się w jeden wielki, ożywczy prąd religijnych dążeń, — czyli też rozproszą się po obszarach życia i wsiąkną bez śladu w jałową, piaszczystą jego glebę? — na to pytanie nikt chyba w obecnéj chwili nie zdoła dać zadawalającéj odpowiedzi. To tylko pewna, iż, jak daleko wzrok nasz sięgać może, nic nie widzimy obecnie na horyzoncie duchowego bytu ludzkości, coby mogło zastąpić stare ideały religijne chrześciaństwa. Zresztą wszak jeden z największych sceptyków naszego wieku, Ernest Renan, uznał nieśmiertelną trwałość chrześciaństwa i nazwał je wieczną religią ludzkości. Zatém pono z téj strony jedynie możemy oczekiwać zaspokojenia budzących się tak żywo w dzisiejszych czasach, nadzmysłowych pragnień i aspiracyi. Czy zaś to się dokona przez zwrot do dawnéj, ustalonéj tradycyi kościoła chrześciańskiego, czy téż przez jakieś zmiany i przeobrażenia w jego łonie? — i tego pytania również nie zamierzam tu rozstrzygać, ani też nie mam możności po temu. Na tém miejscu pragnąłem jedynie uwydatnić niezniszczalną żywotność uczuć i ideałów religijnych, aby na téj podstawie wykazać właściwe znaczenie i stanowisko największego ich rzecznika w poezyi—twórcy „Boskiéj komedyi“.

Zaiste, Dante jest największym poetą religijnym wszystkich czasów, bo wyraża najwyższą religijną ideę, na jaką ludzkość dotąd się zdobyła, a wyraża ją w jéj treści absolutnie czystéj i nieskończenie wzniosłéj, oraz w formie doskonałéj. „Boska komedya“ skupia w sobie całą potęgę wiary chrześciańskiéj, całą dzielność wynikających z niéj aspiracyi etycznych i humanitarnych. Natchniony jéj twórca sięgnął do samego dna współczesnych sobie pojęć, uczuć i wierzeń religijnych, wydobył stamtąd najistotniejszą ich treść, a oczyściwszy ją z wszelkich przypadkowych naleciałości: grubych zabobonów, fanatycznych przesądów i chorobliwego mistycyzmu — wcielił ją w niewymownie pięknych i wzniosłych formach swéj poezyi natchnionéj. Stąd wynika owa, wspomniana wyżéj, niezmierna powaga postaci Dantego, ów ton uroczysty i majestatyczny, przenikający jego poemat. Jest-to odbicie powagi i majestatu, tkwiących w samym przedmiocie, zaiste, najpoważniejszym i najwyższym ze wszystkich, jakie tylko mogą postać w myśli ludzkiéj.

Ta tak poważna i doniosła strona poematu dantejskiego, zajmować nas będzie wyłącznie w dalszéj osnowie niniejszéj pracy. Zadanie jéj polega głównie na usprawiedliwieniu w szczegółowym rozbiorze, wyrażonego tutaj poglądu ogólnego na stanowisko Dantego w poezyi wszechświatowéj.

I.

Rozprawiano wiele nad formą i rodzajem poetyckim „Boskiéj komedyi“; nazywano ją nieraz eposem średniowiecznym. Atoli nowsza krytyka odrzuciła stanowczo to określenie i wykazała dowodnie, iż poemat Dantego nie odpowiada zupełnie warunkom kompozycyi epickiéj. Nie będziemy tu ponownie roztrząsali téj kwestyi, jako nie wchodzącéj w zakres naszego przedmiotu; uznając ją za rozstrzygniętą, zwróćmy się raczéj do wynikających stąd wniosków.

Gdyby „Boska komedya“ była prawdziwą epopeą, posiadałaby może wyższą wartość artystyczną, ale nierównie mniejszą doniosłość religijną i moralną. Istotném zadaniem poezyi epickiéj jest wierne artystyczne odzwierciedlenie współczesnéj rzeczywistości. Poeta epik posiada przedewszystkiém zdolność żywego odczuwania i odtwarzania plastycznego otaczających go zjawisk realnych. On nie wznosi się ponad swe otoczenie, jest przez nie całkiem pochłonięty, tylko widzi je jaśniéj i dokładniéj, niż inni współcześni ludzie i dzięki temu daje nam prawdziwy obraz życia w danych warunkach miejsca i czasu. Ale nic ponad to — jego pogląd na świat, jego sposób

czucia i myślenia są znamiennym wytworem danéj epoki i tracą swe znaczenie po za jéj granicami. Weźmy Homera. Któż będzie w nim dzisiaj szukał przewodnich idei życia? któż obierze sobie za wzór barbarzyńskiego Achila lub chytrego Odyssa? Te kreacye pozostaną na zawsze w literaturze, jako genialnie nakreślone typy natury ludzkiéj, ale nie mają nic wspólnego z obecném naszém życiem. Toż samo da się powiedziéć i o innych postaciach poety, a także o uczuciach i obrazach, rozwiniętych w jego pieśniach.

Inaczéj rzecz się ma z Dantem. Istotną w nim rzeczą nie jest obraz współczesnéj rzeczywistości, lecz raczéj wyraz idealnych jéj aspiracyi. Znajdują się wprawdzie w „Boskiéj komedyi" realne rysy życia, wszelako nie istnieją one same dla siebie, jak w każdéj prawdziwie epickiéj kompozycyi, lecz służą niejako za ilustracyą idei; ta ostatnia stanowi właściwy przedmiot poematu. A wszelka idea z natury swojéj, choć powstaje i rozwija się w określonych warunkach realnych, nie może być nigdy w nich zawartą, sięga daleko po za ich granicę, w dziedzinę nieskończoności. Ludzie różnie zdolni są ją pojmować i odczuwać: jedni biorą ją tak, jak się ona przedstawia w cielesnéj szacie danych stosunków realnych, inni przyswajają sobie czystą, niewcieloną jej treść.

Do tych ostatnich należał Dante. Jego poemat, to polot w nieskończoność na skrzydłach idei. W tym polocie unosi się on ponad obszarami rzeczywistości, odbija zmienne jéj barwy i kształty, ale nie zatrzymuje się nad niemi, nie pogrąża się w nich, lecz dąży ciągle naprzód, w niezmierzoną dal, ku światłu idealnéj, boskiéj prawdy.

Atoli dzieło poezyi nie może być zwierciadłem czystéj idei, musi zawierać uzmysławiający ją obraz konkretny; aby zaś ten mógł powstać, potrzeba określonego punktu widzenia. Dante znajduje go w nastroju umysłowym współczesnéj epoki, wznoszącym się nieraz pod wpływem żarliwości religijnéj do stanu ekstazy mistycznéj, do objawień i wizyi nadprzyrodzonych. W ramach podobnego stanu duszy rozwija się obraz poetycki „Boskiéj komedyi", jako cudowne widzenie duchowego świata, które stało się udziałem poety za sprawą łaski bożéj. Ale ta wizya dantejska nie była wypływem jakiegoś świątobliwego szału wyobraźni, ogarniającego tak często średniowiecznych mistyków-wizyonerów, lecz wynika ze świadoméj siebie dążności twórczéj, jest wzniosłą fikcyą poetycką, mającą unaocznić ludziom w urojonéj szacie zmysłowéj najwyższe prawdy nadzmysłowego świata. Cel ten został osiągnięty dzięki wysokim przymiotom geniuszu twórczego poety. Jasny, logiczny rozum, niesłychanie żywa wyo-

braźnia i potężnie rozwinięta uczuciowość — te trzy zasadnicze czynniki talentu twórczego, które w wyjątkowéj pełni i równowadze posiadał Dante, pozwoliły mu ująć nieskończenie rozległy przedmiot poematu w zarysy zdumiewająco jasne i wyraziste, rozwijające się z niezłomną, matematyczną nieomal konsekwencyą i rozjaśnione blaskiem najwyższego piękna.

Zanim zwrócimy się do szczegółów, ogarnijmy jednym rzutem oka ogólne zarysy tego obrazu.

Naczelne miejsce zajmuje w nim Bóg, jako źródło wszechistnienia, początek i kres wszelkiego dobra i wszelkiéj doskonałości. Duch boży przenika i napełnia sobą cały poemat, obecny jest w każdym jego motywie, począwszy od napisu na bramie piekielnéj, wzniesionéj przez „potęgę wszechwładną, mądrość najwyższą, miłość pierworodną“, aż do najwyższego zachwytu poety nad doskonałością Trójcy Świętéj, do wyrażenia którego „wzniosłéj fantazyi nie starczyło mocy“ [1]). Istność boża, przebywająca w najwyższém, duchowém niebie, Empireum, po za granicami czasu i przestrzeni, za pośrednictwem potęg i mocy niebieskich sprawia ruch najpierwszéj sfery — *primum mobile*. Ruch ten udziela się daléj innym sferom, w których, jak mniemała ówczesna astronomia, słońce i wszystkie gwiazdy obracają się dokoła ziemi. Stąd wynika harmonia wszechświata i uwarunkowane przez nią wszelkie objawy bytu, który w nieprzerwanym ciągu stopniowań rozwija się od ziemi do nieba.

Począwszy od czysto cielesnych stworzeń, przez człowieka, jako jestestwo cielesno-duchowe, następnie przez szeregi niezliczone coraz doskonalszych, coraz bardziéj uduchowionych istot, wznosi się ten łańcuch istnienia aż do najwższego, empirejskiego nieba, przybytku Boga, aniołów i dusz błogosławionych. Dusze owe przemieszkują też na sferach niebieskich, otaczających ziemię, zajmując miejsce tém wyższe, a zatém tém bliższe Boga, im wyżéj zdołały się wznieść w swém udoskonaleniu. Nawet w samém Empireum widzimy pewne ustopniowanie hierarchii niebieskiéj. Błogosławieni tworzą różę mistyczną; między nimi a tronem bożym pośredniczą potęgi niebieskie: Cheruby i Serafy, Archaniołowie i Aniołowie, tworzący dziewięć kręgów, które w nieustannym ruchu krążą dokoła bóstwa, tém bliższego, im z doskonalszych składają się istności.

Krańcowém przeciwieństwem tego królestwa wiekuistéj światłości i szczęścia jest piekielne państwo wiecznych mroków i boleści.

---

[1]) Inf. III—6, Parad. XXXIII—142.

Wyobraża ono ujemną postać bytu, jest jego zaprzeczeniem, jako miejsce wiekuistéj śmierci duszy. Istota bytu polega bowiem na dążeniu do coraz wyższego udoskonalenia; — to dążenie znajduje swój kres ostateczny w jaknajzupełniejszém zharmonizowaniu wszelkich objawów bytowych z ich źródłem i celem, z wolą najwyższą i wszechdoskonałą. Bunt pysznych aniołów był pierwszém naruszeniem téj harmonii i przez to stał się początkiem zła na świecie, czyli negacyi rzeczywistych, pozytywnych zadań istnienia, streszczających się w dążeniu do dobra. Lucyfer, naczelnik buntowniczych duchów, strącony z nieba, ciężarem swego upadku zanurzył się w głąb kuli ziemskiéj i na wieki uwięziony został w samym jéj środku. Wewnętrzna jéj zawartość ustąpiła pod ciśnieniem potwornéj masy cielska szatańskiego: wskutek tego w łonie ziemi utworzyła się otchłań piekielna, na jéj powierzchni zaś, wyparta z wnętrza materya, wzniosła się w kształcie olbrzymiéj góry, sięgającéj wierzchołkiem sfer międzyplanetarnych; góra ta przeznaczona została na miejsce oczyszczenia z grzechów dusz pokutujących.

Lucyfer, jako pierwszy naruszyciel harmonii duchowéj wszechświata, stał się naturalnym władcą dziedziny bezwzględnego zaprzeczenia téj harmonii, czyli bezwzględnego zła. Jest-to zarazem dziedzina wiecznych cierpień i boleści, gdyż prawdziwa radość i prawdziwe szczęście zawierają się jedynie w królestwie bożém, którego przeciwieństwem jest państwo szatańskie. Do tego państwa szatańskiego należą wszystkie duchy, które własną wolną wolą wyrzekają się dążenia do najwyższego dobra. Te duchy same skazują się na śmierć wieczną, one przez samą swą naturę, będącą wytworem woli zepsutéj, mogą istnieć tylko bytem ujemnym, a zatém bytem mąk i cierpień wiecznych, gdyż jego pełna postać dodatnia znajduje się jedynie w doskonałości i szczęściu zjednoczonych przez miłość mieszkańców niebios. Ta ujemna postać bytu posiada także różne stopnie ilościowe; stąd podział otchłani piekielnéj na dziewięć okręgów. W przedsionku piekieł znajdują się dusze, których byt moralny równy jest zeru, dusze ani złe, ani dobre, „nienawistne zarówno piekłu, jak niebu“ [1]). A poniżéj w zwężających się coraz kręgach otchłani pomieszczeni są potępieńcy, tém głębiéj, im większe są ich zbrodnie, aż do samego dna, gdzie przebywają najgorsi, wedle mniemania poety zbrodniarze, zdrajcy i przeniewiercy, a także arcy-zdrajca, ojciec wszelkiéj złości Lucyfer, władca piekielny, potworny robak, co rdzeń świata toczy“ [2]).

---

[1]) A Dio spiacenti ed ai nemici sui. (Inf. III, 63).

[2]) Il vermo reo che il mondo fora. (Inf. XXXI, 108).

Wznosząca się między ziemią a niebem góra czyścowa, również podzielona jest na dziewięć okręgów, odpowiadających stopniowemu oczyszczeniu dusz ze zmazy grzechowéj. I tutaj panują cierpienia i katusze, bo nieodłączne one są od pierwiastku zła, który przylega jeszcze do znajdujących się tu istot. Ale te cierpienia czyścowe przemijające są, bo w duszach pokutniczych jest wola pozbycia się zła i osiągnięcia prawdziwéj doskonałości; tutaj złe jest tylko względne, jest czasową przymieszką dobra, które musi osiągnąć nad niem zwycięstwo. Na szczycie góry czyścowéj znajduje się raj ziemski, gdzie kończy się pokutnicza walka ze złém, a tryumf dobra, wznoszącego się coraz wyżéj w swém udoskonaleniu, bierze swój początek.

Takim sposobem byt czysty i doskonały, poczynający się z Boga, lecz zanieczyszczony w swych ziemskich objawach przez wpływ potęgi szatańskiéj, osiąga oczyszczenie przez pokutę i znajduje ostateczne ujście w zjednoczeniu przez miłość z wszechdoskonałością bożą.

II.

Taka jest w najogólniejszych zarysach budowa świata nadprzyrodzonego „Boskiéj komedyi“.

Podstawą jej niewzruszona i niezmienna treść dogmatów kościelnych, za materyał budowlany służyły wyobrażenia zmysłowe, wyrosłe na gruncie wiary dogmatycznéj, plan i układ całości jest samorodnym wytworem geniuszu twórczego poety.

W każdej budowli plan artystyczny jest rzeczą główną, w nim przejawia się myśl, ożywiająca dzieło, jego cel i przeznaczenie. I w owéj poetyckiéj budowli dantejskiej, przedewszystkiem uderza wielka myśl religijna poety, niezmierzona głębia jego religijnéj samowiedzy. W pojmowaniu rzeczy nadzmysłowych, Dante wznosi się nieskończenie po nad naiwne i materyalistyczne wyobrażenia średnich wieków i nadaje postaciom i obrazom swego poematu charakter czystej duchowości. Jasną jest bowiem rzeczą, iż wszystkie zawarte w nich kształty i zarysy materyalne nie mają wyobrażać rzeczywistych stosunków bytu zagrobowego, lecz są symbolami, służącemi do wyrażenia zmysłowego, niedościgłych w swej naturze istotnej pojęć i ideałów religijnych. Sam poeta kilkakrotnie w ten sposób wyjaśnia znaczenie różnych swych obrazów [1]).

Dla ukształtowania tych symboli i alegoryi, poeta posiłkuje się jako surowym materyałem, wyobrażeniami zmysłowemi podań i legend

---

[1]) Inf. IX, 61; Purg. IX, 70; Parad. XVII, 128; XXXII, 139.

ludowych, ale zazwyczaj przetwarza go, uszlachetnia estetycznie i uzupełnia pomysłami własnej fantazyi, niekiedy motywami mitologii starożytnej. Stosunkowa ilość tego materyału z zewnątrz poczerpniętego, zmniejsza się w miarę, jak poeta wstępuje w swej wędrówce pozaświatowéj do sfer coraz wyższych: najwięcéj zawiéra go „Piekło“, znacznie mniéj „Czyściec“, a obrazy poetyckie „Raju“ zupełnie prawie wolne są od niego i całkowicie nieomal wysnute z pomysłów samodzielnéj twórczéj fantazyi.

W pieśniach „Piekła“ napotykamy istotnie wiele rysów i motywów, wytworzonych przez naiwną wyobraźnię ludową. Są tam i okropne otchłanie i ognie straszliwe, piekące potępieńców, i dręczące ich potworne postaci szatanów, rzeki krwi, jeziora wrzącéj smoły, cały system mąk i kar, przedstawionych w sposób zmysłowy i materyalny. Ale jakże znacznym przemianom uległy w poemacie Dantego te popularne wyobrażenia o piekle, jak nieskończenie rozmaite są kształty i sytuacye z nich wysnute, a przedewszystkiém, jak pogłębione i uduchownione zostało wewnętrzne ich znaczenie. W „Boskiéj komedyi“ te wyobrażenia materyalne zamieniają się na alegorye, pełne psychologicznéj i moralnéj treści, uprzytomniające nam z niezmierną żywością występne popędy i namiętności ludzkie. Czyż można np. trafniéj oddać oszołomienie namiętnością zmysłowo-miłosną, jak przez ów okropny wicher, unoszący duchy w nieustannym, szalonym wirze, który poeta przedstawia nam w V-éj pieśni „Piekła“! W następnéj zaraz pieśni, jakże odmienny, a również doskonale przystosowany do natury występku, obraz katuszy, zgotowanych przez inne wykroczenie zmysłów, przez bezmierne obżarstwo. Duchy, cierpiące tu, pogrążone są w błotnistym gruncie, rozmoczonym przez nieustanną ulewę; poeci zmuszeni iść zwolna „brudną mieszaniną z błota i cieniów, jak grząską drożyną“ (przekład Korsaka). Widoczna tu różnica w wewnętrznéj naturze kary w tym i poprzedzającym obrazie. Tam męka duchów, choć ciężka i straszliwa, posiada jednak szlachetniejszy charakter, niż wstrętny stan potępionych żarłoków, podobnie jak będąca jéj przyczyną namiętność, jakkolwiek zgubna i grzeszna, jednak uszlachetniona przez miłość, nigdy nie poniża człowieka w tym stopniu, co czysto zwierzęca chuć jadła: bo wszystkie kary piekła dantejskiego są właściwie tylko naturalnym wynikiem odpowiadających im występków, wystawiają alegorycznie moralne i fizyczne cierpienia, będące logiczną konsekwencyą przeróżnych zboczeń natury ludzkiéj. Możnaby przytoczyć wiele innych przykładów, stwierdzających powyższy pogląd; wspomnę tu jeszcze obraz walk i zapasów, szarpiących się nawzajem złośników (pieśń VIII), oraz

rzekę krwi, w któréj pogrążeni są tyrani i gwałtownicy (pieśń XII). Alegorye w tych ustępach jasne są nader i wyraziste.

Oczywiście są téż w obrazach piekła rysy, pozbawione znaczenia alegorycznego, wryte wyłącznie, lub przeważnie w celach artystycznych, dla spotęgowania wrażenia grozy i okropności, które poeta chciał wywołać w czytelniku. Takie rysy widzimy np. w fantastycznéj scenie nad brzegami smolnéj sadzawki, będącéj miejscem kary złodziei i oszustów (p. XXII): mamy tu dziki i przerażający obraz, zaprawny przytém rubasznym komizmem, zupełnie w duchu naiwno-jaskrawych wyobrażeń średniowiecznych. Jeszcze bujniejsza i dziksza fantastyczność zawiéra się w obrazie straszliwéj jamy, gdzie cierpią mękę złodzieje grosza publicznego, przybierając naprzemian postaci ludzi i gadów. Tutaj podziwiać trzeba głównie Dantego, jako genialnego artystę, rozporządzającego takiém nieprzebraném bogactwem kształtów i taką niesłychaną siłą plastyki, choć i tu nie brak rysów charakterystycznych, w których odbija wewnętrzna natura występków ludzkich w ich ostatecznych, potwornych wynikach.

Oprócz wyobrażeń chrześciańskich o piekle, Dante wprowadza także do swego poematu postaci demoniczne mitologii klasycznéj. Po większéj części służą one jako alegorye i uosobienia różnych występków. I tak Cerber z potrójną paszczęką wyobraża namiętność obżarstwa—Pluto, bożek pieniędzy jest uosobieniem chciwości. Minotaur— nadużyć zmysłowych, przeciwnych naturze. Centaury — srogości i okrucieństwa i t. p. Natomiast dwie wspaniałe figury, przewoźnika Charona i Minosa, sędzi piekielnego, nie wyrażają, o ile się zdaje żadnéj głębszéj myśli, lecz imponują niezrównaną siłą uplastycznienia i mistrzowską charakterystyką. Żaden z poetów nowoczesnych (z wyjątkiem może Goethe'go) nie dorównał Dante'mu w szczęśliwém i świetném zużytkowaniu postaci mitologicznych. Kiedy u innych te postaci są zawsze tylko mniej lub więcej zręczném naśladownictwem, u niego zdają się być dziełem samorodnéj zupełnie twórczości. Wszystkie owe wspomniane wyżéj demony klasyczne tak nic nie wyróżniają się swym obcym charakterem, tak przystają doskonale do całego obrazu królestwa piekielnego, iż wydają się jakby umyślnie dlań stworzone. Słusznie téż zauważył Klaczko [1]), iż wobec tego mimowoli nasuwa się myśl o jakiémś przedwieczném, powszechném objawieniu, które było wspólnym udziałem całego rodzaju ludzkiego.

---

[1]) Causeries florentines. Revue des deux Mondes. 1880.

Idźmy daléj w rozważaniu alegoryi dantejskich. Przejrzyste są one i wyraźne bardzo w pierwszéj części poematu, ale wyraźniejsze jeszcze w drugiéj, w obrazach pokuty czyścowéj. Wynika to stąd, iż poeta nie potrzebował tutaj uzupełniać rysów alegorycznych rysami, mającemi na celu spotęgowanie grozy mąk i katuszy, jak to widzieliśmy w obrazach piekła. Cierpienia dusz czyścowych nie osiągają najwyższego natężenia, w którém przejawia się ostateczny moralny upadek potępieńców, lecz tyle tylko posiadają siły, ile potrzeba dla wytępienia złych nałogów i ułomności w duszach pokutniczych. Przytém inna jest zupełnie ich natura niż w piekle. Tam, jak widzieliśmy męki i katusze duchów są ostateczną konsekwencyą występków, fatalnym, nieuniknionym ich skutkiem, tutaj cierpienia wypływają z samowiednego aktu woli, żądnéj oczyszczenia, są objawem potężnego wysiłku duszy, który, jako taki, musi być ciężki i bolesny. Różne rodzaje cierpień wynikają z rozmaitych kierunków, w jakich zwracać się muszą te wysiłki, odpowiednio do natury grzechu, który przez nie ma być wypleniony.

Weźmy i tutaj kilka wybitnych przykładów.

W pierwszym okręgu czyśca widzimy dusze tych, co zgrzeszyli za życia pychą; dźwigają one olbrzymie ciężary, któremi wpół są zgięte i przytłoczone do ziemi (p. X). Stan ten wyobraża symbolicznie pokorę, w któréj ćwiczyć się muszą i doskonalić duchy pyszne, co jéj za życia nie znały. W następnym okręgu (p. XIII) odbywają pokutę dusze ludzi zawistnych; oczy ich zasłonięte powiekami, spojonemi boleśnie za pomocą drutu. I tutaj alegorya bardzo jest jasna. Zawiść przejawia się w odrazie, jaką sprawia widok cudzego szczęścia; cierpienie musi zatém dotknąć organu widzenia, za pośrednictwem którego okazuje się ta zła skłonność i który rozumiany tu jest oczywiście w znaczeniu przenośném. Trzeba gwałtownym i bolesnym wysiłkiem zniweczyć zawistny wzrok naszéj duszy, jeśli mamy się pozbyć grzechu zawiści. Daléj w kręgu piątym (p. XX) znajdują się ci, co nadto przywiązywali wagi do dóbr ziemskich i przewinili chciwością w ich nabywaniu, leżą oni twarzami do ziemi, by wpatrzeni nieustannie w proch ziemski, poznali dokładnie całą nicość i marność tego wszystkiego, co z ziemi pochodzi, a za czém za żywota swego zbyt usilnie się ubiegali. W szóstym kręgu (p. XXIII) widzimy dusze smakoszów i żarłoków. Pokuta ich na tém polega, iż trapieni są nieustannym głodem; oczyszczają się z grzechu żarłoctwa, doświadczając cierpień, których nigdy w życiu nie znali. Wreszcie w ostatnim kręgu pokuty (p. XXIII) dusze ludzi, skażonych nadmiernem upodobaniem w rozkoszach zmysłowych, przechodzą przez ogień

niebieski, który wypala w nich wszelkie ślady téj niskiéj żądzy. Ogień ten ma zupełnie inne znaczenie, niż płomienie piekielne: jest on symbolem ostatecznego oczyszczenia duchów, z przylegających jeszcze do nich resztek zmysłowości; dlatego każdy duch, który okupił swe winy w jakimkolwiek kręgu czyśca, musi jeszcze przebyć jego płomienie, i dopiéro oczyszczony przez nie, może wstąpić na sam szczyt góry czyścowéj, który nie jest już miejscem pokuty, lecz rajem ziemskim, stanowiącym niejako przedsionek raju niebieskiego.

Jak widzimy, grzechy, okupywane pokutą czyścową, są te same, które w piekle karane są wiecznemi mękami. Niekonsekwencya, jaką poeta zdaje się tu popełniać, okaże się pozorną przy bliższéj rozwadze. Wedle teoryi Dante'go, wysnutéj z głęboko pojętych zasad chrześciańskich, istotna wina potępieńców piekielnych tkwi nie w naturze ich grzechów, lecz w ich woli złéj z gruntu i niezdolnéj do poprawy. Każdy człowiek, jako istota niedoskonała i ułomna, skłonny jest wpaść w błędy i zboczenia grzechowe, lecz zawsze może podnieść się z upadku przez swą wolną wolę i za jéj sprawą dążyć do udoskonalenia duchowego. Wtedy tylko bezpowrotnie jest stracony i skazany na wieczne potępienie, gdy brak mu woli dobra i chęci poprawy; bo wtedy jestestwo jego zatrute jest u samego źródła i nigdy nie będzie zdolne wznieść się do wyższéj doskonałości, otwierającéj duszy wstęp do raju. Skoro tylko człowiek posiada prawdziwą i silną wolę dobra, już tém samém nie może upaść na zawsze: ona staje się dźwignią, podnoszącą go z upadku grzechowego, jest bodźcem pobudzającym do wysiłków ducha, do walki ze złemi skłonnościami i przyrodzoną słabością natury ludzkiéj.

Atoli życie jest krótkie; śmierć na każdym kroku na nas czyha i porywa nas często, zanim zdołaliśmy wyplenić w sobie wady i grzechy. Czyż więc wskutek braku czasu do poprawy i udoskonalenia wewnętrznego mamy być potępieni? Czyż tak niesprawiedliwe i niemiłosierne mają być wyroki wszechdobrego Bóstwa? W odpowiedzi na to, mamy pełen głębokiéj miłości chrześciańskiéj, katolicki dogmat czyśca, który w całéj swéj wzniosłéj treści uplastyczniony został w „Boskiej komedyi“.

Nie, człowiek nie będzie odpowiadał za brak możności podźwignięcia się z grzechu. On tylko odpowiada za to, co jest w jego mocy, a w mocy jego jest dobra wola poprawy; jeśli tylko ją posiada, pozostawiona jest mu możność użycia jéj w życiu pozagrobowém, w pokucie i skrusze czyścowéj. Pokuta ta jest więc jakby dalszym ciągiem rozpoczętéj, lub choćby zamierzonéj tylko, w życiu doczesném pracy nad własném udoskonaleniem. Tak zawsze pojmuje ją Dante.

Spotykane przez poetę w czyścu duchy, wielokrotnie wyznają, iż szczery żal za grzechy i chęć poprawy, w godzinę śmierci uczute, zbawiły je od mąk piekielnych.

Z takiego pojmowania pokuty czyścowéj wynika, iż jest ona w zupełności objawem samorodnéj i wolnéj woli duchów, nie pozostaje pod żadnym przymusem zewnętrznym. Wogóle wyobrażenia jakiegokolwiek zewnętrznego przymusu nie ma w całym świecie nadprzyrodzonym „Boskiéj komedyi"; nie ma go nawet w piekle. Wolność ducha ludzkiego wszędzie została uznana i uszanowana przez poetę. Wprawdzie widzimy postać Minosa, sędzi piekielnego, który naznacza duchom miejsce ich pobytu; tu i owdzie jeszcze możnaby wskazać drobne szczegóły, świadczące o przemocy i tyranii demonów nad grzesznikami. Atoli są to wszystko rysy czysto zewnętrzne, mające tylko estetyczne znaczenie, służące do uplastycznienia i ożywienia akcyi. Istotne pojęcie bodźca, pędzącego dusze na męki piekielne, zawiéra się w objaśnieniu Wirgiliusza, daném poecie nad brzegami Acherontu, przez który przeprawiają się dusze potępione:

Wszyscy, co w gniewie umierają Bożym.
Tu się gromadzą ze wszech krańców świata;
A wszystkim śpieszno przebyć ową rzekę,
Bo tak je nagli sprawiedliwość Boska,
Że bojaźń kary w żądzę się zamienia [1]). (p. III, 122).

Tak więc przymus jest tu pojęty w znaczeniu czysto moralném, jako wewnętrzny popęd woli, wynikający z saméj natury potępionych duchów, stanowiący nieuniknioną, logiczną jéj konsekwencyę. Wobec tego jasném jest, iż w „Boskiéj komedyi" nie ma ani śladu pojęcia zemsty bożéj, które zazwyczaj spoczywa na dnie pospolitych wyobrażeń o doczesnych i wiecznych karach grzeszników. Zemsta, jako uczucie niskie, kapryśne i zmienne w swych objawach, nie może zawiérać się tam, gdzie panuje najwyższa Wszechsprawiedliwość boska, przejawiająca się w niewzruszonéj logice powszechnych praw

---

[1]) Ustęp ten jak i wszystkie dalsze przytoczenia biorę z przekładu Stanisławskiego, tylko w niewielu wyjątkowych razach uważam za właściwe uciec się do dawniejszego przekładu Korsaka. Przy sposobności zauważę tu, iż oba całkowite przekłady polskie „Boskiéj komedyi" nie są zupełnie zadawalniające. Pierwszy, Korsaka, zawiéra zaledwie kilka ustępów szczęśliwych, oddanych pięknie i poetycznie, wogóle zaś jest straszliwie niedbały, niepoprawny i niewierny. Przekład Stanisławskiego odznacza się nieposzlakowaną wiernością, ale, niestety, urok poezyi dantejskiéj całkiem prawie się w nim ulotnił, jest poprawny i wierny, ale niemal zupełnie prozaiczny. Z tego powodu, gdzie to uznam za potrzebne, obok przekładu, przytoczę i tekst oryginalny.

moralnych, tak jasno uwydatnionéj w całym systemie pojęć dantejskich.

Bezwzględna autonomia woli ludzkiéj, ograniczonéj jedynie w swéj wolności prawami logicznemi swéj własnéj istoty, okazuje się w całéj pełni na każdéj karcie Czyśca. Tutaj nie ma nawet tych drobnych, powierzchownych rysów, które w piekle nasuwają wyobrażenie zewnętrznego przymusu. Duchy czyścowe śpieszą na miejsce pokuty, posłuszne jedynie swéj chęci i pragnieniu; żadna obca siła nie przynagla ich do tego: cała żarliwość ich skruchy jest wynikiem ich własnéj, nieprzymuszonéj woli oczyszczenia i udoskonalenia. Nawet czas trwania pokuty zależy wyłącznie od woli i samowiedzy duchowéj, kończy się ona w chwili, gdy poczuły się wolnymi od wszelkich złych skłonności i godnymi szczęścia rajskiego—wtedy, mocą jedynie swéj własnéj chęci, opuszczają czyściec i wznoszą się do sfer niebieskich. Wyraźnie to się okazuje w epizodzie, gdzie dusza poety Staciusza, przedstawiona jest właśnie w chwili ukończenia swych cierpień czyścowych i wzniesienia się do nieba. Wyjaśnienie, jakie daje Staciusz na zapytanie Dante'go, jasno stwierdza wyrażony powyżéj pogląd na stosunek pokuty czyścowéj do wolnéj woli duchów:

O czystości duszy świadczy wola sama,
Co niespodzianie w niéj się tu przebudza,
Gdy zmienić stan swój jest już całkiem wolną,
I takiéj woli poddaje się rada.
Przedtém zaś dusza chęć ku temu czuje,
Ale téj chęci sprzeciwia się żądza,
Która z wyroków sprawiedliwych Boga,
Jak niegdyś grzechu, tak męczarni pragnie.
I ja com z górą pięćset lat przeleżał
W takiéj boleści, ledwiem teraz uczuł
Wolę do wyższych krain wstąpić wolną.
(Czyściec, XXI, 61—70).

Powyższa zasada, że duchy tylko własną wolą i zasługą zdobywają sobie niebo, ulega jednak pewnemu ograniczeniu, przez dogmat katolicki o wpływie modłów ludzi żyjących na los dusz czyścowych, dogmat, który w całéj swéj sile został uwydatniony w „Boskiéj komedyi" i ciągle nam się przypomina w pieśniach Czyśca. Wszystkie prawie duchy, spotykane przez poetę, powtarzają prośbę o modlitwy za sobą, i zapewniają o wielkiéj skuteczności tych modłów, które mogą przyczynić się do skrócenia czasu ich pokuty. To przekonanie należy do najistotniejszych zasad Dante'go i wiąże się jaknajściśléj z całym systemem jego pojęć religijnych. Ma ono swe źródło w uznaniu łączności duchowéj całego rodzaju ludzkiego, łączności, która

przez śmierć nie zostaje wcale przerwaną i w zakresie stosunku między żyjącymi i umarłymi nosi w dogmatyce kościelnéj nazwę obcowania świętych. Z niéj wynika, iż dobra wola ludzi żyjących, wyrażona w szczeréj modlitwie, zespala się z wolą dusz czyścowych, przejawiającą się w pokucie i zwiększając jéj siłę, przyśpiesza tém samém osiągnięcie ostatecznego celu jéj dążeń.

Wysiłki woli, stanowiące właściwą istotę pokuty czyścowéj, są głównym i najdzielniejszym środkiem poprawy i udoskonalenia moralnego. Ale nie jest to środek jedyny. Doniosłe również znaczenie posiada tu wewnętrzna kontemplacya, prowadząca do gruntownego poznania natury różnych cnót i występków; przez nią wzmaga się samowiedza ducha, będąca koniecznym warunkiem jego postępu ku wyższéj doskonałości. W pieśniach czyśca dantejskiego odgrywa ona też bardzo ważną rolę i podobnie, jak rozmaite formy pokuty, przedstawiona została za pośrednictwem jasnych i plastycznych symbolów. Oto w każdym okręgu widzimy obrazy symboliczne, zawierające wybitne przykłady cnotliwych i występnych czynów, wzięte bądź to z pisma świętego, bądź téż ze świeckiéj historyi.

Bogata fantazya poety, dla wywołania żywszego wrażenia, nadała tym obrazom postaci bardzo różnorodne: ukazują się one naprzemian jako cudowne rzeźby, ryte na skale, jako niewidzialne głosy, rozbrzmiewające w powietrzu, jako widzenia wewnętrzne, postaci alegoryczne i t. p. Jasną jest rzeczą, iż wszystkie te zjawiska mają na celu uzmysłowienie refleksyi umysłowéj dusz pokutujących nad objawami tych występków, z których muszą się oczyścić, jak również cnót, w których powinny się ćwiczyć. Obrazy pierwszych ukazują się przy wejściu do każdego okręgu, drugich przy wyjściu z niego. Duchy czyścowe najprzód muszą rozważyć i zgłębić całą szkaradę występków i grzechów, któremi przewiniły, następnie dopiéro mogą doskonalić się w przeciwnych im cnotach.

Ogólnie mówiąc, cały obraz kar i pokuty dusz czyścowych posiada w „Boskiéj komedyi“ znaczenie alegoryczne i uplastycznia wewnętrzne przeradzanie się ducha ludzkiego w jego życiu zagrobowém i stopniowy postęp w udoskonaleniu moralném.

Dalszy rozwój tego postępu duchowego widzimy w pieśniach Raju. Ale tutaj inaczéj on się przedstawia. Dusze, które wzniosły się do królestwa rajskiego, wolne są od wszelkich grzechów i ułomności ludzkich, osiągnęły najwyższą doskonałość wewnętrzną, do jakiéj tylko były zdolne, zatém dalsze udoskonalenie indywidualne jest tu niemożliwe, ale niemniéj przeto istnieje stopniowanie w postępie ku doskonałości duchowéj natury ludzkiéj, wziętéj ogólnie. Poeta,

jak wszędzie i tutaj również stoi niezachwianie na gruncie dogmatu, pojętego jednak w sposób niezwykle głęboki i rozległy; dzięki temu usuwa pozorne przeciwieństwo, zdające się zachodzić między prawowiernością dogmatyczną, a niezależną myślą ludzką. Wedle dogmatu wszystkie dusze, schodzące ze świata w stanie łaski bożéj, osiągają królestwo niebieskie, a zatém wszystkie cieszą się jednaką pełnią szczęścia i chwały. Atoli to wyobrażenie wydaje się sprzeczném z wielką różnorodnością zasobów i uzdolnień w poszczególnych jednostkach. Zupełna czystość moralna nie jest tém samém, co najwyższa doskonałość duchowa. Wobec tego trudno się pogodzić z zasadą równouprawnienia wszystkich duchów w życiu zagrobowém, wielkich i małych, wzniosłych i pospolitych. Godząc to pozorne przeciwieństwo i rozwijając logicznie treść dogmatu, Dante podwójnie przedstawia w obrazach symbolicznych stan dusz błogosławionych. Właściwe miejsce ich pobytu znajduje się po za granicami przestrzeni wszechświata, w niebie empirejskiém, gdzie wszystkie używają jednakiéj pełni szczęścia, zjednoczone w symbolu róży mistycznéj; wszelako, aby dać poznać swe względne stanowiska w hierarchii niebieskiéj, ukazują się najprzód poecie na siedmiu sferach, których istnienie Dante przypuszczał wedle systemu Ptolemeusza. Najmniéj udoskonalone duchy ukazują się na sferze księżyca, jako najbliżéj ziemi położonéj, następujące sfery: Marsa, Wenery, Jowisza, Słońca i Saturna wyobrażają coraz wyższy postęp w doskonałości duchowéj; — sfera gwiazd stałych leży na granicy przestrzeni, po za nią znajduje się niebo duchowe, Empireum.

Poeta objaśnia wyraźnie przez usta Beatriczy, że cały ten obraz rozmieszczenia dusz w przestrzeni jest tylko uzmysłowieniem, niepojętych dla umysłu ludzkiego tajemnic boskich:

Tak do waszego ducha mówić trzeba,
Bo on od zmysłów uczy się jedynie
Co potém myśli swéj uznaje godném. (Raj, IV, 40).

Rozwinięty w 3-éj części poematu system nagród niebieskich, jak przedstawione poprzednio systemy kar wiecznych i pokuty czyścowéj, opiéra się na uznaniu bezwzględnéj autonomii woli ludzkiéj i nacechowany jest tą samą, co tamte, logiką i sprawiedliwością. Wedle niego od istoty ludzkiéj wymaganém jest tylko to, co jest w jéj mocy: rozwinięcie w pełni tkwiących w jéj naturze uzdolnień i darów bożych, oraz zharmonizowaniu swéj woli z wolą bożą, czyli z uwarunkowanym przez nią porządkiem moralnym wszechświata. Oto jest zadanie, które człowiek, jako istota duchowa, ma do speł-

nienia w swém życiu doczesném i wiecznėm. Skoro je spełni całkowicie, używa niezmąconego szczęścia rajskiego bytu, niezależnie od tego, do jakiego stopnia doskonałości wznieść się zdołał; gdyż stopień ten jest już niezależny od jego woli i możności. Kres, do jakiego wznieść się może poszczególna jednostka, naznaczony jest z góry w naturze jéj wewnętrznéj, przez ogół posiadanych przez nią uzdolnień i zasobów duchowych. Rozmieszczenie tych kresów na różnych wysokościach duchowego bytu jest wynikiem opatrznych wyroków boskich, których pełne poznanie i zrozumienie niedostępne jest dla samego umysłu [1]). Nam dość jest wiedzieć, że jeśli każdy poszczególny osobnik ludzki znajduje zawsze granice swego rozwoju, ludzkość, wzięta jako całość, nie zna tych granic i dlatego wybrani jéj przedstawiciele w szeregu nieskończonych stopniowań, wznoszą się do sfer coraz wyższych, a najdoskonalsi z nich zbliżają się do Bóstwa, czyli do ideału wszechdobra i wszechdoskonałości, nie znającego ni końca, ni kresu żadnego.

Uzmysłowienie poetyckie całéj téj wzniosłości bytu rajskiego stanowiło niewątpliwie najwyższe zadanie, jakie kiedykolwiek podjął geniusz twórczéj poezyi; — tylko mistrz téj miary i téj mocy, co Dante, zdolny był mu podołać. W pieśniach Raju wznosi się on do szczytu natchnienia i w ramach swéj wspaniałéj symboliki obejmuje niemal całą nieskończoność duchowego świata. Oczywistém jest, iż ta symbolika, mając do wyrażenia tak nieujęty i bezmierny przedmiot, nie może posiadać wyrazistych zarysów, nie może rzucać się nam w oczy plastyką kształtów i żywością barw, musi zawierać wiele obrazów zamglonych, wiele nie domówionych myśli, które wyobraźnią trzeba dopełniać i sercem zgadywać. Płynąc po tém niezmierzoném morzu poezyi, rozlewającem swe fale w 3-éj części „Boskiéj komedyi“, czujemy zawsze, że mamy pod sobą bezdenną głębię, otchłań, pełną tajemnic i zagadek, która pociąga magnetycznie wyższe umysły, ale zraża i zniechęca pospolitą myśl ludzką. Słusznie też poeta na początku 2-éj pieśni Raju ostrzega tych z pomiędzy swych czytelników, którzy nie czują w sobie dosyć siły ducha, aby nie podążali daléj za jego natchnieniem:

O wy, co żądzą słuchania wiedzeni,
W malutkiej łodzi płynęliście dotąd
W ślad żeglującéj ze śpiewem mej nawy,
Wracajcie raczej ku rodzinnym brzegom,

---

[1]) Parad. XXXII. 55—75,

Na toń nie ważcie, bo tracąc mnie z oczu,
Może zbłąkani zostaniecie sami. (Raj, II, 1—15).

Widocznie ostrzeżenie nie było zbyteczne. Istotnie, większość czytelników zawraca zwykle maleńkie łódeczki swéj myśli od granic owych wód rajskich, po których tak śmiało żegluje geniusz Dantego. Ogół przeważnie zna Dantego jako ponurego śpiewaka okropności i grozy piekieł, ale niewiele wié o Dantem, słodkim wieszczu wzniosłych rozkoszy raju. Piekło pociąga swoją niezrównaną plastyką, swą ożywioną akcyą, swemi epizodami, w których z taką prawdą odzwierciedlają się namiętności ludzkie, cała konkretna rzeczywistość życia ludzkiego. Oczywiście pod tym względem dwie następne części „Boskiéj komedyi“, a szczególniéj trzecia, nie mogą współzawodniczyć z pierwszą. Wynika to z saméj natury przedmiotu.

Niestety, życie nasze bez porównania podobniejsze jest do piekła, niż do raju. Poeta, przedstawiający dziki zamęt występków, będzie zawsze bliższym prawdy, niż ten, który zechce odtworzyć wzniosłą harmonię cnót: pierwszy potrzebuje tylko wiernie obserwować otaczające życie, drugi musi je uzupełniać i podnosić wyższą treścią swéj własnéj duszy. Stamtąd téż zaczerpnął Dante osnowę swych rajskich obrazów. Nie ma w nich zewnętrznéj rzeczywistości życia, ale jest rzeczywistość wewnętrzna duszy, jest prawda idealna najwyższych uczuć i myśli, do jakich zdolny jest wznieść się umysł ludzki. Ta prawda istnieje od wieków w łonie ludzkości i nieraz żywym blaskiem jaśniała w wielkich i szlachetnych duszach; ale jest tak odległa od świata zjawisk, tak wysoko wznosi się ponad zwykły poziom naszego bytu, iż nader rzadko, wyjątkowo tylko znajduje w pojęciach swój pełny wyraz, a jeszcze rzadziéj zjawia się w jasnych kształtach przed wzrokiem naszéj wyobraźni.

Wzniosłe aspiracye religijne, stanowiące osnowę raju dantejskiego, ile razy zostały odtworzone w poezyi, przedstawiały się zawsze bądź to w nader nieokreślonych zarysach, bądź téż zyskując na wyrazistości, traciły na wewnętrznéj swéj treści, która ulegała przekształceniu pod wpływem dowolnych pomysłów fantazyi, lub téż ginęła wśród licznych ornamentacyi poetyckich. Dante, jedyny ze wszystkich poetów, zdołał oddać najwyższe wyobrażenia religijne chrześciaństwa w formie, odpowiadającéj wewnętrznéj ich istocie. Na tém polega główny tytuł jego wielkości. Słusznie podziwiana jest potęga i groza wspaniałych obrazów piekła, niezrównany wdzięk poetycki, przenikający obrazy czyśca; — ale dopiéro w pieśniach Raju objawia się całkowicie niedościgły, wyższy nad wszelkie porównania geniusz poety. Jako śpiewak grozy piekielnéj, Dante ma współza-

wodników w literaturze powszechnéj. Milton nie dorównywa mu wprawdzie bogactwem plastyki i żywością akcyi, ale zbliża się doń, a niekiedy nawet przewyższa go wzniosłą potęgą ogólnych zarysów: Klopstock, choć wogóle nieskończenie niższy od Dantego, w głębokiéj i dosadnéj charakterystyce postaci demonicznych miewa chwile nader szczęśliwego natchnienia; ale ani Milton, ani Klopstock, ani żaden inny poeta chrześciański nietylko nie dorównał Dantemu w żadnym względzie, ale nawet nie zbliżył się do niego w sposobie odtworzenia obrazu bytu rajskiego. Tutaj śpiewak „Boskiéj komedyi“ stoi samotny i niedościgły, zarówno w głębokiém ujęciu, jak i wspaniałém zobrazowaniu wielkich idei religijnych. U innych poetów, którzy pokusili się o określenie wzniosłości nieba chrześciańskiego, religia staje się mitologią, postaci Boga, aniołów i świętych, choć nieraz piękne i poetyczne, nic nie mają prawie wspólnego z istotnemi wyobrażeniami religii chrześciańskiéj; otrzymując zewnętrzne kształty, tracą całą swą wzniosłość duchową. Jeden Dante tylko umiał odtworzyć te postaci w pełni ich wewnętrznéj istoty i w kreśleniu ich zachował całą godność religijnego namaszczenia. U niego fantazya nie przekształca idei religijnych, lecz tylko nadaje im pełną wyrazistość, unaocznia je naszéj wyobraźni. Niebo dantejskie jest prawdziwie jakąś sferą duchową, w któréj nie ma nic cielesnego: radość i szczęście w niém panujące są istotnie nadziemskie, są czémś, nie dającém się w pełni wyrazić; czémś, czego ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce ludzkie odczuć nie zdoła. Na całym obszarze poezyi nie znaleść utworu, uprzytomniającego w tak doskonały sposób wrażenie czystéj duchowości, wolnéj zupełnie od przymieszki pierwiastków zmysłowych. Wrażenie to wywołane zostaje przez eteryczny i przezroczy ton obrazów poetyckich raju, oraz przez brak w nich wszelkich ograniczeń, wszelkich określonych zarysów materyalnych. Dzięki temu przenoszą one nasz umysł w jakąś nadziemską i nadzmysłową dziedzinę, niepojętą w swéj treści i nieograniczoną w swym zakresie, otwiérają przed nami świat, nie mający nic wspólnego z otaczającą nas rzeczywistością zmysłów, świat duchowéj i boskiéj idealności.

Zauważmy przytém, że wszystkie te obrazy rajskie mają zawsze tylko symboliczne znaczenie i złożone są z rysów niezmiernie prostych, oraz z bardzo nielicznych wrażeń zmysłowych. Właściwie mamy tu jedynie trzy zasadnicze wrażenia: ruchu, światła i dźwięku, najidealniejsze i najmniéj materyalne ze wszystkich możliwych. Dusze błogosławione okazują się we wszystkich sferach, jako światła różnéj mocy i wielkości, radość ich objawia się natężeniem blasku, oraz ży-

wością ruchu, ich cześć dla Bóstwa znajduje swój wyraz w pieśniach i hymnach, tak nadziemsko wzniosłych, iż nie mogą być powtórzone i oddane w mowie ludzkiéj.

Światła błogosławione tworzą niekiedy pewien całokształt obrazowy, będący symbolem ich stanowiska w niebiesiech i znaczenia w świecie duchowym. Oto w sferze słonecznéj ukazują się poecie dwa olbrzymie koła świetliste, których nieustanny ruch wirowy wyobraża dążność duchów do osiągnięcia pełnéj wiedzy tajemnic boskich. Daléj, przebywające w sferze Marsa, duchy bojowników wiary tworzą promienisty krzyż, jako godło, pod którém walcząc, zdobyły sobie królestwo niebieskie; w sferze Jowisza świetlane postaci świątobliwych władców układają się w kształt orła, będącego znamieniem najwyższéj (wedle przekonania poety) godności monarchicznéj na ziemi, t. j. cesarstwa rzymskiego. Wreszcie w sferze ostatniéj planety Saturna znajdują się dusze, które przez kontemplacyę wewnętrzną najbardziéj zbliżyły się do Boga; dlatego przedstawione zostały jako światła, wznoszące się na nieskończenie wielkiéj drabinie aż do najwyższych przestworów empirejskiego nieba, aż do tajemniczego przybytku Trójcy Świętéj [1]).

W Empireum, jak już wyżéj powiedziano, zebrane są wszystkie

---

[1]) W pewném świeżo wydaném i bardzo poważném dziele polskiém („Dzieje lit. pow.“ Warszawa, 1887, tom II, str. 948) napotkałem nader lekki sąd o będących tu w mowie obrazach Raju. — Sąd ten wygłoszony przez p. Edwarda Grabowskiego, który widocznie nie należy do wielbicieli „Boskiej komedyi“, a obrazy jéj rajskie poczytuje za całkiem chybione i widzi w nich coś teatralnego, a nawet baletowego i wyśmiewa nieudolne, jak mniema, wysiłki poety w oddaniu szczęścia wybranych.—Sądzę przedewszystkiem, iż ów ton lekki i żartobliwy w jakim krytyk wyraża się tu o poezyi dantejskiej nie jest ani właściwy ani słuszny. — Boską Komedyą porównywano nieraz trafnie do katedry gotyckiej. Krytycy powinni mieć na pamięci to porównanie i wstępując do wnętrza tego wspaniałego pomnika poezyi chrześciańskiéj, powinni się w nim zachowywać tak jak w świątyni, jeśli nie z pietyzmem, to przynajmniéj z powagą i szacunkiem. Następnie zauważę, iż zarzuty p. Grabowskiego są nieco niekonsekwentne. Krytyk, uznawszy obrazy Dantego za symbole, następnie traktuje je tak jakby w nich widział odtworzenie realnych stosunków bytu rajskiego. — Sądzę, że zaszło pomieszanie symbolu z właściwym obrazem poetyckim. P. Grabowski nie uwzględnia zasadniczéj między nimi różnicy, polegającéj na tém, że kiedy ostatni ma nam odtworzyć istniejącą lub możliwą rzeczywistość zmysłową, zadaniem pierwszego jest uprzytomnienie nam za pomocą znaku zmysłowego nadzmysłowéj treści przedmiotu. Symbol nie daje nam przeto żadnego pojęcia o naturze wewnętrznéj téj treści i trybie jéj istnienia. Skorobyśmy brali symbole w znaczeniu tylko estetyczném, jako obrazy poetyckie, wtedy najwznioślejsze i najświętsze wpośród nich, od wieków czczone przez ludzkość, wydałyby się może śmiesznemi i niedorzecznemi.

dusze błogosławione jako w istotném miejscu swego pobytu. Tutaj w téj najwyższéj sferze czysto duchowego nieba, cały ogół jéj przedstawia się pod postacią olbrzymiéj róży mistycznéj. Pomysł owéj róży wzięty jest z charakterystycznego motywu architektury gotyckiéj, umieszczanego zwykle nad portykiem kościelnym w kształcie kręgu, w środku którego znajdowało się wyobrażenie Boga, w dziewięciu zaś promienisto rozłożonych przedziałach dziewięć chórów anielskich, otaczających tron Przedwiecznego. Podobnie jak w katedrach gotyckich i w poemacie Dantego, to wyobrażenie róży jest symbolem królestwa bożego i jego chwały. Opis wnętrza róży, rozmieszczenia w niéj dusz na wznoszących się amfiteatralnie stopniach stanowi rozwinięcie symbolu i nie może być poczytywany za poetyckie zobrazowanie rzeczywistego ich stanu i położenia w państwie niebieskiém. Pamiętać bowiem należy, iż Dante nigdy nie uzmysłowia poetycznie stosunków bytu rajskiego, nie ogranicza ich ramami konkretnego obrazu, lecz za pośrednictwem symbolów uprzytomnia je tylko czytelnikowi, pozostawiając jego uczuciu i wyobraźni idealne uzupełnienie tego, czego żaden zmysłowy kształt niezdolny jest ująć, ani żaden wyraz zmysłowy nie zdoła wypowiedziéć.

Dusze, wchodzące w skład róży mistycznéj, ukazują się poecie już nie w kształcie świateł, jak poprzednio, lecz pod ludzką postacią. Ale poeta bierze tę postać w znaczeniu czysto idealném, nie podając żadnych dokładnych określeń ani opisów, mogących jéj nadać realistyczny i materyalny pozór. O św. Bernardzie, który, jako przedstawiciel mistyki i kontemplacyi duchowéj, obznajmia poetę z najgłębszemi tajemnicami niebios, dowiadujemy się tylko, iż był to starzec, czcigodny, podobny kształtem do innych duchów błogosławionych, z wyrazem najwyższéj dobroci, świętości i najwyższego szczęścia na swém obliczu [1]). Wszystkie duchy, następnie wspomniane, wymienione są tylko po imieniu, bez żadnych opisów. Nawet postać Beatryczy, choć ciągle ma ją poeta przed oczami, nigdy nie jest dokładnie opisaną. Jéj piękność nadziemską, podobnie jak i inne cudowne zjawiska raju, poznajemy nie za pomocą bezpośredniego opisu, lecz pośrednio przez pryzmaty wrażeń poety, które, wzmagając się ciągle w swéj potędze, budzą w nas poczucie czegoś nieskończonego, przechodzącego wszystko, co tylko możemy sobie wyobrazić.

Tak samo idealnie, jedynie za pośrednictwem wrażeń poety, przedstawiają się nam promienne postaci anielskie. W czyśću posiadają one jeszcze pewne zarysy zewnętrzne, ale jak nieujęte i nad-

---

[1]) Parad. XXXI, 57.

przyrodzone. W 2-éj pieśni Czyśca anioł, przewożący w łodzi dusze zmarłe, ukazuje się tylko w kształcie białéj, jaśniejącéj świetnym blaskiem postaci: jego oblicze jest jako płomień żywy, jego skrzydła, jako dwie strugi światła, wznoszące się ku niebu [1]). Podobnie w 12 pieśni Czyśca anioł zjawia się w kształcie białéj, promiennéj postaci z twarzą jak gwiazda poranna [2]). Daléj poeta przedstawia zjawienie się anioła tylko przez swoje nagłe olśnięcie od słonecznego blasku jego postaci [3]), lub przez lekki powiew, uczuty na czole, od dotknięcia jego skrzydeł [4]). W raju aniołowie nie mają żadnych kształtów zewnętrznych, chóry anielskie, otaczające Boga, ukazują się, jako wirujące kręgi promienne [5]); aniołowie, pośredniczący między Bóstwem i wybranymi zlatują z wysokości w głąb róży mistycznéj, niby płomienie oślepiającego blasku [6]).

Wogóle blaski świetlane, olśniewająca białość i nadprzyrodzony wdzięk oblicza są to jedyne atrybuty, przez które poeta określa postaci zesłańców bożych i wszystkich mieszkańców niebios; nigdy nie czyni ich podobnymi nam istotami z ludzkiemi uczuciami, zamiarami i ludzkim sposobem działania. Czujemy zawsze, że mamy przed sobą jestestwo absolutnie różne od wszelkich stworzeń ziemskich, nieskończone i niepojęte w swéj istocie, nie ulegające żadnym prawom ograniczenia cielesnego, wolne od wszelkich ułomności i niedostatków cielesnego bytu. Dzięki temu, te postaci niebiańskie tak doskonale odpowiadają pojęciom chrześciańskim o królestwie bożém, tak dalekie są zarówno od grubo-zmysłowych wyobrażeń pospolitego umysłu, jak i od wyrafinowanych kreacyi poetyckich, skrojonych na wzór mitologii klasycznéj.

III.

Najwspanialéj objawia się twórcza siła natchnienia i głębia poczucia religijnego śpiewaka „Boskiéj komedyi“, w przedstawieniu istoty Bóstwa. To zadanie stanowiło niepokonalną trudność dla poetów wielkiéj nawet mocy.

Milton, obdarzony taką potężną wyobraźnią i tak żywém poczuciem wzniosłości, w swoich obrazach Osoby boskiéj, jéj spraw i działań, obniża niezmiernie poziom ideału religijnego i wpada czasami w rażącą trywialność. Jego Bóg jest tylko rozważnym i su-

---

[1]) Purg. II, 16. — [2]) Purg. XXII, 88. — [3]) Purg. XV, 25. — [4]) Purg. XXV, 148. — [5]) Parad. XXVIII, 25—37. — [6]) Parad. XXXI, 13.

miennym monarchą, który w niczém nie różni się od swych ziemskich pierwowzorów i żadną miarą nie może uchodzić za jestestwo nadludzkie, wyższe ponad wszelkie wyobrażenia zmysłowe.

Goethe, przedstawiając Boga w prologu 1-éj części „Fausta“, ominął tym sposobem trudność zadania, iż zachował ton naiwno-legendowy. Dzięki temu pozyskał niejako dla swéj kreacyi artystyczne uprawnienie, uczynił ją stylową i naturalną w odniesieniu do prostaczych wyobrażeń religijnych, ale żadną miarą nie mógł odpowiedzieć pojęciom religijnym umysłów wyżéj rozwiniętych i naraził się nawet na, niesłuszny zresztą, zarzut umyślnego obniżenia idei bóstwa w celu bluźnierczym.

Z głębokim pietyzmem przedstawiony został Bóg w najznakomitszym poemacie religijnym Niemców, w Messyadzie Klopstock'a. Obrazy nieba i majestatu boskiego posiadają tam istotnie wiele namaszczenia, utrzymane są w tonie idealnym i podniosłym, — ale czy odpowiadają prawdziwie chrześciańskim wyobrażeniom? Bardzo o tém wątpić trzeba. Bóg w „Messyadzie“ więcéj przypomina groźnego Jehowę starego zakonu, niż pełnego dobroci Ojca niebieskiego ewangelii. Wogóle poeci protestanccy, przez niewolnicze trzymanie się tekstu biblii, nie zdolni byli odczuć i odtworzyć ideę bóstwa, jak ona rozwinęła się w tradycyi religijnéj chrześciaństwa. Przytém i bard germański nie uniknął również trywialności w przedstawieniu Boga. Tak np. gdy na początku 5-éj pieśni „Messyady“ monarcha niebios z wielką pompą wyrusza odbywać sąd nad Mesyaszem i każe aniołowi Eloe postępować za sobą w pewném oddaleniu, mimowoli nasuwa się wyobrażenie napuszystego bogacza, który nie zwykł robić kroku bez ugalonowanego lokaja.

W uzmysłowieniu istot nadprzyrodzonych wogóle, a szczególnie istoty boskiéj, chodzi przedewszystkiém o to, aby uniknąć wszelkich upodobnień do pospolitych ziemskich obrazów, aby zawsze dać odczuć czytelnikowi wrażenie jakiéjś nadludzkiéj i nieskończonéj potęgi, różnéj zupełnie od tego wszystkiego, co nam jest znane w zwykłych stosunkach życia. Na to, oprócz głębokiéj wiary, trzeba jeszcze gorących żarów uczucia religijnego, wznoszącego się do stanu ekstazy. Takie uczucie niemożliwe jest w racyonalistycznym i zimnym protestantyzmie.

Oto np. obraz w podobnym tonie z Objawienia św. Jana:

A obróciwszy się ujrzałem siedem świeczników złotych.

A w pośrodku owych siedmi świeczników podobnego Synowi człowieczemu, obleczonego w długą szatę i przepasanego na piersiach pasem złotym.

A głowa jego i włosy były białe, jako wełna biała, jako śnieg, a oczy jego jako płomień ognia.

A nogi jego podobne mosiądzowi, jakoby w piecu rozpalone, a głos jego jako głos wielu wód.

I miał w prawéj ręce swojéj siedem gwiazd, a z ust jego wychodził miecz z obu stron ostry, a oblicze jego jako słońce, kiedy jasno świeci.

A gdym go ujrzał, upadłem do nóg jego jako martwy. (Rozdział 1, 12—17).

Wobec podobnego obrazu nikomu z pewnością nie przyjdzie na myśl jakieś trywialne zestawienie. Można powiedzieć, iż jest on ciemny, dziwaczny, przesadnie fantastyczny, ale każdy przyznać musi, że owiewa go jakaś atmosfera nadprzyrodzoności, jakieś tchnienie duchowéj potęgi, objawiające się w porywie płomiennéj ekstazy.

Ten nastrój wysokiéj ekstazy religijnéj przebija też w obrazie Bóstwa, jaki nam daje Dante. Tylko że tutaj mamy nietylko pełnego żarliwéj wiary wizyonera, ale także wielkiego poetę, obdarzonego nadzwyczajném poczuciem estetyczném, umysł jasny i logiczny, który zdaje sobie dokładną sprawę ze swych wrażeń i wszystkie, najbujniejsze nawet wzloty fantazyi i porywy uczucia ujmuje w karby niezłomnéj konsekwencyi i przyodziewa szatę niezmiernie pięknéj formy.

Dante nie wprowadza Boga na scenę jako konkretną postać ludzko-mitologiczną, jak to czynią Milton i Klopstock, ani też nie przedstawia jego istoty za pomocą ciemnéj i dziwacznie fantastycznéj symboliki, jaką widzimy w ekstatycznych wizyach św. Jana lub Ezechiela. On nie nadaje Bóstwu żadnéj postaci, żadnego kształtu; rozwija tylko przed oczami czytelnika szereg symbolów, stopniowo i konsekwentnie wtajemniczając go w swe poznanie jestestwa boskiego, począwszy od przelotnych widzeń, aż do kontemplacyjnego zachwytu nad Trójcą Świętą; przyczém ciągle ostrzega, iż wszystkie te obrazy symboliczne są tylko słabém i nieudolném odbiciem wrażeń, których umysł ludzki ani odczuć, ani wypowiedzieć w pełni nie jest zdolny.

Oto najprzód, wstępując w przedostatnią sferę niebios, poeta zostaje nagle olśniony ukazującém się zdala światłem jakby olbrzymiego słońca, które wśród niezliczonych miryad gwiazd duchowych najświetniéj jaśnieje i wydaje się źródłem wszystkich ich blasków [1]). W ten sposób usymbolizowane tu zostało zjawienie się drugiéj osoby

---

[1]) Parad. XXIII, 25.

Trójcy, Chrystusa, który, za przyczyną Beatryczy, z wysokości empirejskiego nieba zniża się do duszy poety, aby ją umocnić swym wpływem i uzdolnić do wyższego udoskonalenia. Następnie, w miarę postępu w tém udoskonaleniu tajemnica Trójcy Św. coraz pełniéj i jaśniéj objawia się oczom duchowym poety.

Przy wstępie do Empireum widzi najprzód istność bożą jako punkt świetlisty, otoczony kręgami płomiennemi chórów anielskich; poznaje, iż punkt ten jest centrem całego nieba, iż z niego, jako ze swego źródła wytryskują promienie bytu, rozszerzające się po niezmierzonych obszarach wszechświata [1]). Wyobrażenie Bóstwa, w tym symbolu zawarte, jest, jak widzimy, w najwyższym stopniu duchowe i abstrakcyjne: Bóg wyobrażony tu jako punkt matematyczny i pojęty jako filozoficzny absolut, konieczna przyczyna całego ogółu istnienia. Ale Dante nie poprzestaje na téj ogólnéj i oderwanéj idei Bóstwa. W ostatniéj pieśni Raju pełniéj ją rozwija i uzmysławia.

Po całym szeregu, wyrażonych symbolicznie, przeobrażeń duchowych, poeta staje się godnym wniknięcia w tajemnicę Trójcy Świętéj. I oto w potrójném widzeniu, wyobrażającém coraz doskonalszą i zupełniejszą kontemplacyę duchową, ukazuje mu się istotna treść Bóstwa. Atoli, podobnie jak w wielu poprzednich miejscach, i tutaj tylko z większym jeszcze naciskiem, poeta uprzedza czytelnika, iż słowa jego nie zdołają wyrazić wielkości przedmiotu. Obraz, który kreśli, jest jak wspomnienie marzeń sennych (w. 58—61); mowa ludzka, wyrażająca tajemnicę Bóstwa, jest jako bełkotanie niemowlęcia przy piersi (w. 106, 109); dlatego téż poeta błaga Przedwiecznego, by mu dał siłę do oddania choćby w małéj iskierce nadludzkiego blasku swéj chwały (w. 70—73).

Po tém zastrzeżeniu dopiéro w trzech symbolicznych obrazach rozwija się wizya mistyczna. Pierwszy wyobraża istotę Bóstwa w jéj absolutnéj jedności, skupiającą w sobie treść wszelkiego istnienia. Substancye i akcydensa, ich formy i działania zawierają się w Bogu, zjednoczone i związane wspólnym węzłem miłości. Ta jedna chwila widzenia wydaje się poecie, jakby przewyższającą swém trwaniem tysiące lat i obejmującą nieskończoną ilość stosunków i zdarzeń (w. 88—97). Następne dwa obrazy zawierają w sobie dogmatyczne wyobrażenia Bóstwa w jego najistotniejszéj treści. W pierwszym poeta ogląda tajemnicę Trójcy usymbolizowaną w trzech księgach ognistych różnéj barwy, lecz téj saméj wielkości; w ostatniém widzeniu objawia mu się w nagłym błysku światła nadprzyrodzonego

---

[1]) Parad. XXVIII, 16—19, 41—42.

tajemnica zjednoczenia w drugiéj osobie Trójcy formy ludzkiéj z substancyą boską (w. 130—132); ale jak to zjednoczenie dokonywa się i jak jest możliwe, tego poeta niezdolny wyrazić; tutaj „wzniosłéj fantazyi nie starczyło mocy“. Po tém cudowném objawieniu pozostało mu tylko poczucie najwyższego podniesienia ducha, który z całém swém jestestwem, z wolą, pragnieniem i wszystkiemi władzami porwany został przez „miłość, co porusza słońce i wszystkie gwiazdy.“

W tém ostatniém widzeniu nadprzyrodzoném, a raczéj w tych trzech zjednoczonych widzeniach, geniusz Dantego osiągnął szczyt swego natchnienia, może nawet najwyższy szczyt, do jakiego kiedykolwiek wzniósł się geniusz poezyi religijnéj. Zaiste, wolno powątpiewać, czy jest gdzie w objawach twórczości poetyckiéj doskonalsze skupienie myśli, uczucia i fantazyi w ich pełnym rozwoju i harmonii. Dante jest tu zarazem filozofem, teologiem i poetą. Jego obraz Bóstwa łączy w sobie śmiały i szeroki polot samodzielnéj myśli ludzkiéj z najściślejszą prawowiernością dogmatyczną. Jest w nim ścisłość definicyi filozoficznéj i płomienny żar ekstazy religijnéj i piękność artystycznéj kreacyi. Bóg w wizyi Dantego nie ma w sobie ani cienia pospolitego antropomorfizmu, ani téż ornamentacyi mitologicznéj. Twórca „Boskiéj komedyi“, opiewając istotę bożą, nie potrzebował jak sceptyczny Goethe sztucznie przyswajać sobie stylu naiwno-legendowéj wiary; ani téż posiłkować się, jak Klopstock i Milton, atrybutami hebrajskiego Jehowy lub greckiego Jowisza. On odtwarza chwałę Przedwiecznego nietylko z przejęciem artystyczném, ale także z głęboką wiarą religijną, odtwarza ją we właściwym sobie stylu wzniosłym i nawkroś samodzielnym, tak jak ona może być pojmowana przez chrześcianina prawowiernego, stojącego na najwyższym poziomie kultury umysłowéj.

Mimo że pozbawiony zupełnie kształtu i atrybutów zmysłowych, Bóg u Dantego nie jest wcale abstrakcyą filozoficzną; jego realny, osobisty byt na każdym kroku przejawia się w całéj osnowie poematu, a przedewszystkiém w gorącéj miłości, którą pałają ku Bóstwu wszystkie duchy, niepozbawione „dobra rozumu“ [1]). Nawet piekło zniewolone jest uznawać Boga i składać mu cześć mimowolną, w czyścu ta cześć staje się świadomą siebie miłością, która w raju najpełniéj się rozpłomienia, przenika i ożywia wszystkie dusze błogosławione. W obrazach bytu rajskiego nie ma ani jednego rysu, ani jednego szczegółu, któryby nie zawierał idei miłości ku Bogu: wszystkie uczucia i pragnienia duchów w niéj się skupiają, całe niewypowiedziane

[1]) Il ben dello intelletto. Inf. III, 18.

ich szczęście wynika z kontemplacyi istoty bożéj i zbliżenia się do niéj.

W całéj pełni owa miłość boża została uosobioną i uplastycznioną w jednéj z głównych postaci poematu: Beatryczy. Komentatorowie objaśniali często tę postać, jako uosobienie teologii. Jest-to pogląd niezupełnie dokładny, zawierający tylko część istotnéj myśli poety. Już na pierwszy rzut oka wydaje się nieprawdopodobném i estetycznie nawet niemożliwém, aby owa tak cudnie piękna, tak pełna wdzięku i życia Beatrice, miała wyobrażać tylko suchą i abstrakcyjną wiedzę teologii scholastycznéj. Bliższa rozwaga tém bardziéj każe o tém powątpiewać. Wszakże owa przewodniczka poety po rajskiéj dziedzinie jest właściwie nie czém innéin, jak nadziemską apoteozą ukochanéj jego lat młodzieńczych, téj pięknéj córy Portinarich, dla któréj żywił tak czystą i podniosłą miłość, iż przez nią wydobył się z otchłani grzechów, rozpoczął nowe życie i wszedł na drogę wiodącą do cnoty i prawdy. A więc głównym rysem postaci Beatryczy jest miłość, miłość, pojęta w najidealniejszéj i najczystszéj postaci, jako siła zbawcza i uświęcająca, czyli chrześciańska, duchowa miłość, główna podstawa całéj nauki ewangelicznéj. Beatrice jest uosobieniem takiéj miłości, najwspanialszém i najpiękniejszém w całéj poezyi nowożytnéj. Niemniéj przeto jest także uosobieniem doskonałéj wiedzy rzeczy boskich. Widzimy, iż obznajmia ona poetę ze wszystkiemi tajnikami królestwa niebieskiego, wyjaśnia mu treść zasad i dogmatów wiary, udziela przestróg i napomnień na dalszą drogę życia: jednem słowem, jest nietylko przewodniczką poety, lecz także nauczycielką i mistrzynią w rzeczach nadprzyrodzonych. Z tego powodu nie bez słuszności poczytano ją za uosobienie teologii, ale teologii rozumianéj nie jako oderwane i racyonalne badanie prawd religijnych, lecz jako intuicyjne i bezpośrednie poznanie Boga w uczuciu miłości. Czyli, w Beatryczy wiedza i miłość boża jest właściwie jedném i tém samém, jest doskonałém i pełném zespoleniem się z Bogiem, przyczém miłość jest rzeczą główną, siłą czynną, wiedza zaś jéj wytworem i następstwem.

Podobnie jak Beatrice zajmuje w poemacie najpierwsze po Bogu miejsce, tak i wyobrażana przez nią idea miłości stanowi naczelną zasadę całego moralnego i religijnego systemu poety; jest ostatniém słowem głoszonéj przezeń nauki duchowéj. W niéj zawiera się cała wszechwiedza, cała doskonałość i cała potęga Bóstwa; ona jest siłą kosmiczną, napełniającą wszechświat, a zarazem siłą moralną, prowadzącą człowieka po drodze jego przeznaczeń. Wszelkie zboczenia z téj drogi, wszelkie grzechy i występki są wykroczeniem

przeciw miłości, jak z drugiéj strony—najwyższa i zupełna doskonałość tylko przez miłość może być osiągnięta.

Przez to tak wspaniałe i dobitne uwydatnienie idei miłości chrześciańskiéj, poeta stwierdza i uprzytomnia nam osobisty byt istoty bożéj, choć nigdzie nie wprowadza jéj osobiście do akcyi swego poematu. Dzięki temu, Bóg w poezyi Dantego, podobnie jak i w dogmacie kościelnym, jest ideą nieogarnioną dla myśli, niepojętą dla rozumu, a zarazem jestestwem żywém i osobowém, przystępném dla naszego uczucia, dla naszych pragnień i pożądań duchowych, jest nieskończenie dobrym i miłościwym Ojcem wszechświata, ogniskiem skąd promienie rozchodzą się na niezmierzone obszary bytu. „Bóg jest miłością, mówi apostoł, a kto mieszka w miłości, w Bogu mieszka, a Bóg w nim“ [1]). Takie samo pojęcie istoty Bóstwa i stosunku do niéj człowieka zawiera się w „Boskiéj komedyi“.

Z tego pojęcia wypływa sposób przedstawienia wszelkich stosunków i objawów bytu rajskiego. Jak widzieliśmy wyżéj, nieskończone szczęście w nim panujące streszcza się w zjednoczeniu z Bogiem dusz błogosławionych i kontemplacyjnym zachwycie ich nad doskonałością bożą. I u innych poetów religijnych w podobny sposób przedstawiona jest rozkosz niebiańska. Ale tylko jeden Dante umiał uczynić ją zrozumiałą i logicznie uzasadnioną; bo on tylko jeden zdołał natchnąć swą poezyę niezmierzoną potęgą miłości ku Bogu, a w obrazie jego jestestwa skupił wszystkie najwyższe o nim wyobrażenia, jakie mogą powstać w umyśle ludzkim. Pamiętajmy, że Bóg Dantego zawiera w sobie cały ogrom wszechistnienia, całe jego dobro, czyli istotną, pozytywną treść jego:

> Albowiem dobro — przedmiot naszych chęci
> W nim się jednoczy, a nazewnątrz jego
> Wszystko ułomne, co w nim doskonałe.

Czémże jest tedy kontemplacya Bóstwa u Dantego? Jest pełném zadowoleniem wszystkich wyższych pragnień ducha ludzkiego, tych pragnień, które, przejawiając się ułomnie i częściowo w życiu doczesném, są główną rękojmią doskonalszego bytu po za grobem i w nim dopiéro mogą wszechwładnie zapanować w duszy, uwolnionéj ze swéj powłoki cielesnéj i jéj grubych materyalnych instynktów. Zaiste, jeśli lko uznajemy samoistny byt duchowy i możność osiągnięcia w nim absolutnego szczęścia, nikt go nie przedstawił w sposób

---

[1]) I-szy List św. Jana, IV, 16.

podnioślejszy i bardziéj odpowiadający najszlachetniejszym naszym pojęciom, jak Dante w pieśniach Raju.

Na tym samym wysokim poziomie utrzymuje się téż poeta w obrazach czci, składanéj przez całe niebo Przedwiecznemu. I pod tym względem współzawodnicy jego na polu poezyi religijnéj niezbyt byli szczęśliwi.

Taine w swéj ocenie poezyi Miltona słusznie ośmiesza nieustanne kantaty, śpiewane na cześć Stwórcy w Raju utraconym, i lituje się nad losem biédnego Boga, który musi się nudzić śmiertelnie, słuchając przez całą wieczność własnych pochwał [1]). Toż samo mniéj więcéj widzimy w „Messyadzie“. Jeśli wogóle Bóg Klopstocka niezawsze przedstawia się jako prawdziwie nadludzka istota, to z pewnością posiada nadludzką cierpliwość w słuchaniu przerażająco długich hymnów anielskich. Nic podobnego nie ma w „Boskiéj komedyi“. Dante nigdy nie układa tekstu pieśni niebiańskich, poprzestaje tylko na przytoczeniu początkowych słów hymnów i psalmów biblijnych, uświęconych przez wiekową tradycyę religijną i uznanych przez kościół za natchnione od Boga. Nadziemską piękność śpiewu rajskiego daje nam odczuć jedynie przez potężne wrażenia, które na nim czynią, przez podniesienie coraz wyższe nastroju swego ducha w uczuciu czci i uwielbienia dla Stwórcy. Cześć ta wyraża się zawsze w sposób mistyczny, za pomocą symbolów i alegoryi, będących tylko znakami zewnętrznemi niedającego się wysłowić wewnętrznego stanu duszy. Podobnie, jak w obrazie jestestwa boskiego, i w przedstawieniu hołdów, składanych mu przez niebiosa, poeta nie ucieka się nigdy do pospolitych ziemskich środków i daje nam zawsze odczuć, że jesteśmy tu w sferze czysto duchowéj i nadprzyrodzonéj.

W sposób nadprzyrodzony przedstawione są również w poemacie rządy boskie nad światem. Bóg nie wydaje tam rozkazów i zleceń, na podobieństwo ziemskich monarchów, jak to widzimy u Klopstock'a i Milton'a, nie przeraża swém srogiém obliczem, lub teatralnemi efektami piorunów i błyskawic. Władza jego objawia się zawsze w sposób mistyczny i cudowny, przez niedające się określić i niepojęte działanie. Potęgi niebieskie, otaczające Bóstwo, są wykonawcami jego woli, ale jak się ta wola wyraża, o tém nic się nie dowiadujemy. Dość nam wiedzieć, że te potęgi są organami rządów bożych, cudowną emanacyą Bóstwa w jego oddziaływaniu na wszechświat. W następstwie tego ogólny układ królestwa bożego inaczéj przedstawia się w „Boskiéj komedyi“, niż w innych poematach religijnych. U Klop-

[1]) „Histoire de la littérature anglaise.“ Paris, 1886, t. 2, p. 500

stock'a np. Bóg w swéj groźnéj powadze monarszéj, czyni niekiedy wrażenie srogiego tyrana; całe społeczeństwo niebios, w stosunku do niego, wydaje się zbyt serwilistycznie usposobione, przypomina gromadę dworaków i pochlebców, otaczających jakiegoś wschodniego despotę. Nie dziw, że podobny obraz stosunków w niebiesiech, obraz, nader często ukazujący się nietylko w poezyi lecz i w nauce religii, pobudził do protestu zuchwały geniusz Byron'a, który tak szyderczo oświetlił w Kainie to niskie i służalcze pojmowanie stosunku człowieka do Bóstwa. „W Boskiéj komedyi" nie ma ani cienia podobnego stosunku. Wielkość i potęga Boga nigdy się tam nie okazuje w grozie i surowości despotycznego władcy. Ani razu np. w pieśniach Raju i Czyśca nie wspomina poeta o gromach i piorunach, które tak często u Klopstock'a są znamionami majestatu Stwórcy. Duchy rajskie objawiają swą cześć Przedwiecznemu w miłości i uwielbieniu bez granic, nigdy w trwodze i serwilistycznéj pokorze.

Bóg rządzi światem nie przez zachcenia i kaprysy tyrańskie, lecz wedle praw powszechnych i niezmiennych. Bo wola boska jest prawem świata. Zamiar boski, jako wynikający z myśli wszechmądréj i woli wszechmocnéj trwać musi przez nieskończone wieki i spełniać się w bezmiarach bytu z siłą niezłomną i logiką niewzruszoną. Że zaś Bóg jest także wszech-dobry i wszech-miłościwy, więc wszystkie jego zamiary i wyroki dobre są téż, sprawiedliwe i pełne miłości, tylko umysł nasz ograniczony nie zdolny jest pojąć ich nieskończenie odległych celów i widoków. Uznawać nam więc trzeba wszechpotężną władzę Boga nad światem, a nie kusić się daremnie o zgłębienie rozumem naszym niepojętéj jéj istoty:

Głupi, kto marzy, że rozum nasz może
Przebiegać owę przestrzeń nieskończoną,
Co trzy osoby łączy w jednéj treści.
Rodzaju ludzki! kontentuj się *quia;*
Gdybyście bowiem wszystko wiedzieć mogli,
Rodzić nie trzeba byłoby Maryi.

IV.

Wzniosłe i głębokie niezmiernie pojmowanie świata nadprzyrodzonego w „Boskiéj komedyi" widoczne jest również w przedstawieniu upadku pysznych aniołów i początku państwa piekielnego. Nie słyszymy nic w poemacie Dantego o piorunach bożych, strącających szatana i jego zastępy, o walce na miecze i włócznie, stoczonéj między armią niebieską i szatańską. Wiemy tylko, że była jakaś przedwieczna walka między pierwiastkiem wszechdobra i żywiołami zła,

ale pojmować ją musimy w sposób czysto duchowy i nadprzyrodzony. Poeta ani jednym rysem nie nastręcza nam jakichś ziemskich, zmysłowych wyobrażeń. Duchy buntownicze spadły jak deszcz z nieba [1]), spadły, pociągnięte ciężarem swéj winy, jak spadają ciała na ziemię, wskutek przyrodzonéj ciężkości swéj masy. Tutaj nie działał gniéw osobisty ani tyrańska wola niebieskiego despoty, chcącego widzieć zgięte przed sobą wszystkie karki swego państwa, lecz powszechne, niezłomne prawo duchowe, spełniające się na całym obszarze istnienia, a identyczne z wolą najwyższą i przedwieczną, prawo, mocą którego wszelkie żywioły, nie mogące zharmonizować się z organiczną jednością bytu doskonałego, muszą być wyłączone z téj jedności i zdolne są tylko istnieć bytem odrębnym, ujemnym w stosunku do całego ogółu istnienia pozytywnego.

Odpowiednio do tego głębokiego pojęcia początku szatańśtwa i postać szatana została przedstawiona w „Boskiéj komedyi“ w rysach niezmiernie szerokich, pełnych głębokiéj treści i zgodnych najzupełniéj z ideą dogmatyczno-religijną.

Aby tém dobitniéj uwydatnić właściwy charakter dantejskiéj kreacyi demonicznéj, zobaczmy najprzód, jak podobne kreacye wyglądają u dwóch, przytaczanych już nieraz powyżéj, poetów religijnych, u Miltona i Klopstocka.

Ci poeci, jak Boga, tak i szatana uczynili postacią czysto ludzką i nadali mu charakter, który tylką nadzwyczajną wybitnością swych cech znamiennych wyróżnia się od podobnych charakterów, napotykanych w życiu, jest wyidealizowanym typem dumy ludzkiéj, przedstawiającéj się niekiedy w sposób prawdziwie wzniosły i szlachetny. I tak np. nie ma może w poezyi wznioślejszéj postaci jak szatan Milton'a. Jego pycha, za którą został strącony z nieba, jest właściwie wysokiem poczuciem godności własnéj, jego bunt przeciw Bogu to protest szlachetnego i niezależnego umysłu przeciw tyranii, panującéj w niebiesiech.

Słusznie téż mówi Taine o poemacie Miltona, że w téj pieśni, mającéj opiewać wzniosłość raju najpiękniejsze jest piekło, w téj historyi Boga najpierwsza rola dostała się dyabłu [2]). Jasną jest rzeczą, iż nie taka była intencya poety i szatan w Raju utraconym właśnie przez swą wzniosłość i piękność jest wielką wadą w całokształcie kompozycyi poetyckiéj, tém więcéj bowiem uwydatnia nieudolny sposób przed-

---

[1]) Jo vidi più di mille in sulle porte
Dal ciel pievuti. (Inf. VIII. 83).

[2]) Hist. de la lit. ang. t. 2, p. 505.

stawienia głównego jéj przedmiotu. W „Messyadzie“ Klopstock'a postaci demoniczne nie posiadają tak szlachetnego charakteru, ale tak samo po ludzku są pojęte.

Widzimy w nich ludzkie uczucia, ludzkie zamiary i ludzkie sposoby działania i jeśli nie sympatyzujemy z nimi w tym stopniu co z szatanem Milton'a, to wszakże nieraz uczuwamy dla nich szczere współczucie, choćby jako dla ofiar nielitościwéj mściwości niebios, którą poznajemy w licznych obrazach sądu bożego.

Zobaczmy teraz, jakim jest Lucyfer Dantego. Oto jego obraz:

Potężny władca królestwa boleści
Wznosił się z lodu od połowy piersi,
A jabym raczéj przystał do Olbrzyma,
Niźli Olbrzymy do jego ramienia.
Wyobraź jaka musiała być całość,
Tak zbudowanym odpowiednia członkom.
Jeśli był pięknym, jak dziś jest szkaradnym
I jeśli oczy podniósł przeciw Stwórcy;
Zaiste, z niego wszelkie złe pochodzi!
Jakem się wielce zdziwił, gdy ujrzałem
Na głowie jego razem trzy oblicza!
Jedno czerwone, było z przodu głowy,
Dwa inne zasię z tamtém się łączyły
I wyrastając nad każdém ramieniem,
Wszystkie w grzebieniu zbiegały się w jedno.
Prawe — żółtawo-białém mi się zdało,
Lewe — na oko miało pozór taki
Jako u ludzi przychodzących z kraju
Gdzie wody Nilu spadają w doliny.
Z pod każdéj twarzy, wyglądało dwoje
Ogromnych skrzydeł, jakie dla takiego
Ptaka przystały: nigdy na okrętach
Tak wielkich żagli nie widziałem w morzu.
Bez pierza były i kształtem podobne
Do nietoperzych, a tak machał niemi,
Że trzy zarazem wiatry od nich wiały
I stąd to wody zamarzły Kocytu.
Sześcią swych oczu płakał, a łzy jego
I krwawa piana po trzech brodach ciekły.

Nie ma tu żadnego podobieństwa do ludzkiéj postaci. Lucyfer to potwór straszliwy, zarówno ogromem swoim, jak i odrażającą brzydotą, różny od wszelkich znanych nam istot ziemskich. Bo téż nie ma to być jakaś realna, ziemska postać, lecz uosobienie bezwzględnego zła w całéj jego rozciągłości. Jest olbrzymi, bo olbrzymia jest masa zła, napełniającego świat i życie ludzkie, jest potworny jak potworne

są grzechy i występki, w których ono się przejawia. Lucyfer jako pierwszy ich sprawca, jako monarcha całego państwa grzechu, skupia w sobie całą jego szkaradę, całą okropność i potworność; jako krańcowe przeciwieństwo Boga musi budzić bezgraniczną odrazę, jak bezgraniczną jest cześć i miłość dla doskonałości bożéj.

Takim chciał go miéć poeta i takim go uczynił. Jak zawsze, tak i tym razem, fantazya twórcza nie zawiodła genialnego wieszcza i dostarczyła mu wyrazistych i kolosalnych rysów, któremi myśl swoją przyodział i uplastycznił. A nie troszczył się przytém o to, czy jego kreacya odpowiadać będzie wszelkim wymaganiom estetyki, czy nie będzie raziła nazbyt wyrafinowanych gustów; bo Dante, jak każdy genialny i samoistny twórca, idzie za porywem swego natchnienia i pomysłom swym nadaje formy i kształty, najodpowiedniejsze do pełnego ich wyrażenia. Formy te, jeśli nie zawsze są równie piękne, jeśli czasem przechodzą w okropność i potworność, to z pewnością zawsze, nawet pod względem czysto-estetycznym, mają swe uprawnienie w całości kompozycyi i służą skutecznie do właściwego ustosunkowania wszystkich składowych jéj żywiołów. Czyż potrzeba tu wykazywać, jak kontrast między tą potworną postacią szatańską, a wzniosłym obrazem Bóstwa doskonale uwydatnia cały zarys poematu? Jak skutecznie przyczynia się do zaokrąglenia całéj téj kompozycyi, zdumiewającéj w swym ogromie, a zarazem w swém doskonałem wykończeniu? Oto dwa przeciwne sobie bieguny bytu moralnego: Bóg i szatan, najwyższe dobro i najpotworniejsze zło — jak jedno, tak i drugie odtworzone w całéj swéj treści abstrakcyjnéj, z całym swym nadprzyrodzonym i nadludzkim charakterem, a jednak w pełni wyrazistych, indywidualnych znamion.

Poeta, przedstawiając zarówno boską jak i szatańską istotę, siłą swego talentu twórczego czyni je realnemi, zniewala nas do wiary w ich byt rzeczywisty; ale nie upodobnia ich do nas: jak nie zniżył Boga do roli despotycznego monarchy, tak téż nie podniósł szatana do godności bohatera, nie obdarzył go ludzkiemi uczuciami i przymiotami moralnemi. Lucyfer nie tylko w swéj postaci, ale również w samym charakterze okazuje się zawsze istotą nadprzyrodzoną, nie mającą nic wspólnego z naturą ludzką. Nie wygłasza on jak szatani Milton'a i Klopstock'a, pięknych i podniosłych mów, nie działa pod wpływem pewnych uczuć i w widoku określonych zamiarów. Jego władza nad państwem piekielném objawia się w sposób czysto nadprzyrodzony, w niczém nieprzypominający naszych ziemskich stosunków; sytuacya, wśród któréj go widzimy, wyobraża symbolicznie jego naturę wewnętrzną. Oto, pogrążony do połowy ciała w zamarzłém wiecznie

jeziorze, ruchem swych olbrzymich skrzydeł nietoperza sprawia wiatr nieustanny, będący przyczyną panującego dokoła mrozu. Ten mróz wiekuisty i, towarzyszące mu, okropne ciemności stanowią przeciwstawienie promienistych blasków, otaczających majestat Bóstwa: w tych poeta usymbolizował światło prawdy i płomienny żar miłości, w tamtych mrok fałszu i mroźny powiew nienawiści;—tam mamy najwyższy szczyt dodatniego rozwoju duchowości, tutaj ostateczne, ujemne jéj zwyrodnienie.

Jako kolosalne uosobienie zła, rozwinięte z taką niezachwianą konsekwencyą i siłą plastyki, — Lucyfer jest odbiciem i upostaciowaniem niezmiernie rozległéj myśli filozoficzno-moralnéj, a niemniéj przeto pomyślany jest zgodnie z wyobrażeniami wiary dogmatycznéj, uznającéj osobisty, indywidualny byt szatana. Jasną jest bowiem rzeczą, iż nie można go brać za alegoryą oderwanéj idei. Poeta, na równi z kościołem wierzy jaknajgłębiéj w rzeczywiste jego istnienie, widzi w nim prawdziwego sprawcę grzechów i występków ludzkich, ojca fałszu i wszelkiéj nieprawości. Ale oczywiście Dante nie wierzy w byt szatana w takiéj postaci, w jakiéj go ukazał w poemacie. Jak w innych miejscach, tak i tutaj zamierzył on pewne wyobrażenie wiary dogmatycznéj unaocznić nam za pomocą symbolu i zamiar ten wykonał z właściwą sobie zawsze głębością myśli i siłą talentu twórczego. Nie ograniczając się na formalistycznem pojęciu dogmatu, ogarnął w całéj rozciągłości zawartą w nim ideę teologiczną i moralną; dzięki temu napełnił swą kreacyą bogatą treścią myślową, a nadając jéj odpowiednią formę plastyczną, uczynił ją pełną samoistnego życia postacią osobową.

Dla uplastycznienia swych pomysłów Dante posiłkował się, jak już wyżéj mówiliśmy, wyobrażeniami zmysłowemi fantazyi ludowéj, szczególnie tam gdzie ta fantazya najbujniejszą rozwinęła twórczość, t. j. w zakresie demonologii chrześciańskiéj. Obraz Lucyfera zawiéra wiele rysów z tego źródła poczerpniętych jako to: potrójne, różnobarwne oblicze, skrzydła nietoperzowe, odrażająca brzydota i t. p. — tylko, że wszystkie te rysy zostały rozwinięte w olbrzymich rozmiarach i w połączeniu wytworzyły tak kolosalną całość, o jakiéj nie śniło się najśmielszéj wyobraźni współczesnych ludzi [1]).

---

[1]) Klaczko (Wiecz. flor. przekł. Tarnowskiego, str. 101) utrzymuje, że w przedstawieniu upadku Lucyfera, Dante odstępuje od podania teologii, przypisując go nie tyle grzechowi pychy ile zdrady. Pominąwszy, iż to jest odstępstwo od podania nie od dogmatu kościelnego, powołać się można na pewien ustęp Raju, świadczący, że, nawet we względzie tego podania, poeta jest zupełnie prawowier-

Atoli oprócz téj wspaniałéj kreacyi demonicznéj mamy jeszcze w 20 i 21 pieśniach Piekła i inne drugorzędne postaci szatańskie bardziéj zbliżone do wyobrażeń ludowych. Są to prawdziwe dyabły popularnych klechd i legend: czarne, rogate, przez pół potworne, przez pół śmieszne figury, skupiające w sobie rysy najwstrętniejszéj brzydoty, a zarazem cyniczno-rubasznego komizmu; ten ostatni pierwiastek poeta nader silnie uwydatnił w ożywionéj i pełnéj werwy scenie nad brzegiem smolnéj sadzawki w 21-éj pieśni Piekła. Jasną jest rzeczą, iż te dyabelskie figury odgrywają w poemacie podrzędną, epizodyczną tylko rolę i służą głównie do ożywienia akcyi, wszelako nie są całkiem pozbawione głębszego znaczenia i przystają doskonale do całego obrazu piekła dantejskiego. Zauważyć bowiem należy, że dyabeł legendowy nie jest postacią tak bezmyślnie i niedorzecznie utworzoną, jak to się na pierwszy rzut oka wydawać może. Lud, na swój sposób, uosobił w nim całą potworność zła, uzupełniając ją rysami, oznaczającemi najgłębszą pogardę. Taka postać odpowiada z pewnością daleko lepiéj dogmatycznemu pojęciu o istocie szatana, niż heroiczno-epickie figury poetów nowożytnych. Dante, który stoi zawsze na gruncie prawdziwéj tradycyi religijnéj, odczuł treść istotną, ukrywającą się pod zewnętrzną powłoką téj kreacyi ludowéj i słusznie pomieścił ją w swym poemacie, choć oczywiście naznaczyć jéj musiał miejsce drugorzędne, uplastyczniając swoje głębsze nierównie i rozleglejsze pojęcie dogmatu w wielkim i potężnym stylu kolosalnéj figury Lucyfera.

V.

We wszystkich, rozważanych powyżéj obrazach „Boskiéj komedyi,“ w całym systemie zawartych w niéj pojęć o świecie nadprzyrodzonym napotykaliśmy ciągle, jako główny i zasadniczy czynnik głęboką wiarę poety. Istotnie szczera wiara religijna, wiara w dogmaty, w tradycyą, w całą naukę kościoła jest gruntem, na którym wznosi się cały gmach poezyi dantejskiéj: ona przenika i ożywia

---

ny i zgodny z teologiczną nauką kościoła. Widzimy to z następujących słów Beatryczy:

> Principio del cader fu il maledetto
> Superbir di colui, che tu vedesti
> Da tutti i pesi del mondo costretto
>
> Parad. XXIX. 55—57.

(Przyczyną upadku była pycha tego, którego widziałeś przygniecionego ciężarem świata).

natchnienie twórcze poety, z niéj powstały wszystkie wzniosłe jego pomysły, wszystkie wzloty fantazyi i porywy serca. Słusznie téż mógł on złożyć swe wyznanie wiary w obliczu całego nieba i otrzymać stwierdzenie swéj prawowierności od księcia apostołów św. Piotra [1]).

Zobaczmyż teraz, jaka jest natura téj wiary dantejskiéj i jakie cechy jéj znamienne.

Głównem jéj źródłem jest niewątpliwie uczucie: — tkwiące w głębi duszy ludzkiéj poczucie i pragnienie Boskości, intuicyjny a nieprzeparty poryw ku niéj serca ludzkiego.

Ten stan wewnętrzny, który po wszystkie czasy, w różnéj tylko formie i w różném natężeniu, przejawiał się w życiu ludzkości, przez swą trwałość i niezniszczalność jest najpierwszym i najpewniejszym dowodem istnienia Boga, oraz łączności między nim a duszą ludzką. Nie było na świecie człowieka, któryby ten wewnętrzny stan duszy odczuwał silniéj i żywiéj niż twórca „Boskiéj komedyi.“ Tęsknota do świata nadprzyrodzonego, żądza wzniesienia się do Boga, poznania go, zjednoczenia się z nim — stanowiły główną sprawę całego jego żywota. Stąd wynikają wszystkie jego dążenia życiowe, wszystkie zasady i przekonania, któremi powodował się w czynach swych i w pismach. Nienaruszona wiara religijna była naturalnym wynikiem takiego nastroju uczuć.

Wszelako, aczkolwiek wiara wypływa przeważnie z uczucia i w niém znajduje swe główne uzasadnienie, to przecież jest ona w pewnéj mierze zależną od pojęć rozumu. Rozum nie może dostarczyć dowodów wiary, ale może skutecznie przyczynić się do ugruntowania ich; nie ma prawdziwéj wiary tam, gdzie rozum pozostaje w sprzeczności z uczuciem. Bo wiara jest to pełne i doskonałe przeświadczenie umysłu, które wtedy tylko jest możliwe, gdy wszystkie jego władze jednoczą się w pewnym ogólnym stanie psychicznym. Rozum nie jest zdolny wznieść się do sfer nadziemskich, w których wiara czerpie swe natchnienia, ale istnienie tych sfer wtedy tylko uznane będzie prawdziwie w naszém wewnętrzném przekonaniu, gdy pozostanie w zgodzie z prawami naszéj rozumnéj myśli.

W czasach, gdy panowała szczera i prawdziwa wiara, w wiekach średnich, nie znano wcale rozdziału między sferą uczuć religijnych i pojęć rozumowych; te dwie sfery pozostawały w doskonałéj i niezmąconéj harmonii, uzupełniając się i podtrzymując nawzajem. Cała filozofia scholastyczna miała głównie na celu racyonalne objaśnienie i umotywowanie dogmatów wiary; sobór trydencki potępił wy-

---

[3]) Parad. XXIV. 130—154

raźnie opinię, uznającą uczucie za jedyną podstawę wierzeń religijnych. To zespolenie wiary z filozofią wyszło, jak wiadomo na niekorzyść ostatniéj: — uznana za służebnicę teologii, została ona zbyt zacieśnioną i powstrzymaną w swym rozwoju. Atoli pewną jest rzeczą, iż sojusz ów przyniósł też społeczeństwu chrześciańskiemu olbrzymie pożytki, przyczyniwszy się do wyrobienia jego pojęć religijnych i wzniesienia ich na wyższy poziom samowiedzy.

Nigdzie ten skutek nie występuje widoczniéj jak w „Boskiéj komedyi.“ Twórca jéj nie tylko przeniknięty jest całą żarliwością uczuć religijnych swéj epoki, lecz nadto stoi na najwyższym poziomie wiedzy współczesnéj. Zdobycze téj drugiéj łączą się w jego umyśle z wyobrażeniami religijnemi w doskonały i harmonijny całokształt religijnego przekonania, na którém wznosi się wspaniały gmach potężnéj i głęboko ugruntowanéj wiary. Wiara ta nie jest w sprzeczności z prawami rozumowemi, lecz owszem opiéra się na nich i z nich czerpie znaczną część swych soków żywotnych. Rozum i wiara w umyśle Dantego są w zupełnéj równowadze: rozum podległy jest wierze i oddaje na jéj usługi wszystkie swe zdobycze, ale czyni to nie pod naciskiem jakiegoś przymusu moralnego, lecz dobrowolnie, na podstawie własnego uznania. Wirgiliusz, uosobienie wiedzy rozumowéj, posłuszny jest ochotnie Beatryczy, w postaci któréj usymbolizowana została wiedza boska płynąca z wiary; — przewodniczy on Dantemu w jego wędrówce przez piekło i czyściec, gdyż w tych sferach panują ziemskie uczucia i namiętności, które przy świetle ziemskiego rozumu mogą być rozpoznane i ocenione należycie, — kończy zaś swą rolę u wstępu do niebios, bo tutaj nie starczy jego wiedza; w rozjaśnieniu tajemnic królestwa bożego, tylko wiara, przeniknięta światłem nadprzyrodzonego objawienia, może być przewodniczką. Dlatego też w téj dziedzinie Beatrice zajmuje przy boku Dantego miejsce Wirgiliusza. Wszelako wiara, przemawiając ustami Beatryczy, nie wyrzeka się praw rozumowych, ani też nie zniewala poety do zaparcia się ich. Owszem ona obejmuje w sobie wszystkie te prawa całą wiedzę rozumu, uznaje wielką jéj wagę i znaczenie, ale wznosi się ponad jéj dziedzinę do nieskończonych sfer wiedzy objawionéj. We wszystkich objaśnieniach tajemnic bożych Beatrice przemawia nie tylko do uczucia, ale i do rozumu poety; na poparcie swych twierdzeń przytacza wywody racyonalne, nacechowane najściślejszą logiką. Znaczna ilość tych wywodów przynosi nawet pewną ujmę stronie czysto poetyckiéj „Boskiéj komedyi,“ nadając trzeciéj jéj części charakter przeważnie dydaktyczny. Ale poeta mało się o to troszczy, nie przywiązuje on głównéj wagi do zalet artystycznych swego

utworu, wielka jego doskonałość pod tym względem wynika z twórczéj potęgi geniuszu Dantego, nie ze świadomych jego usiłowań. On chciał dać swym czytelnikom coś więcéj niż doskonałe dzieło sztuki, chciał podać im „chléb anielski,“ mający zasilić ich i umocnić na drodze, wiodącéj do zbawienia: używa przeto wszelkich środków, mogących ułatwić osiągnięcie tego celu, przemawiając naprzemian głosem potężnych uczuć, plastyką obrazów i ścisłością logicznych rozumowań.

We wszystkich swych objaśnieniach teologicznych, podobnie jak w sposobie uplastycznienia wyobrażeń religijnych, Dante stoi niewzruszenie na gruncie dogmatów katolickich, ale daleki jest od formalistycznego ich pojmowania, nie ogranicza się na literalném brzmieniem formuł dogmatycznych, lecz je rozwija samodzielnie w duchu swych indywidualnych aspiracyi, nadaje im szczególne znaczenie i łączy je z rozległemi ideami filozoficzno-moralnemi. Zasady wiary uznaje nie przez ślepe i bezmyślne poddanie się powadze kościelnéj, lecz wskutek głębokiego przejęcia się istotną treścią religii; to téż wiara jego nic nie ma wspólnego z martwą drzémką ducha, przytłumiającą wszelkie wyższe życie umysłowe; owszem staje się bodźcem do bujnego rozwoju dążeń umysłowych, nieustanną i usilną pracą myśli. Przejęty do głębi duszy zasadniczemi prawdami wiary, okazuje poeta zadziwiającą niekiedy swobodę sądu w różnych, drugorzędnych kwestyach religijnych. Nie zna żadnéj trwożliwości w wypowiedzeniu swych opinii, śmiało i otwarcie je wygłasza, nie troszcząc się o wrażenie, jakie wywrzéć mogą na pospolite i małostkowe umysły. Ten człowiek średniowieczny, ten uczeń teologii scholastycznéj więcéj okazuje niezależności myśli i szczerego liberalizmu, aniżeli wielu obłudników religijnych naszego wieku, którzy udaną żarliwością pokrywają brak prawdziwéj wiary.

Kilkakrotnie w osnowie poematu wyraża Dante swe wątpliwości [1]) co do pewnych opinii teologii kościelnéj i dopiéro po racyonalném ich wyjaśnieniu i umotywowaniu godzi się na nie z pewnemi zastrzeżeniami. Najdobitniéj zaś objawia się śmiałość i swoboda sądu poety w kwestyi pośmiertnego losu dusz pogańskich. Surowa i bezwzględna teologia średnich wieków uznawała ścisłą prawowierność dogmatyczną za jedyną drogę wiodącą do zbawienia. Wszyscy ludzie, nienależący do kościoła katolickiego, mieli być, wedle tego poglądu, nieodwołalnie potępieni, a zatém wszyscy poganie, żyjący przed Chrystusem i wszyscy wyznawcy niechrześciańskich religii po Chrystusie.

---

[1]) Zob. np. Parad. IV, 19, oraz XXXII, 49.

Nielitościwa surowość i widoczna niesprawiedliwość tego dogmatu budziły nieustanny niepokój w umyśle Dantego, tém więcéj, iż rozwiązanie téj kwestyi w sposób sprawiedliwy przedstawiało niemało trudności nietylko ze względu na literę dogmatu, ale także z powodu nieuniknionych konsekwencyi całego systemu wierzeń i zasad rozwiniętego w „Boskiéj komedyi.“

Jak wiemy, Dante uznawał za istotne zadanie człowieka dążenie do doskonałości duchowéj przez poznanie Boga i tylko w ten sposób duch ludzki mógł wznieść się do najwyższych sfer bytu, czyli do wiecznego zbawienia. Wobec tego, jakże mogli stać się godnymi zbawienia ludzie, którzy nie znali Boga i przez to samo nie byli zdolni dążyć świadomie do prawdziwéj doskonałości? Ale z drugiéj strony jakże tu odmówić prawa do tego wzniosłego przywileju natury ludzkiéj tylu szlachetnym jéj przedstawicielom: wielkim mędrcom i bohaterom starożytności, którzy pozostawili wzory wiekopomnych cnót i niespożyte arcydzieła myśli? Jakże postawić ich w jednym rzędzie z przestępcami i grzesznikami?

Mógł się zdobyć na takie barbarzyństwo jakiś ciemny i fanatyczny mnich, który nic nie pojmował poza literą dogmatu i nie miał wyobrażenia o skarbach kultury klasycznéj — ale nigdy Dante, wielbiciel bohaterskiéj Romy i artystycznéj Hellady, jeden z najgłębszych i najrozleglejszych umysłów swéj epoki. To téż odstępuje on tu śmiało od powszechnego mniemania, wysoko wznosi się ponad przesądy współczesne i pozostając w granicach wiary dogmatycznéj, zajmuje jednak w téj trudnéj kwestyi samodzielne i zupełnie niezależne stanowisko.

Duchy cnotliwych pogan pomieszczone są w pierwszym kręgu otchłani piekielnéj, ale pozostają na zupełnie innych prawach niż reszta jéj mieszkańców: nie doznając żadnych mąk i cierpień, żyją w wiecznym spokoju, wolne od wszelkich namiętności i trosk ludzkich; miejscem ich pobytu jest prześliczna dolina, strojna wiosenną zielonością, rozjaśniona łagodném i niezmiernie czystém światłem. W ciszy i pogodzie wiekuistéj przepędzają tu czas na rozmowach wzniosłych i głębokich, jedném tylko trapieni smutkiem: niemożnością wzniesienia się do najwyższéj, boskiéj doskonałości. Przeznaczając taki los pośmiertny duchom starożytnym, Dante wymierzył im zupełną sprawiedliwość, a zarazem pozostał w zgodzie z naturalną konsekwencyą swego systemu religijno-moralnego. Ich byt zagrobowy tak jest przedstawiony w „Boskiéj komedyi,“ jak oni sami go sobie wyobrażali: jest to wierny obraz melancholijnych pól elizyjskich mitologii starożytnéj. W tym obrazie odzwierciedla się doskonale sto-

sunek do chrześciaństwa kultury duchowéj klasyczno-pogańskiéj, kultury, która przy całém swém bogactwie i harmonii wewnętrznéj przywiązana wyłącznie do ziemi i ziemskiego bytu, nie znała i znać nie mogła wysokiego polotu duchowości i nieskończonych aspiracyi świata chrześciańskiego. Wskutek tego w życiu pozagrobowém, o ile ono poczytywaném jest, jak u Dantego, za uzupełnienie i uwieńczenie ostateczne dążeń doczesnych, rozwój duchowy pogan starożytnych nie mógł wznieść się do wyżyn doskonałości, usymbolizowanéj w obrazie nieba chrześciańskiego. Wskutek tego w życiu pozagrobowém, o ile ono poczytywaném jest u Dantego, za uzupełniemie i uwieńczenie ostateczne dążeń doczesnych, rozwój duchowy pogan starożytnych nie mógł wznieść się do wyżyn doskonałości, usymbolizowanéj w obrazie nieba chrześciańskiego.

Podobnie jak kary piekielne i nagrody rajskie — stan pośmiertny pogan wyobrażany jest w „Boskiéj komedyi“ jako logiczna konsekwencya praw moralnych, rządzących światem: duchy w swém życiu zagrobowém wznieść się mogą na takie tylko stanowisko, jakie nieodzownie wynika z natury ich rozwoju wewnętrznego. To téż duchy wielkich mężów starożytności niezdolne są wprawdzie wstąpić do przybytków wszechdoskonałości bożéj, ale osiągają najwyższą doskonałość, jaką tylko w swych przyrodzonych granicach natura ludzka zdobyć może. Mieszkańcy owego Elizeum otchłani przedstawieni są jako wzory cnoty i mądrości; poeta otacza ich najgłększą czcią, a jednego z nich, Wirgiliusza, czyni uosobieniem rozumu ziemskiego, swym przewodnikiem aż do bram niebios, swym mistrzem i ojcem duchowym, którego głosu słucha jak wyroczni i którego nauki przyjmuje z głęboką pokorą, jako wyraz najwyższéj mądrości ludzkiéj.

Atoli Dante nie zadawala się tém wyniesieniem mędrców i bohatérów starożytnych i chwyta wszelką sposobność, aby podnieść ich na wyższe jeszcze stanowisko i zbliżyć do ideału chrześciańskiego. Prawda, że ogół duchów pogańskich nie może dostąpić pełnego szczęścia wybranych, ale jednostki, które wzniosły się do wyjątkowéj cnoty stają się godne niebios. I oto cnotliwy Kato z Utyki przeznaczony jest na stróża góry czyścowéj, a po sądzie ostatecznym razem z pokutującemi duszami ma zająć przynależne sobie miejsce w niebiesiech [1]); szlachetny cesarz Trajan i wysławiany dla swych cnót w Eneidzie Ryfeusz Trojańczyk również dostają się do przybytku rajskiego [2]). Wreszcie w 19-éj i 20-éj pieśni Raju poeta wypowiada, za

---

[1]) Purg. I. 75. [2]) Parad. XX. 100.

pośrednictwem błogosławionych siódméj sfery niebieskiéj, ostateczny swój pogląd na pośmiertny los dusz, pozostających poza granicami kościoła. Główną treścią tego poglądu jest uznanie nieudolności ludzkiéj w zgłębieniu wyroków bożych. Śmiertelni ludzie winni wstrzymać się od pośpiesznych sądów, gdyż nawet duchy nieśmiertelne, zatapiające swój wzrok w Bogu nie znają liczby wybranych [1]. To tylko pewna, że królestwo boże zdobywa się jedynie cnotą i zasługą; kto te posiada, choćby nie był chrześcianinem, pewniejszy będzie zbawienia na sądzie ostatecznym, niż ci, co tylko w słowach wyznawali Chrystusa:

Wielu jest takich
Co choć wołają ciągle: Chryste, Chryste!
Będą w dzień sądu mniéj do niego bliscy,
Niźli ten, który nie znał wcale Chrystusa.
Sam Etyopczyk chrześciany takie
Potępi, kiedy w różne pójdą strony
Dwie dusz gromady — jedna na wiek wieków
Ubogacona, druga zasię biedna. (Raj XIX, 106—111).

Myśl wyrażona w tych słowach i w wielu innych ustępach poematu otwiéra pole tak szerokiéj tolerancyi religijnéj, na jaką tylko zdobyć się może umysł zupełnie niezależny, wolny od wszelkich fanatycznych przesądów, nieznający żadnych więzów ciasnéj formalistyki. Przez tę niezależność swych sądów indywidualnych, jako téż przez głębokie przejęcie się duchem kultury starożytnéj, Dante staje się jednym z najpierwszych zwiastunów nowéj epoki w dziejach europejskich, epoki, w któréj społeczeństwo Europy nowoczesnéj, osiągnąwszy wyższą dojrzałość duchową, uwalnia się ze ścisłéj kurateli kościelnéj i wstępuje na tory bardziéj samodzielnego i szerszego rozwoju, ogarniającego w sobie nie tylko religijne ideały chrześciaństwa, lecz także ideały humanitarne, wyrosłe w słonecznych promieniach kultury heleńskiéj. To wyzwolenie cywilizacyjne, jak wszelkie sprawy ludzkie, nie obyło się bez licznych zboczeń i szkodliwych wstrząśnień. Wynikiem jego było najprzód spogańszczenie czasowe chrześciaństwa, następnie rozerwanie jego jedności religijnéj a daléj cały szereg przewrotow, prowadzących aż do zaparcia się nauki Chrystusa; — ale ostatecznie wśród zamętu tych wstrząśnień zaczęła

---

[1] E voi, mortali, tenetevi stretti
A giudicar; che noi che Dio vedemo,
Non conosciamo ancor tutti gli eletti.
Parad. XX. 133—135.

się i narodziła cywilizacya nowożytna, bądź co bądź wyższa i doskonalsza od średniowiecznéj: bogatsza od niéj w treść wewnętrzną.

Razem z duchem chrześciańskim rozwój cywilizacyjny przekazał nam wszystkie te jego wytwory, które, choć powstały w ograniczonych warunkach odległéj epoki średniowiecznéj, wzniosły się ponad jéj zakres i do dziś dnia są najwyższym wyrazem dążeń religijnych ludzkości. Jedno z najpierwszych miejsc między niemi zajmuje boski poemat Dantego: — streszcza on w sobie całą istotę nauki chrystusowéj w jéj wiecznotrwałéj żywotności. W czystym strumieniu poezyi dantejskiéj znajduje ujście potężna ale zbyt zacieśniona w średnich wiekach fala idei ewangelicznéj i zasilona nowemi prądami myśli szerzéj roztacza swe nurty po obszarach wewnętrznego życia duszy. Dante tak dalece wznosi się ponad ciasne i przesądne wyobrażenia prawowierności średniowiecznéj, iż w późniejszych czasach komentatorowie protestanccy widzieli w nim jednego ze zwiastunów reformacyi i poprzedników Lutra [1]). Jakkolwiek pogląd ten całkiem jest bezpodstawny, to jednak istnienie jego wymownie świadczy o rozległém i wszechstronném ujęciu przez poetę zasady chrześciańskiéj, któréj wszystkie odcienie, mające się późniéj tak anormalnie rozwinąć, zdołał uchwycić i zjednoczyć w harmonijnym całokształcie prawowiernéj, a zarazem tak szerokiéj i swobodnéj religijności. Na tem polega główne znaczenie „Boskiéj komedyi," przewyższające nawet jéj poetycką i artystyczną doniosłość.

Wielkim zaiste poetą i artystą był Dante; w swém natchnieniu

---

[1]) Wiele rozprawiano o rzekomym protestantyzmie Dantego i wiele dałoby się jeszcze w téj kwestyi powiedzieć. Ja nie zatrzymuję się tu nad nią, gdyż nie wchodzi ona w zakres mego zadania. Ogólnie tylko zauważę, iż chcąc ją należycie rozstrzygnąć, należałoby rozdzielić dwie ważne jéj strony. Jeśli zważymy częste i gwałtowne wystąpienia w „B o s k i é j k o m e d y i" przeciw władzy świeckiéj papieży i nadużyciom duchowieństwa, to trudno zaprzeczyć, iż Dante był zwiastunem reformy Lutra w jéj proteście przeciw zepsuciu kościoła. O ile jednak reformator germański podniósł dłoń na jedność kościelną chrześciaństwa i o ile zasklepiał się w ciasnych sekciarskich doktrynach, poeta nasz nic nie ma z nim wspólnego. A jednak właśnie w tym ostatnim względzie komentatorowie protestanccy wysilają cały swój dowcip, aby gwałtem uczynić Dantego swym współwyznawcą i czynią niekiedy w swéj zaciekłości doktrynerskiéj wysoce komiczne wrażenie, jak np. dr. Pfleiderer, komentator „Boskiéj komedyi" w przekładzie Streckfussa, wydanym przez Reclama. Chce on, między innemi rzeczami, dowieść wbrew oczywistości, iż Dante nie uznawał czci katolickiéj dla Matki Boskiéj i w tym celu zdobywa się na argumentacyą prawdziwie śmieszną w swéj wygórowanéj subtelności. Dodać trzeba, iż najznakomitszy znawca protestancki Dantego, Karol Witte, nie podzielał wcale podobnych mniemań i wyraźnie stwierdził prawowierność katolicką poety (np. w broszurze: *Dante und die italienisch. Fragen.* Halle, 1861).

twórczém skupił wszystkie czary i uroki poezyi. Pieśń jego dźwięczy naprzemian tonem prostéj i serdecznéj melodyi, wzniosłą harmonią hymnu religijnego i zgrzytliwym dysonansem wstrząśnień duchowych; jego styl zawiéra uroczysty ton epopei, i intensywność uczuciową liryki, i wzniosły patos dramatu: czasem jest miękki i tkliwy, jak cicha spowiedź dziewczęca, czasem znów twardy i groźny, jak krzyk rozpaczy lub gromowy wyraz przekleństwa, a zawsze pełen jakiéjś, jemu tylko właściwéj powagi, niezrównany w swéj lapidarnéj zwięzłości i granitowéj plastyce, — przymiotach wyłącznych i specyficznych poezyi dantejskiéj, w których nigdy nie była ona doścignioną i nigdy zapewnie nie będzie. Wielkim téż znawcą serca ludzkiego, wielkim psychologiem - myślicielem musiał być ten, który zawarł w swéj poezyi taki ogrom uczuć i namiętności ludzkich w całéj ich żywości i prawdzie realnéj, który zdołał wniknąć do wewnętrznych tajników duszy ludzkiéj, naznaczyć właściwe miejsce wszystkim jéj cnotom i występkom i ocenić je wedle istotnego ich znaczenia i wartości.

Atoli ponad poetą-artystą, ponad poetą myślicielem, musimy uczcić w Dantem natchnionego wieszcza religijnego, śpiéwaka najwyższych aspiracyi serca ludzkiego, poetę, który ze wszystkich geniuszów twórczych najlepiéj odczuł pragnienie Boskości, twiące w głębi samowiedzy ludzkiéj i który ideę Bóstwa, oraz wynikające z niéj wyobrażenia o świecie nadprzyrodzonym, najwznioślé pojął i wcielił w swém nieśmiertelném arcydziele.

Ze względu na to ostatnie, wyjątkowe znaczenie Dantego w poezyi wszechświatowéj, można do niego z całą słusznością odnieść wezwanie, którém on uczcił znacznie niższego od siebie wieszcza:

Onorate l'altissimo poeta!

(Cześć największemu poecie oddajcie!)

Walery Gostomski.





PSYCHADA.

In Nature's infinite book of secrecy
A little I can read.
Antony and Cleopatra.

Kwestyą, która nas dzisiaj w dziedzinie filozofii najwięcéj zajmuje jest jéj stosunek do nauk przyrodniczych. Można się z różnych punktów widzenia na kwestyę tę zapatrywać, można w mniejszym lub większym stopniu być zwolennikiem metafizyki, ale nie znajdziemy chyba poważnego filozofa, któryby nie przyznał, że filozofia liczyć się musi z wynikami nauk przyrodniczych. Nie tak to dawne zresztą czasy owéj zaciętéj walki między filozofami a przyrodnikami, kiedy to ci ostatni pierwszych uważali za ludzi, pozbawionych zdrowego rozsądku, budujących zamki na lodzie—wątpliwéj wartości, pierwsi zaś na drugich z politowaniem spoglądali, jako na grubych empiryków, zajmujących się brudną rzeczywistością i nie mogących dlatego żadnego mieć głosu tam, gdzie szło o rozwiązanie zagadnień filozoficznych. Czasy te bezpowrotnie minęły z wielką korzyścią dla filozofii i nauk empirycznych. Stanowczy, a zdrowy wpływ nauk przyrodniczych na filozofię poczyna się z chwilą bankructwa filozofii Fichtego, Schellinga i Hegla, bankructwa, spowodowanego mglistemi i mącącemi umysł wynikami ich nauki, która w tak jaskrawéj stanęła sprzeczności z wynikami empiryzmu. Cóż, kiedy po skrajnym i absolutnym idealizmie nastąpił skrajny i absolutny materyalizm w rodzaju Czolbego, Vogta, Moleschotta, Büchnera i innych, który również nie był w stanie rozwiązać zagadnień filozoficznych i dlatego upaść musiał. W tym zamęcie pojęć i myśli szukano jakiegoś punktu oparcia, a ponieważ brak było wtedy genialne-

go myśliciela, któryby rozmotał zawikłany kłębek pojęć i nowéj filozofii i filozofom wskazał tory, zwrócono się do ostatniego wielkiego filozofa, Kanta, którego nauki niezatartemi jeszcze zgłoskami w pamięci filozofów świeciły i poniekąd stanowiły punkt wyjścia dla wszystkich systemów filozoficznych naszego stulecia. Nie tu miejsce badać bliższe przyczyny i okoliczności tego zwrotu. Widocznie zdawało się, jak angielski zwolennik Kanta, Robert Adamson, powiada: „że powrót do Kanta jest powrotem do takiego sposobu pojmowania zagadnień filozoficznych, który zostaje w najściślejszym związku z potrzebami czasu, który pozwala przynajmniéj spodziéwać się nowego rozwiązania tych zagadnień.“ Małżeństwo to nauk przyrodniczych z filozofią Kanta znane jest pod nazwą pozytywizmu idealnego czyli nowo-kantyzmu. Między zwolennikami kierunku tego nie ma jedności; każdy z nich stosunek filozofii do nauk przyrodniczych odmiennie rozumié, każdy Kanta odmiennie pojmuje i — przeżuwa. A cały kierunek ten nie ma przyszłości i zapewne niebawem przejdzie do historyi. Dziś jednak licznych jeszcze ma wyznawców i teraz nowy objaw jego zanotować wypada.

Najwybitniejszy obecnie nowokantysta w Niemczech, dr. Fritz Schultze, profesor filozofii w Dreznie, w świéżo wydaném dziele, mającém za przedmiot porównawczą naukę o duszy [1]), pokusił się o nowe rozwiązanie zagadnień psychicznych w duchu pozytywno-idealnym. Pozwolę sobie przedewszystkiém zdać sprawę z tego usiłowanego stworzenia nowéj teoryi duszy, z téj próby wprowadzenia kwestyi materyi i ducha na nowe tory.

We wstępie Schultze zaznacza, że psychologia dziś w dziedzinie filozofii centralne zajmuje miejsce. Przekonano się bowiem, że dawniejsze apryorystyczne spekulacye o wszechświecie nie wielką mają wartość i że filozofia, równie jak nauki przyrodnicze i technika na spostrzeżeniu i doświadczeniu, — a więc na podstawach psychologicznych opiérać się musi. Teorya poznania, logika, filozofia moralności, prawa i religii i estetyka żywotnie traktowane być mogą jedynie przez dokładne badanie procesów psychicznych. Słusznie więc nowoczesna filozofia wchodzi na tory psychologizmu. Jeśli poznanie siebie samego ma być najwyższym celem wszelkiéj mądrości, toć ta droga przecież najodpowiedniejsza. Zdawałoby się, że w porównaniu z innemi naukami, psychologia znajduje się w niekorzystném położeniu, psycholog bowiem nie może, jak przyrodnik, objąć swego przed-

---

[1]) „Vergleichende Seelenkunde von dr. Fritz Schultze“ (Leipzig, Ernst Günthers Verlag, 1892).

miotu zmysłami, że przeto psychologii brak rzeczywistości. Lecz nasze wrażenią, uczucia, spostrzeżenia i myśli są równie rzeczywistemi, jak rośliny i minerały, mimo iż w nas nie zaś w przestrzeni się znajdują. Myli się przyrodnik, twierdząc, że przedmioty swoich badań bardziéj bezpośrednio poznaje niż psycholog, że one przeto pewniejsze są, niż przedmiot psychologiczny. I przyrodnik poznaje za pośrednictwem swoich zmysłów i swéj świadomości, a więc przez szereg pośrednictw psychicznych. Różnica jednak jest inna,—polega na większéj trudności przedmiotu, na tém, że zjawiska psychiczne są zmienne i ulotne, nie dają się więc długo obserwować i całkowicie badaniu naukowemu poddać. Nadto, każdy tylko siebie obserwować może, a zjawiska u innych tłómaczy za pomocą metody porównawczéj.

Najpierwotniejsza psychologia — to mowa ludzka. Romańskie *anima*, greckie ψυχή i hebrajskie *ruach* oznaczają—tchnienie, co nam tłómaczy, że początkowo mniemano, iż ciepłe tchnienie jest duszą, bo z jego ustaniem i życie znika. O wiele trafniejszém jest germańskie *sele*, *sêola*, *sêla*, *soul*, *seele*. Pochodzi to od gotyckiego *saivala* (*saiva*)—*saivan* oznaczającego — poruszać, ruch. Wyraz ten najlepiéj odpowiada zadaniu duszy w organizmie, t. j. zadaniu poruszania ciała.

Duszę należy odróżnić od umysłu, bo wyraz „dusza“ służy do najobszerniejszego oznaczenia procesów psychicznych, a więc i nienieświadomych, kiedy umysłem nazywamy wyższe stopnie świadoméj czynności psychicznéj, myślenia i woli. Tylko od trafnéj metody zależy rozwiązanie problematu duszy, który w dalszym ciągu staje się zagadnieniem wszechświata i stworzenia; rozwiązanie zaś jednego zagadnienia będzie zarazem rozwiązaniem drugiego. Dawniejsza metoda psychologii była dogmatyczną — nowa jest empiryczną. Pierwsza była dedukcyjną, druga jest indukcyjną. Pojawia się ona w dwóch formach, bądź jako metoda podmiotowo-empiryczna, bądź téż jako metoda przedmiotowo-empiryczna. Obie negują dogmatyzm, ale błąd podmiotowéj metody polega na tém, że indukcya zbyt mały w niéj ma zakres, bo odnosi się do jednostki, albo do osób na wysokim szczeblu kultury stojących—zawsze jednak tylko do ludzi. Pozostaje więc metoda przedmiotowa, pomijająca dogmatyzm religijny i filozoficzny, nie będąca ani materyalistyczną, ani spirytualistyczną. Metoda ta obserwuje procesy psychiczne tak, jak je doświadczenie nasuwa, po pierwsze w połączeniu z materyą, po drugie u ludzi na wszystkich szczeblach kultury, a więc i u dzieci i u dzikich, po trzecie u zwierząt i roślin. „Jakież taka obiektywnie empiryczna, czyli prawdziwie porównawcza nauka o duszy nastręcza trudności, choćby w psycholo-

gicznem ocenieniu jednostki, pojedyńczego człowieka? Nietylko, że zbadać musimy jego pochodzenie, jego odrębny rozwój fizyczny i umysłowy warunkowany odżywianiem się, wychowaniem, losami życiowemi i wrażeniami, odbiéranemi w pewném miejscu zamieszkania w ograniczonem kole społeczném, lecz nadto zważyć, że w danéj jednostce odzywa się także duch jéj pokolenia, jéj narodu, jéj rasy, w końcu całéj ludzkości, wziętéj w rozwoju historycznym i w związku z światem zwierzęcym i roślinnym, w zależności od całéj otaczającéj ją przyrody, począwszy od piędzi ziemi aż do systemu planetarnego i kosmosu. Jesteśmy dopiéro w zaraniu psychologii porównawczéj, narazie jednak i to dobre.“

Naukę o organizmach zwiemy organologią, czyli biologią, która się rozpada na fytologię (naukę o roślinach), zoologię i antropologię. U roślin więc, zwierząt i ludzi — jako u organizmów posiadających psychę — bada biologia formy zewnętrzne i życie wewnętrzne. Pierwsze należy do morfologii, drugie do psychologii. Skoro więc morfologię dzielimy na paleontologię (*phylogenie*), embryologię (*ontogenie*), anatomię, fizyologię i patologię, to i w psychologii znajdziemy działy temu odpowiadające, a mianowicie: 1) paleopsychologia bada prastany życia wewnętrznego roślin, zwierząt i ludzi; 2) paidopsychologia zajmuje się duchowym rozwojem organizmu dziś żyjącego, np. duchowym rozwojem dziecka albo „młodych“ u zwierząt; 3) telopsychologia wykrywa stany psychicznego osobnika; 4) fizyologiczna psychologia bada wzajemny stosunek i wpływ pierwiastku psychicznego i fizycznego, w końcu 5) psychopatologia obejmuje badania zjawisk chorobowych i anormalnych duszy, czyli życia wewnętrznego. Nadto osobny jeszcze dział stanowi i ogromne téż ma znaczenie historya psychologii. Schultze postanowił wszystkie te działy opracować i przedstawić w powyższym mniéj więcéj porządku, z pominięciem jednak historyi psychologii. Prace te obejmą więc fizyologiczną psychologię — psychologię zwierząt i roślin, psychologię narodów żyjących na łonie przyrody, psychologię dziecka, psychologię człowieka kulturalnego i psychopatologię. Stosownie do tego planu, wydana obecnie część pierwsza tomu pierwszego ma za przedmiot psychologię fizyologiczną i wytłómaczenie faktów fizyologicznych i psychologicznych.

Pierwsze cztéry rozdziały pomijam, gdyż obejmują tylko popularne i nader zwięzłe przedstawienie głównych zasad i podstaw psychofizyki. Wprost więc przystępuję do zajmującego nas tu więcéj i już

w zakres filozofii wchodzącego wytłómaczenia zjawisk fizyologicznych i psychologicznych i zużytkowania ich do nowéj teoryi duszy.

Najdawniejsze antropomorficzne i antropopatyczne pojmowanie natury nie znało jeszcze różnicy między duchem a materyą, lecz przyjmowało—bez dalszego rozpatrywania téj kwestyi — że materya jest uduchowioną. Naukę tę, tak zwany hylozoizm, dzielą z wszystkiemi ludami na łonie przyrody żyjącemi — pierwsi greccy filozofowie. Schultze nazywa ją bezkrytytyczną nauką o jedności ducha i materyi. W miarę tego, jak ludzie uświadamiali sobie wartość i siłę swojego rozumnego myślenia, jęli wywyższać ducha nad materyę. Na téj to drodze rozwinęła się nauka Anaksagorasa, Sokratesa i Platona, nauka powiadająca, że dusza jest bezcielesną, materya zaś cielesną, że więc duch i materya są to dwie przeciwne sobie substancye. Oto dualizm, który panował wszechwładnie w chrześciańskiéj dogmatyce ojców Kościoła i w średniowiecznéj scholastyce, tak że nawet Descartes nie zdołał się od niego wyzwolił. Rozbijał się dualizm o niemożność wyjaśnienia wpływu i stosunku wzajemnego duszy i ciała. Descartes'a *influxus physicus* jednéj substancyi na drugą upadł. Starano się więc w drodze nadprzyrodzonéj wytłómaczyć ten wzajemny stosunek. Przyjęto, że Bóg przy okazyi odbywania się procesu psychicznego w duszy wywołuje odnośny ruch w ciele, z drugiéj zaś strony—przy sposobności działania zewnętrznéj podniety na ciało—budzi w duszy wrażenie i wyobrażenie. Oto nauka okazyonalizmu przez Geulinx'a przedstawiona. Tę ciągłą, bo w każdéj chwili ponawiającą się działalność boską ograniczył Leibnitz do jednorazowéj. Uczył, że Bóg w chwili stworzenia człowieka, duszę i ciało tak do siebie przystosowuje, że i nadal pozostają w téj prestabilizowanéj harmonii, wedle któréj procesy w nich równolegle się odbywają [1]).

---

[1]) Udowadniał to Leibnitz za pomocą owéj słynnéj przenośni zegarowéj, przyrównywującéj duszę i ciało do dwóch zégarów, równo idących. Twierdził więc, że podobnie jak ten, który owe zégary wykonał, mógł je tak zręcznie urządzić, by równo szły, tak i Stwórca ciało i duszę w ten sposób przystosował, że w ciągłéj pozostają zgodzie. Przenośnia owa wziętą jest od Huygensa, który obserwował dwa zégary i twierdził, że przy wykonaniu ich zgodność przyszłą zapewnić można. Huygens wspomniał o tém w „Journal de Sçavans" 16 et 23 Mars 1665 i w swojém dziele: „Horologium oscillatorium. Parisii, 1673". Leibnitz twierdzi, że sam Huygens mu o tém spostrzeżeniu doniósł (*Vide* list Leibnitza z 26 lipca 1699 r. pisany do elektorowéj hanowerskiéj Zofii w dziele Federa: „Sophie Churfürstin von Hannower im Umriss." Hannower, 1810, str. 239: „*Il me l'a contée lui-même, et il l'a même publiée dans ses ouvrages sur les pendules.*"

Ponieważ dualizm wikła się bądź w sprzeczności, bądź do cudu uciec się musi, przeciwstawiono dogmatycznemu dualizmowi—monizm dogmatyczny, przyjmujący zamiast dwóch — jedną substancyę. Monizm występuje bądź jako materyalizm i uczy: jest tylko materya; duch zaś i dusza są drugorzędnemi produktami pewnych mieszanin materyi;—bądź jako spirytualizm, wedle którego istnieje tylko duch, a wszystko, co zdaje się być materyą, jest tylko odrębnym rodzajem wyobrażenia; — bądź występuje jako nauka o identyczności. Ta ostatnia uczy, że jest jedna tylko substancya, nie będąca sama w sobie ani duchem, ani materyą, a przejawiająca się bądź jako duch, bądź jako materya. Schultze jest przeciwnikiem tych nauk i przeciwstawia im swoją teoryę krytyczno-empirycznéj nauki o jednolitości ducha i materyi. Ponieważ nauka o identyczności ściśle wziąwszy, jest tylko okazyonalizmem albo prestabilizowaną harmonią, bo i według niéj duch i materya w swoich przejawach są różne i przeciwne, nie dopuszczające wzajemnego wpływu bezpośredniego,—więc i tu mamy tylko dogmat, nie zaś prawo natury, wytłómaczenie nadprzyrodzone, nie zaś naturalne.

Naukowe znaczenie mieć tedy tylko może czysty materyalizm i spirytualizm, do nich więc Schultze, w celu wykazania ich błędności, sondę krytyki przykłada.

Materyalizm przyjmuje jako praprzyczynę wszechrzeczy materyę, posiadającą siłę przyciągania i odpychania. Materyi téj, z któréj wszystkie inne powstało — nie znamy; jest nią rzecz sama w sobie, któréj poznać nie możemy, która tém samém jest tylko założeniem filozoficzném. Tę nieznaną materyę dzielą materyaliści na atomy. Cóż to są atomy. Cząsteczki niepodzielne. Myślą ich pojąć nie możemy, nie mogąc sobie wyobrazić materyi, któréj podzielić nie można; w wyobraźni bowiem nie otrzymamy tak drobnego kawałka materyi, któregobyśmy daléj dzielić nie mogli. Tém mniéj zmysłami dostrzedz możemy taki atom. I to więc jest tylko hypotetyczném założeniem. Nie należy pomijać doniosłego znaczenia teoryi atomistycznéj dla nauk przyrodniczych, np. dla chemii. Chcąc jednak wytłómaczyć zjawiska cielesne, materyalne, nie mamy bynajmniéj potrzeby posługiwać się atomami. Kamień np. jest masą, składającą się z wielu części. Co łączy te części? Siła przyciągania. Gdyby ona działać przestała, wszystkie części rozpadłyby się, większe na mniejsze, mniejsze na jeszcze mniejsze i t. d. aż do nieskończoności — do nicości. Nie byłoby więc kamienia, gdyby zabrakło siły przyciągania; nie atomy więc tworzą i łączą kamień, lecz siła; istotném więc w materyi—jest siła; ona jest ostatnią przyczyną, pierwiastkiem two-

rzącym, łączącym i praprzyczynowym. Możnaby tu zarzucić, że przecież siła ta w czémś objawić się musi i że się w atomach właśnie objawia. Tymczasem przeciwnie, przez siłę tylko możliwą jest materya i jeśli gruntownie problemat ten zbadamy, okaże się, że wszędy obserwujemy tylko siły. Czémże jest twardość ściany, jeśli nie pewną sumą siły oporu, jaka wobec mnie występuje? Można się więc obejść bez atomów i przyjąć zamiast nich jednostki siły. Na czémże polega istota siły? O tém—nic nie wiemy.

Materyalizm jest tedy hypotezą, jak każda inna i stanowczo za jéj pośrednictwem nie wytłómaczymy wszystkich zjawisk, tém mniéj zjawisk psychicznych, choć zwolennikom materyalizmu możliwém się to wydaje. Według nich: czucie, myślenie i wola są wynikiem mieszaniny materyi w mózgu, — jak nerki mocz, tak mózg myśli wydziela—myśli są fosforyzacyą mózgu. „Słucham np. sonaty Beethovena. Grający siedzą, końskim włosem trą po kiszkach baranich, skórzanemi wałkami uderzają w skórę cielęcą i w próżne dmuchają drzewa i blachy. Te ruchy materyi w ruch wprawiają powietrze, fale jego wstrząsają molekułami moich nerwów mózgowych, a w dalszym ciągu wstrząsają zwojami mózgowemi i słyszę sonatę Beethovena.“ Jakże tu wytłómaczyć na podstawie tych zjawisk materyalistycznych umysłowe wrażenie i pogląd na to dzieło muzyczne? Weźmy np. trzy wagony kolejowe, z których pierwszy o drugi, a drugi o trzeci uderza. Wypadek ten od tamtego niczém się nie różni, bo i tu i tam są atomy i drobiny, — a jednak czy drugi wagon wié o tém, że go się pierwszy „niedelikatnie“ dotknął? Nie. Jakże tu pojąć, że przy poruszaniu się molekułów nerwowych pozostaje wrażenie, uczucie, wyobrażenie? „Owa radość niebiańska, owa słodycz kojąca nasze bóle, owe dreszcze przeczucia i nadziei, jakich doznajemy, słuchając arcydzieł muzyki“—czy i to są tylko ruchy molekułów? Radzą sobie materyaliści, twierdząc, że w materyi jest zawarte czucie. Stają jednak tym sposobem w sprzeczności z podstawą swojego systemu, podstawą, mówiącą, że wszystko jest *tylko* materyą i że ta *tylko* siłą przyciągania i odpychania jest wyposażona. Stają tedy na stanowisku Leibnitza, bo czémże jest taki atom, jeśli nie monadą? Nauka Haeckla o duszach komórkowych, komórkach duchowych także nie jest materyalistyczną, lecz idealistyczną, bo materyalizm nie wytłómaczy duszy i ducha. Jakże nienaukowém jest twierdzenie materyalistów, że mimo, iż dzisiaj z żadnéj mieszaniny materyi i pierwiastków duch (dusza) utworzyć się nie da, to jednak w praczasie w korzystniejszych warunkach p r z y p a d k o w o z mieszaniny materyi nieorganicznéj powstał praorganizm. Więc dziś dla mniéj korzystnych warunków tylko mamy

inny sposób rozmnażania się? Czy to do pojęcia? Jeżeli duch jest wynikiem mieszaniny pierwiastków, to niechby materyaliści dziś tak pierwiastki zmieszali, iżby duch powstał. Taka mieszanina nie uda się chyba, bo z martwego żywe nie powstanie, bo „ślepa siła przyrody różni się od świadoméj siły duchowej.“ Piorun, uderzając w dom, działa z ślepą koniecznością; piorun nic nie wié o sobie, nic o szkodzie którą zrządza. Siła duchowa nie jest tak ślepą, „wié o sobie“. „Oto na tém polega jéj szlachectwo, jéj wyższość, oto, co ją chroni od wywodzenia jéj z materyi.“ Materyalista na to odpowie, że tę siłę, która „o sobie wié“, według doświadczenia spotykamy tylko w zwojach mózgowych, albo przynajmniéj w pierwoszczy. Musi więc ona być tak samo materyalną, jak ta materya, bo jest tylko własnością téj materyi, nie zaś czémś samoistném obok niéj lub nad nią. Lecz czy siła występująca w materyi lub obok niéj, tém samém staje się czémś materyalném? Czém jest siła ciążenia, czém siła zwracająca magnes ku północy, czém siła elektryczności, przebiegająca na sekundę 60,000 mil? Czy pierwsza jest ciałem niebieskiém, bo równowagę takich ciał utrzymuje, druga igłą magnesową, w któréj się objawia, a trzecia drutem, przez który przebiega? Naiwnie i nielogicznie rozumują materyaliści, twierdząc, że ta siła duchowa nietylko jest czémś cielesném, lecz że nawet tworzy ją materya — mózg albo pierwoszcza. Z utratą mózgu bowiem ginie inteligencya i wola. Są tedy inteligencya i wola, czyli pierwiastek duchowy, produktem materyalnego mózgu. Błąd tego rozumowania polega na pomieszaniu warunku *sine qua non* i twórczéj przyczyny. Warunkiem takim jest mózg, ale nie przyczyną. Możemy to sobie obrazowo przedstawić na następującym przykładzie: Skrzypek bez dobrych skrzypiec nie zaprodukuje nam dobréj muzyki; jeśli struny porwane, nie może on swych idei muzykalnych wyrazić. Takim właśnie jest stosunek ducha do materyi. Skrzypkiem tym jest duch, który gdzieś działać musi na materyą; środkiem, za pomocą którego duch działa, jest system nerwowy, ale tylko środkiem, nie źródłem siły działającéj. Prawda, że z utratą wielkiéj części mózgu, lub wskutek choroby mózgu, następują zmiany i przeszkody w nas i naszém myśleniu, lecz nie wskutek tego, że siła duchowa ucierpiała, ale owszem z téj przyczyny, że narzędzie — skrzypce—jest zepsute. Przy porwanych strunach skrzypek nie ginie, lecz nie gra. Przy zepsutym mózgu i nerwach nie ginie duch — duch zostaje—lecz nie działa. Bo jakże też dałoby się pojąć, że „w stanie największego zmęczenia i osłabienia ciała energia woli i myślenia potężnie i gwałtownie słabość ciała przezwycięża, dokonywując czynów największych“—gdybyśmy przyjęli, że pierwiastek du-

chowy od cielesnego, materyalnego w zupełności jest zawisłym, że jest on tylko produktem mieszaniny materyi.

Ścisłe rozumowanie więc każe wyrzec się materyalizmu i prowadzi nas do idealizmu, lecz nie do dogmatycznego spirytualizmu Platona, Descartes'a lub dogmatyki wyznaniowéj. Zasługa spirytualizmu polega na tém, że pierwiastkowi duchowemu przyznaje on samoistność. Zresztą metafizyczno-dogmatyczne jego zapatrywania są mylne i równie jak materyalizm zarzucić je należy. Spirytualizm błądzi, wypiérając się materyi albo uważając ją co najwyżéj jako przeszkodę dla ducha. Tworzy więc abstrakcyjną psychologię, nie zna zaś fizyologii i psychofizyki. Według zapatrywania spirytualistów, ciało jest nieprzyjacielem duszy, kiedy w rzeczywistości stosunek ich za najprzyjaźniejszy uważać należy. Błądzi téż spirytualizm, ograniczając ze względów teologicznych pojęcie duszy do człowieka, w celu uzasadnienia tém wyłącznie człowiekowi przysługującéj nieśmiertelności; tymczasem przyjąć musimy, że i rośliny i zwierzęta posiadają duszę, że one tylko co do jéj stopnia, nie zaś absolutnie od człowieka się różnią. Po trzecie spirytualizm dawny uważa duszę za niemateryalną, bezcielesną istotę, czy téż substancyę. Pojęcie niemateryalności jest jednak tylko negacyjném; oznacza ono, czém dusza **nie jest**, nie zaś — czém jest. Na téj podstawie spirytualizm czysto pojęciowo i ontologicznie wnioskuje, że dusza jest niezłożoną, niezniszczalną i nieśmiertelną substancyą. Dusza jest wprawdzie pierwiastkiém samoistnym, ale nie nadprzyrodzonym, nie nienaturalnym. Jest ona raczéj siłą **naturalną**, **specyficznie** różną od ślepych sił przyrody, objawiających się w materyi. W końcu — według spirytualistów, dusza w jedném miejscu ciała ma swoją siedzibę (Descartes). Sprzeciwia się to z jednéj strony fizyologii, a po drugie zaś tym sposobem tworzymy ciało w ciele — materyalizujemy duszę.

Rozprawiwszy się w ten sposób z materyalizmem i spirytualizmem, a tém samém z innemi teoryami na wstępie wymienionemi, rozwija Schultze swoją teoryę, któréj pojedyńcze punkty już wyżéj, przy krytyce innych teoryi wplecione zostały.

Badania fizyologiczne prowadzą do przekonania, że warstwy komórek zwojowych w mózgu są organami inteligencyi i woli. Jakże sobie przedstawić mamy odbywanie się zawikłanych procesów myślenia? Zasadniczym ich żywiołem są wyobrażenia. Myślenie nasze polega na łączeniu i rozłączeniu wyobrażeń. Twierdzą więc niektórzy, że wyobrażenia — te najprostsze składniki naszego myślenia — w komórkach zwojowych się mieszczą i to jako obrazy, trudno bowiem pomyśléć, jakby się tam inną drogą dostały. „Jak fotografia

ukochanéj osoby w medalioniku", tak w komórkach przechowane są podobizny wyobrażeń. Warstwy komórkowe są więc spichrzami dla podobizn wyobrażeń. O dowody tym, którzy tak na rzecz tę zapatrują się, nie trudno. Jeśli pewną tylną część mózgu zniszczymy, ustają wszelkie wyraźne wrażenia wzrokowe. Wynika stąd, że obrazy wzrokowe mieszczą się w komórkach téj części mózgu. Wprawdzie zwolna następuje odzyskanie wzroku, ale—według tych samych fizyologów — pochodzi to stąd, że prócz napełnionych komórek są i próżne, w których się z czasem te obrazy nagromadzają. Jak w danym przykładzie z obrazami wzrokowemi, tak dzieje się i z innemi obrazami. W pewnéj warstwie spoczywają obrazy dźwiękowe wyrazów np. wyrazu „cnota", w innéj — obrazy pismowe, np. obraz pisanego wyrazu „cnota", w trzeciéj znowu obrazy ruchów mownych, w czwartéj—ruchów pismowych, a w osobnéj warstwie abstrakcyjne pojęcie cnoty. „A wieleż komórek należałoby doliczyć u poliglotów, znających wyrazy: *virtus*, *vertu*, *virtù*, *virtue*, ἀρετή i t. d.?" Teoryę tę ma podobno uzasadniać to, że chorzy nie zapominają wyrazów wszystkich naraz, lecz według klas—najpierw imiona własne, późniéj rzeczowniki i t. d. Dowodzi to najlepiéj, że w różnych warstwach komórkowych złożone są różne klasy wyrazów. Nie ma obawy, by kiedyś zabrakło komórek—dla nadmiernéj liczby obrazów wyobrażeń. Przeciętny człowiek używa 3—4,000 wyrazów, Shaekspeare—15,000 wyrazów. Gdybyśmy nawet przyjęli 30,000 wyrazów, a dla każdego—jak to wykazano — po dziesięć komórek, dałoby to 300,000 komórek. Zwiększmy to dziesięciokrotnie, dwudziestokrotnie, otrzymamy sześć milionów komórek, tymczasem w korze mózgowéj jest ich aż 600 do 1,200 milionów. Doprawdy dziwić się należy, że natura tyle komórek bezpotrzebnie stworzyła. Zresztą czémże są te warstwy komórek, jeśli nie owemi dawno zarzuconemi prowincyami mózgowemi, jakie stara frenologia uznawała? Jakże się taki obraz wyobrażenia do komórki dostaje? Na siatkówce znajduje się obraz przedmiotu, który widzimy odwrotnie. Przez nerw oczny ma obraz ten wejść do komórki. Ależ popierwsze, my mechaniki nerwu wzrokowego i komórek mózgowych nie znamy, podrugie zaś, odrębny ruch molekułów w nerwie tym nie ma nic wspólnego z tym obrazem zewnętrznym. Możemy więc tylko powiedzieć, że w nerwie i komórkach odbywa się odrębny ruch stanu drobinowego, ten ruch jednak nie ma żadnego podobieństwa do zewnętrznego przedmiotu, który go wywołuje. „Krzesło lub człowiek zewnątrz nas, nie są krzesełkiem lub człowieczkiem wewnątrz nas. I cóż mamy mówić o procesach słuchu, smaku, powonienia i dotyku, przy których tylko w przenośni

o obrazie mowa być może. Widocznie sztuka fotograficzna, stosowany przy niéj proceder i jéj wytwory, wywołały tę teoryę. Rzecz ma się inaczéj". „Obrazowo najlepiéj ją wyłożymy. W Berlinie pochód uroczysty postępuje ulicami. Korespondent telegraficznie o nim swoją redakcyę w Dreznie zawiadamia. Urzędnik telegraficzny w Dreznie nie widzi tego pochodu, tylko poruszenia igły, która w zwoju papierowym znaczy kropki i kreski. Ale z tych kresek i kropek wyczytuje on zdarzenia w Berlinie. Podobny jest stosunek świata zewnętrznego i odrębnych zmian, odbywających się w nerwie i komórkach mózgowych. Obraz zewnętrzny niebywa w nie przeniesiony, są tylko znaki, kréski i kropki, z których fachowiec (dusza) znaczenie ich wyczytać może". „Zbijane tu wyżéj zapatrywanie fizyologów niektórych zapomina téż o jednolitém złączeniu pojedyńczych wrażeń. Wrażenia np. jakie sprawia w nas jabłko: jest okrągłe, twarde, słodkie i t. d., nie dają nam jeszcze wyobrażenia o jabłku i takiego złączenia wrażeń téż nie otrzymamy, jeśli nie przyjmiemy wyższéj duchowéj zasady. Nad rozmaitością komórek i ich zawartością jeszcze panować musi łącząca siła, myślący duch, pierwiastek psychologiczny nad fizyologicznym, idealny nad materyalnym, porządkujący nad materyałem nieuporządkowanym". Nie biorąc za podstawę takiego wyższego pierwiastku duchowego, nie moglibyśmy téż pojąć, jak 600—1,200 milionów komórek wytwarza własną świadomość, świadomość swego „ja" w jednostce. Musimy tedy przyznać pierwiastkowi duchowemu o d r ę b n ą s a m o i s t n o ś ć. Mózg nie odbywa funkcyj myślenia, on tylko „myślenie zaopatruje w potrzebne dla myślenia zmysłowe składniki", bez których najbardziéj bodaj oderwane pojęcia w nas powstać nie mogą. Komórki więc mózgowe należy uważać za schowki, w które nagromadzone bywają wrażenia, pochodzące od świata zmysłowego i od zmysłów. „Materyału dla myślenia dostarczają zjawiska świata zewnętrznego, form zaś użycza pierwiastek duchowy". Wrażenia te przechowują się jako znaki, jako zmiany drobinowe w nerwie i mózgu. I tu Schultze posługuje się obrazem: „Partytura opery zawiéra całe dzieło. Czarne nuty i litery mieszczą wszystko, co śpiéwak śpiewa, instrumenty grają i co odegrać się ma na scenie. Kto tych nut i liter nie zna, widzi naturalnie tylko kréski i punkty, których sensu nie rozumie. Muzyk zaś przebiega wiersze okiem, w fantazyi jego odgrywa się akcya, rozbrzmiewa muzyka. Partytura kieruje batutą kapelmistrza i za pomocą tegoż orkiestrą i śpiewakami na scenie. Taką partyturą wielkiéj opery światowéj, jest kora mózgowa. Na najmniejszéj przestrzeni, w zmniejszonych, dziwnych znakach zmian molekularnych

wnętrza komórek mózgowych zapisane i przechowane są wszystkie wrażenia, które człowiek od świata odbiéra. Mówiąc daléj w téj saméj przenośni, powiedziéć możemy, że partyturę tę ma przed sobą dusza, czytając w niéj zjawiska światowe subiektywnie i indywidualnie, te zaś skłaniają ją do odpowiednich odruchów i działań.“ Bez mózgu i systemu nerwowego dusza niczego zdziałać nie może. W organizmie każdy proces psychiczny, złączony jest z odpowiednim — fizyologicznym i odwrotnie, i to zawsze—bez wyjątku. Materyalizm zaś przyjmuje warunek za przyczynę. Dusza działając na świat zewnętrzny posługuje się członkami ciała jako narzędziami, bądź to grubszemi bądź subtelniejszemi, stosownie do grubszych lub subtelniejszych ruchów, jakie chce wywołać. I tak grubszy organ systemu nerwowego—rdzeń pacierzowy, służy do wywołania ruchów rąk i nóg. Delikatniejsze ruchy, np. odruchy wskutek świadomych wrażeń, jak wybijanie taktu przy odgłosie muzyki, dusza wykonywa przy pomocy móżdżku. Najdelikatniejsze ruchy, skutkiem których następują wyobrażenia i myśli, wykonywa mózg wielki, najdelikatniejszy składnik systemu nerwowego. Do przechowania odebranych i przerobionych wrażeń dusza potrzebuje pamięci. Ta ostatnia nie jest wyłącznie duchową własnością, lecz przeciwnie zależy od warunków fizyologicznych i cielesnych. Jest zawisłą od komórek — schowków wrażeń zewnętrznych i od wrażeń przez duszę przerobionych. „Kora mózgowa jest archiwum duszy. Niektóre komórki odnoszą się do potrzeb codziennych. Archiwaryusz—dusza posługuje się niemi co chwila, co znaczy, że zawartość ich mamy doskonale na pamięci. Inne wrażenia pozornie zapomnieliśmy. Spoczywają one w komórkach. Przez pewną asocyacyę nasuwają się archiwaryuszowi, odczytuje je — co znaczy, że przypominamy sobie rzeczy dawniejsze.“

Wyższość ludzi nad zwierzętami polega przedewszystkiém na różnicy fizyologicznéj, na większéj ilości komórek mózgowych u człowieka. Lecz między dwoma osobnikami musi nadto istniéć wyższość i różność czysto duchowéj natury, bo jakże inaczéj pojąćby się dała różność duchowéj siły i pracy między ludźmi jak Goethe i Gauss, albo również między jednym z nich a przeciętnym człowiekiem.

Czémże tedy jest pierwiastek duchowy i gdzie ma swoją siedzibę?

Duch nie jest niczém materyalném, jest on siłą i to siłą naturalną, nie nadprzyrodzoną, która „o sobie i o innych wié“, która ma specyficzne własności. Jest ona dla nas siłą najpewniejszą i jedyną, którą bezpośrednio odczuwamy. Istnienie wszystkich innych sił poznajemy za pomocą siły duchowéj, o ile siły owe na duszę oddziały-

wają. Nawet pojęcie „siły“ zawdzięczamy sile duchowéj, znamy je wskutek, „naszéj wewnętrznéj zdolności pragnienia, wywołania ruchu, zdolności zdziałania skutku. Sił zewnątrz nas leżących nie znamy, znamy tylko ich skutki, własną zaś wewnętrzną siłę woli odczuwamy i analogicznie z tém—zewnątrz nas siły przyjmujemy.“

Najznamienniejszym i najodrębniejszym rysem téj siły duchowéj jest to, że ona się zawsze w pewnéj, a nie innéj, i tylko téj formie pojawia, w formie indywidualnéj. Inne siły nie mają téj własności. Jakość siły pary jest jednaka przy mniejszéj lub większéj ilości. Siła duchowa u każdéj jednostki jest inna; istota organiczna nie może swéj siły duchowéj dzielić i dlatego ona jest prawdziwie — indywidualnością. Indywidualność jest prazagadką życia, a *principium individuationis*—skałą, o którą się metafizyka i nauki empiryczne zawsze rozbijały. Indywidualność jest niepojętą i niedającą się pojąć, bo aby ją zrozumiéć, musielibyśmy posiadać możność samostworzenia się. Samoświadomość czyni indywidualność osobowością, t. j. wśród ciągłéj zmiany wszystkiego i mimo wszelkich zmian zewnętrznych i wewnętrznych na sobie i w sobie, indywidualność czuje się jako ciągłe „ja“, jako jedność, jako jednostka — w przeciwstawieniu do wszystkich innych. Tę „osobowość“ przyznaje Schultze wszystkim ustrojom żyjącym, a więc zwierzętom i roślinom — w różnym jednak stopniu. Tylko dogmatyczna psychologia, już w założeniu swém pragnąca człowiekowi wyjątkowe zapewnić w przyrodzie stanowisko, mogła odsądzić zwierzęta od świadomości. Jeśli człowiek ma samoświadomość, to zwierzę ma samopoczucie.

Nie należy przyjmować za psychologią dogmatyczną twierdzenia, jakoby dusza była substancyą niezłożoną. Jedność bowiem wyłącza mnogość, w naszéj zaś duszy panuje właśnie mnogość i rozmaitość. „Nie pojedyńczą więc, lecz wieloraką jest nasza dusza, ale jednolicie jest złączoną“. Niebezpiecznie téż dla określenia duszy używać wyrazu „substancya“, bo z nim wkrada się w pewnym stopniu pojęcie materyalnéj podstawy — „dusza zaś nie jest substancyą, lecz siłą, przyrodzoną, świadomą, różniącą się od ślepych sił natury, siłą, która tylko w formie indywidualności istnieje i w samopoczuciu, lub najwyższéj jego formie—samoświadomości, odczuwa siebie jako trwałą jedność wśród zmian mnogości.“ Témsamém odpada potrzeba wyobrażania jéj sobie w przestrzeni, wyobrażania sobie jéj postaci, témsamém odpada téż pytanie względem siedziby duszy. Z tego, iż po zniszczeniu pewnych części systemu nerwowego, brak pewnych czynności duchowych, okazuje się, że dusza działa na różnych miejscach ciała—wszędzie tam, gdzie są komórki i włókna ner-

wowe. Ponieważ zaś pierwoszcza jest zasadniczém przypuszczeniem w składowych częściach nerwów, można powiedziéć: Siła duchowa znajduje się wszędzie, gdzie jest pierwoszcza, więc i u zwierząt i roślin.

Pośrednikiem pomiędzy życiem wewnętrzném a zjawiskami zewnętrznemi jest ciało, względnie organa odnośnego osobnika. „Przez nie dusza odbiéra wrażenia z zewnątrz, przez nie urzeczywistnia wewnętrzne zamiary. Wszystkie tedy czynności fizyczne zostają pod panowaniem systemu nerwowego — będącego narzędziem duszy. W organizmach tedy nie ma żadnych procesów czysto fizycznych lub mechanicznych, wszystkie odbywają się przy pomocy wpływów psychicznych.“ „Dusza urządza cały mechanizm ciała. Każdą więc wprawność dusza ze świadomością najpierw wyćwiczyć musi, kształcąc i przekształcając muskuły i nerwy dopóty, aż w końcu dość mały impuls z jéj strony wystarczy, aby owe muskuły i nerwy mechanicznie prawie wykonywały najtrudniejsze zadania. Uczący się grać, musi się początkowo dokładnie namyślać, jak i gdzie każdym palcem uderzyć, późniéj idzie to jak z płatka, prawie mechanicznie. Takie pojmowanie duszy tłómaczy téż najlepiéj równoległość rozwoju psychicznego i fizycznego. Z większą inteligencyą idzie ręka w rękę wyższy rozwój mózgu. Lecz cóż? Nie większy mózg rodzi większą inteligencyę, jak to materyaliści pojmują, lecz przeciwnie, większa siła duchowa rozwija mózg—swoje narzędzie. „Zmysł muzyczny nie rozwinął się wskutek większéj ilości strun na lirze, lecz przeciwnie wskutek rozwoju tego zmysłu i zapotrzebowania większych środków okazała się konieczność stworzenia większéj ilości strun.“

Tak samo równoległemi są procesy psychiczne i fizyczne, „mechanizmowi fizyologicznemu odpowiada najzupełniéj proces psychologiczny, tu mamy wrażenie, akt woli i czynność, tam czuciowe i ruchowe przewody w nerwach i muskułach.“ Wrażenie, akt woli i czynność łączą się w popęd. Popęd jest tedy „praobrażeniem życia psychicznego.“ Gdzie są popędy, tam jest wrażenie i wola, a więc i w zwierzętach i roślinach, nawet w bezkomórkowych pierwoszczakach.

Jak już wspomniano, wyższy stopień rozwoju substancyi nerwowéj nie jest przyczyną wyższéj siły duchowéj, ale według niego wyższość tę poznajemy i oceniamy. Znaczy to, że z bardziéj rozwiniętéj substancyi nerwowéj wnioskujemy o wyższéj sile duchowéj. Daléj znowu: im bardziéj rozwinięty jest system nerwowy, tém wrażliwszy jest on na podniety zewnętrzne a stosownie do tego i tém większą rozwija siłę działania na zewnątrz. Tym sposobem łatwo oce-

nić możemy, o ile człowiek stoi wyżéj od zwierząt i roślin. Tą téż drogą możemy wnioskować, jak pierwiastek duchowy w ciele jest rozmieszczony i jaką jest w różnych częściach ciała jego intensywność. „Nerw współczulny składa się z mniejszéj ilości komórek o mniéj ścisłém połączeniu, wrażliwym jest szczególnie na podnięty chemiczne i ucisk mechaniczny wewnątrz ciała, jego zdolność poruszania się ogranicza się do wewnętrznych narządów odżywczych. Słusznie tedy orzec możemy, że siła duchowa w nerwie współczulnym objawia się jako ciemny i niejasny popęd.“ Stopień uduchowienia organów duchowych od nerwu współczulnego począwszy, jest tém większy, im bardziéj organa te w rozwoju swym zbliżają się do mózgu (wielkiego). W tym ostatnim największą jest liczba komórek, ich wrażliwość i zdolność ruchowa i „tu już mamy wyobrażenie, myśl, udział umysłu i charakter.“ Stąd nowy wniosek: dusza indywidualna w organizmie wykazuje rozmaite stopnie intensywności „począwszy jakby od nocnego mroku do lśniącego blaskiem dnia słonecznego“ t. j. od t. zw. nieświadomości do — świadomości. Ale stąd i nowe zagadnienie: jaki jest stosunek stanu nieświadomości do świadomości? „Tu leży wyjaśnienie wszystkich w ciemnym obszarze duszy odbywających się zjawisk: uczucia, przeczucia, snu, genialnego widzenia i t. d., które nie mniejszą dla nas mają wartość, niż zjawiska jasnego, rozumnego poznania.“

Życie duchowe obejmuje nieświadomość i świadomość. We śnie nie mamy świadomości, jednak mamy—duszę. Pamięć dowodzi nam, że większa część naszych wyobrażeń leży w stanie nieświadomości, tudzież, że w świadomości mało jest wyobrażeń. Stany nieświadomości i świadomości wcale się wzajem nie wykluczają i nie są czémś zupełnie różném. „Stany świadomości bowiem zwolna przechodzą w stany nieświadomości, te ostatnie zaś zwolna się zwiększają i nieznacznie w świadome przechodzą.“ Stosunek ten podobny jest do stosunku zimna i ciepła. Odróżniamy 6 stopni ciepła od 5 stopni ciepła, ale między nimi nie ma ściśle odznaczonéj granicy. „Ciepło spada na zero i niżéj — na jeden stopień zimna. Ale i ten stopień zimna nie jest absolutném przeciwieństwem do stopni ciepła — tylko stopniowo różnym.“ Tak więc świadomość i nieświadomość nie są przeciwieństwami, lecz wykazują ciągłe stopniowe przejścia z jednego w drugie. W życiu duchowém nie ma stałego stanu równowagi. Nawet na jawie nie mamy zawsze jednakowego stopnia świadomości, zmienia się on, przechodząc stopnie od wytężonéj uwagi do roztargnienia. Dawniéj rozróżniano rozmaite siły duszy np. uczucie i rozsądek, one zaś są w rzeczywistości tylko rozmaitemi stopniami téj saméj czynności

duchowéj: uczucie jest niejasném poznaniem a poznanie — rozjaśnioném uczuciem.

Z tego, co wyż powiedziano, okazuje się, że różnym stopniom intensywności siły duchowéj odpowiadają różne narzędzia. Dla niższych stopni intensywności wystarczają niższe organy systemu nerwowego, dla wyższych zaś potrzebne są wyższe; dusza więc dla wyższych stopni wytwarza i buduje wyższe organy — rozumié się wytwarzając większą ilość komórek i włókien nerwowych.

Z rozumowania tego w dalszym ciągu wynika, że skoro dusza w pewnym czasie znajduje się w najwyższym stopniu intensywności — niższych stopni równocześnie posiadać nie może. Dlatego niemożliwém jest ciągłe pozostawanie na najwyższym szczeblu świadomości, bo niszczą i męczą się inne organa np. odżywcze, jako pozbawione siły psychicznéj, bez któréj funkcyonować nie mogą. Ostatecznie więc — „dusza przechodzi w sen, bo musi pamiętać o odnowieniu i odświéżeniu swego narzędzia. We śnie dusza wdraża wszystkie wegetacyjne procesy, które zapewniają ciału potrzebne siły i które jéj dają możność ponownego działania.“

Według pojęć materyalistycznych, pozostaje w najzupełniejszéj sprzeczności: stan nieświadomości do stanu świadomości, może być stanem zupełnéj nieświadomości i dopiéro na pewnym punkcie, podczas wymieszania się materyi, powstaje świadomość. „Jak jednak z zer powstać może jednostka?“ Nieświadomość jednak nie jest czémś zupełnie nie-świadomém, lecz tylko niższym stopniem świadomości, w niéj zawsze jeszcze działa świadoma siła psychiczna. Ta okoliczność wyjaśnia nam odruchy. „Śpiący wskutek połechtania obraca się na drugą stronę, unika nieprzyjemnego wrażenia. Jest to czynność celowa, któréj on jednak, zbudziwszy się, nie pamięta. Czy odruch ten odbywa się bez najmniejszéj świadomości, czy téż nie? W pierwszym wypadku mielibyśmy mechaniczną teoryę odruchów, którą wyznają materyaliści, w drugim — teoryę psychologiczną.“ Schultze twierdzi, że koniecznie tę drugą przyjąć należy. „Zbliżmy np. odcięty ogon węgorza do ognia. Według praw czynności odruchowych, wywołany wrażeniem ruch odbywa się w stronę, skąd wrażenie pochodzi. Ogon ten musiałby tedy poruszyć się w kierunku ognia. Tymczasem doświadczenie uczy, że ogon cofa się od ognia. Pochodzi to stąd, że w ogonie znajduje się jeszcze kawałek mlecza pacierzowego a zatém — nieco świadomości. Skoro bowiem powtórzymy ten sam eksperyment z ogonem strychniną znarkotyzowanym— a więc pozbawionym wszelkiéj świadomości — ogon zadrga do ognia i spali się.“ Teorya psychologiczna jednak mechanicznéj nie wyłą-

cza, lecz z nią się łączy, o tyle, że każda bez wyjątku świadoma czynność psychiczna posługiwać się musi mechanizmem ciała. Więc i w najniższych składnikach systemu nerwowego — w nerwie współczulnym, mleczu pacierzowym, rdzeniu przedłużonym i móżdżku, musi być świadomość, czego dowodem — wrażenia składowe, czyli ogólne. Nie ma zresztą żadnéj przyczyny zaprzeczania czynności duchowéj — w mleczu np. Wszak znajduje się w nim wielka ilość szaréj substancyi i nerwów czuciowych. Zresztą między kręgowcami bezmózgi *amphioxus* doznaje wrażeń a więc ma świadomość, występującą u niego w rurze mleczowéj, jako jego jedyném narzędziu nerwowém,— dlaczego więc z mlecza pacierzowego wyłączać mamy świadomość?

Czynności duszy w człowieku są czworakie: 1) w nerwie współczulnym przeważnie odżywcze, 2) w mleczu pacierzowym, przedłużonym rdzeniu i móżdżku przeważnie ruchowe, 3) w środkowym mózgu przeważnie spostrzegawcze a 4) w wielkim mózgu przeważnie myślowe i woli; są to jednak zawsze tylko różne stopnie intensywności téj saméj siły duchowéj. Schultze podkreśla tu wyraz „przeważnie,“ bo np. w nerwie współczulnym i myślenie współdziała — jako wyobrażenie nieświadome osiągnąć się mających celów. Wspomniane czynności są ściśle ze sobą złączone i dusza organizmu żyjącego da się w téj mierze przyrównać do krążka pięciokolorowego, który szybko obracany, wydaje się jednokolorowym. W poszczególnéj czynności duchowéj świadomość i nieświadomość pozostają w odwrotnie proporcyonalnym stosunku, im większą jest pierwsza, tém mniejszą — druga i odwrotnie. W myśleniu przeważa pierwsza, choć nie należy drugiéj wykluczać np. u geniusza, w procesach odżywczych — druga.

Wypada jeszcze wspomniéć, jak Schultze usprawiedliwia nazwę, jaką dał swéj teoryi, t. j. nazwę krytyczno-empirycznéj nauki o jednolitości ducha i materyi. Ponieważ duch z materyi wywnioskować i wytłómaczyć się nie da, więc te pierwiastki — duch i materya — muszą być czémś różném, choć nie przeciwném, czego dowodzi ich ciągłe, wzajemne oddziaływanie, muszą więc być sobie pokrewne. Jakiego to rodzaju pokrewieństwo — jest dla nas niepojętém, choć nie ulega wątpliwości, że między temi pierwiastkami istnieje jednolitość—ale nie jedność. Ową jednolitość zaś badać należy—krytycznie i empirycznie. Schultze jest téż zdania, że te dwa pierwiastki nie są współrzędne, lecz że przewagę ma dusza, bowiem ona jest zasadą twórczą, ożywczą i kształcącą — mimo, iż treść swojéj czynności, materyał do niéj odbiéra za pomocą ciała i o tyle tylko od niego jest zawisłą.

Wspomnieliśmy pierwéj, że siła duchowa działa wszędzie tam— gdzie jest pierwoszcza. Jakiegoż rodzaju jest to działanie i w jaki sposób się ono odbywa? Mamy tu znowu — choć w innéj formie — przed sobą zagadnienie wzajemnego oddziaływania duszy i ciała. Dawniejsze zapatrywanie, jakoby jedna substancya — dusza, oddziaływała na drugą, na — ciało, zarzucono i dzięki dzisiejszéj fizyologii, zamiast powyższego jednego, wielkiego zagadnienia, mamy dziś x małych zagadnień t. j. zagadnień wzajemnego oddziaływania pewnéj jednéj czynności duchowéj na pojedyńczą komórkę nerwową lub pierwoszczę. Lecz niestety, jak nie posiadaliśmy rozwiązania owego jednego, wielkiego zagadnienia, tak też nie posiadamy rozwiązania żadnego z tych x małych zagadnień. Nie wiemy bowiem, jak się w komórce nerwowéj odbywa ów proces wzajemnego oddziaływania, ani nie wiemy — jakiego to rodzaju proces, który w kierunku na zewnątrz nazywamy — aktem woli, a w kierunku na wewnątrz — wrażeniem. I mimo, że wzajemne oddziaływanie czynności duchowéj i komórki nerwowéj żadnéj nie ulega wątpliwości, to jednak z samego ruchu w nerwie niemożliwém jest wytłómaczyć wrażenia przez duszę odbiérane, albo z woli w duszy wyjaśnić ruchy w nerwie.

Równie niewytłómaczoném jest następnie drugie zagadnienie: W naszym organizmie znajdują się niezliczone komórki nerwowe. Każda jest małym organizmem dla siebie. Dlaczego więc te miliony komórek nie występują jako liczne różne indywidua, lecz jako jedno jedyne indywiduum? Co łączy te komórki? Leibnitz dla wytłómaczenia tego stworzył centralną monadę, Schultze przypisuje to połączenie indywidualnéj istocie duchowéj — psychadzie.

I oto doszliśmy do najciekawszego i ostatniego rozdziału książki, który sam Schultze zaopatrzył napisem „fantazya metafizyczna,“ zaznaczając przytém, że jako dobry nowokantysta wié, iż przekracza granice doświadczenia. Proszę jednak nie sądzić, że swoje wywody za fantastyczne, za mrzonkę uważa, bo wyraźnie powiada, że wyciąga tylko konsekwencye ścisłe ze swoich poprzednich rozumowań, których naturalnie za metafizyczne nie uważa, przyczém z góry odpiéra możliwy zarzut, jakoby te swoje rozumowania gwoli takiemu właśnie wynikowi wysnuwał.

Jak autor twierdzi „w naukowéj psychologii należy dziś do dobrego tonu nie tykać wcale kwestyi, nieśmiertelności duszy, tak jakoby nicość jéj niewątpliwie była dowiedzioną.“ Prawa do tego Schultze odmawia psychologom ze względu na wielkie praktyczne znaczenie, jakie nadzieja nieśmiertości ma dziś jeszcze dla ogółu ludzkiego i jakie, zdaje się, zawsze miéć będzie. Boć i Kant uważa wiarę w nieśmier-

telność jako postulat naszego etycznego rozumu, koniecznie z punktu widzenia moralnego wynikający.

Śmierć dowodzi wyższości ducha nad ciałem, bo z utratą siły duchowéj rozkładają się formy ciała; przez śmierć więc człowiek duszę swą poznał. Czy śmierć niszczy ciało i duszę? Śmierć ciała nie niszczy, gdyż materya nie staje się nicością, tylko formę swoją zmienia. Oczywiście i dusza nie może być zniszczoną — bo jest siłą. „Śmierć więc nie jest zniszczeniem lecz przejściem w inny stan — w nową formę.“ Lecz siła duchowa nie przemienia się téż w siły chemiczne i fizykalne, rozkładające ciało — bo nie jest ślepą siłą natury. Musi ona więc jako samoistna siła — dalej istnieć. Ponieważ jéj istotną własnością jest, że wié o sobie, że jest siłą świadomą — musi więc i nadal pewien stopień świadomości zatrzymać i to prawdopodobnie — niski stopień świadomości — czyli inaczéj mówiąc, siła duchowa istnieje daléj nieświadomie, jako indywidualność od wszystkich innych różna. Ponieważ nadto popędy jako sumy wrażenia, woli i ruchu są jéj cechą znamienną, więc można powiedzieć, że dusza jako nieświadome popędami obdarzone indywiduum daléj istnieje po oddzieleniu się od ciała i to właśnie jest psychada (zarodek siły duchowéj czyli duszy). „Psychada w połączeniu z ciałem staje się duszą, to zaś połączenie nazywamy — organizmem. Po oddzieleniu się od ciała, dusza wpada znowu w stan psychady.“ Stan ten jest niższy od stanu poprzedniego, bowiem dusza traci to wszystko, co dało jéj połączenie z ciałem — a więc pamięć i wspomnienia — wskutek czego brak psychadzie téj sumy świadomości, którą posiadała dusza, to więc usprawiedliwia twierdzenie, jakoby psychada nieświadomie daléj istniała. Rozumié się, że pytać o kształt psychady i miejsce jéj przebywania — nie ma sensu, bo siły kształtów nie mają a wyobrażenie przestrzeni leży w duszy, nie zaś dusza — w przestrzeni. Schultze tedy nie wyznaje w tym względzie zapatrywania tych, którzy „życzą sobie nieśmiertelności w mniéj więcéj dotychczasowéj, ziemskiéj formie i cieszą się tém, iż znowu zobaczą ukochane osoby dawniéj zmarłe, z któremi nadal żyć będą. Bez mózgu nie ma mowy o wspomnieniach ani o poznaniu się lub o miłych pogawędkach po śmierci.“ Schultze nawet wątpi o jakichkolwiek stosunkach między psychadami, dlatego właśnie, że one są nieświadome i nie posiadają wspomnień a stan ich jest stanem snu i wypoczynku dusz, ponieważ dusze ze swéj działalności wypocząć i nowe siły zebrać muszą. Psychada dąży do życia — do połączenia się z ciałem, z materyą, do ucieleśnienia się. Praistotami, z których wszystko powstaje, są atomy i psychady. Musi między niemi istnieć pewne pokrewieństwo, ale

ono, jako mające prawdopodobnie swoją przyczynę w praprzyczynie wszystkich rzeczy, w Bogu, leży poza obrębem ludzkiego doświadczenia. Zapatrywanie to jednak nie jest dualistyczne, bo dualizm poucza o przeciwieństwie między nadprzyrodzoną duszą a przyrodzoną materyą; psychada zaś należy do przyrody a twierdzenie, iż psychady i atomy z powodu wzajemnego oddziaływania muszą być spokrewnione, wyklucza właśnie wszelkie przeciwieństwo, tak, jak je pojmuje dualizm. Gdyby wszystko było jednèm — nicby nie powstawało. Muszą więc istniéć pierwiastki różne. Materyalizm np. z téj przyczyny przypisuje materyi siłę przyciągania i odpychania. Psychada i atom zatém nie są jednością, ale są jednolite, a jednolitość ich polega na ciągłém i nieustannèm dążeniu do połączenia się — w organizm. Życie samo jest tedy celem i najwyższą formą istnienia. Teorya ta nie jest supranaturalistycznym dualizmem lecz naturalistycznym, biologicznym monizmem,“ przyczém Schultze wyraźnie zaznacza, że ten jego monizm z materyalistycznym monizmem ma tylko nazwę wspólną, „bo monizm atomów i psychad leży w ustrojach organicznych.“ Pierwiastki te łączą się i znowu się rozdzielają, lecz połączenia nie wychodzą niezmienione. Psychady bowiem są zdolne do rozwoju i wznoszą się do wyższych form w życiu organiczném, podobnie jak atomy, wskutek tego, że coraz więcéj atomów wchodzi w życie organiczne, czyli że „pod wpływem psychad coraz więcéj materyi organicznéj (pierwoszczy) z nich się wytwarza. Wskutek łączenia i rozłączania się atomów następują procesy świata nieorganicznego a wykryciem praw tychże zajmują się — mechanika, fizyka i chemia. Jeśli zaś z „wielu“ atomami łączy się „jedna“ psychada — powstaje organizm. Prawa świata materyalnego nie są tu zniesione, lecz tylko postawione pod kierownictwo wyższe — psychady; dlatego nowe procesy tą drogą powstałe, prawami świata nieorganicznego wytłómaczyć się nie dadzą. np. „sen, wywodzący się z psychady, ze zmian świadomych i nieświadomych stanów duchowych“ i t d.

Zaznacza Schultze w dalszym ciągu, że nie należy bynajmniéj utożsamiać jego psychady z monadą Leibnitza. U tego bowiem, wyznawcy teoryi identyczności, monada jest jednością ducha i materyi, będących ostatecznie jednym pierwiastkiem. Schultze zaś pojmuje je jako dwa różne, choć pokrewne, pierwiastki a pokrewieństwo nie jest jeszcze jednością. Teorya więc psychad i atomów bardziéj odpowiada światu nieorganicznemu i życiu organicznemu.

Psychada — jak rzekłem — dąży do ucieleśnienia się i zawsze znowu się ucieleśnia. Jest ona — zarówno jak atom — wieczna,

istnieje więc przed życiem i po śmierci organizmu. W téj mierze Schultze jest tylko konsekwentnym, przypisując duszy praegzystencyę, jak to czynili Plato i inni filozofowie przed św. Augustynem, bo dopiéro św. Augustyn w swoim dogmacie o stworzeniu świata z niczego, przypisuje duszy stworzonéj przez Boga — istnienie pośmiertne jedynie. Teoryę psychad odnosi Schultze nietylko do ludzi — ale i do zwierząt i do roślin z tą tylko różnicą, że psychada tych ostatnich na niższym znajduje się stopniu. Pierwszém i najniższém połączeniem atomów pod wpływem i kierownictwem psychady — jest pierwoszcza; psychada przerabia ją następnie na komórki i połączenia komórkowe — tworząc coraz wyższe organizmy. Jedność zaś komórek pochodzi od psychady. I w téj mierze Schultze swoją teoryę wyżéj stawia od teoryi monad Leibnitza i od teoryi Haeckla, wedle któréj każda komórka ma duszę, bowiem dla wytłómaczenia jednolitości monad względnie komórek, złożenia się na „ja," pierwszy przyjąć musi centralną monadę, drugi zaś komórkę duchową. Psychadzie należy przypisać zdolność bezpośredniego łączenia się z atomami nieorganicznemi i wytwarzania w ten sposób pierwoszczy; w tém rozumieniu przyjąć można — prazrodzenie. My go dziś stwierdzić nie możemy, bo każdy akt rozrodczy odbywa się za pomocą pierwoszczy; sperma mężczyzny np. jest pierwoszczą. Nie jest ono jednak samo przez się uduchowioném, podobnie jak uduchowioném nie jest *ovulum* kobiéty; z nich samych organizm nie powstałby. W spermatach wprawdzie działa psychada ojca — w *ovulum* psychada matki — i jedno i drugie żyją tedy, lecz bez przyłączenia się, w procesie zapłodnienia, nowéj psychady — płód powstaćby nie mógł. „Tą drogą pojmiemy najlepiéj właśnie dziedziczność."

Psychada, coraz daléj się ucieleśniając, odbywa wędrówkę przez niezliczoną ilość organizmów. Metempsychoza więc i palingeneza są konieczną konsekwencyą poprzednich wywodów i przyjmuje je Schultze — choć nie w naiwném rozumieniu Pytagorasa lub Platona. Psychada będąc indywidualnością do rozwoju zdolną, rozwija się po ucieleśnieniu; jeżeli znajduje korzystne warunki, t. j. „jeśli się urodzi jako dziecko ludu ucywilizowanego i wykształconéj rodziny i dozna wszelkich błogosławieństw kultury, dobrego wychowania i regularnéj nauki. Ćwiczy ona wtedy swoje siły i ćwiczeniem je wzmacnia a nadto może nabyć zupełnie nowych umysłowych, etycznych i artystycznych zdolności." „Według zasady utrzymania energii trwają w niéj nietylko wzmocnione dawniejsze zdolności ale i zdolności nowonabyte — chociażby w ukryciu — jako siły napięcia. Jeśli zaś psychada ucieleśni się następnie znowu, tedy mając większą siłę i większe zdol-

ności — zbuduje i wykształci sobie odpowiedni — doskonalszy organizm.“ Jeżeli przyjmiemy, że psychada posiada dążność do doskonalenia się, a przyjąć to snadnie możemy, bo każda istota do zwiększenia przyjemności i zmniejszenia nieprzyjemności dąży,“ wypływałby z tego powszechny postęp świata organicznego i nieorganicznego i mielibyśmy psychologiczne i biologiczne uzasadnienie teoryi ewolucyi. „Rozwój psychad może dosięgnąć niepojętych dziś dla nas wyżyn. System nasz planetarny mógłby runąć a rozwój wiecznych i nieśmiertelnych psychad nie ustałby i mógłby się na innéj gwieździe — w innych kształtach cielesnych — daléj odbywać.“

Taką jest w najgłówniejszych zarysach teorya biologicznego monizmu czyli krytyczno-doświadczalna nauka Schultzego o jednolitości ducha i materyi.

Wywody Schultzego podzielić można na dwie części: na negacyjną i pozytywną. Stronie negacyjnéj czyli krytycznéj trudno słuszności odmówić. Rzeczywiście żadna z dotychczasowych teoryi zajmujących się zagadnieniami ducha i materyi i badaniem ich wzajemnego stosunku nie dała zadawalającego rozwiązania. Zarzuty, jakie Schultze podnosi przeciw dualizmowi i monizmowi, przeciw materyalizmowi i spirytualizmowi i w końcu przeciw nauce o identyczności są bardzo trafne, choć niezupełne. Tak np. krytykując teoryę atomistyczną pomija najważniejszy przeciw niéj zarzut, ten mianowicie, iż ani pojąć ani wytłómaczyć niepodobna, jak z niepodzielnych, bezwymiarowych atomów cośkolwiek w przestrzeni powstawać może. Z téj też głównie przyczyny zyskuje przewagę teorya wysuwająca na pierwszy plan jednostkę dynamiczną jako pierwiastek najistotniejszy i skupiający atomy. I tu jednak spytać należy, jak można skupiać niepodzielne, niewidzialne, niepojęte, w ogóle tylko negacyjnie określone atomy. Zdaje się, że Schultze umyślnie pominął milczeniem ten zarzut czyniony teoryi atomistycznéj, w tym celu, by następnie módz złożyć świat z psychad i atomów.

Mniéj świetną pod względem logicznym i naukowym, ale za to fantastycznie zabarwioną, jest pozytywna część wywodów autora. Zbytecznem byłoby wykazywać, iż dzieło nauki, a jako takie z pewnością p. Schultze książkę swą uważa i wysyła w świat — powinno być wolne od wszelkiéj metafizyki, nawet od téj, jaką uznaje Lewes w „Zagadnieniach życia i ducha.“ Poecie, chącemu podnieść ducha swoich słuchaczów, pragnącemu olśnić ich bogactwem swojéj fantazyi, przepychem i oryginalnością roztoczonych przed nimi obrazów — wolno opuścić trwałe podstawy nauki i przenieść swych słuchaczów w krainę marzeń i snów. Ale uczonemu nie wolno dosiadać pegaza

i bujać w przestworzu swojéj wyobraźni, jeśli notabene chce uchodzić za poważnego badacza i uczonego. Jedyną w takim razie podstawą jest dla niego doświadczenie i wnioski ściśle logiczne z doświadczenia wysnute.

Ponieważ Schultze uważa swoją teoryę o duchu i materyi, względnie o duszy i ciele, niemniéj téż swój ogólny pogląd na świat, za nowe od dotychczasowych poglądów i teoryi różne, tudzież — niewątpliwie — jest zdania, że te jego właśnie zapatrywania owe zagadnienia rozwiązują, należy więc wywody Schultzego gruntownéj poddać analizie, a mianowicie zbadać: popierwsze, o ile jego rozumowania i poglądy są różne od rozumowań i poglądów wypowiedzianych przez innych filozofów i uczonych, czyli innemi słowy, o ile jego teorye są nowe; powtóre: czy i o ile nowe te teorye rozwiązują nierozwiązane dotąd zagadnienia.

Schultze surowo występuje przeciw dualizmowi, wykazując, że nauki i poglądy tém mianem objęte, były mylne, chybione i do celu nie doprowadziły. Lecz czyż teorya Schultzego nie jest dualistyczną? Sądzę, że tak. Dualizm bowiem przyjmuje, że duch i materya, względnie dusza i ciało — są to dwa pierwiastki. Oto zasadnicza cecha dualizmu. Różnica zaś między dualizmem a monizmem Schultzego jest ta, że według nauki dualizmu, dusza i ciało są to dwa różne pierwiastki, nie mające nic wspólnego ze sobą, dwa pierwiastki przeciwne, według Schultzego zaś, są to pierwiastki sobie pokrewne. Różnica ta jest pozorną, bo i dualizm i Schultze uznają ostatecznie te dwa pierwiastki jako różne, od siebie niepochodzące, nadto Schultze wyraźnie zaznacza, że dusza jest czemś inném, niż ciało.“ Zupełnie więc nieuzasadnioną jest nazwa monizmu, którą Schultze systemowi swemu nadaje. Nie mamy tu do czynienia z monizmem, ale z najczystszéj wody dualizmem. Schultze właśnie wyżéj wspomianą pozorną różnicą usprawiedliwia to, że sam jest przeciwnikiem dualizmu i że słusznie nazywa swój system monizmem, bo duch i materya nie są przeciwstawieniami, owszem są one pokrewnemi i jednolitemi. I jedno i drugie określenie jest jednak zupełnie nieusprawiedliwione. Pokrewieństwo bowiem uzasadnia jak następuje: „Mamy ciągle przed sobą fakt wzajemnego oddziaływania duszy i ciała. Między nimi więc nie może istnieć absolutne przeciwieństwo — lecz owszem istnieć musi pokrewność.“ Klasyczna to doprawdy logika! Wedle niéj bowiem musiałoby istnieć także pokrewieństwo między parą a tłokiem w maszynach parowych, między piórem a papiérem, na którym się pisze, między przedmiotami otaczającemi nas a naszemi zmysłami, wogóle między wszystkiém, co na siebie nawzajem oddziaływa. Zbytecznem

byłoby dowodzić, że takiego pokrewieństwa oddziaływanie wzajemne nie dowodzi. Zresztą, skoro dusza ma być siłą a ciało — materyą, zbiorem atomów — to jakież może istnieć pokrewieństwo między siłą a materyą? W każdym razie pokrewieństwo takie, gdyby nawet istniało, byłoby nam zupełnie obojętne, bo nie daje nam żadnéj odpowiedzi ani na zagadnienie wzajemnego oddziaływania ani na zagadnienie pochodzenia pierwiastków duszy i ciała, zwłaszcza że Schultze sam dodaje: „jakość tego pokrewieństwa pozostaje dla nas niepojętą.“ To właśnie pokrewieństwo nazywa Schultze jednolitością i znowu na uzasadnienie jednolitości posługuje się temi samemi argumentami, jakiemi uzasadnia pokrewieństwo — a więc żadnemi. Lecz nawet sama myśl owego pokrewieństwa nie jest nową. Spotykamy myśl podobną, choć inaczéj wypowiedzianą, w naukach Mikołaja Kuzana, którą następnie rozszerzyli Charles Bouillè i Giordano Bruno w t. zw. *coincidentia oppositorum* [1]). Wypada jeszcze podkreślić tu, że wspomniane wyżéj twierdzenie Schultzego, iż mamy przed sobą ciągle fakt wzajemnego oddziaływania duszy i ciała, jest również zupełnie nieuzasadnione i bardzo wątpliwe, jak to niżéj się okaże.

Teorya Schultzego jest więc dualizmem i możnaby przeciw niéj podnieść wszystkie zarzuty czynione dualizmowi. Chcąc temu zapobiedz, podnosi autor następujące dalsze, między dualizmem a swoją teoryą, różnice: dualizm pojmował pierwiastek duchowy jako nadprzyrodzony, według monizmu biologicznego jest ten pierwiastek siłą naturalną, która o sobie wié i która występuje tylko w formie indywidualności. I ta różnica jest tylko pozorną. Musimy sobie bowiem uprzytomnić, dlaczego określono duszę jako pierwiastek nadprzyrodzony. Otóż działo się to jedynie dlatego, że przypisywano jéj własności odmienne niż miały inne siły — naturalne — znane odnośnym filozofom. Dla téj to odrębności nazwano ją nadprzyrodzoną. Skoro zaś Schultze swoją siłę duchową nazywa „naturalną“, a natomiast przypisuje jéj właściwości takie, jak to, że występuje w formie indywidualności i że wié o sobie, to z jednéj strony zupełnie samowolnie wkracza w dziedzinę nauk przyrodniczych, tworząc jakąś odrębną siłę naturalną, któréj te nauki nie znają, z drugiéj zaś strony nie różni się wcale co do treści swego pojęcia od poprzedników swoich, uważających pierwiastek duchowy jako nadprzyrodzony. Nadto zaś owe

---

[1]) Zgodność, jednolitość przeciwieństw. Patrz w téj mierze dzieło Mikołaja Kuzana (Mikołaja Chrypff) „*de docta ignorantia.*“ Kuzanus ur. 1401 zm. 1464. Patrz daléj dzieło Karola Bouillè (Bovillus) „*de intellectu et de sensibus.*“ w końcu dzieła Giordana Bruna.

właściwości, jakie Schultze przypisuje sile duchowéj i samo uważanie pierwiastka duchowego za siłę, nie jest niczém nowém i pochodzi właśnie od tych myślicieli, którzy widzieli w duszy pierwiastek nadprzyrodzony. Wszak już Leibnitz [1]) wywodził „*Nihil est in intellectu, quod non fuerit in sensu — nisi intellectus ipse*, co przetłómaczone na język Schultze'ego brzmi: Nie ma niczego w sile duchowéj, czego nie było przedtém w zmysłach — prócz saméj siły duchowéj, co innemi słowy znaczy, że siła ta wié o sobie. Również i pierwszy pomysł, by porzucić uważanie pierwiastka duchowego za substancyę, a natomiast pojmować go jako siłę, pochodzi od Leibnitza, który—wprawdzie w innym związku—wypowiedział zdanie: „*la substance est un être capable d'action*" [2]).

Pomijając późniejszych myślicieli, wspomnę tylko, że z średniowiecznych mędrzec żydowski Avicebron (Ibn Gebirol), a po nim, rozwijając jego nauki, Bonaventura-Henryk z Gandawy i Duns Scotus uczyli, że dusza jest czémś indywidualném i u każdego człowieka różném.

Różni się rzeczywiście Schultze od dualistów tém, że badając miejsce wzajemnego oddziaływania duszy i ciała, oświadcza się za zdaniem, że siła duchowa działa wszędzie tam, gdzie są nerwy, względnie, gdzie jest pierwoszcza. Na tym szczeblu stanąć naturalnie nie mogli średniowieczni, a nawet późniejsi zwolennicy dualizmu, bo przecież nauk przyrodniczych w naszém rozumieniu za ich czasów prawie że nie było, fizyologiczna zaś psychologia stanowczo już jest wytworem najnowszych czasów.

Nadto zaś określenia powyższe niczego nam nie wyjaśniają. Po pierwsze, rozum ludzki pojąć nie może siły, występującéj w formie indywidualności, siły zawsze różnéj i różnie działającéj; po drugie, jak teorya materyalistyczna nie wyjaśnia nam, dlaczego ruch molekułów nerwowych przedstawia się nam jako przecudna symfonia Beethovena, tak też nie wiemy, dlaczego ów przymiot, że siła duchowa „wié o sobie", sprawia, iż rozkosz i piękno tego utworu odczuwamy; w jakim związku przyczynowym pozostaje wspomniany przymiot duszy ze skutkiem — odczuciem piękna? Po trzecie, nawet dowiedziony fakt, że duchowa siła działa wszędzie tam, gdzie jest pierwoszcza, a do pewności w tym względzie jeszcze bardzo daleko, może nawet nigdy

---

[1]) Nouveaux essais II. 1) 2).

[2]) Princ. de la nat. de la grâce 1, — to samo patrz: Syst. nouv. 2 „Force primitive".

jéj nie osiągniemy — fakt ten, powiadam, również nam nie wyjaśnia, czém jest siła duchowa i jaka jéj działalność, w szczególności zaś jakiego jest rodzaju oddziaływanie jéj na ciało. Nadmieniłem już wyżéj, że dualizm rozbijał się o niemożność wytłómaczenia tego oddziaływania, bo bądź wikłał się w sprzeczności, bądź uciec się musiał — do cudu. Cóż czyni Schultze, by się nie rozbić o ten *rocher de bronze*. Wykazuje najpierw błędność dotychczasowych teoryi, mylność poglądu, jakoby w komórkach mózgowych znajdowały się obrazki przedmiotów zewnętrznych, twierdząc, iż są tam tylko znaki, — co zresztą jeszcze wśród terministów średniowiecznych wypowiedział Wilhelm z Occam,—a w końcu oświadcza, że na pytanie, jak działa dusza na ciało, względnie jak działa siła duchowa na komórki nerwowe i pierwoszczę, odpowiedzi nie mamy, że wogóle oddziaływania tego pojąć niepodobna.

Mniéj niezaradnym jest Schultze wobec drugiéj kwestyi, jak wytwarza się w człowieku z działania siły duchowéj w miliardach komórek poczucie jedności—jaźni, choć twierdzi, że i ta kwestya jest niewytłómaczoną, niepojętą. Mimo tego zastrzeżenia bowiem tłómaczy tę jedność przez to, że jéj dokonywa — psychada. I ten wytwór fantazyi Schultzowskiéj nie jest czémś zupełnie nowém; jest on przeciwnie tylko drugą poprawioną edycyą „Archeusa“, jakiego stworzył Paracelsus i *rei cogitantis* (rzeczy myślącéj) Descartes'a. Różnica polega tylko na tém, że Descartes ową *rem cogitantem* przypisywał ludziom, Schultze zaś uznaje, że dostała się w udziale wszystkim istotom, t. j. i roślinom i zwierzętom. Co do tych ostatnich zresztą *res cogitans* jeszcze przez anonimowe „listy o istocie duszy“, wyszłe w roku 1713, rozciągniętą do nich została.

Lecz tu właśnie leży największy błąd wywodów Schultze'go: uważa on jedność jaźni jako coś rzeczowego, realnego i dzięki potrzebie przyczynowości szuka przyczyny téj jedności, w czémś zewnątrz jaźni—w psychadzie. Jedność jaźni, „ja“, nie jest niczém realném—w ogóle nie istnieje jako coś odrębnego. Wykazują to trafnie badania najnowsze. I tak Mach [1]) dowodzi, że „ja“ nie jest niezmienną, ściśle odgraniczoną jednością. Nie jaźń jest daną zasadniczą, lecz pierwiastki-wrażenia. Pierwiastki te składają jaźń w ten sposób, że z przyzwyczajenia, z przyczyn praktycznéj celowości, oznaczamy szereg wrażeń, trwaléj występujących, jako podmiot, jako jaźń. Tego

---

[1]) „Beiträge zur Analyse der Empfindungen von Dr. E. Mach“, Jena, 1886, str. 4.

samego zdania jest Lichtenberg, który twierdzi: „Znamy tylko istnienie naszych wrażeń, wyobrażeń i myśli. Dlatego należy mówić: „myśli“, tak samo jak się mówi: „błyska“ — a nie „ja myślę“. Przyjmować jaźń, „ja“, jest tylko potrzebą praktyczną.“ Przytoczę też tu odnośne zapatrywania Nietzschego [1]), popierające zupełnie zdanie powyższe, a doskonale do Schultzego się stosujące: „Istnieje po dziś dzień wielu samo-badaczy, którzy wierzą, że są „bezpośrednie pewności“, np. „myślę“, albo — przesąd Schopenhauera — „chcę“: jakoby poznanie mogło tu zawładnąć przedmiotem swoim i tylko nim zosobna, jako „rzeczą w sobie“, bez przymieszki subiektu lub obiektu. Że jednak „bezpośrednia pewność“, podobnie jak „absolutne poznanie“ i „rzecz sama w sobie“ są *contradictio in adjecto*, powtarzać będę stokrotnie: wreszcie należałoby się przecież uwolnić od uroku słów! Niechaj tłum wierzy sobie, że poznanie jest ostatecznem znaniem, filozof musi sobie powiedzieć: „rozłożywszy fakt wyrażony w zwrocie „myślę“, otrzymuję szereg ryzykownych twierdzeń, które udowodnić trudno, albo których udowodnić wcale niepodobna, — np. udowodnić, że to *ja* myślę, że myślenie jest czynnością i skutkiem osobnika, pomyślanego jako przyczyna, że istnieje „ja“, a wreszcie, że ze stanowczością wiadomo, co przez myślenie rozumieć należy,—że *ja wiem*, co to jest myślenie. Bo jeżeli sam istoty myślenia nie jestem świadom, jak miałbym odmierzyć, że ten fakt nie jest „chceniem“ lub „czuciem“? Słowem, owo „myślę“ zawiera w sobie wniosek, że stan mój chwilowy porównywam z innemi stanami mojéj osoby, aby w ten sposób oznaczyć, czém on jest: z powodu owéj zależności od innego „wiedzenia“, nie przedstawia on mi w każdym razie „bezpośredniéj pewności“. Zamiast téj „bezpośredniéj pewności“, w którą tłum w danym razie niechaj sobie wierzy, filozof otrzymuje więc szereg metafizycznych pytań, prawdziwych zagadnień sumienia intelektu, które brzmią: „Skąd mam pojęcie myślenia? Dlaczego wierzę w przyczynę i skutek? Co uprawnia mnie do mówienia o jakiémś „ja“, nadto jeszcze o „ja“—jako przyczynie, wreszcie jeszcze o „ja“ — jako przyczynie myśli? Kto, powołując się na rodzaj intuicyi poznania, nie zawaha się odpowiedzieć na owe zagadnienia metafizyczne, jak np. czyni ten, który mówi: „myślę i wiem, że to przynajmniéj jest prawdziwe, istotne, pewne“ — temu filozof odpowie dziś tylko uśmiechem i dwoma pytajnikami: „Panie — odeprze może filozof — jest nie-

---

[1]) Jenseits von Gut und Böse. Vorspiel einer Philosophie der Zukunft von Friedrich Nietzsche (Leipzig, C. G. Nauman, 1891), ustęp 16-ty.

prawdopodobném, żebyś się nie mylił: ale po co koniecznie chcieć prawdy?"

Skoro więc kwestya jedności jaźni odpada, cóż stanie się z psychadą, która ową jedność tworzy? Czyż daléj Schultze nie zna zjawisk t. zw. dwoistości jaźni, która bądź co bądź nie jest dowodem na korzyść teoryi jedności jaźni?

Psychada jako siła duchowa, względnie jako zarodek takiéj siły, według Schultze'go musi istnieć przed połączeniem z ciałem i po odłączeniu się od niego. Dlaczego? To jest konieczném ze względu na naukę o zachowaniu siły. Umiem ocenić doniosłość téj nauki dla nauk przyrodniczych, ale zaznaczyć muszę ze ściśle filozoficznego stanowiska, że ona jest hypotezą, fikcyą, mimo iż, jak Maxwell [1]) powiada, „prawo zachowania energii jest jedyném twierdzeniem zgodném z faktami, nietylko w fizycznych naukach, ale we wszystkich." Nie wiem bowiem, czém jest siła i jaką jest jéj istota; nie mam pojęcia, co działa, kiedy mówimy, że siła działa. Jakże więc wobec tego twierdzić mogę stanowczo, że to „coś" istnieje i w stanie utajonym? Może siła wcale nie jest siłą w naszém rozumieniu, może nie jest czémś, co istnieje, jako coś odrębnego — jako „siła"? Teorya zachowania energii może być prawdziwą, albo może jest tylko twierdzeniem, które kiedyś, jak tyle innych, niegdyś „niezbitych" pewników— usunięte zostanie. W każdym razie, na tak wątłéj podstawie teoryi o duszy oprzéć nie można.

Zachodzi tu nadto ta okoliczność, że zasada zachowania energii stosuje się tylko do sił naturalnych, które nic „o sobie" nie wiedzą. Dlaczego więc Schultze stosuje tę zasadę do siły, według jego twierdzenia także naturalnéj, a jednak pozbawionéj własności znanych nam sił, nieczułéj na prawo bezwładności, natomiast w inne wyposażonéj przymioty?

Skoro psychada dąży do ucieleśnienia się przez połączenie się z atomami, atomy zaś są jednakie zupełnie, dlaczegóżby psychada Arystotelesa nie mogła się połączyć z atomami, któreby się następnie na barana złożyły, czyli innemi słowy: cóż przeszkadza, by ta psychada Arystotelesa połączyła się z ciałem barana i późniéj jego system nerwowy odpowiednio wykształciła? Podobnych wątpliwości podnieśćby można więcéj i nie wątpię, że Schultze metafizycznie wybrnąć potrafi i z téj i z niejednéj innéj matni, boć kto ma fantazyę, opowiadając bajeczkę, potrafi i odpowiedzieć na dodatkowe pytania ciekawych dzieci. Lecz kto wié, czy bajka ta pozostanie zawsze

---

[1]) „Matter and Motion" (przekład polski, 1879), LXXIII.

w zgodzie z naukami przyrodniczemi, o co pozornie Schultzemu przedewszystkiém idzie. Spytaćby np. można, jak wielką jest psychada, bowiem na wytworzenie organizmu trzeba pewnéj ilości siły duchowéj, lub téż jaka ilość atomów łączy się z każdą psychadą, skoro powstać ma organizm, jak się odbywa połączenie psychad z atomami w procesie rozpłodowym, w chwili kiedy—według Schultzego — psychada przystępuje do atomów. Wspomina on np. że psychada w starszym wieku nie pożąda już rozkoszy młodości, a myśli o życiu wyższém, umysłowém — o wewnętrznem zadowoleniu. Musimy więc pytać: Przecież psychada to siła! Jakże się siła starzeje? Toć należałoby do jéj cech charakterystycznych: że jest indywidualną, że wié o sobie — dodać nową: że jest młodą, następnie starzeje się, potém znowu bywa młodą i t. d. — *in infinitum.* Możnaby jeszcze Schultzemu zapatrywania te wybaczyć, odnoszą się bowiem do kwestyi, przez naukę nierozwiązanych, ale spostrzegamy nadto, że on nienaukowe przekłada nad naukowe rozwiązanie. Tak np. twierdzi, że skoro dusza znajduje się na najwyższym szczeblu intensywności, nie może ona równocześnie w niższym stopniu być czynną. Według niego więc, gdyby człowiek chciał ciągle pozostawać na najwyższym stopniu świadomości, to skutkiem tego nastąpiłoby wycieńczenie, zniszczenie i zanik organizmu. „Lecz dusza musi myśléć o tém, by swoje narzędzie odnowić, dlatego z najwyższego stopnia świadomości spada na coraz niższy i nareszcie w sen; podczas snu zaś wdraża wszystkie procesy odżywcze, które zapewniają ciału potrzebną siłę.“ Tymczasem ta teorya snu jest zupełnie dowolną, metafizyczną i nie może się ostać wobec naukowéj teoryi snu Preyera. Gdyby bowiem nawet człowiek chciał, nie może dłużéj, aniżeli do pewnéj granicy pozostawać na najwyższym szczeblu świadomości np. w natężonéj uwadze, natężoném myśleniu, albo nawet w natężonéj pracy fizycznéj, co w danym razie różnicy nie czyni, bo według najnowszych badań i znużenie mięśni po pracy fizycznéj jest tylko znużeniem układu nerwowego; nie może zaś na tym stopniu pozostać, nie dlatego, że dusza, chcąc zapobiedz zniszczeniu organizmu, na to nie pozwala, ale z zupełnie innéj przyczyny, a mianowicie dlatego, że podczas pracy tworzą się t. zw. ponogeny, to jest ciałka, które łatwiéj tlen pochłaniają, aniżeli ciała składające normalne tkanki organizmu, wskutek czego tym ostatnim zabraknie tego pokarmu koniecznego i one z téj przyczyny w czynności ustają. Ustaje w dalszym ciągu i czynność mózgu i następuje stan snu.

Schultze więc grzeszy tu przeciw pierwszéj zasadzie filozofowania: *Entia non sunt creanda sine necessitate.* Po co posługiwać się duszą i świadomością, gdzie starczy mechanika?

Jakże dziwną jest ta psychada? Słyszymy od Schultzego, że ona wykształca owe organa, ów mózg, na który działa. Dziwna to zaprawdę zdolność, która nigdy po za pewną—bardzo normalną, bardzo przeciętną—granicę nie wychodzi i o ile dotąd wiemy, wyjść nie może. W ilu to już wypadkach stwierdzono, że mózg ludzi najgenialniejszych i cały ich ustrój nerwowy nie różni się wcale od systemu nerwowego najprzeciętniejszych osobników. Dlaczego ci są genialni lub zdolni, inni zaś idyotami, trzodą—to wielkie pytanie, na które odpowiedzi stanowczéj, zadawalającéj dotąd nie ma wcale, a którego teorya psychady również nie rozwiązuje, ba, nawet o krok daléj nas nie posuwa na drodze rozwiązania, jak wogóle z wyżéj przedstawionego stanu sprawy się okazuje, że biologiczny monizm — mający rozwiązać liczne na wstępie wymienione kwestye filozoficzno-psychologiczne—zadaniu swojemu nie podołał.

Tak wygląda zgodność rozumowań i wywodów Schultze'go z empiryzmem i naukami przyrodniczemi, mimo iż zaznacza, że doświadczenie jedyną jest możliwą podstawą psychologizmu i wszelkiéj filozofii i że on sam ściśle się tego trzyma.

Pytam więc, jakie należy zająć stanowisko wobec owych zagadnień filozoficzno-psychologicznych?

Jak już nadmieniłem, negacyjna, krytyczna część wywodów Schultzego jest nader trafna. Słuszność więc ma najzupełniejszą, twierdząc, że żadne mieszaniny materyi, ani żadne zmiany molekularne nie wytłómaczą nam tego, co nazywamy procesami psychicznemi; ani nawet najprostszych ich objawów, objawów wrażenia, świadomości. Nawet najdaléj idące, astronomiczne [1]) poznanie systemu nerwowego nie da nam jaśniejszego poglądu na tę kwestyę. Gdybyśmy bowiem, podobnie jak w astronomii położenie i ruchy ciał niebieskich, znali położenie i ruchy pojedyńczych molekuł nerwowych, ich poprzednie zachowanie się i ich następne drogi, wiedzielibyśmy dokładnie, co dawniéj w każdym z nas się działo, moglibyśmy obliczyć, jakie następnie w nas odbędą się procesy psychiczne, a jednak nie wiedzielibyśmy i wtedy, dlaczego te procesy się odbywają i jak one się

---

[1]) Emil du Bois-Reymond nazywa astronomiczném poznaniem systemu materyalnego taki stopień poznania, jaki mielibyśmy odnośnie do systemu planetarnego, gdyby wszystkie spostrzeżenia i obliczenia absolutnie były prawdziwe i gdyby wszystkie trudności teoryi astronomicznych przezwyciężyć się dały. Patrz jego dwa wykłady: „Über die Grenzen der Naturerkennens“ (O granicach poznania przyrody) i „Die sieben Welträthsel“ (Siedm zagadek wszechświata). (Leipzig. Veit & C-ie. 1891).

odbywają. Rozumié się, że nam bardzo daleko do takiego poznania, może wcale do niego nie dojdziemy, ale w każdym razie jest ono ostateczną granicą, do któréj dojść w teoryi przynajmniéj moglibyśmy. To astronomiczne poznanie mózgu—jak mówi Du Bois-Reymond [1])—odkrywa nam bowiem w nim tylko materyę, znajdującą się w ruchu. Żadne téż prawo mechaniki, tu zastosowane, nie wyjaśnia nam procesów psychicznych, które dla nas stoją po za prawem przyczynowości i dlatego pojąć ich nie możemy. „Jaki bowiem związek zachodzi pomiędzy pewnym ruchem a stanami subiektywnemi: czuję ból, ciepło, zimno? Jak np. pojąć, że ze współdziałania pewnéj ilości atomów kwasu węglanego, wodoru, azotu, tlenu i t. d. powstaje świadomość?“ [2]). Drogą mechaniki, wogóle drogą materyalistyczną nie dają się więc procesy psychiczne wytłómaczyć. Próbujemy tedy drogą spirytualistyczną, idealistyczną dojść do celu. Lecz widzimy, że odkąd istnieje filozofia, wszelkie próby w tym kierunku były płonne. Badamy bowiem i konstruujemy sobie rozmaite siły nadprzyrodzone, przyrodzone, t. zw. pierwiastki psychiczne i staramy się przy ich pomocy zaspokoić nasze wymaganie przyczynowości. I tu jednak dotąd nie otrzymaliśmy pożądanego rezultatu i nie otrzymamy go, bo nawet ów „duch Laplace'a“ [3]), mogący cały świat i wszystkie w nim zdarzenia w jednéj wyrazić formułce—istoty materyi i siły, istoty zjawisk psychicznych pojąćby nie mógł. Skoro więc żadna droga do celu nie prowadzi, skoro do niego doprowadzić nie może, cóż pozostaje innego, jak ugiąć się przed tą granicą poznania człowiekowi wytkniętą, zaprzestać próżnych i bezskutecznych badań, a natomiast zwrócić ową marnie zużywaną pracę na glebę urodzajniejszą, któréj plon ludzkości większy pożytek przyniesie i rozwój jéj ułatwi. Do takiego celu twory w rodzaju psychady, systemy w rodzaju monizmu biologicznego nie wiodą. Wywody podobne mieszczą w sobie jednak inne ogromne niebezpieczeństwo, t. j. że będą pomostem od nauk przyrodniczych i filo-

---

1) Patrz wyżéj cytowane wykłady jego.

2) Patrz te same wykłady, daléj tegoż autora odczyty „O niektórych wynikach nowych badań przyrodniczych.“ Patrz téż prof. Tyndalla: „Scope and Limit of Scientific Materialism“ w „Fragments of Science“, etc. London, 1871, p. 121, *sixth edition*, vol. II, p. 87.

2) Patrz: Laplace, „Essai philosophique sur les Probabilités. 2-de edition“, który mówi: ...Une intelligence qui pour un instant donné, connaîtrait toutes les forces dont la nature est animée, et la situation respective des êtres qui la composent, si d'ailleurs elle etait assez vaste pour soumettre ces données a l'analyse, embrasserait dans la même formule, les mouvements des plus grands corps de l'univers et ceux du plus léger atome: rien ne serait incertain pour elle, et l'avenir comme le passe serait présent a ses yeux.

zofii do okkultyzmu i spirytyzmu. Jak mały to bowiem krok od teoryi psychady do systemów spirytystycznych Zoellnera i Du Prela z ich ucieleśnianiem się duchów, t. zw. materyalizacyą i t. p., zwłaszcza że u Schultzego znajdujemy wiele poglądów na siłę organizacyjną i twórczą duszy, pokrewnych z poglądami Wallace'a, Zoellnera i Du Prela. A wątpię bardzo, czy Schultze życzyłby sobie podobnych owoców swojéj pracy.

Oto skutki zabiegów, by dojść do celu niedościgłego, niemożliwego, utopijnego, co do którego z Du Bois-Reymondem snadnie rzec możemy: *Ignoramus et Ignorabimus.*

Dr. Garfein.





TENNYSON
I POECI ANGIELSCY DZISIEJSI.



Po bezpotomném zejściu średniowiecznego rycerza, kruszono na jego trumnie miecz i tarczę. Gdyby się chciało żałobny taki obrządek do wpółczesnego zastosować Parnasu, to należałoby strzaskać siedmiostrunną lirę na grobie Tennysona: jest on ostatni z orszaku wielkich wieszczów europejskich; może jeszcze być gwiazd sporo na poetycznym horyzoncie, ale gdzie słońca? Obgadujemy wiek nasz XIX-ty jako prozaiczny i czynimy mu w ten sposób niezaprzeczoną krzywdę. Nigdy, w żadnéj innéj epoce nie posiadały narody, i to wszystkie bez wyjątku, takiego szeregu, tak złotéj rzeszy znakomitych poetów, jak właśnie w naszém stuleciu. Jakże ubogo, jakże nędznie np. pod tym względem wygląda bezpośredni jego poprzednik, wiek XVIII-ty! Nie jest bynajmniéj przecenieniem wartości naszéj epoki, gdy się windykuje dla niéj prawdziwe Odrodzenie poezyi.

Jeżeli o prawdzie tego spostrzeżenia przekonać nas musi obraz piśmienniczego rozwoju u każdego ze współczesnych narodów, to nigdzie wielkość poezyi w bardziéj oślepiających nie ukazała się kształtach, jak w Anglii. Dumni są Anglicy, i słusznie, z geniuszów poetycznych swéj przeszłości, gdzie następują oni po sobie prawie nieprzerwaną koleją, ale, z wyjątkiem Shakespeara i Miltona, czémże są oni w porównaniu do tych, których wiek nasz wytworzył? Byron i W. Scott, Keats i Shelley, Colleridge i Wordsworth, Robert i Elżbieta Browning, Matthew Arnold i Dante Gabriel Rosetti—co to za świetny różaniec poetów! Każdy z nich dodał nowe klejnoty do skarbnicy narodowéj, każdy położył nieśmiertelne zasługi około

podniesienia duchowego poziomu swego społeczeństwa, każdy postawił ideał prawdy i piękna na niebiańskich wyżynach, każdy należy nie tylko do swéj ojczyzny ale do całego cywilizowanego świata. Nie jesteśmy nawet w stanie wyobrazić sobie toku i przebiegu poezyi współczesnéj — gdy ją odosobnimy od tych życiodajnych źródeł, jakie do niéj z Anglii przez Byrona i Scotta wpłynęły.

Szereg ten pierwszorzędnych poetów angielskich sięga szczytu w Tennysonie. Umarł w 85-ym roku życia: był tedy rówieśnikiem jednych, bezpośrednim dziedzicem drugich. Wszystkie prądy, wszystkie nastroje, wszystkie formy nowoczesnéj poezyi uosobiły się i skrystalizowały w nim stopniowo. Oddawna krytyka zamilkła przed jego nieskazitelnością; dla narodu swego nie był on tylko jednym z poetów, ale był poprostu — poetą, był żywą poezyą. Apoteoza jaka za życia była udziałem Wiktora Hugo we Francyi, opromieniała w Anglii czoło Tennysona. Jak można wobec takiego powszechnego i trwałego hołdu epokę naszą o lekceważenie poezyi obwiniać?

Obecnie, gdy pod sklepieniami opactwa westminsterskiego spoczęły śmiertelne szczątki lorda Tennysona, przeszedł on, w raz na zawsze ulanych formach, do nieśmiertelności, do historyi duchowéj swego społeczeństwa i postronnych społeczeństw. Studya nad jego utworami poetyckiemi nie dadzą na siebie czekać. Będą one liczne i różnostronne. Krytyka nie omieszka wykazać zasadniczych różnic natchnienia, geniuszu, temperamentu, jakie istniały pomiędzy nim a lordem Byronem, różnicy rozciągającéj się nawet do formy zewnętrznéj. A przecież wiadomo nam z zeznań samego Tennysona, że właśnie ów Byron, którego jest antypodem, najsilniejsze wrażenie na młodzieńczéj jego imaginacyi wywołał i do twórczości poetyckiéj rozbudził! Łatwiéj będzie udowodnić jak Tennyson odzwierciedlał w sobie wschodni romantyzm Southey'a w początkowych latach, jak potém przeszedłszy przez fazę romantyzmu naturalistycznego Coleridge'a, potrąciwszy nawet o zmysłową naiwność Keats'a, podniósł głębię i prawdę poczucia natury, charakteryzującego nieśmiertelną muzę Wordsworth'a, do wyższéj jeszcze potęgi i doszedł, jak to w paradoksalnéj formie powiedziano, do chrześciańskiego panteizmu. Im gruntowniéj poetyckie dzieła Tennysona rozbierane będą, tém bardziéj ujawnią się różnorodne składowe ich czynniki; była to natura skomplikowana, o delikatnych, do nieskończoności rozgałęzionych meandrach psychicznych i nie temu dziwić się wypada, że siła tragiczna, że szeroki strumień epickiego natchnie-

nia podrzędniejsze u niego zajmowały miejsce, ale temu że je wogóle, i one nawet, posiadał.

Nieraz już wykazywaném było, że wielkość Tennysona i jego znaczenie jako poety polegały na tém, iż lepszym i potężniejszym aniżeli jakikolwiek z poetów stał się wyrazem i odzwierciedleniem swéj epoki. Właśnie dla tego, że nie posiadał takiego wulkanicznego temperamentu jak Byron, albo takiego radykalizmu filozoficznego jak Shelley, potrafił zrozumiéć prądy około niego krążące, wniknąć w ich istotę, i wypowiedziéć je w formie olimpijskiéj piękności. Jeżeli Spencer był poetą epoki Elżbiety, Milton — protektoratu, a Pope królowéj Anny, to nie kto inny lecz Tennyson jest poetą téj świetnéj w dziejach angielskich epoki, która nosić będzie nazwę epoki królowej Wiktoryi. W słynnéj dedykacyi całkowitego wydania swych poezyi uczynionéj monarchini, któréj był lojalnym sługą i przyjacielem, Tennyson złożył dowód, iż sam zdawał sobie sprawę z solidarności wiążącéj dwa odwiecznéj natury berła. Ale nie dość jest powiedziéć, że autor *In Memoriam*, Idylli o Królu, Lukrecyusza, *Enocha Arden* i tylu innych arcydzieł, był najdoskonalszym poetą angielskim całego ostatniego półwiecza, nie należy także spuszczać z uwagi téj okoliczności, że był nowatorem, inicyatorem całkiem odrębnéj twórczości poetyckiéj. Przez długi szereg lat tak się obecne pokolenie zżyło, tak się oswoiło z atmosferą duchową, którą on wytworzył, tak na wskroś przesiąkło jego kunsztownym językiem i wykwintną formą wiersza, że nie zdaje sobie sprawy z przewrotu jakiego on dokonał. Trzeba powrócić do poetów, co go poprzedzili, co pisali około roku 1830, aby spostrzedz przepaść, jaka dzieli wczorajszy dzień od następnego. Czém Wiktor Hugo i wiersz jego o całkiém nowéj metryce i bogactwie, nieprzeczuwaném przedtém, języka był dla poetów francuskich, tém on był dla swoich ziomków. Nawet gdy pierwsze próby młodzieńcze w świat puścił, już posiadały one tak skończoną plastyczną piękność formy, że świat wieszczów odrazu uznał w nim mistrza. Na nim wykształciły się jedne po drugich pokolenia nie publiczności tylko ale i poetów: nie można pojąć doskonalszéj, czystszéj, idealniejszego polotu liryki, jak ta, któréj modłę on podał. Znajdą się niewątpliwie pisarze, którzy pytać się będą, jakie nowe myśli, jakie nowe idee rzucił wieszcz ten w społeczną glebę, bo takie spisywanie duchowego inwentarza zaspakaja wiele rozdrażnionych a skarłowaciałych umysłów; ale nie będzie bezwątpienia ani jednego poety, któryby z wdzięcznością nie uchylił przed nim czoła, jak przed duchowym rodzicem. Tak uczynili wszyscy dzisiejsi poeci w żałobnych trenach przez śmierć Ten-

nysona wywołanych, a z większą jeszcze bezstronnością wyda ten sam wyrok potomność.

Nie jest bynajmniéj zamiarem naszym ani kreślić tutaj żywota Tennysona, całkiem zresztą pozbawionego wydatnych zdarzeń, spędzonego w wiejskiém ustroniu, wśród rodziny i książek, uwieńczonego świetném powodzeniem materyalném i pełném uznaniem zasług przez społeczność i przedstawicieli władzy narodowéj, ani téż pragniemy rozbierać po szczególe celniejszych choćby utworów jego. Z okazyi jednego z ostatnich mieliśmy już sposobność podać ogólną ich charakterystykę [1], a zbyt silne jest chwilowo i zbyt świeże poczucie jego śmierci, ażeby się do zupełnie obiektywnéj analizy jakikolwiek pohop poczuwało. Nie ma już najmniejszéj wątpliwości co do ogólnéj fizyognomii duchowéj, jaką Tennyson posiadać będzie w oczach potomności. Jego podniosły spirytualizm nie ścieśnił się żadną dogmatyczną formułą: w każdym wierszu jego czuć można było nieomylnie powiéw religijny. Synteza jego religijna obejmować się nawet zdawała ową starogrecką mytologią w pośród któréj tak swobodnie krążył: wiara i piękno zlewały się w jego uczuciach i pojęciach w jedność. Nawskroś idealistyczny, nie był on bynajmniéj sielankowo-płaczliwym. Taine jednostronnie go sądząc przed ćwiercią wieku, rozpowszechnił o nim po za granicami jego narodu opinię, że jest jakimś nikłym, rospływającym się, w błękicie, gruchającym idylle pieśniarzem. Sąd taki napotkał w Anglii silny i zasłużony opór. Mniejsza już o to, że sama nazwa *idylla*, brana i używana jest przez Tennysona w specyalném, jemu tylko właściwém znaczeniu, ale żaden z jego liryków, nie zamyka się w téj sentymentalnéj nucie. Forma jest melodyjna, kunsztowna, opracowana jak szlifowane dyamenty; ale osnowa, ale natchnienie jest promienne, szerokie, łączące poczucie realnych podstaw życiowych ze strzelistém dążeniem, parciem się ku wyżynom. Nazywano go często brytańskim Wirgiliuszem i nazwa ta była słuszna, gdyż świadczyła o najdoskonalszéj harmonii, mierze, o najwyższém zespoleniu treści z formą, ale nie ograniczała się bynajmniéj do Wirgiliusza twórcy Eklogów, Bukolik i Georgik, ale obejmowała także twórcę Eneidy. Mówiliśmy już o głębokiém poczuciu piękności natury, które go cechowało; zauważyć jednak należy, że nie wyłączało ono człowieka z ram krajobrazu. Są w pośród jego poezyi obrazy życia rolników, rybaków, myśliwych, majtków i t. d., które są wizerun-

---

[1]) Patrz Ateneum za Luty 1890.

kiem zarówno drgającym prawdą, jak przejętym głęboką miłością do człowieka. Ten ciepły humanizm zbliżał go do każdego serca, co żywiéj bić umiało, i stanowił istotną indywidualną cechę jego umysłowego nastroju. W ten tylko sposób udawało mu się, jemu wykształconemu na modle klasycznego świata Hellady, i powracającemu do jéj typowych postaci co moment, tchnąć w nie bezpośrednią żywotność. Te mytyczne figury bogów i bohaterów były dlań wygodną formą i nie szukał lepszych, idąc pod tym względem po myśli Emersona, który utrzymywał, że gdy raz tradycya wejdzie w krew i soki nasze, wytworzone przez nią alegorye okazują się użyteczniejszemi od wszystkich wymysłów indywidualnych. W jego strofach pod nazwą boga lub bohatera zawsze odnaléść można — człowieka.

Do wszystkich, katalogowo tu jedynie wymienionych, rysów duchowéj fizyognomii Tennysona wypada dodać jeszcze jeden, ten właśnie, który go tak drogim uczynił rodzimemu społeczeństwu — jego nastrój patryotyczno-narodowy. Nie ma w nim nawet cienia chłodnego kosmopolityzmu filozoficznego. Aż do szpiku kości był Anglikiem, wyrosłym na tradycyach krajowych; lgnął do nich, pysznił się dumą i potęgą narodu swego, opiewał jego wielkość, wierzył w jego missyę cywilizacyjną, w jego gwiazdę. Ta głęboka miłość do gleby rodzinnéj, do jéj gór i dolin, do wód, co ją świata czynią królową, do wszystkich warstw narodu, do jego zwyczajów najpospolitszych nawet, a w których świetlane struny odkryć umiał, zjednała mu tę szeroką i niewzruszoną popularność, jakiéj żaden poeta nie posiadał. Nie ma Anglika, któryby na zimno mógł czytać jego żałobną odę na śmierć Wellingtona, dźwięczącą ponuro, jak dzwon spiżowy z wysokiego tumu, albo hymn wspaniały uwieczniający szarżę lekkiéj brygady i śmierć bohaterską sześciuset jeźdźców na polach Krymu. Nie w okolicznościowych zresztą wierszach dźwięczy ta jego miłość do ziemi ojczystéj. Spostrzedz ją snadno w wielu jego poematach szerszego rozmiaru: dość będzie przytoczéć *Maud*, albo *Locksley Hall*, w wielu drobniejszych arcydziełach, jak *The Talking Oak*, *the Grandmother*, *the Northern Farmer* i t. d. Ale najwyższym wyrazem jego patryotycznego nastroju ducha są i pozostaną raz na zawsze jego „Idylle o królu.” Być może że my, innonarodowcy, zachwycamy się łatwiéj taką melancholiczną kołysanką jak *In Memoriam*, gdzie sceptycyzm i zwątpienie służą za podścielisko do tryumfalnego hymnu na cześć nieśmiertelności ducha, albo podobamy sobie w takiéj podniosłéj spekulacyi jaka dźwięczy w śmiertelnym monologu Lukrecyusza, twórcy *De Rerum Natura;* lecz dla

jego ziomków epiczne rapsody Arturowego cyklu będą zawsze Tennysona *magnum opus*. Jak wiadomo, poeta pracował nad tym poematem przez lat trzydzieści, pieścił go i ciosał, poprawiał i zmieniał w każdéj nowéj edycyi. Jak pięknie powiedział Stedman, w ten sposób budowały się katedry gotyckie, dodawając kaplicę po kaplicy do środkowéj nawy. Nie jest to na szczęście żadna martwa „Arturiada" i ci komentatorowie, którzy usiłowali wśrubować te luźne rapsody i pieśni w jednolitą systematyczną całość, popełnili nie do darowania omyłkę. Gdy sam Tennyson zapragnął zapełnić szczerby i skuć ogniwo do ogniwa, nie podniósł pierwotnéj dzieła swego wartości. Ażaliż nie wystarcza dla upojenia wyobraźni ta baśń poetyczna o idealnym królu-rycerzu, co w zaraniu narodowego ustroju, powziął wspaniały zamiar zreformowania, uporządkowania chaotycznego świata, wprowadzenia doń wiary, cnoty, prawa; ażaliż nie ma tragicznéj wielkości w zawodzie, jakiego ów król-marzyciel doznaje, gdy jego powiernik i druh, Lancelot, uwodzi ubóstwianą jego żonę, złotowłosą Ginewrę? Ten potężny wiew epiczny, który oskrzydla mgliste postaci rycerzy okrągłego stołu, który manifestuje się w epizodach tak nieporównanéj piękności, jakiemi są „Ostatni turniéj," „Święta Czara," który wlewa życie w takie z ideału tkane postaci jak Enida albo Elaina, chwyta w swój czar zaklęty każdego czytelnika i przykuwa go do téj powieści fantastycznéj. Byłoby zbyteczném dociekać, czy wszystkie figury téj średniowiecznéj legendy są wylęgłe w wyobraźni poety, czy téż mają w sobie historyczne jądro; dla społeczeństwa brytańskiego „Idylle o królu Arturze" oblekły się w rzeczywiste, w cielesne kształty, a poeta, który pomiędzy mityczną przeszłością a pewną historyą narodu znaléść potrafił łączące ogniwa, i nad przepaścią tą rzucił złoty most epopei, rozszerzył, bez zaprzeczenia, widnokrąg ojczysty, uszlachetnił go i do wdzięczności najoddaleńszych pokoleń ma prawo.

Gdy się tedy weźmie na uwagę z jednéj strony radykalny przewrót w stylu, w rytmie, w całéj zewnętrznéj stronie poezyi, jakiego Tennyson dokonał i następcom swoim w spuściźnie przekazał, a z drugiéj strony, gdy się znajduje w snopiastém jego żniwie tyle pełnych, obfitych kłosów, to nie dziwota, że zgon takiego duchowego olbrzyma świat anglo-saksoński uważał za narodową klęskę. Do trumny, w któréj zwłoki jego złożono, zamknięto także ten egzemplarz poezyi Shakespeare'a, którego stronice przewracał jeszcze kostniejącą od śmierci ręką. Są tacy, co upatrują w tém symbol, że poezya i Shakespeare'a i Tennysona raz na zawsze pogrzebane już zostały i że braknie już soków żywotnych do puszcza-

nia nowych odrośli poetyckich. Jak wiadomo, przez ostatnich lat czterdzieści, od śmierci Wordsworth'a, Tennyson piastował dostojeństwo poety-laureata. Krytykowano często i bardzo słusznie instytucyę tę samą w sobie. Poeta, pensyonowany przez państwo, piszący z urzędu dytyrambiczne ody albo żałobne treny nad wypadkami doniosłemi, nie odpowiada bynajmniéj pojęciu, jakie sobie o jego misyi czynimy. Osiodłany pegaz przestaje być pegazem. W Anglii, kraju hierarchicznie uorganizowanym i opierającym się na artystokratycznéj zasadzie honorowania zewnętrznego wybitnych w narodzie osobników, posada poety-laureata jest mniéj rażącą, aniżeliby nią była gdzie indziéj. Sami poeci rozmaicie się na tę instytucyę zapatrują. Niedawno jeszcze, Robert Browning, jedyny godny Tennysona współzawodnik, był jéj zwolennikiem i widział w niéj hołd złożony poezyi przez naród. William Morris, o demokratyczno-socyalistycznym nastroju, odpycha z oburzeniem samą myśl ażeby jemu taką narzucono liberyę. Panuje tedy wielkie rozdwojenie umysłów co do dalszego utrzymania albo zniesienia téj posady; ale nie ma najmniejszego wątpienia, że pierwszy minister, Gladstone, skrupulatny przestrzegacz tradycyi, niezadługo nowego laureata do sankcyi królewskiéj przedstawi. Na kogokolwiek wybór ten padnie, nie można mu będzie niewdzięcznéj zazdrościć roli: nieuniknienie opinia Anglii i opinia świata przeciwstawi go Tennysonowi i uzna, że zaszczyt to i że prymat nie zasłużony.

Należy się wystrzegać jeknak wszelkiéj ostateczności w sądach i przesady tendencyjnéj. Być może, że nie ma obecnie ani jednego poety, któryby tak doskonale odpowiadał pojęciu, jakie przywiązywaném bywa do godności laureata, jak to miało miejsce z Tennysonem; ale nie wypada stąd bynajmniéj czynić wniosku, ażeby Parnas angielski został przez śmierć tę wyludniony, żeby nie było już w Anglii pierwszorzędnych, wysokich talentem poetów, używających szerokiéj popularności. Nie dawno jeden z nich, pan Henryk Traill, wyliczył siedmdziesięciu dwóch — nie licząc siebie! Gdyby się całą rzeszę poetycką wymienić chciało, to samo się przez się rozumié, że lista matrykulacyjna setki, ba, tysiące by obejmowała. Ale nie o tych samozwańczych Apolina synów nam chodzi. Nie ilością ale jakością stoi poezya. Jakości nie brakuje właśnie Anglii i tego powinszować jéj można właśnie w chwili, gdy grzebie pierwszego ze swych wieszczów. Jeszcze za nestorowych lat jego wyrosło i krzepło ich kilku, kilkunastu może, na których kraj z tém większą spojrzéć może otuchą, że się wybili na jaśnię bez widoku dzierżenia berła. Już ogłoszone przez nich dzieła, wymow-

nie o ich wartości świadczą. O młodéj szkole poezyi angielskiéj nie mówiono jako o szkole dotychczas z wielu powodów, pomiędzy którymi nie najmniejszym był zamiar nieubliżenia Tennysonowi. Obecnie szkoła ta, naturalną rzeczy koleją, stanęła w pierwszym rzędzie i zupełnie uprawnioném jest pytanie: kto w niéj oficerską posiada rangę i kogo za najpierwszych z żyjących poetów angielskich uważać wypada. Na pytanie to zwięźle poniżéj odpowiedziéć chcemy, nie wdając się w żadne klasyfikacye i przedstawiając po prostu tych poetów ku którym, na samą wieść o zgonie Tennysona, zwróciła się odrazu powszechna sympatya narodu.

A naprzód zacznę ten przegląd od podwójnego wykluczenia. Nie bez małego zdziwienia dowiedziała się czytająca publiczność, że pomiędzy kandydatami do wawrzynowego wieńca stanął Sir Teodor Martin. Nie przypuszczamy ażeby reputacya jego doszła do polskich kół intelektualnych i nie było téż do tego powodu. Sir Teodor, rektor szkockiego uniwersytetu St. Andrews, pisze od lat wielu i wydał wiele tłómaczeń obcych poetów, przedewszystkiém niemieckich; jest także podobno autorem kilku tragedyi i zbioru oryginalnych poezyi. Ale głównie znany jest jako autor pięciotomowego „Życia ks. Alberta,” małżonka królowéj, oraz biografii jéj córki, ks. Alicyi heskiéj. Bez wątpienia, zjednać on mógł sobie łaskę monarchini jako historyograf drogich jéj sercu osób, lecz nie wypada stąd bynajmniéj, ażeby jako poeta oryginalny angielski, miał prawo rościć jakiekolwiek pretensye do prymatu.

Drugie wykluczenie, ale z całkiem innych powodów dotyczé Krystyny Rosetti. Siostra genialnego Dante Gabriela Rosetti, córka rodziny, gdzie się geniusz we wszelkich formach rozgościł, Krystyna jest, od chwili zgona Elżbiety Browning, najznakomitszą angielską poetką i chyba imię Joanny Ingelow, ale *longo intervallo*, mogłoby obok jéj imienia być postawione. Krystyna Rosetti, wychowana wśródgrupy pre-rafaelitów i estetów, posiadała od samych zaczątków swéj twórczości poetyckiéj, datującéj od r. 1866, doskonałą plastyczną formę i była mistrzynią wiersza. Dwa albo trzy zbiorki jéj liryków zostaną perłą piśmienictwa: ale brakuje jéj szerszego polotu, istotnie twórczego geniuszu. Od lat wielu w dodatku przestała ona pisywać dla świata. Duch jéj skłoniwszy się ku wyegzaltowanéj religijności należy już jedynie do Boga i z nim a nie z ludźmi rozmawia. Można wzniosłość jéj hymnów podziwiać, ale profani przestali oddawna ku niéj się zwracać i ta wyłączność nastroju, nie płeć, wyłącza ją z orszaku istotnie narodowych poetów dzisiejszych.

Chociaż, jak powiedzianém było wyżéj, klasyfikacya poetów byłaby tutaj nie na miejscu, to nie podobna, gdy się ich jedném obejmuje spojrzeniem, nie wyróżnić z pośród nich odrazu dwóch dostojników: Karola Algernona Swinburne'a i Wiliama Morrisa. Są to nie tylko poeci, ale w całém słowa tego znaczeniu, poeci wielcy i oryginalni.

Rzadko posiadało piśmiennictwo wybitniejszą, samodzielniejszą postać jak Swinburne, a na angielskiéj niwie jest po prostu unikatem. Ten arystokrata z urodzenia, syn admirała Swinburne i hrabianki Ashburnam — jest pod względem religijnych i politycznych opinii ostatecznym krańcowcem. Zerwawszy ze swém otoczeniem, trzymając się zdala od życia publicznego, Swinburne poświęcił całe swe życie, a liczy już 55-y rok, literaturze a poezyi szczególniéj. Całość piśmieniczéj jego twórczości obejmuje już przeszło trzydzieści tomów. Żaden z nich, począwszy od prac, które był począł jeszcze na ławkach uniwersyteckich, nie przeszedł niepostrzeżenie, niektóre, jak pierwszy zbiór P o e m a t ó w i b a l l a d wydany w 1866 roku, wywołały skandal i polemikę jakiéj pierwowzoru chyba w byronowskiéj znaleść można historyi; we wszystkich bez wyjątku uznano takie mistrzowstwo formy, taką plastyczną piękność absolutną, że ci nawet, którzy się sromali nad potwornością doktryn, musieli oddać hołd artyście. A nad doktrynami wyznawanemi przez poetę miała powód sromać się zachowawcza, w ortodoksyi religijnéj pogrążona Anglia. Ani Boga ani króla — oto jego rewolucyjne i ateuszowskie *credo*. Nie tylko, że nie uznaje Boga ale mu bluźni, widzi w nim źródło i przyczynę téj martyrologii, na którą skazana jest ludzkość. Jeżeli specyalną swą nienawiścią zaszczyca chrystyanizm, to i poganizmu nie szczędzi, i on obracający się wśród zaczarowanego świata Hellady, jak we własnym domu, on, który dzięki olbrzymiéj nauce i erudycyi klasycznéj, potrafił napisać takie arcydzieło starogreckiéj tragedyi jak *Erechteus* albo tę drugą, *Atalantę w Calydon*, gdzie wprawdzie duch nowoczesnego romantyzmu ramy klasyczne rozsadza, lubo ich nie kruszy, on nie jest wszelako poganinem z wiary. Powiedział wprawdzie raz w przystępie zmysłowości, że nie Maryę ale Venus uwielbiać należy, ale jeżeli kogo, to chyba Pan'a jako nadziemską ogólną syntezę przyjąćby się zgodził. Tę nieposkromioną zawziętość z jaką ściga ducha religijnego, któremu nawet cywilizacyjnéj misyi odmawia, czyni jeszcze sromotniejszą przez swą zmysłowość. I Byron, i Shelley byli kościelnymi niedowiarkami, lecz obaj, a ostatni przedewszystkiém, nie zadrasnęli elementarnéj moralności społecznéj. Swinburne urąga jéj. Nie tyl-

ko że są wśród jego poematów niektóre, gdzie namiętności cielesne wypowiedziane są w formie lubieżnéj, ba, sprosnéj plastyczności, ale poeta zdaje się puszczać nieokiełznane wodze swéj fantazyi i nie wstrzymuje się przed tajemnicami Lesbosu. *Anactoria*, poemat Saphony, jest bez najmniejszego wątpienia arcydziełem formy; ale można wytłómaczyć sobie prawdziwą zgrozę, jaką wywołał, nie tylko u faryzeuszów ale nawet u tych, którzy są zdania, że i poeci prawom powszechnym poddać się powinni. Nie mógł nawet dla przebłagania sądu zasłonić się poeta czcią idealną dla kobiéty: właśnie na nią, na kobiétę, cisnął najbardziéj zaostrzone strzały ze swego kołczanu. Rospływa się nad jéj cielesną pięknością, ale duchowéj nie chce albo nie umié dojrzéć. Nigdzie téż ujemny sąd o kobiécie nie ujawnił się wydatniéj, jak w wielkiéj dramatycznéj trylogii, noszącéj tytuły: *Chatelard*, *Bothwell* i *Marya Stuart*, a obejmującéj trzy epizody z życia królowéj Szkotów. Jakże dalekim jest typ jéj od tego, w którym się wszyscy prawie dawniejsi poeci roskoszowali: zgrozę, obrzydzenie budzi ta kobiéta-potwór, uzmysławiająca zło w całéj jego grozie.

Do takich religijnych i etycznych pojęć, Swinburne dodał jeszcze, ku zgorszeniu swych zachowawczych ziomków, sympatye do rewolucyi i rzeczypospolitéj wszechświata. Jego humanitaryzm szeroki, natchniony, posunięty jest, jak wszystkie inne struny jego ducha, do ostatnich krańcowych wytężeń. Nie tylko umiarkowania ale miary nie ma u niego nigdzie: entuzyazm prowadzi go na szczyty, gdzie tylko dzięki swemu geniuszowi karku sobie nie kręci. Są w mistrzowskim jego zbiorze poezyi *Songs before Sunrise* natchnione najwznioślejszym humanitaryzmem strofy. Pokrewieństwo jego ducha z duchem Wiktora Hugo jest tutaj widoczne, pod względem politycznym samo się przez się rozumie; gdyż pod względem religijnym był autor „Legendy Wieków,” jak wiadomo, zupełnym spirytualistą. Swinburne nie tylko jest czcicielem Wiktora Hugo, którego utworom poświęcał seryę wyczerpujących studyów, ale Teofil Gautier, Beaudelaire i cały szereg poetów francuskich, aż do Stefana Mallarmè i Pawła Verlaine włącznie, znaleźli w nim sympatycznego tłómacza i krytyka. Ta szlachetna optymistyczna metoda, która się manifestuje w licznych, gruntownych, sumienną erudycyą zaprawnych pracach jego, pisanych cudowną, melodyjną prozą, ugruntowała literackie stanowisko Swinburna.

Czytelnik przyzna zapewne, że to postać wyjątkowa. Trudno o większe przeciwieństwo duchowe jak to, które istniało pomiędzy nim a Tennysonem i niepodobna znaléść pomiędzy nimi nic innego

wspólnego oprócz nieposzlakowanńj piękności formy. Pod tym ostatnim względem Swinburne jest nawet doskonalszym, a przynajmniéj stworzył nowe rytmy, dotąd poezyi angielskiéj nieznane. Ale ci, którzy więcéj o treść, o tok myśli aniżeli o samą formę dbają, ci którym tchu nie staje ażeby się ze Swiburnem w awanturnicze puszczać harce, i ci nakoniec, którzy nie ogólnego humanitaryzmu lecz ściśle narodowéj nuty od poety żądają, nie będą się wahali w wyborze i zawsze do olimpijsko-pogodnego Tennysona powrócić będą woleli. Jeżeli, jak cały świat piśmienniczy jednozgodnie uznaje, Swiburne a nie kto-inny na złotą wawrzynową palmę zasługuje, to trzeba będzie przyznać, że pomiędzy wczorajszym laureatem a jutrzejszym istnieje nie tylko jaskrawa różnica, lecz że stoją po prostu na dwóch przeciwnych biegunach.

Jako drugiego przodującego poetę wymieniliśmy Williama Morris. I to także fizyognomia niezmiernie ciekawa. Pochodząc jak Swiburne z zamożnéj rodziny, prawie rówieśnik latami, jak on wychowaniec uniwerzytetu oxfordzkiego, jak on zbliżony poufałemi stosunkami z rodziną Rosetti i całym obozem wyrafinowanego estetyzmu, zamłodu także wziął się do twórczości poetyckiéj. Dziwnym zbiegiem, poezya wiązała się u niego z ogólnym prądem do ucieleśnienia w plastycznych formach ideału piękna. Oddając się szczegółowo architekturze, rysując ze smakiem, cierpiał Morris w swojéj artystycznéj naturze, znajdując na każdym kroku w domowém otoczeniu Anglików okazy potwornego smaku, o pomstę wołającéj brzydoty. Zdawało mu się obowiązkiem względem społeczeństwa zaradzić temu niedostatkowi i założył pracownię artystyczną i sklep obić, kobierców, tkanin, makat, sprzętów i drobiazgów estetycznych. Dzięki temu energicznie zakreślonemu kierunkowi, sztuka ozdobnicza w Anglii rozkwitła niebawem i w przeciągu kilku dziesiątków lat zmieniła cały jéj wygląd zewnętrzny. Jeżeli obecnie wnętrze każdego domu wykształconych warstw społecznych ma w tym kraju charakter tak wyrafinowanie estetyczny, jestto zasługa Williama Morrisa. Był on tam odważnym i radykalnym inicyatorem; tak zwani esteci, których ostatnim wyrazem jest dzisiaj już tylko Oskar Wilde, poszli tylko w jego ślady i nieraz zrobili z jego teoryi i jej praktycznych zastosowań histeryczną karykaturę.

Rozkochany we wszystkich formach plastycznego piękna, niezmiernie pracowity, łącząc w sobie rozliczne specyalności, jak to miało miejsce u wielkich geniuszów włoskiego odrodzenia, wziął się William Morris do pisania poezyi z razu dorywczo a niebawem stale, zawodowo. Pierwszy jego poemat, *Defence of Guenevere*, napisany

w 24-ym roku życia, wyszedł w 1858 roku; miał odtąd wielu i rozmaitéj treści i pokroju następców. Są pomiędzy jego poematami niektóre na wskroś przesiąkłe grecką tradycyą, jak o siedmnastu śpiewach poemat epiczny *Life and death of Jason*; są znów liczne inne, gdzie średniowieczne legendy w romantycznych ułożyły się rapsodach. Raz podaje wyborne przekłady Wirgiliusza i Homera, to znowu tłómaczy sagi skandynawskie. Na tém ostatniém polu położył niesłychane zasługi i można powiedzieć, że otworzył przed angielską publicznością świat skandynawskiéj poezyi w jéj śnieżystéj czystości i bogactwie świeżéj, oryginalnéj fantazyi. Poemata oryginalne, które na osnowie téj napisał, jak między innemi *Sigurd the Volsung and the fall of Nibelungs*, tchną świeżością natchnienia i dźwięczą całkiem nowemi w poezyi angielskiéj nutami. Ale jako arcydzieło tego kunsztownego poety, u którego nuta epiczna przemaga nad dramatyczną, uważany jest *Earthy Paradise*. Fantazya poety prowadzi nas przez cały świat miłości, sięga wszystkich krajów i epok, splatając je w jeden złoty wątek, lśniący, błyskotliwy a zawsze kryształowéj przejrzystości i wysoce artystycznéj prostoty. Gdy do tych rozmaitych utworów szerokiego rozmiaru doda się liczny zbiór drobnych liryków, kunsztownie rzeźbionych sonetów, to nie można się dziwić, że społeczeństwo angielskie przywykło spoglądać nań jak na świetnego przedstawiciela poezyi.

Ale nie ograniczył się na tych stronach twórczéj działalności i posiada w sobie jeszcze jedną indywidualną stronę. William Morris jest socyalistą i najznakomitszym śpiewakiem nowego społecznego zakonu. Łatwo sobie zdać sprawę z genezy duchowéj jego. Zawsze był obdarzony gorącém, kochającém sercem i świetną, rozbudzoną wyobraźnią. Reformatorskie jego dążenia zaczęły się manifestować w zewnętrznéj estetycznéj stronie życia; niebawem ujawniły się w staraniu o podniesienie wewnętrznego jego organizmu. Poeta pragnie uszlachetnić, uszczęśliwić cały świat a przedewszystkiém zaniedbane, upośledzone masy. Pracując nad ustrojem korporacyi średniowiecznych, doszedł stopniowo do wypiastowania całkiém nowego ideału społecznego, stał się śpiewakiem klasy robotniczéj. Jego *March of the Workers* jest marsylianką robotników, hymnem tryumfalnym czwartego stanu. Ale drobiazg to w porównaniu do wielkiego poematu socyalistycznego *The Pilgrim of Hope*. Dotąd ukazały się tylko jego epizody w tygodniku socyalistycznym, *the Commonwealth*, wydawanym pod jego egidą i jego kosztem. Autor ma zamiar wprowadzić doń zmiany, zanim skrystalizuje go w ostatecznéj formie. Niepodobna tedy dotąd wydawać o téj pracy wyroku.

Ale trzebaby być zupełnie obojętnym na wspaniałe poetyckie piękności, szczodrą rozsiane tam ręką, ażeby odmówić temu „Pielgrzymowi Nadziei" wybitnego miejsca, jakie niewątpliwie zajmie wpośród poezyi angielskiéj ostatnich czasów.

Wzniosły, szlachetny, czysty, o szerokich wszechludzkich ideałach, dążący do urzeczywistnienia dobra i piękna we wszystkich ich formach, wykształcony gruntownie, o fantazyi świeżéj a odradzającéj się w niespodzianych kształtach, piszący wierszem zawsze harmonijnym, strofami co pieszczą ucho, William Morris jest rodzajem proroka dla całéj nowéj generacyi intellektualnéj Anglików. Gdyby się ich słuchać miało, nie kto inny jak śpiewak *Love is enough* zasługuje na godność narodowego wieszcza. Trzeba było jego osobistéj protestacyi i przypomnienia, że jako orędownik nowego ustroju społecznego nie pragnie żadnych hierarchicznych wyróżnień i że przyjąć by ich nie mógł, ażeby położyć koniec téj niewczesnéj i niepowołanéj propagandzie. Laureatem nie będzie i być nie może, ale stanowiska śpiewaka pierwszorzędnego nikt mu nie zaprzecza.

Obok tych potężnych postaci są *dii minores.* Każdy świadomy ruchu współczesnéj poezyi angielskiéj zna niektóre przynajmniéj utwory Alfreda Austin'a, Roberta Buchanan'a, Austina Dobson, Lewisa Morris i Sir Edwina Arnolda. Do treściwéj o nich wzmianki jednak ograniczyć się możemy.

Alfred Austin jest zarówno znany na polu dziennikarstwa i publicystyki, gdzie energicznie walczy za doktryny zachowawcze jak w dziedzinie poezyi. Jego tragedya *Savonarola*, jego fantastyczny poemat *Prince Lucifer* tak samo jak zbiory lirycznych śpiewów *Interluds*, *Sololoquies* zjednały mu pochlebne na narodowym parnasie stanowisko. Nie ubiega się on za formą kusztownie rzeźbioną, i zdaje się ogołacać swą muzę umyślnie z tych zewnętrznych ozdób do których nas przyzwyczaiła. Idzie mu o siłę, i zarówno w okazach swéj miłości jak nienawiści posuwa ją aż do granic dzikości. My jednak nie mamy prawa właśnie mu jéj wyrzucać: gorąca dla naszego kraju sympatya, któréj dowodem jest poemat *Randolph*, a któréj źródło znaleść można w gorliwéj wierze katolickiéj — jest sama w sobie rzadkością, w ostatnich czasach przedewszystkiém, i pominąć się jéj nie godziło.

Robert Buchanan jest wielce płodnym romansopisarzem, nowelistą, krytykiem, essayistą i dramaturgiem. Ta energiczna natura szkocka, umiejąca zwalczać jedne po drugich trudności, i zdobywać coraz wybitniejsze stanowisko w każdéj sferze piśmienniczéj

działalności, od lat kilkunastu zwróciła go także do poezyi. Udowodnił on tam talent niezaprzeczony i to w rozmaitych formach natchnienia. Jeżeli *Book of Orm*, mimo poczytności jakiéj używał, jest według naszego zdania dziełem poronionem, to nie można tego powiedziéć o obszernym poemacie *City of dreams*, a szczególniéj o zbiorze noszącym nazwę *London Poems*. Dotąd jestto najoryginalniejszy utwór poetyczny p. Buchanan'a. Przy wysoce realistycznym nastroju swego temperamentu umysłowego, te obrazy z codziennego życia londyńskiego, przedewszystkiém drżące łzami i cierpieniem epizody wydziedziczonych, znajdują drogę do serca czytelników. Dla tych znawców poezyi współczesnéj, którzy mają w pamięci *Les humbles* Franc. Coppée, Poemata londyńskie Buchanan'a przyniosą znaną, pokrewną nutę, ale z większą melodramatycznością.

Całkiem inną postacią poetycką jest Austin Dobson. Jestto wykwintny, arcy-kunsztowny rzeźbiarz rymotwórczych cacek. Każdy z czterech dotychczas wydanych jego zbiorów *Vignettes in Rhymes*, *Proverbs in porcelain*, *Old Worlds Idylls* i *Sign of the Lyre*, są pod względem formy i budowy arcydziełami, i stały się roskoszą intellektualnych sybarytów. Ale muza to o wątłych siłach i nie ma skrzydeł do szerszego lotu. Sam poeta, uginający się pod niezasłużoną nazwą, angielskiego Horacyusza, żadnych wielkich pretensyi nie rości i woli pastysze dawniejszych poetów, francuskich przedewszystkiém, aniżeli istotnie oryginalne porywy. Można podziwiać jego dowcip, giętkość z jaką najniewdzięczniejsze i najtrudniejsze formy wiersza pokonywa, ale byłoby dobrowolnie popełniać omyłkę, oczekując od niego odrodzenia poezyi angielskiéj.

Nie wiele mamy także do powiedzenia o p. Lewis Morris, lubo poeta ten rości widocznie wielkie pretensye i ma już zapewniony sobie szeroki krąg czytelników. Nie da się wprawdzie zaprzeczyć, że pisze on z nadzwyczajną łatwością, że wiersz jego płynie, płynie harmonijną kaskadą, że zarówno w epopei, jak w tragedyi, jak w lirykach napisał utwory, którym żadnych zasadniczych zarzutów uczynić nie podobna, prócz jednego, ale ważnego: nie ma w nim źdźbła istotnéj oryginalności, i czytając jakikolwiek jego poemat niewątpliwie jaki wielki pierwowzór staje na myśli. Jego monolog dramatyczny *Gwen* przypomina w ten sposób *Maud* Tennysona, a zarówno dla *Epic of Hades*, jak dla *Songs of the two worlds*, jak dla jego pseudogreckich tragedyi znaleść by nie było trudno wzorów. Ci, którzy patrzą nań, jako na pełnego nadziei poetę przyszłości, zdają się nam gotować sobie zawód. Lewis Morris zachowa poczesne miejsce

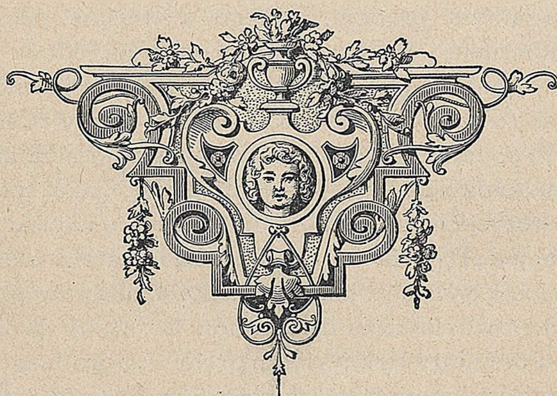
w chórze poetycznym, ale na wierzchołkowe miejsce się nie wedrze. Brakuje mu do tego świętego ognia.

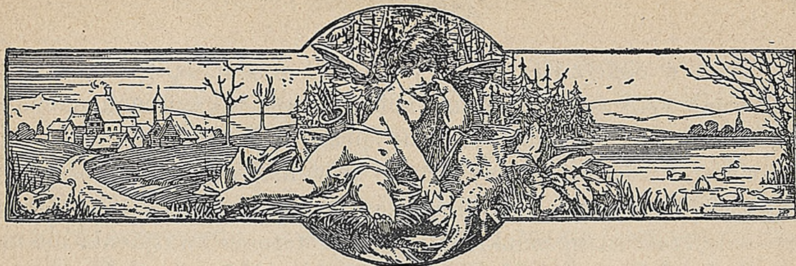
Nie potrzeba zapewne charakteryzować Sir Edwina Arnold'a. Zdobył on sobie stałe miejsce w poezyi angielskiéj przez tłómaczenia i studya nad poezyą indyjską. Przeniósł on żywcem do krajowéj żywioły indyjskie, arabskie; zaszczepił pierwiastki buddhyzmu. Jego *Lights of Asia* są klasyczném dziełem oddawna, a wielkich zalet malowniczości i fantazyi nikt śpiewakowi *Pearls of the Faith* nie odmówi. W tym ściśle zakréślonym obrębie jest Sir Edwin nie tylko najlepszym z oryentalistów, lecz jedynym. Nie wypada stąd jednak bynajmniéj, ażeby w innych działach poezyi, bezpośrednio narodowego życia tyczących, miał być przeznaczony do odgrywania jakiejkolwiek roli.

W przeglądzie tym poetów angielskich pominęliśmy, idąc mimowolnie za ogólnym prądem, jednego a właśnie takiego, który chyba ze Swinburnem i Williamem Morrisem na jednéj postawiony być może linii, jeżeli nie wyżéj nawet, a który z pewnością o całą głowę przenosi resztę poetyckiego orszaku. Mamy tu na myśli Jerzego Meredith'a, jedynego genialnego romansopisarza angielskiego największą znakomitość w dziedzinie literatury, jaką społeczeństwo brytańskie poszczycić się może. Meredith nie tylko napisał takie arcydzieła w prozie jak „Egoista" albo „Ryszard Faverel," ale i cudowne, o wysokim polocie poemata, jak *Modern Love*, albo *Reading of Earth*. Ale jeżeli potrzeba było kilku dziesiątków lat, ażeby prozaiczne pisma Meredith'a przestały być wyłączną roskoszą drobnego kółka wyborowych umysłów i stopniowo dopiéro przedostać się do szerokich kół publiczności, to więcéj jeszcze ma to miejsce z jego poezyą. Jeżeli romanse jego pisane są chyba dla romansopisarzy i filozofów, to dla kogóż są jego poezye? ilu jest dość głębokich, dość wyrafinowanych, dość rozmarzonych dusz, ażeby wejść w zaczarowane koło, jakie otwiéra dla nich poeta, i w niém pozostać? Jesteśmy przekonani że wśród dziesięciu przeciętnie wykształconych Anglików zaledwie jeden zna poezye Meredith'a. Towarzystwo literackie angielskie, którego dotąd Tennyson był dożywotnim prezesem, pospieszyło wybrać Jerzego Meredith'a na jego następcę, dając przez to dowód w jak wysokiéj czci ma jego talent. Ale gdyby ów mianowany został laureatem, łatwo wyobrazićby sobie można ogólne zdziwienie. I trzeba przyznać, że taka nominacya byłaby błędem. Jeżeli w społeczeństwie angielskiém poezya zajmuje miejsce, że się tak wyrazimy czynne, działające, to pochodzi to ze ścisłego związku pomiędzy

poetami a narodem, z ciągłéj wymiany uczuć i opinii. Nie o postawienie sfinksowéj postaci trudnego do zrozumienia wieszcza chodzi, ale o takich, którzyby w kunsztownéj formie najwznioślejsze ideały społeczeństwa wyśpiewać potrafili. Jeżeli żaden całkowicie takiéj modle nie odpowiada chwilowo, daje się to tłómaczyć przez głęboki cień, padający od mogił świéżo zmarłych wieszczów. Ale gleba to nie wypleniona i nie ma wątpliwości, że wystrzeli z niéj znowu śnieżysto biała lilia poezyi.

N. T.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

V.

Naturalna odporność na choroby zakaźne. — Sztuczna odporność i sposoby jéj nabywania. — Białe komórki krwi i fagocytoza. — Zarzuty przeciw teoryi fagocytozy. — Chemotropizm (*Chemotaxis*) i wabienie leukocytów. — Zjawisko ropienia. — Trujące produkty bakteryi i wyczerpywanie pokarmów. — Zarzuty przeciw teoryi retencyjnéj i teoryi wyczerpywania. — Bakteryobójcze działanie krwi i surowicy. — Ciała ochronne we krwi: białka i aleksyny.

Nie wszystkie bakterye działają szkodliwie na organizm zwierzęcy, są między niemi zupełnie niewinne. A i t. zw. chorobotwórcze mikroorganizmy nie jednakowo się zachowują względem każdego gatunku zwierzęcego. Dość powiedzieć, że przeważna część zwierząt zimnokrwistych zachowuje się odpornie i nie nabywa tych chorób zakaźnych, którym ulegają ciepłokrwiste zwierzęta. A nawet rozmaite tkanki jednego i tego samego zwierzęcia różną wykazują odporność. Tak np. tkanka mięśniowa odznacza się wysokim stopniem odporności wobec wszystkich niemal chorób zakaźnych.

Te fakty, znane od dawna, lecz dotąd należycie nie objaśnione, nabiérają niezmiernego znaczenia obecnie, kiedy zarówno w teoretycznéj jak i w praktycznéj medycynie usiłowania badaczów w jednym przeważnie kierunku są wytężone, w kierunku walki z bakteryami. Nie tak to dawno, gdy walkę tę odważono się podjąć przy pomocy środków nie tylko empirycznych, lecz co ważniejsza — wyrozumowanych na podstawie wiadomości naukowych o istocie gospodarki mikro-

organizmów w ciele zwierzęcia. Jednakże dzisiaj, spoglądając tylko na kilka lat wstecz w celu zdania sobie sprawy z nagromadzonego na tém polu materyału badań, stajemy przed tak olbrzymim zapasem naukowym, iż z jednéj strony budzi on w nas zdumienie i cześć dla gorliwości badaczów, z drugiéj natomiast mimowolnie rodzi powątpiewanie o dojrzałości sił ludzkich. Lecz to uczucie zwątpienia nie może owładnąć nami całkowicie, gdy głębiéj wnikamy w rdzeń saméj sprawy. Musimy przyznać, że może w całéj historyi medycyny jako nauki nie ma okresu, w którymby trzeźwa idea i kilka na pozór mało znaczących faktów tak cenne wydały owoce, jak w okresie współczesnym, patologii bakteryologicznéj.

Warto wobec tego zapytać, jakie to idee przewodnie kierują współczesnemi badaniami bakteryologicznemi, na jakich faktach opiérają się, jakiemi drogami i do jakich celów zmierzają liczni na tém polu pracownicy?

Pasteur, Koch, Nencki, Virchow, Chauveau, Arloing, Hüppe, Wood, Roux, Mecznikow, Gamaleia, Fränkel, Wooldridge, Fodor, Hawkin, Brieger, Behring, Kitasato, Emmerich, Buchner, Ogata, Tsuboi, Ribbert, Lubarsch, Klempezer, Bouchard, Baumgarten — chyba daléj listy téj przedłużać nie ma potrzeby. Wymieniłem najprzedniejszych uczonych, pomijam zaś kilka tuzinów innych nazwisk mniéj wybitnych, z któremi spotykamy się przy śledzeniu współczesnych postępów bakteryologii. Komu jednak zdaje się, że zadaniem téj licznéj falangi jest jedynie wykrywać coraz to nowe, nieznane dotąd gatunki bakteryi, opisywać ich cechy morfologiczne i poprzestawać na tém, ten myli się srodze. Już dawno przekonano się, że ta droga jest wstępną tylko ścieżką, z któréj się liczne dalsze rozgałęziają. Z tych znów gałęzi jedna prowadzi do poznania warunków fizycznych, w jakich dany mikroorganizm żywot swój wiedzie, druga pozwala poznać jego czynności chemiczne czyli te zmiany, które on wywołuje w otaczającém go środowisku, trzecia zapoznaje nas z wrogiemi mu czynnikami, znów inna daje wskazówki co do współdziałania między sobą rozmaitych gatunków bakteryi oraz działania każdego z nich oddzielnie lub wespół z innemi na organizm człowieka i wyższych zwierząt — a wszystkie te dróżki i ścieżki wreszcie znów w jeden zbiegają się gościniec, z którego dojrzéć się staramy ostatni praktyczny cel, mianowicie ostateczne środki w walce z wrogiemi nam bakteryami, oraz skuteczne środki w rozwoju przyjaznych nam drobnoustrojów. Pomińmy tym razem te ostatnie, o mówmy wyłącznie o drobniutkich naszych nieprzyjaciołach.

Otóż na wstępie zaraz wyznać możemy, że zaledwie pierwsze

dopiéro i niepewne kroki stawiamy na drodze, która do owego najwyższego praktycznego celu prowadzi, lecz tak szybko i wytrwale do niego dążymy, iż na żadném polu medycyny doświadczalnéj nie jesteśmy bardziéj upoważnieni do nadziei rezultatów pozytywnych.

We wszystkich pożytecznych dla nas zjawiskach staramy się naśladować przyrodę. I istotnie w wielu razach starania te nie są płonne. Tak więc sztucznemi sposobami potrafimy udzielić człowiekowi odporności względem takiéj choroby zakaźnéj, jaką jest ospa, zastępując nią odporność, jakiéj poskąpiła przyroda. Lecz nie jest to jedyna choroba, od któréj zabezpieczyć umiemy jeżeli nie człowieka, to przynajmniéj pewne zwierzęta, z któremi doświadczenia wykonywamy. A samo szczepienie wykonywamy téż rozmaitemi sposobami.

Pasteur pierwszy dał przykład ochronnego szczepienia swoistych dla danéj choroby bakteryi, lecz sztucznie osłabionych w czystych hodowlach. W ten sposób chroni on od t. zw. kurzéj cholery i od karbunkułu. Inni badacze, jak Hüppe i Wood do tegoż celu doszli, zastrzykując hodowle pokrewnego lasecznika, samego przez się nieszkodliwego. Lecz z czasem okazało się, że nawet zupełnie wprowadzania mikroorganizmów nie potrzeba na to, ażeby zabezpieczyć zwierzę od choroby. Hodowano bakterye na odpowiedniem dla nich podłożu, następnie same bakterye niszczono czyli jak powiadamy, sterylizowano hodowlę i szczepiono tylko te produkty chemiczne, jakie wytworzyły bakterye. Lub téż mechanicznie, za pomocą specyalnych filtrów, oddzielano bakterye od roztworu, w którym przez czas pewien żyły, i szczepiono część tego ostatniego, co wystarczało dla zabezpieczenia zwierzęcia od choroby. I jeszcze nie wyczerpano wszystkich środków. Okazało się bowiem, że pewne ciała chemiczne zastrzyknięte zwierzęciu dają mu odporność na niektóre choroby zakaźne. Tak np. Behring i Kitasato znaleźli w trójchlorku jodu środek, zapobiegawczo i ochronnie zabezpieczający od tężca, a w wodzie utleniającéj takiż środek przeciw błonicy. A jeszcze późniéj przekonano się doświadczalnie, że w pewnych rasach krew (surowica krwi) zwierząt z natury odpornych na daną chorobę, gdy zostaje zastrzygniętą niektórym innym, może je, z natury nieodporne, od choroby téj ustrzedz.

Te gołe fakty bezwątpienia tak są imponujące, że zapewne niejeden dostrzeże w nich zupełne rozwiązanie problematu i zdziwi się tylko, że nie przeniesiono ich do życia praktycznego i że nie chronimy się tym sposobem od wszelkich chorób zakaźnych. Lecz przedewszystkiém nie trzeba zapominać, że owych wspomnianych wyżéj

tryumfów nie święcono zawsze z chorobami nawiedzającemi najczęściéj człowieka, powtóre, że pomyślnych rezultatów, osiągniętych z królikami lub świnkami morskiemi, nie można wprost stosować do organizmu ludzkiego, że wreszcie w tych wypadkach, w których okoliczności pozwoliły wykonywać badania na człowieku, otrzymywano rezultaty niepewne, wątpliwe lub niepomyślne. Gdy więc tą drogą empiryczną celu nie dopięto, koniecznem się okazało wejść na inne ścieżki badania, znów rozumować i robić doświadczenia, ażeby możliwie wyjaśnić sobie pytanie, na czém polega odporność, czy to przez naturę nadana, przyrodzona, czy téż nabyta, sztucznie zaszczepiona.

Pewne komórki ciała, mianowicie białe ciałka krwi, t. zw. leukocyty, obdarzone, jak wiadomo, zdolnością do przenoszenia się nietylko biernego (w obiegu krwi i limfy), lecz i do samodzielnéj wędrówki, są również w stanie zawrzéć we wnętrzu swego ciała bakterye i zniszczyć je, niejako strawić w sobie. Leukocyty, rzec można, zjadają bakterye; stąd téż komórki te nazywano fagocytami. Na fakt ten pierwszy zwrócił uwagę Mecznikow, a inni badacze go potwierdzili. Między fagocytami a bakteryami zachodzi walka, kończąca się zwycięstwem pierwszych w razie, jeśli uda im się wchłonąć znaczną liczbę bakteryi. Gdy zaś te ostatnie bardziéj zbitą napierają falangą, lub gdy w jaki sposób silnie są uzbrojone, wówczas fagocyty zmódz ich nie są w stanie i ciało zwierzęce staje się łupem bakteryi.

Często i łatwo można obserwować tego rodzaju pożeranie bakteryi przez fagocyty, nic przeto na pierwszy rzut oka nie przeczy hypotezie fagocytozy. Lecz pierwszą zaraz trudność napotykamy, gdy żądamy dowodów na to, że przez samo wcielenie bakteryi do protoplazmy fagocytów istotnie bakterye zostają zabite. Można bowiem przypuścić, że to pożeranie jest zjawiskiem następczém, które poprzedzone jest przez obumarcie bakteryi skutkiem innych wpływów. Obumarłe bakterye zachowywałyby się więc jak i inne drobne martwe ciała, np. ziarenka barwników i t. p., które każda ameboidalna komórka, pomagając sobie swemi wypustkami i kurcząc się, wciąga do swego protoplazmatycznego ciała. Trzebaby przeto, chcąc dowieść słuszności téj hypotezy, wykluczyć wszelkie inne wpływy (np. chemiczne), mogące stać na przeszkodzie rozwojowi bakteryi w tkankach organizmu zwierzęcego. Nastręczają się wszakże przytém tak olbrzymie trudności, że tą drogą dotychczas sprawy nie rozstrzygnięto. Na tém jednakże nie kończą się jeszcze zarzuty, jakie teorya fagocytozy napotyka. Oto kilka dalszych.

Gołębie i białe myszy posiadają naturalną odporność względem karbunkułu (węglika). Gdyby teorya fagocytozy była słuszną i wystarczała w zupełności do objaśnienia zjawisk odporności, należałoby oczekiwać, że po zastrzyknięciu gołębiom i białym myszom laseczników węglika będzie można zaobserwować pożeranie tych mikroorganizmów przez białe ciałka krwi. Lecz nie wszyscy badacze zgadzają się na to, ażeby rzeczywiście coś podobnego dostrzedz się dało. Z drugiéj znów strony obserwowano fagocytozę niezmiernie żwawą w niektórych zjawiskach infekcyjnych, które kończyły się śmiercią. Ważne są także rezultaty następujących doświadczeń. Zarodniki lub laseczniki węglika szczelnie zamknięte w małych pakiecikach z papiéru pergaminowego, lub z roślinnych i zwierzęcych błon, umieszczano pod skórą żab i królików; w ten sposób odcinano przystęp leukocytów i pozostawiano bakterye jedynie pod wpływem soków ciała. I w warunkach tych bakterye ginęły lub przynajmniéj przestały się rozmnażać, z czego widać, że fagocytoza nie była tu niezbędną. Gdy zapytamy wreszcie, w czém tkwi przyczyna téj napaści fagocytów na bakterye, co powoduje tę walkę na śmierć i życie—i na pytanie to bezpośrednio w gołéj powyższéj teoryi nie znajdziemy odpowiedzi, to bynajmniéj nie zmusza nas to jeszcze do zupełnego jéj zarzucenia, lecz bądź co bądź zniewoleni jesteśmy do przypuszczenia, że teoryi téj brak jeszcze czegoś. Istotnie, brak ten starano się wypełnić, zwłaszcza w ostatnim z powyższych punktów.

Według badań Stahla i Pfeffera pewne rozpuszczalne w wodzie substancye chemiczne wywierają działanie przyciągające lub odpychające, na swobodnie poruszające się komórki roślinne i zwierzęce i na jednokomórkowe organizmy, jak śluzowce, wymoczki, bakterye, nitki nasienne i t. d. To działanie tak jest niekiedy wyraźne, że komórki poruszają się w prostym kierunku ku miejscu, skąd bodziec chemicznego działania się rozchodzi. Można tym sposobem w delikatnych włoskowatych rurkach, napełnionych odpowiednio rozcieńczonemi rostworami ciał chemicznych, uwięzić komórki, wyławiając je niejako z kropli cieczy. Otwarty koniec włoskowatéj rurki zanurza się w owéj kropli, z rurki rostwór przez dyfuzyę wypływa, a wówczas „zwabione" komórki przypływają do otworu rurki i daléj przenikają do jéj wnętrza. Nazwano to zjawisko chemotropizmem lub chemotaxią. Mówimy o dodatnim chemotropizmie wówczas, gdy dany rostwór działa na komórki przyciągająco, o odjemnym zaś, jeżeli wywierany wpływ jest odwrotny, t. j. jeżeli komórki zostają odpychane.

Zjawisko chemotropizmu znane już było od pewnego czasu, gdy-

kilku autorów spostrzegło, że białe ciałka krwi (leukocyty) posiadają w wysokiéj mierze własności chemotropiczne. W nader wysokim stopniu działają na nie przyciągająco produkty chemiczne, wytwarzane przez bakterye. Napełniano włoskowate rurki chemicznemi produktami, wytworzonemi przez bakterye ropne (*Staphylococcus pyogenes*) i rurki takie umieszczano w przedniéj komorze oka żaby; po krótkim czasie dostrzeżono w tych rurkach bardzo dużą ilość białych komórek krwi. Gdy to samo doświadczenie wykonywano z rurkami zawierającemi destylowaną wodę, skutku takiego nie osiągano. Łatwo więc wyobrazić sobie, że gdy np. bakterye ropy znajdą się gdziekolwiek w ciele i rozpoczną swą gospodarkę, wytworzone przez nie produkty chemiczne rozniosą się w najbliższém otoczeniu i spowodują, iż z sąsiednich naczyć leukocyty pod wpływem tego bodźca chemicznego zaczną przypływać do miejsca najsilniejszéj koncentracyi, czyli tam, gdzie się bakterye zagnieździły. Tutaj zbiéra się ropa (przeważnie złożona właśnie z leukocytów), a fagocyty, chroniące organizm od dalszéj inwazyi bakteryi, wchłaniają je w siebie. Zdrowa tkanka zostaje więc zabezpieczona od dalszéj napaści, bakterye strawione, pożarte, lub wraz z fagocytami na zewnątrz (przez otwarcie wrzodu) wydalone.

Jeżeli już z tego jasno wypływa, że dla zrozumienia zjawiska fagocytozy uwzględnić należy pewne produkty, wydzielane przez bakterye, to konieczność tę jeszcze wyżéj ocenić potrafimy, zważywszy, że działalność chemiczna wszelkich bakteryi prowadzi do wytwarzania takich produktów, które w odpowiedniéj skupione ilości stanowią ośrodek nieprzyjazny dla dalszego ich rozwoju. Bakterye wytwarzają jady, które szkodliwie na nie same działają. I tę okoliczność trzeba mieć na uwadze, mówiąc o teoryach, usiłujących objaśnić odporność na choroby w pewnych specyalnych wypadkach. Rzeczywiście, chciano też tym faktem objaśnić, dlaczego np. pewne choroby zakaźne, gdy je raz przebyliśmy, dają gwaracyę, iż drugi raz nie nawiedzą, a również dlaczego zaszczepienie osłabionym zarazkiem i przebycie wskutek tego danéj choroby w łagodnym przebiegu również od choroby téj na przyszłość zabezpiecza (ospa). Wytworzone właśnie raz w ciele naszém produkty chemiczne danego gatunku bakteryi, jako substancye dla tychże bakteryi trujące, nie pozwolą im na nowo się zagnieździć. Lecz gdy pomyślimy o owéj żwawéj nad wyraz wymianie wszelkich produktów przeróbki materyi w ciele zwierzęcém, o owym bezustannym dowozie nowych materyałów i wydzielaniu zbytecznych, o nieustającém na chwilę zużywaniu się i odnawianiu soków i tkanek ciała, chyba nasunie się nam wątpliwość,

czyby istotnie tylko produkty wydzielane przez mikroorganizmy, obdarzone były własnością tak długiego przebywania w tkankach i wywierania na nie trwałego wpływu dobroczynnego. Że zaś ta hypoteza „retencyjna“ daleką jest od objaśnienia wszelkich objawów i sposobów sztucznie udzielanéj odporności, tego dłużéj dowodzić nie potrzeba.

Zanim jednak znów zwrócimy się do środków ochronnych samego organizmu wyższych zwierząt i postaramy się je odnaleźć nietylko w organizowanych komórkach (fagocytach), musimy wspomnieć jeszcze o innym domyśle, który, podobnie jak hypoteza retencyjna, w czynności samych bakteryi szuka rozwiązania zagadki i który przez pewien czas także był broniony.

Bakterye żywią się specyalnemi pokarmami i oczywiście niszczą je, gdy się na odpowiedniém znajdą podłożu. Wyczerpawszy zaś zapas odpowiedniego dla się pożywienia, czynią organizm niewłaściwym dla powtórnego przyjęcia tychże bakteryi. I tutaj trzebaby powtórzyć to, co powiedziałem wyżéj, czyniąc zarzuty teoryi retencyjnéj. Nie możemy przypuścić, ażeby rzeczywiście na dłuższy czas po opuszczeniu organizmu przez bakterye chemiczne jego warunki trwale były zmienione. A doświadczenia prócz tego przekonały, że krew, surowica krwi i wyciągi z mięśni zwierząt padłych na chorobę zakaźną były również dobrém podścieliskiem dla rozwoju tych samych bakteryi, jak i odpowiednie soki zwierząt nie zarażonych.

Pierwsze idee tych badań na polu bakteryologiczném, które w ciągu dwu ostatnich lat najbardziéj zajmują uczonych, pochodzą od patologa francuskiego, Chauveau, który dowiódł, że owce algierskie, odznaczające się wrodzoną odpornością względem karbunkułu, jednakże ulegały téj chorobie, gdy wprowadzano im do krwi bardzo duże ilości laseczników węglikowych. Chauveau wyprowadził stąd wniosek, że bakterye napotykają w organizmie zwierzęcia pewne substancye, z któremi walczyć muszą i nad któremi łatwiéj odnoszą zwycięstwo, jeżeli znajdują się w dużéj ilości. Uczony francuski wypowiedział przy tém domysł, że te ciała ochronne muszą być rozpuszczalne, chcąc tém objaśnić spostrzeżone przez siebie przenoszenie się odporności z matki na zarodek. Gdy zaś w nowszych czasach nie można się było w zupełności zadowolnić przypisaniem tych ochronnych własności białym ciałkom krwi, poczęto bliżéj w tym kierunku badać soki ciała zwierzęcego. Zwrócono się przedewszystkiém do badania krwi i zdobyto w ten sposób nowy, szeroki widnokrąg, z którego tajemnicę odporności lepiéj rozejrzéć dziś można.

Prace Fodora, Behringa, Buchnera i wielu innych dowiodły, że

krew i surowica rozmaitych zwierząt, a także człowieka, działa zabójczo na różne gatunki bakteryi; niemniéj czynnemi w tym kierunku okazały się inne ciecze organizmów, a również wyciśnięty sok mięśniowy. Lecz — dodać trzeba—działanie to jest zawsze warunkowe, nie bezwzględne: każdy gatunek krwi i surowicy działa tylko na pewne określone gatunki bakteryi, nieraz w ściśle określony, swoisty sposób, a prócz tego skuteczność tego wpływu zależy od stosunków ilościowych.

Co się tyczy szczegółów tego osobliwszego działania krwi, przytoczymy tu kilka ważniejszych faktów, które już zostały stwierdzone.

Z chwilą upuszczenia krwi zwierzęcia bakteryobójcza jéj własność stopniowo się zmniejsza; po dłuższém przechowywaniu krwi nawet zupełnie znika, jakkolwiek jeszcze po dwudziestu dniach daje się stwierdzić.

Przy hodowaniu bakteryi we krwi lub surowicy zazwyczaj w początku ilość zarodników ulega zmniejszeniu, lecz późniéj jeżeli nie nastąpiło zupełne wyniszczenie bakteryi, liczba ich znów wzrasta. Dowodzi to bezwątpienia wielkiéj nietrwałości, chwiejności w działaniu bakteryobójczém; można przypuszczać, że same bakterye w części niszczą ową wrogą im, zawartą we krwi materyę. Ta chwiejność działania przejawia się także pod innym względem. Półgodzinne ogrzéwanie surowicy (z krwi króliczéj) do 55° Celsyusza, lub sześciogodzinne ogrzéwanie przy 52° niszczy w niéj własność zabijania bakteryi. Nawet temperatura 45,6°, działając przez dłuższy czas (20 godzin), w znacznéj mierze zmniejsza to ochronne działanie krwi. Wreszcie zauważyć jeszcze trzeba, że zabójcze działanie krwi i surowicy silniéj się wogóle objawia w wyższych temperaturach (37°), aniżeli w niższych. Ale i przy 10° jeszcze, a nawet przy 0° jest ono tak wyraźne, że zarodniki węglika giną we krwi króliczéj.

W tém działaniu krwi bezpośredni udział komórek ameboidalnych (leukocytów) z pewnością jest wykluczony, gdyż działa w ten sposób także surowica zupełnie komórek pozbawiona, i to wówczas nawet, gdy uprzednio przez zamrożenie skrzepła, a następnie znów odtajała, przez co komórki ameboidalne, gdyby w niéj były zawarte, z pewnością zostałyby zniszczone. Konieczny stąd wypada wniosek, że owo bakteryobójcze działanie zawdzięcza krew ciałom rozpuszczonym, zawartym w surowicy i wogóle w sokach tkanek, niezależnie od obecności elementów komórkowych. Pozostaje więc tylko zapytać, czy to bakteryobójcze działanie rozpuszczonych we krwi materyi

rzeczywiście w przyczynowym pozostaje związku z naturalną i nabytą odpornością na choroby zakaźne.

Z tego, co nam w tym kierunku dotychczas wiadomo, wynika z wszelkiém prawdopodobieństwem, że na pytanie to twierdząco odpowiedzieć należy. Odpiérając zaś niektóre ważniejsze zarzuty, jakie poglądowi temu stawiano, będziemy mogli się przekonać, że teorya ta w niczém dotychczas przeszkód nie napotyka. Odpowiadamy tu oczywiście doświadczeniami, które w ciągu ostatnich lat i miesięcy wykonywało wielu badaczów, a z tych przeważnie jeden z najpoważniejszych znawców tego przedmiotu, profesor monachijski H. Buchner [1]).

Powiadano (Mecznikow, Haffkin), że zabójczy wpływ krwi na bakterye uważać należy jedynie za działanie zmienionéj koncentracyi otoczenia, spowodowane przez szybkie przejście z ośrodka mniejszéj gęstości do ośrodka bardziéj stężonego. Lecz — wbrew temu mniemaniu — wiadomo, że laseczniki cholery, tyfusu i węglika znoszą bez szkody dla siebie szybkie przeniesienie w znacznie silniéj skoncentrowane roztwory cukru, peptonu lub żelatyny. Powtóre surowica przez ogrzanie do 55° nie zmieniając stężenia swego, jednakże traci własność niszczenia bakteryi. Doświadczenia przekonały także, że surowica królików niszczy laseczniki tyfusowe nawet po pięcio, dziesięcio, a nawet dwudziestokrotném rozcieńczeniu (tak zwanym fizyologicznym roztworem soli kuchennéj, zawierającym 7 gramów chlorku sodu w litrze wody). Wreszcie i swoistość działania przemawia przeciw możliwości istnienia tu tak ogólnéj przyczyny, jaką jest zmiana koncentracyi. Jakby bowiem objaśnić sobie należało, dlaczego naprzykład surowica szczurów nie działa na wibryona Mecznikowa, a surowica świnek morskich nie działa na lasecznika węglika. Daleko poważniejszym był zarzut, że w doświadczeniach nad bakteryobójczém działaniem krwi używano krwi martwéj, nie krążącéj już

---

[1]) W tém miejscu nie mogę przytaczać długiego szeregu specyalnych prac, dotyczących poruszonego przedmiotu. Wymienię tylko kilka ogólniejszych rozpraw, które mogłyby czytelnika zainteresować: Hans Buchner, „Ueber Immunität, deren natürliches Vorkommen und künstliche Erzeugung. Bericht erstattet für den VII internationalen Congress für Hygiene und Demographie zu London.“ 1891. — Prof. O. Hertwig. „Ueber die physiologische Grundlage der Tuberculinwirkung. Eine Theorie der Wirkungsweise bacilläer Stoffwechselproducte.“ Jena. 1891. — R. Emmerich i J. Tsuboi. „Die Natur der Schutz-und Heil-Substanz des Blutes.“ Wiesbaden. 1892. — H. Ribbert. „Ueber Wesen, Ursachen und Heilung der Krankheiten.“ (str. 24—36). Zurych. 1892. — H. Buchner. „Die neuen Gesichtspunkte in der Immunitätsfrage.“ Berlin. 1892.

w naczyniach, która od krążącéj różni się tak jak martwa komórka od żywéj. W krwi takiéj mogły już rozmaite zajść zmiany chemiczne, które uczyniły je szkodliwą dla rozwoju bakteryi, kiedy krew w naczyniach mogłaby tych własności nie posiadać. Bliższe wszakże rozważenie tego zarzutu wykazuje, że nie ma w nim słuszności. Przejście ze stanu żywego do martwego, nawet w pojedyńczéj komórce, nie jest tak nagłe. Zachodzi ono wogóle szybciéj w wyższéj organizacyi, powolniéj w prostszéj, a to pozwala uzasadnić przypuszczenie, że w wolnéj od komórek surowicy, a więc w materyale o możliwie prostéj organizacyi, zmiany chemiczne tak bardzo prędko nie zachodzą. Lecz prócz tego inne fakty odpiérają zwycięzko ów zarzut. Już ta okoliczność, że właśnie bezpośrednio po utoczeniu krwi i surowicy z ciała, działanie tych cieczy jest najsilniejsze, a następnie stopniowe słabnie, czyni wysoce nieprawdopodobném, ażeby właściwość ta miała powstać dopiéro w krótkim czasie pomiędzy upuszczeniem krwi z użyciem jéj do próby. Zresztą najbardziéj przekonywającemi są doświadczenia (Buchner, Stern, Enderlen), w których bezpośrednio dowiedziono bakteryologicznego działania krwi wewnątrz naczyń żyjącego zwierzęcia.

Owa specyficzność działania krwi, o któréj wspomniałem, przejawia się w licznych innych faktach, doskonale godzących się z poglądem o zależności pomiędzy odpornością zwierzęcia na daną chorobę a własnościami krwi. Tak więc np. krew i surowica świnek morskich i myszy, wrażliwych na węglik, nie działa zabójczo na laseczniki węglikowe nawet po wytoczeniu z naczyń. Żadne ze zwierząt wrażliwych na węglik nie ma surowicy o silniejszych własnościach zabójczych niż białe myszy, z natury na chorobę tę odporne. Daléj na uwagę zasługuje fakt, że krew i surowica zwierząt sztucznie szczepionych i zabezpieczonych, w wielu wypadkach okazywała silniejsze działanie niszczące odpowiednie bakterye aniżeli krew i surowica tychże zwierząt w stanie normalnym. A jak dowiódł Mecznikow dla węglika, a Roger dla róży, krew i surowica sztucznie zabezpieczonych (przez zaszczepienie) zwierząt działa osłabiająco na same bakterye.

Wypadałoby jeszcze dziesiątki innych faktów i rozumowań przytoczyć, gdybym zechciał wyczerpać tu wszystko, co wiadomo nam obecnie o niszczącém działaniu krwi na bakterye i niewątpliwym związku tego działania z odpornością zwierząt na choroby zakaźne. Powyżéj przytoczone punkty niechaj wystarczą tymczasem; gdy chodzi o popularne przedstawienie sprawy, inne są zbyteczne. Nato-

miast słówko jeszcze o têm, jakie panują wyobrażenia o saméj naturze tych ciał ochronnych we krwi zwierzęcéj zawartych.

Pierwsze podejrzenie padło na ciała białkowe w normalnéj krwi zawarte i tym ciałom ochronne przypisano działanie, opiérając się na zupełném w pewnych względach podobieństwie co do własności tych ciał i zachowania się surowicy względem bakteryi. Z dwu znanych nam ciał białkowych krwi, t. zw. albuminu surowiczego i paraglobuliny jedni większe przywiązywaii znaczenie do pierwszego, inni do drugiego. Lecz bezpośredniém działaniem ani albuminu ani globuliny ani obudwu tych ciał razem nie było można objaśnić stanowczo wszystkich obserwowanych zjawisk. Koniecznemi przeto okazały się dalsze badania nad tym przedmiotem, które jak dotąd, dwu tylko autorów doprowadziły do nieco jaśniejszego sformułowania poglądów. Przebiegu tych badań ani ich szczegółów przytaczać nie będę, nieco tylko o ich rezultatach.

Emmerich, bakteryolog monachijski wraz z profesorem hygieny z Tokio, p. Jiro Tsuboi dochodzi, po bardzo sumiennych poszukiwaniach, do wniosku, że naturalna odporność (*Immunitas*) polega na têm, iż surowicze białko krwi łączy się z produktami trującemi, wydzielanemi przez same bakterye, że tak utworzony związek (*Immuntoxinprotein*) wchłaniają w siebie bakterye i w ciele swém rozszczepiają go na dwa związki (Immunprotein i toksyna), z których jeden (toksyna) w stanie wydzielania się zabija bakterye. W odmienny sposób zapatruje się H. Buchner, który przypisuje własność zabijania bakteryi zawartym we krwi związkom, podobnym do białka, lecz dotąd bliżéj nieznanym (nazwanym przez tego uczonego „aleksynami"), które jednakże jest nadzieja otrzymać w przyszłości w stanie zupełnie czystym. Co do pochodzenia tych ciał, wysoce jest, według Buchnera, prawdopodobném, że dostarczają ich komórkowe elementy krwi. Widzimy więc, że i to objaśnienie nie wyklucza zupełnego, choć pośredniego tylko udziału komórek w zjawisku odporności na choroby zakaźne. Może udział ten jest nawet ważniejszy, aniżeli sądzą ci badacze, którzy cały aparat ochronny widzą jedynie w rozpuszczonych we krwi związkach chemicznych. Istnieją i takie poglądy (Ribbert), które dwie krańcowości starają się pogodzić, lecz, jak dotąd, czynią to jedynie w sposób hypotetyczny, nie mając za sobą danych faktycznych.

* *
*

„Słyszymy często zdanie, iż medycyna jest wprawdzie nauką, lecz nie nauką ścisłą. I astronomia była ongi nauką, nie będąc jednak

ścisłą nauką. Dopiéro gdy objaśniono bieg planet a zakłócenia w ich ruchach sprowadzono do rzeczywistych przyczyn, mogła astronomia stać się ścisłą.

„Medycyna w obecnym okresie swego rozwoju stara się zgłębić przyczyny chorób zakaźnych, przyczyny skłonności i odporności względem tychże, przyczyny uleczalności chorób. Do pewnego stopnia przyczyny te nawet już są zbadane i nie długo czekać wypadnie, iż zjawiska te podporządkowane zostaną prawom, które obejmą całokształt wywołujących je przyczyn, i w ten sposób medycyna, pracująca według téj saméj metody co chemia i fizyologia, stanie się nauką ścisłą.“

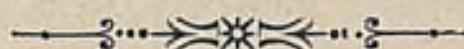
Tym słowom prof. Emmericha, na dziś może jeszcze zbyt śmiałym, bądźcobądź w wielu punktach słuszności odmówić nie można.

Maksymiliam Flaum.





Wspomnienie o Auguście Wrześniowskim.



Gdy przed jedenastu laty, po uzyskaniu matury w małém, odległém od kolei i żywszych prądów cywilizacyjnych mieście, wsiadłem nakoniec do wagonu i popędziłem ku wymarzonéj i w marzeniach tylko do owego czasu oglądanéj Warszawie, z pośród licznych powabnych projektów najbliższéj przyszłości, najpierwsze miejsce w bujnéj natenczas wyobraźni mojéj zajmowały studya nad przyrodoznawstwem, które zamierzałem odbywać na wydziale medycznym. Sam zawód lekarski nie wabił mię bynajmniéj, — chciałem mu się poświęcić „dla chleba", natomiast podścielisko medycyny współczesnéj, przyrodoznawstwo, nęciło mię tém bardziéj, im mniéj było uwzględnianém w edukacyi gimnazyalnéj; śród przedmiotów, dla mnie pożądanych, zoologia zajmowała jedno z miejsc pierwszych. Rozczarowałem się boleśnie, gdy zaraz na wstępie zauważyłem, iż nauka przedmiotu czysto lekarskiego, niezbyt pociągającego umysły myślące,—szczegółowéj anatomii człowieka—absorbuje prawie zupełnie czas i siły młodych adeptów Eskulapa, odejmując tym sposobem nawet najzdolniejszym umysłom możność studyowania przyrodoznawstwa. Niemniéj zawiodłem się i na samych wykładach: były to treściwe i suche kursa różnych gałęzi przyrodoznawstwa, podające tylko potrzebne dla lekarza fakty, najczęściéj bez domieszki poglądów ogólniejszych i wniosków, będących najważniejszą częścią nauki.

Na katedrze zoologii ujrzałem człowieka, którego wieku, na zasadzie wyglądu, nie określiłoby trafnie nawet najwprawniejsze oko. August Wrześniowski urodził się w r. 1836-ym, był więc wówczas w sile wieku, a sprawiał wrażenie starca. Siwizna jego włosów, bladość cery, zmarszczki na wychudłéj twarzy świadczyły wymownie

o walkach, które organizm ten staczał z uporczywą chorobą fizyczną; ale oczy duże, rozumne i pełne ognia nie pozwalały powątpiewać, że w tém steraném ciele życie psychiczne wre jeszcze w całéj pełni. Wykłady kursu zoologii dla medyków ani treścią, ani formą swą nie mogły pociągnąć nawet najmniéj wybrednego słuchacza. Było to poprostu wyszczególnianie najpospolitszych zwierząt, określanie ich stanowiska w systemie i opis cech zewnętrznych; żadnych poglądów filozoficznych, żadnych danych co do organizacyi grup, o których była mowa, — słowem, kurs tego rodzaju, jakim niektórzy nasi głośni pedagogowie bawią w prywatnych zakładach naukowych przyszłe nasze matrony. Profesor robotą swą nudził się najwyraźniéj; świadczyła o tém wymownie opieszałość wykładu, a jeszcze wymowniéj nader częste spoglądanie na zégarek. Zniechęcenie do wykładów tych było tak wielkie, że ogół studentów z niedowierzaniem słuchał niektórych kolegów, warszawiaków z pochodzenia, gdy opowiadali, że Wrześniowski jest znakomitym uczonym, ale wykłada niedbale, bo jest ciągle chory i przytém medyków nie lubi. Nie wierzyłem i ja jednemu ze swych dawnych kolegów szkolnych, zapisanemu na sekcyę przyrodniczą wydziału fizyczno-matematycznego, gdy opowiadał, że Wrześniowski przyszłym naturalistom wykłada „śliczny“ kurs zoologii, zajmujący i jasny. Poszedłem jednak przekonać się. Zdumiony byłem, widząc tego samego ospałego profesora, wykładającego z życiem, z zapałem niemal, i to kurs zoologii zupełnie odmienny,—treścią swą zaciekawiający i pobudzający do myślenia nawet mniéj zdolnych słuchaczy. Kilka wizyt na lekcyach uczonego zoologa polskiego spowodowały, że medycyna w osobie mojéj straciła jednego adepta, zyskało go natomiast przyrodoznawstwo, w szczególności ta jego gałąź, którą reprezentował Wrześniowski.

W istocie, wykładając medykom zoologię z konieczności pobieżnie, był on jednocześnie bardzo dobrym profesorem wobec studentów przyrodoznawstwa. Kurs „systematyki zwierząt“ Wrześniowski poprzedzał bardzo obszernym wstępem, zawierającym, że tak powiem, filozofię biologii,—ogólne pojęcia i wnioski nauki, wyłożone przystępnie dla źle przygotowanych słuchaczy, jasno a dokładnie i z wielką znajomością rzeczy, bo profesor był prawdziwym znawcą odnośnéj literatury i materyał do téj części swego kursu brał z pierwszéj ręki; we wstępie owym poczesne miejsce zajmował wykład teoryi doboru naturalnego jasny i niemal wyczerpujący, — wyznaję, że umiejętniejszego streszczenia Darwinizmu nie czytałem. Profesor tym sposobem zawczasu wyrabiał w słuchaczach chęć i możność „myślenia zoologicznego“, jak się wyrażają Niemcy, zastanawiania się nad fak-

tami naukowemi, które stanowiły treść właściwego kursu systematyki. Był to rozumny wykład zoologii ogólnéj, zapoznający słuchaczy dość dokładnie z organizacyą grup państwa zwierzęcego, krytyczny, bo zaznaczający braki systemu. Ucząc systematyki olbrzymiego państwa zwierzęcego, złożonego, jak wiadomo, z setek tysięcy znanych zoologom gatunków, nic łatwiejszego, jak przytaczaniem nadmiernéj ilości form przeciążyć pamięć słuchaczy, zniechęcić ich do przedmiotu i rozminąć się zupełnie z celem wykładu dla nieprzygotowanych osób, którym powinno być wprowadzanie słuchaczy w ów świat niezmierny, danie im możności zoryentowania się pośród olbrzymiéj ilości rodzin, rodzajów i gatunków. Wrześniowski cel ten osiągał najzupełniéj; wymieniał on tylko małą stosunkowo ilość form zwierzęcych, najbardziéj typowych i charakterystycznych, uwzględniając przy tém umiejętnie faunę krajową. Słuchacze rozumieli i cenili te zalety wykładu, co przychodziło im tém łatwiéj, że jednocześnie obowiązani byli uczęszczać na wykład systematyki roślin, prowadzony w sposób całkiem odmienny. Niepospolitą téż zaletą wykładu Wrześniowskiego była jego strona techniczna. Wiadomo, że wszelki wykład zoologii nie może być ustnym wyłącznie, jeżeli ma być zrozumiałym, musi być objaśniany ilustracyami anatomii i kształtu omawianych form zwierzęcych. Profesor nie zadawalniał się schematami, które robił na tablicy, i nawpół schematycznemi tablicami ściennemi; na każdéj lekcyi miał przy sobie stos specyalnych prac zoologicznych, z których pokazywał słuchaczom ilustracye dokładne, zastępujące poniekąd preparaty naturalne. Pomimo wątłych sił fizycznych, profesor nie lenił się chodzić z książką w ręku tu i owdzie pomiędzy ławkami, aby wszyscy studenci mogli przyjrzéć się rycinom małych rozmiarów; wobec szczupłéj ilości studentów na kursach sekcyi przyrodniczéj, metoda ta niewiele pochłaniała czasu, a rezultaty dawała świetne, zapoznawała bowiem z samém źródłem wiedzy zoologicznéj. Nadmieniłem już, że wykład odznaczał się żywością; Wrześniowski wprawdzie nie był krasomówcą, zaokrąglającym zdania i łączącym je w sztuczne okresy, ale mówił w sposób dla wszystkich zrozumiały i nie nudzący. Słabą stroną kursu Wrześniowskiego było niedostateczne, mojém zdaniem, uwzględnienie embryologii, zwłaszcza gdy chodziło o zwierzęta bezkręgowe. Ponieważ jednak były równocześnie znakomite wykłady embryologii i anatomii porównawczéj, brak ten nie dawał się uczuć. Nie było téż w kursie naszego zoologa wniosków szczegółowych o filogenii grup państwa zwierzęcego, — może chciał on skłonić słuchaczy do samodzielnego zastanawiania się nad faktami, do czego, jak nadmieniłem, usposabiała wstępna część wy-

kładu; muszę też dodać, że będąc prawdziwym znawcą i szczerym zwolennikiem Darwinizmu, Wrześniowski jednocześnie może zbyt sceptycznie zapatrywał się na wywody genealogiczne, wprowadzone do nauki przez Haeckla i jego zwolenników.

Był to więc, jak widzimy, prawdziwy znawca przedmiotu, który wykładał, i umiejętny pedagog. Dlaczegóż tak odmiennem było zachowanie się jego wobec studentów medycyny? Powiedziałem już, że od samego początku studyów są oni przeciążeni pracą nad bardzo szczegółową anatomią człowieka, pochłaniającą czas i energię nawet zdolniejszych jednostek; studya nad właściwém przyrodoznawstwem, z wyjątkiem może jednéj chemii, tradycyjnie odkładają oni na czas egzaminów, wskutek czego przystępują do nich nie dość przygotowani, znużeni nocną pracą nad „głównemi“ przedmiotami. Rezultatem stosunków tego rodzaju są w czasie egzaminów częste kolizye z mniéj pobłażliwymi profesorami i zniechęcenie tychże. Zachowywanie się Wrześniowskiego wobec młodych medyków zrozumiemy i usprawiedliwimy tém łatwiéj, gdy prócz powyższych okoliczności uwzględnimy charakter tego człowieka. Na pozór była to osobistość nieprzystępna i mizantropijnie usposobiona; kostyczność i ironia były zwykłą zaprawą mowy Wrześniowskiego, uniżoności ani nawet ugrzecznienia względem kogokolwiekbądź nigdy z jego strony nie zauważono; mówił zwykle, co myślał, nawet w żywe oczy tym, o których źle myślał. Zdarzyło mi się spotkać kogoś, co mówił o nim pocichu, że jest „źle wychowany“; to samo myśleli i mówili pocichu i niektórzy inni naturaliści lub pseudonaturaliści, — ale żaden nie śmiał głośno odezwać się z podobném zdaniem, znali bowiem ostrze jego języka i przenikliwość umysłu, zdolnego odróżnić rzetelną zasługę od blagi i prawdziwą wiedzę od miernoty. W oczach wszystkich osób, znających go bliżéj, a umiejących cenić szczerość i prawość charakteru, był to poprostu nieskazitelnie uczciwy i wyjątkowo szczery człowiek, który nie umiał i nie starał się ukrywać swych myśli a nie znosząc blagi w innych, w swojém usposobieniu nie miał téj tak upowszechnionéj u nas wady ani śladu. Długoletnia choroba i może inne przejścia wyrobiły w nim pewną opryskliwość, wskutek czego nieraz posądzano go o nieuczynność i brak serca; ale dość było mieć z nim choćby niedługo bliższą styczność, aby przekonać się, że było to serce wylane, człowiek życzliwy i uczynny względem tych, których znał z dobréj strony. Niewątpliwie przekonał się Wrześniowski w początkach swéj działalności profesorskiéj, że najlepsze wykłady dla medyków na nic się nie zdały; będąc zmuszony im wykładać, nie był w stanie przy swém szczerém usposobieniu prowadzić kursu, któryby był tylko prostą for-

malnością. Formalnością też były jego egzamina, dawał bowiem stopnie dostateczne nawet tym młodym adeptom Eskulapa, którzy nie byli w stanie wykazać cech, różniących muchę hiszpańską od domowéj, lub ptaka od zwierzęcia ssącego.

Zresztą, nietylko do medyków musiał Wrześniowski zrazić się, jako profesor, w czasach dawniejszych. Świadczy o tém niechęć, z jaką przyjmował do laboratoryum swego pragnących uzdolnić się do samodzielnych badań zoologicznych; najwyraźniéj nie ufał on pracowitości i wytrwałości młodych aspirantów naukowych, bo trzeba było do niego wpraszać się na ucznia, narzucać się oniemal. Ale kto przełamał pierwsze lody i pracowitością przekonał do siebie profesora-sceptyka, mógł liczyć na staranne jego kierownictwo i poparcie pod każdym względem. Szczególnie korzystném było kierownictwo jego w studyach nad jednokomórkowymi organizmami zwierzęcymi (pierwotniakami); wymownym dowodem Józef Ejsmond, młody, znany już w świecie naukowym z prac cytologicznych [1]), badacz, który wyznał mi, że obserwować w sposób naukowy budowę i czynności komórki nauczyły go studya nad wymoczkami, które robił na niższych kursach pod umiejętném kierownictwem Wrześniowskiego. Że taka szkoła nie wyedukowała całego zastępu badaczów, jak to dzieje się gdzieindziéj, chyba nie ma w tém winy zmarłego zoologa. Dziwna, że ta gałąź wiedzy, która niewątpliwie stanowi najpiękniejszą zdobycz cywilizacyjną naszego stulecia, która przyjęła się i wydała bujne owoce na glebie narodów, o całe wieki młodszych od nas pod względem cywilizacyjnym, u nas natrafia na grunt prawie zupełnie jałowy. Na polu badań przyrodniczych, zoologicznych w szczególności, mniéj znaczymy od Duńczyków, nie więcéj od Serbów i Bułgarów!

Widzimy, że na stanowisku profesora zoologii, które zajmował lat trzydzieści, Wrześniowski był chętnym i bardzo pożytecznym pracownikiem. Dwudziestopięciolecia téj pracy nie uczczono ani głośnym bankietem, ani nawet skromném zebraniem byłych uczni i kolegów, a przecież był to bardzo zasłużony, choć cichy, krzewiciel oświaty, człowiek prawy i szczery, — nie siadywał nigdy na dwóch stołkach.

Wrześniowski miał wykształcenie bardzo rozległe, przed rozpoczęciem bowiem studyów nad przyrodoznawstwem w uniwersytecie petersburskim ukończył tamże wydział prawny. Pewną wszechstronność umysłu wykazał on w istocie w artykułach lingwistyczno-etno-

---

[1]) Cytologia jest rozwijającą się obecnie gałęzią morfologii zwierzęcéj, która bada szczegółową organizacyę i fizyologię komórki

graficznych o góralach tatrzańskich, drukowanych w „Ateneum“, w rocznikach Towarzystwa Tatrzańskiego, w wydawnictwach Akademii krakowskiéj. Ale jako samodzielny badacz-zoolog zanadto się w specyalizmie zamykał. Znają go i cenią w świecie naukowym wyłącznie prawie, jako infuzyologa, t. j. badacza klasy wymoczków. Na rozleglejsze badania zoologiczne brakło naszemu uczonemu sił fizycznych, które przedwcześnie pożarła długoletnia choroba. To jednak, co zaobserwował i opisał, jakkolwiek dotyczy jednéj tylko klasy organizmów, stanowi rzetelną zasługę naukową i zapewnia mu uznanie i wdzięczność specyalistów na długie lata. Wszesniowski posiadał cenną i niezbędną dla badacza przyrody zaletę umysłu i charakteru: szczerość i wstręt do wszelkiéj blagi; te to cechy sprawiły, że prace jego odznaczają się sumiennością i samokrytycyzmem. Z temi zaletami łączył wrodzoną bystrość umysłu i wyborną metodę badania, nabytą od znakomitego naturalisty, Leona Cienkowskiego, którego był uczniem. Infuzyologia jest gałęzią morfologii zwierzęcéj trudną i ważną jednocześnie. Poszukiwania na tém polu są trudne, bo się ma do czynienia z istotami niezmiernie drobnemi a ruchliwemi i mającemi organizacyę względnie skomplikowaną; szczupłe wymiary utrudniają nadzwyczaj konserwowanie tych zwierząt w odpowiednich odczynnikach i udaremniają wszelkie próby krajania w celu dokładniejszego poznania budowy, ruchliwość znów utrudnia obserwowanie ich w stanie żywym. Ponieważ wymoczki pośród organizmów jednokomórkowych odznaczają się najwyższą organizacyą, więc opisy nowych form z téj klasy zwierząt, zwłaszcza zaś nowe dane, dotyczące ich organizacyi, bardzo są przez morfologów cenione, wykazują bowiem, do jakiego stopnia może wydoskonalić się komórka, ta jednostka biologiczna, podstawa wszelkiego życia. Zrozumiemy więc łatwo uznanie, jakiém cieszył się Wrześniowski w świecie naukowym, gdy przypomnimy, że w ośmiu pracach infuzyologicznych, ogłoszonych w trzech językach (polskim, niemieckim i ruskim), nietylko podał dokładny spis i opis wymoczków, znajdywanych w okolicach Warszawy, ale opisał bardzo dokładnie kilkanaście nowych form, przed nim nieznanych infuzyologom, i zrobił niektóre ważne odkrycia, dotyczące budowy tych zwierząt. Najważniejszą, zdaniem specyalistów zasługą Wrześniowskiego na tém polu, jest wyjaśnienie pod względem anatomicznym i fizyologicznym tak zwanych baniek tętniących. Są to organa, znane oddawna u rozmaitych pierwotniaków, w postaci kropel jakiegoś płynu błyszczącego, to znikające nagle, to znów występujące w jednèm i tém samém, ściśle dla każdego gatunku określonem miejscu. Przed pracami Wrześniowskiego mniemano, że zbiorniki te po-

siadają własne ścianki, których kurczliwość powoduje wylew zawartości nazewnątrz i czasowy zanik organu. Wrodzony zmysł obserwacyjny i znajomość fizyki pozwoliły Wrześniowskiemu wykazać, że owe bańki tętniące własnych ścian nie posiadają, że są tylko miejscami określonemi w zarodzi, tworzącéj ciało wymoczka, wyodrębniającemi się od innych części téjże zarodzi zdolnością zbiérania wydzielin z całego organizmu, które początkowo pojawiają się w postaci licznych kropelek, a następnie spływają w jedną dużą kroplę; gdy ta nagle zostanie wydaloną z ciała zwierzęcia,—co Wrześniowski pierwszy dokładnie widział, — przestrzeń, którą zajmowała, wypełnia się nawpół płynną, pozbawioną wszelkich wyodrębnionych ścianek zarodzią. Skonstatowanie tych obserwacyi nasunęło wniosek, że zaródź komórek zwierzęcych i roślinnych nie jest substancyą jednolitą w budowie swéj, jak mniemano przedtém; prawdopodobnie w części Wrześniowskiemu zawdzięcza słynny morfolog współczesny, Bütschli, pomysł do pracy swéj o piankowatéj budowie zarodzi, stanowiącéj, jak utrzymują znawcy, epokę w cytologii.

Spostrzeżenia nad wymoczkami wykonywał Wrześniowski w latach 1862—1878. Późniejszemi czasy pracował nieco nad systematyką i organizacyą skorupiaków i ogłosił w tym przedmiocie dwie prace w „Pamiętniku Fizyograficznym“; w jednéj z nich opisał nowy rodzaj raka obunogiego, który nazwał *Goplana Polonica*. Prace te pod względem doniosłości naukowéj nie mogą iść w porównanie z dawniejszemi.

Na zakończenie tego artykuliku, nie roszczącego bynajmniéj pretensyi do wyczerpującéj charakterystyki zasłużonego profesora zoologii, niech mi wolno będzie raz jeszcze przypomniéć zasługę Wrześniowskiego dużéj doniosłości społecznéj, podniesioną przed kilku laty przez p. Rejchmana: był on jednym z pierwszych, jeżeli nie najpierwszym z pomiędzy tych w naszym świecie naukowym, którzy poznali, zrozumieli i ocenili według wartości teoryą doboru naturalnego; umiejętny wykład darwinizmu podobno stanowił znaczną część kursu Wrześniowskiego od samego początku jego działalności profesorskiéj w Szkole Głównéj, t. j. od roku 1864-go. Kto rozumié doniosłość reformy, dokonanéj w biologii przez Darwina, i wié przytém, że społeczeństwo nasze, nie było bynajmniéj przygotowane do zrozumienia i bezstronnego oceniania prawd, wygłoszonych przez wielkiego Anglika, ten uzna, że wykłady tego rodzaju w owym czasie były niemałą zasługą, dowodem tego nietylko samodzielności umysłu, zdolnego iść za postępem nawet wbrew opinii ogółu, ale i niemałéj odwagi cywilnéj.

Wrześniowski czuł i uznawał potrzebę szerzenia oświaty nietylko śród młodzieży uniwersyteckiéj, ale i po za uniwersytetem. Dowodem tego spolszczenia językiem czystym i poprawnym niektórych dzieł treści popularno-naukowéj, traktujących o darwinizmie, jak O. Schmidta „Nauka o pochodzeniu gatunków i darwinizm", Th. Huxleya „O przyczynie zjawisk w naturze organicznéj" i kilka mniejszych prac Huxleya, Allmana, Wallace'a, Fr. Darwina, podobnych treścią do poprzedzających, ogłaszanych w latach 1873—1878 w „Przyrodzie i przemyśle".

W ostatnich czasach wydał Wrześniowski szkolny podręcznik zoologii („Zasady zoologii", 1888). Jest-to praca zdaniem naszém chybiona, podobna treścią do kursu zoologii dla studentów medycyny.

Był téż Wrześniowski współredaktorem i współpracownikiem „Wszechświata" od założenia tego pisma aż do śmierci, t. j. 16 maja maja r. b. A jednak nikt z filarów „Wszechświata" nie uczcił nieboszczyka mową na pogrzebie, pochowano go tak, jak się chowa ludzi, którzy nic po sobie nie zostawiają społeczeństwu. O tym hołdzie składanym najczęściéj nawet przeciętnym, ale zamożnym jednostkom, nie pomyśleli byli uczniowie i słuchacze Wrześniowskiego z najmłodszéj generacyi, bo dotychczas inicyatorami w takich sprawach zawsze bywali starsi naturaliści, pomiędzy którymi jest wielu kolegów i byłych uczni nieboszczyka.

F. Urbanowicz.





KILKA PRZYCZYNKÓW DO PISM
SZYMONA SZYMONOWICZA.

CASTUS JOSEPH.

Równocześnie prawie ukazały się w roku bieżącym dwie prace o utworze dramatycznym Szymona Szymonowicza „Castus Joseph“. Autorowie tych prac Ignacy Chrzanowski [1]) i Józef Kallenbach [2]) doszli zupełnie niezależnie do tegoż samego rezultatu, że Szymonowicz w utworze swoim naśladował tragedyę Eurypidesa *Hippolytos.* Obaj autorwie mniemali téż, że pierwsi zrobili to odkrycie. Rzecz ta wymaga małego sprostowania. Już bowiem w r. 1865-ym Leon Szyperski w rozprawie swojéj o Szymonowiczu [3]) wykazał (po raz pierwszy rzeczyczywiście) [4]) naśladowanie tego właśnie wzoru [5]).

---

[1]) Tragedya Szymona Szymonowicza „Castus Joseph“ w stosunku do literatury obcéj. „Ateneum“, 1892, marzec.

[2]) Dramat Szymonowicza „Castus Joseph“ ocenił J. K. w Krakowie, 1892 (osobne odbicie z tomu XVII „Rozpraw wydziału filologicznego Akademii umiejętności w Krakowie“, str. 123—142).

[3]) De Simonis Simonidae vita, ingenio, poesi. Vratislaviae, 1865.

[4]) l. l. 30; quod drama (rozumié się „Castus Joseph“) quum uno ore omnes laudant, nemo animadvertit, a quo veterum auctorum poeta argumentum eius acceperit.

[5]) l. l. 30; Szyperski zwrócił téż uwagę na wiersze użyte w „Castus Joseph“, str. 136. — Ustęp odnośny rozprawy wspomnianéj brzmi, jak następuje: „Castus Joseph... nemo est alius nisi Euripidis Hippolytus, qui tamen non occidit sed in carcerem ab exasperato coniuge coniectus est; itaque finem longe mitiorem quam Euripidis ille iuvenis habet. Sed videamus quid Simonides a vetere poeta sumpserit, quamquam longiore comparatione utriusque poetae non opust est“ (str. 31).

Szyperski podaje dokładne zestawienie wierszy przetłómaczonych, lub naśladowanych przez Szymonowicza z Eurypidesa [1]); jako przykłady naśladowania przytacza strofę pierwszą parodosu (str. 31), i strofę pierwszą stasimonu drugiego (str. 32). Więcéj miejsc podobnych nie powołuje, gdyż, jak mówi, jest-to rzeczą zbyteczną [2]), dodając tylko, że w prologu naśladował nadto Szymonowicz początkowe wiersze tragedyi Eurypidesa p. n. „Hekuba“ (por. C. J. w. 1 nn. = z ww. 1 nn. „Hekuby“) (str. 31).

Rozprawa jednak Szyperskiego nie zwróciła na siebie prawie żadnéj uwagi i téj to tylko okoliczności musimy przypisać, że o naśladownictwie tém nikt po dziś dzień prawie nie wiedział [3]).

Po Szyperskim jednak drugi raz jeszcze zajmowano się naszym dramatem obszerniéj. W r. 1869 René Lavollée ogłosił w Paryżu u Didiera rozprawę doktorską p. n. „*De poetis latino-polonis.*“ Przetłómaczywszy następnie tę rozprawkę na język francuski ogłosił w czasopiśmie „*Contemporain*“ w zeszytach z 1 lipca i 1 sierpnia r. 1873 p. n. „*La poësie latine en Pologne*“ [4]). Znaném mi było jedynie studyum francuskie, będące przeróbką rozprawy łacińskiéj. W ustępie piątym pracy téj znajdujemy kilka uwag poświęconych Szymonowiczowi. Na stronicy 31-éj pisze autor o dramacie „Castus Joseph“ co następuje: „*sa tragédie de la chasteté de Joseph* („*Castus Joseph*“) *est un centon de la Bible et de l'Hippolyte d'Euripide.*“ Dramatowi naszemu poświęca Lavollée sporo miejsca w swéj rozprawie (od str. 31 — 36) i wszędzie porównywa go z tragedyą Eurypidesową. Wystarczy na to przytoczyć kilka przykładów; opowiadając treść utworu, zaczyna Lavollée tak:

---

[1]) Str. 31, 32.

[2]) „supervacuum esse mihi videtur, plures locos ex Euripide sumptos afferre; Simonidem a prologo usque ad tertium actum (t. j. do w. 1191) nisi ad literam vertit, tamen libere Hippolytum imitatum esse satis dicere puto.“

[3]) O rozprawie Szyperskiego znalazłem tylko wzmiankę w „Bibliotece Warszawskiéj“, 1865, tom IV, str. 215 w wiadomościach literackich pod rubryką „Wrocław“. Przytaczam ją w całości: „L. Szyperski ogłosił po łacinie rozprawę o życiu i pismach Szymona Szymonowicza, którą napisał w celu otrzymania stopnia doktora filozofii w uniwersytecie tutejszym. Jeżeli autor dobrze w poprawnéj łacinie dał rys biograficzny Szymonowicza i umiejętnie charakteryzuje stronę moralną i obywatelską jego utworów, głównie pouczającą we względzie ściśle lingwistycznym, to mało rozwiniętą widzimy stronę talentu poetycznego i jego oryginalności, a zarazem stanowiska, jakie mu dzisiejsza krytyka przyznać może.“

[4]) Osobna odbitka wyszła w r. 1873 w Paryżu, str. 50, u Jules le Clere et C-ie. W r. 1891 wreszcie w „Essais de litterature et d'histoire“ Lavolléego znowu pomieszczono na str. 161—242 tę rozprawę.

„on voit d'abord entrer en scène le demon (malus daemon): *comme Venus dans Euripide*, il se vante de l'etendue de son empire et s'indigne, que Joseph seul ose lui resister; il montre dans ses plaintes toute la colère, et toute la haine qui réspirent dans les paroles de la déesse grecque, mais il n'en a ni la majesté, vraiment divine, ni le langage à la fois élégant et concis. Ensuite paraît Joseph, *comme Hippolyte*, sortant de la maison au milieu d'une troupe d'esclaves. Après quelques mots sur les fêtes des divinités égyptiennes et sur le Dieu de Juifs, il fait le récit du songe, qui lui annonce son malheur: il raconte, comment, pendant son sommeil, il a rêvé qu'il volait dans les airs, sous la forme d'un cygne blanc comme neige, et que tout-à coup, par derrière [1]), un coucou (détail ridicule!) [2]) l'avait assailli et precipité dans une affreuse prison. Ce récit achevé, il se déclare prêt à subire tous les coups de la fortune et il recommande son âme à Dieu, ne lui demandant d'autre grâce qu'une vie honnête et pure."

Po tłómaczeniu modlitwy Józefa [3]) czytamy daléj:

„à la suite de cette prière, ou respire un sentiment de résignation si profondément chrétien, le choeur commence ses chants, et, *dans des vers traduits mot à mot d'Euripide*, il déplore l'état de Iempsar, femme de Potiphar, qu'un mal inconnu dévore et qui, presque désesperée, s'obstine à rester cachée au fond de sa demeure."

Dla porównania pieśni chóru odsyła nas autor do wierszy Eurypidesa 120—174 [4]), poczém pisze jak następuje:

„cependant apparaît une femme, appuyée sur le bras de sa nourrice, pâle, les yeux fixes, languissante, inquiète, portant la mort peinte sur son visage... Est-ce *Phèdre* ou Iempsar? Entre elle et sa nourrice s'engage aussitôt ce terrible dialogue, si lamentable dans sa simplicité antique, qui a passé du grec dans toutes les langues et excité d'admiration de tous les peuples et de tous les siècles. *Szymonowicz a bien mérité des lettres le jour, où il a traduit en latin*, fidèlement et non sans élégance ces vers immortels empruntés à Euripide. *Sauf quelques longueurs*, *on reconnaît tout entiers le tragique athénien* et notre Racine, si profondément imbu de l'esprit grec, dans ce passage célèbre, où, vaincue par les instances de sa nourrice et du choeur, emportée par la passion, malgré toutes les résistances de sa pudeur, l'infortunée Iempsar [5]) à travers mille hésitations et mille combats,

---

[1]) Kondratowicz przetłómaczył łacińskie „*cuculus*" przez „jastrząb" („Dzieje literatury w Polsce", II, 227). — [2]) str. 32. — [3]) str. 32, por. też uwagę 1-szą na téjże stronie. — [4]) str. 32, uwaga 2. — [5]) str. 33.

laisse enfin soupçonner le nom du jeune homme adoré, dont l'amour l'embrasse et la tue."

Dla przykładu tłómaczy Lavollée bardzo zręcznie dłuższy ustęp z owéj wspaniałéj sceny; z końcowemi słowy Jempsary porównywa wiersze Eurypidesa (v. 612—642).

„Aż do téj sceny włącznie zasługuje Szymonowicz", zdaniem Lavollée'go, „na same pochwały; idzie on wciąż śladami Eurypidesa i jest, jak on, wymowny i ożywiony prawdziwym ogniem tragicznym; lecz im więcéj wypada nam go podziwać, tém więcéj musimy boléć nad jego wadami. W chwili, w któréj owładnął publicznością — wzruszoną i przerażoną, kiedy nie ma nikogo, któryby nie zapłakał nad uczuciem Jempsary, i nie uczuwał litości nad jéj nieszczęsnym losem, zaczyna Jempsar opowiadać obszernie o początku i rozwoju swojéj miłości, a co gorsza, powtarza nawet ową sławną filipikę przeciw kobiétom, którą Eurypides lepiéj natchniony włożył w usta Hippolyta, oburzonego na namiętność Fedry.... jest-to już nie Fedra Eurypidesa tak piękna nawet w swoim upadku, ale Fedra Seneki prostacza i wstrętna, niegodna nazwy małżonki, prawdziwa kurtyzana!

Gdyby Szymonowicz przedstawił nam Jempsarę od początku konsekwentnie, albo jako Fedrę grecką, albo jako Fedrę łacińską, możnaby charakter taki wytłómaczyć; Jempsar Szymonowicza jest bez charakteru, nie jest wogóle postacią tragiczną (str. 35).

Z końcowych części dramatu jedynie przedostatnia pieśń chóru zasługuje na wzmiankę; jest ona wprawdzie naśladowaniem z Klaudyana, ale nadzwyczaj zręczném [1]). Lavollée wskazał więc jeszcze wpływ jednego poety, o czém ani Szyperski, ani Chrzanowski, ani Kallenbach nie wspomnieli. W rozprawie swéj jednak nie przytacza Lavollée

---

[1]) Et que dire de la fin du drame? La nourrice reparaît sur la scène, pour raconter indécemment les provocations ouvertes de Iempsar à Joseph: Putiphar trompé par sa femme, vient ensuite disserter avec le calme d'un philosophe sur la perfidie et l'ingratitude des hommes; enfin Joseph, jeté dans les fers par ordre de Putiphar et couvert d'une auréole céleste, d'après le récit du messager, ne repond pas à la calomnie, dont il est objet, détournant ainsi, contre les régles de l'art de Iempsar sur lui-même toute la pitié des spectateurs et des lors, tout l'intérêt de la pièce. Je noterai seulement l'avantdernier choeur: ce n'est, il est vrai, qu'une imitation de Claudien; mais il est bien en situation et de style a de l'élégance (str. 35).

Tłómaczenie pieśni wspomnianego chóru kończy uwagi autora o „Castus Joseph" (str. 35, 36).

odpowiedniego miejsca z Klaudyana; uzupełniając ten brak, podaję ustęp z utworu Klaudyana p. n. „*in Rufinum*“:

in Rufinum liber I, v. 1—19 [1])

saepe mihi dubiam traxit sententia men- [tem,
curarent Superi terras, an nullus inesset
rector et incerto fluerent mortalia casu.
nam cum dispositi quaesissem federa [mundi
praescriptosque mari fines annique mea- [tus,
et lucis noctisque vices, tunc omnia rebar
consilio firmata Dei, qui lege moveri
sidera, qui fruges diverso tempore nasci,
qui variam Phoeben alieno iusserit igni
compleri solemque suo, porrexerit undis
litora, tellurem medio libraverit axe.
sed cum res hominum tanta caligine volvi
adspicerem, laetosque diu florere nocen- [tes
vexarique pios, rursus labefacta cadebat
religio, causeque viam non sponte seque- [bar,
alterius vacuo quae currere semina motu
affirmat magnumque novas perinane fi- [guras
fortuna, non arte regni, quae numina sensu
ambiguo, vel nulla putat, vel nescia no- [stri.

Szymonowicz, Castus Joseph, stasimon IV

w. 1563 quum mente me ab terris fero
et templa caeli lumine contuor,
vicibusque cuncta fixis
ire et redire cerno:
noctem, cedere luci,
lucem, nocte recondi,
caniciem ninguidae
hiemis, vere resolvi
et sertis florentibus
redimiri, frugibus
mactam aestatem deinde venire,
tandem autumnum, pomis uvis-
que datis hiemem revocare
eumque iugem circulum
meare et vemeare:
curam Deo habere rerum
atque esse providentiam
agnosco, plena tranquillae spei.
mox deinde, ubi humanas vices,
ludumque fortunae ancipitem et [gradu
dubio revulsa fata
specto palamque cerno
impure ire nocentes,
virtutem male plecti,
omnigenis pessimos
opidus praesidiisque
pollere insultareque
melioribus, neque
defensorem ullum esse bonorum,
magnum torporem mens sentit
mea, sub dubium prope fixam
divum vocans potentiam,
sed absit: potius nos
stultos puto, Deos quam iniquos.
occulta, multa sunt Dei
1598 decreta, nulla non iustissima.

Jeżeli porównamy stasimon IV z wierszami Klaudyana, to podobieństwo między oboma miejscami jest bardzo znacznėm; o naśla-

[1]) Myśli zawarte w chórze IV-ym Szymonowicza spotykamy bardzo często u starożytnych pisarzy. Por. Valckenaer. do Hippol. Eur. 1102, frg. adesp. 72. Acc. v. 142; Sen. de benef. IV, 19, 2; Luc. IV, 454.

dowaniu Eurypidesa (Hippolytos, w. 1102 nn.) lub Seneki (Phaedra, 955—985) w dalszym rzędzie dopiéro może być mowa.

Z rozmysłu przytoczyliśmy uwagi Lavolléego w całéj prawie osnowie, chcąc, aby czytelnik sam sobie zdał z nich sprawę. Na sąd jego, o wartości artystycznéj utworu każdy musi się zgodzić [1]); wpływ Eurypidesa, pośrednio Seneki [2]) i Klaudyana nadzwyczaj trafnie wykazanym. Lavollée zupełnie niezależnie od rozprawy Szyperskiego wykazał wpływ Eurypidesa, o ile mi się przynajmniéj zdaje, gdyż nigdzie nie przytacza rozprawy Szyperskiego; wpływ Seneki i Klaudyana niezaprzeczenie wykazał samodzielnie; na wpływ Klaudyana przed nim nikt nie zwrócił najmniejszéj uwagi. Rozprawa Lavolléego pozostała publiczności polskiéj prawie zupełnie nieznaną; w większéj części przyczyniło się do tego surowe ocenienie pracy francuskiego autora [3]). Jedynie w „Bibliotece Warszawskiéj“ z r. 1875 w tomie I-ym [4]) znalazłem zupełnie słuszną ocenę jego rozprawy. Autor oceny, kryjący się pod znakiem X. (Aleks. Tyszyński), obszernie streszcza wywody Lavolléego o Szymonowiczu, wspomina o wykazaniu wpływu Eurypidesa, Klaudyana, na sąd jednak o Szymonowiczu się nie zgadza, pisze bowiem tak [5]): „Co do Szymona Szymonowicza wcale nie możemy się zgodzić, iżby umysł tego poety był biernym tylko i naśladowczym. Dla czytelnika polskiego wiadomém jest, iż był on twórcą z gruntu nowego słowa, oraz nowéj treści w poezyi naszéj, lecz i w jego utworach łacińskich cechą ich nie było owo wieczne naśladownictwo. W czémże ono np. jest widne w utworach, które mu spółcześnie pierwszy i główny rozgłos zjednały, jak *flagellum Livoris*, *Aelinopean*, a o których pan Renée Lavolée nawet nie wzmiankuje? Iż treść dramatu „Castus Joseph“ jest wziętą z Biblii, iż w tym ostatnim są nadto ustępy naśladowane z Klaudyana, Eurypidesa i in., są to szczegóły, które w utworach i najoryginalniejszych poetów się spotykają. Czyż tytuł „wiecznego naśladowcy“ byłby

[1]) Por. np. Chmielowski P., „Szymon Szymonowicz jako dramaturg“. „Kłosy“, 1889, tom 49. nr. 1264, str. 182/3, nr. 1265, str. 204/6. Rozprawy téj nie przytaczają ani Chrzanowski, ani Kallenbach.

[2]) O wpływie Seneki wspomina już K. Brodziński. „Pisma“, wydanie Kraszewskiego, t. V, s. 21.

[3]) Por. np. uwagę 1-szą Loewenfelda w tegoż, „J. Kochanowski u. seine lateinischen Dichtungen“. Posen, 1887, str. VII; a z ostatnich w „Kwartalniku historycznym“, VI, 604, uw. 1, podaną przez K. M.

[4]) Str. 310 — 319.

[5]) l. l., str. 318 (por. str. 313, 314, 316).

właściwym np. Rasynowi dlatego, że pisał „Atalią“, „Esterę“, „Andromachę“, „Fedrę“ i t. p., a w téj ostatniéj żywcem nie jedno wyrażenie i prawie całkowite sceny z tragedyi Eurypidesa przenosił? nie zgodzilibyśmy się podobnie i na szczegółową krytykę scen. Autor np. przywiódłszy słowa namiętne Iempsary i mówiąc o uwięzieniu następnie Józefa, dodaje: dwie więc osoby obudzają litość, są tu dwie akcye, co jest przeciw regułom sztuki (str. 25). Możnaż kłaść za winę poecie, iż właśnie główny bohatér jego, bohatér, od którego imienia jest sztuka, obudza litość?“ Lecz i ta ocena pozostała bez wpływu, nie zwróciła najmniéjszéj uwagi. Tém tylko wytłómaczyć możemy, że rezultat, do którego Szyperski doszedł pierwszy w roku 1865-ym, aż dotychczas nie był zupełnie znanym. Niniejsza krótka wzmianka miała jedynie na celu wykazanie właściwego stanu rzeczy.

* * *

W utworze „Castus Joseph“ zwracają uwagę czytelnika nazwy Jempsar i Faetifer. Szczególnie nazwa Iempsar, dziwna nieco, musi zastanowić każdego i trudno prawie oprzéć się przypuszczeniu, że nazwę tę zapożyczył Szymonowicz z jakiegoś innego autora. Przypadkiem natrafiłem na utwór epiczny Hieronyma Fracastora (1483—1553) p. n. „Joseph“ [1]). Poematu swego nie dokończył jednak Fracastoro, gdyż umarł wnet po zaczęciu go, zostawiwszy tylko dwie księgi. Utwór napisany bardzo ładnemi heksametrami łacińskiemi opowiada dzieje Józefa dość szczegółowo, rozpoczyna się od nadzwyczajnych snów Józefa, obiecujących mu ogromne zaszczyty. Sprzedany przez braci, Józef dostaje się do Egiptu, gdzie go kupuje Fetifer. Małżonka Fetifera, Iempsar, wskutek wdania się złego demona (*malus daemon*), pokochuje namiętnie Józefa. Jest rzeczą bardzo podobną do prawdy, że Szymonowicz znał utwór Fracastora. Naprowadzić nas na to muszą nazwy Iempsary, Fetifera, Malus Daemon,

---

[1]) Hieronym Fracastoro z Werony, sławny lekarz, autor nadzwyczaj czytanego w wieku 16-ym dzieła p. n. „Siphylidis sive morbi gallici libri III“; od niego pochodzi nazwa „*siphylis*“. Szymonowicz, który według nagrobku Kaspra Solskiego v. 8 „noverat excellens quod docet Hippocrates“, znał niezawodnie dzieło tak głośne w owych czasach. Przy „Siphylis“ drukowano zawsze „Józefa.“ Miałem pod ręką wydanie antwerpskie z r. 1562. „Hieronymi Fracastorii, Siphylidis sive morbi gallici lib. III. Joseph lib. II. item carminum lib. I. Rutilii Claudii Numatiani v. o. itineraria. Antverpiae, apud Martini Nutij viduam, anno MDLXII. Utwór „Józef“ mieści się na karcie 26 verso—49 recto: „Hieronymi Fracastorii Joseph libri duo ad Alexandrum Farnesium cardinalem ampliss.“

znajdujące się u obu poetów. W Biblii nie znalazł poeta nazwy żony, Putyfara; nazwa Iempsar musiała wydać się Szymonowiczowi nadzwyczaj dźwięczną; nadto bardzo dobrze dała się użyć w trymetrach jambicznych; Iempsar bowiem jest amfibrachem (◡ — ◡) por. np. wiersz 80-ty:

Iempsar illi uxor supra humanum modum
◡ — ◡ — ◡ — ◡ — ◡ — ◡ — | ◡

v. 88. Iempsar in quanta Charybdi nunc tuum
◡ — | ◡ — | ◡ — | ◡ — | ◡ — | ◡ — — i t. d.

Postać złego ducha przypomina nieco podobną figurę u Fracastora; nazwę „*malus daemon*“ z niego też pewnie zaczerpnął Szymonowicz.

Naśladowań innych jednak z Fracastora, oprócz zapożyczenia nazwisk, nie mogę wykazać, co zresztą łatwo wytłómaczyć: utwór Fracastora poznał Szymonowicz z pewnością w bardzo młodym wieku; z całego utworu może pozostały mu jedynie nazwy w pamięci; zresztą tam miłość Iempsary ku Józefowi zbyta dość krótko; w ocenie ucieczki Józefa nie ma najmniejszéj nawet wzmianki o zostawieniu kawałka płaszcza w rękach Iempsary. Nazwy Iempsar nie napotkałem zresztą u żądnego innego poety; nie chcąc wierzyć w przypadki, uważam za rzecz bardzo prawdopodobną, że Szymonowicz z Fracastora zapożyczył nazwę Iempsary, Faetifera, „*Malus Daemon*“.

Wiktor Hahn.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Maryan Gawalewicz. „Mechesy.“ Powieść. Warszawa. Gebethner i Wolf, 1892, str. 474.

Najnowsza powieść p. Gawalewicza dotyczy kwestyi, która nie jest wprawdzie nową w naszéj beletrystyce, ale która wciąż jeszcze z różnych pobudek i powodów, wywołuje bardzo odmienne zdania. Pierwszy podobno Kraszewski, z właściwą sobie czujnością społeczno-artystyczną nakreślił sylwetki rodziny bankierskiéj pochodzenia żydowskiego w drugiéj części swoich „Komedyantów“ (1855). Niebawem po nim bardzo żywo odmalował kilka scen z życia żydów, dążących do ogłady i oświaty, Korzeniowski w „Krewnych.“ Były to wszakże temata epizodyczne w tych utworach znakomitych powieściopisarzy, nie zaś główne, zasadnicze. Dopiéro późniéj Kraszewski w „Żydzie“ szczegółowo rozwinął pewne przynajmniéj strony stosunku żydów do reszty ludności naszéj; a liczne utwory Orzeszkowéj rozjaśniły bardzo wiele punktów zarówno z życia wewnętrznego żydów jak i z ich stosunków zewnętrznych.

Kwestya małżeństw semicko-aryjskich specyalnie dostarczyła p. Zalewskiemu tematu do dwu komedyi, p. Łosiowi do powieści, o któréj niedawno pisałem w „Ateneum,“ a wreszcie p. Gawalewiczowi do „Mechesów.“

Myśl przewodnią poglądu swego na kwestyę „mechesów“ i wszystko co się z nią łączy, wypowiedział autor przez usta literata Kulisza, który starając się złagodzić cierpienia i rozgoryczenie bohatera powieści Bernarda Sandsteina, sformurował zwięźle, co mu rozsądek i sumienie podyktowały. Bernard, zmuszony rozstać się z mło-

dą żoną arystokratycznego pochodzenia, patrzy rozpaczliwie na cały swój stosunek do społeczeństwa, do którego jako członek rzeczywisty wejść pragnął. „Ja jestem meches — powiedział — przechrzta, żyd, z którego w siedmiu święconych wodach nie zmyją piętna jego pochodzenia!..“ Kulisz mu na to: „A wiész pan dlaczego?... dlatego, że sądzić cię będą z twojego otoczenia, z twojéj sfery, z tych, którzy przenieśli z sobą wszystkie wady a ani jednéj cnoty swojéj rasy i przejęli od nas to, co w nas samych było złém, a nie nauczyli się niczego dobrego!.. dlatego, że pan i panu podobni padają ofiarą opinii i uprzedzeń, jaką wam wyrabiają parszywe owce z waszéj trzody, cisnąc się na front i zasłaniając was sobą; dlatego wreszcie, że nie dosyć miéć dobrą wolę, jak pan, ale trzeba ją stwierdzić czémś bardziéj przekonywającém, niż frazes. Czy pan sądzisz, że każdego przechrztę nazywają u nas mechesem? — mylisz się pan. Uważaj, że nazywają najczęściéj tak tylko tych, którzy nie umieli z nowém wyznaniem zdobyć sobie czci i zaufania. Psują i żydom i przechrztom kredyt — mechesy, a psują tém właśnie, co pana samego w nich razi, oburza lub śmieszy w najlepszym razie. To fatalność, zapewne, ale trzeba umiéć się z pod niéj wyswobodzić... Rzecz trudna, lecz mógłbym panu przytoczyć niemało przykładów, że możliwa.“ (str. 473, 4).

W treści powieściowéj pamiętał autor o tym poglądzie swoim i starał się przedstawić różnie ustopniowane i zabarwione przykłady mechesostwa w oznaczoném przez siebie określeniu. Najjaskrawiéj, najnieprzyjemniéj, ale i najcharakterystyczniéj przedstawiają się tak zwane w żargonie ulicznym Feingusówki, zwłaszcza Traubsohnowa i Fiołkiewiczowa. Krzykliwe, narzucające się, wyuzdane w mowie, zbyt swobodne w postępkach, bez żadnéj podstawy moralnéj, wietrzne i wiecznie uganiające się za wywołaniem efektu, bez głębszego uczucia, a zmysłowe i spragnione podbojów choćby powierzchownych, byleby się niemi mogły pochwalić przed przyjaciółkami, urządzają wieczorki, na których ani dobrego smaku, ani dobrego wychowania, ani uczucia poważniejszego niema, tylko śmiechy, hałasy, koncepty, drwinki, przechwałki, popisywanie się cynizmem. Nie mają one nawet powabu istot lekkomyślnych, ale miłych jakąkolwiek stroną umysłu swego, serca lub charakteru; oschłość bowiem rzeczywista duszy, ciągłe gonienie za popisem, wstrętne objawianie poziomych instynktów i przyzwyczajeń, płytkość myśli zatruwają dla każdego szlachetniejszego człowieka chwile, w których przestawać z niemi musi. Feingusówki reprezentują nie najgorszy zapewne, lecz

w danych warunkach najprzykrzejszy okaz zwyrodnienia towarzyskiego.

Obok nich odbija korzystnie głębszą trochę uczuciowością, chociaż przeważnie zmysłowego charakteru Malwina Sametówna. Silnie rozwinięte powaby fizyczne, pełnia życia zmysłowego, organizm zdrowy i silny, potrzebujący ruchu, zużytkowania nagromadzonéj energii wyróżniają ją od typu flirtujących Feingusówek, każą się w niéj domyślać potężniejszych namiętności. Temperament gwałtowny, poczucie swego władztwa nad ojcem czynią ją w stosunku z nim opryskliwą i samowolną, tak iż ta strona jéj charakteru nie może budzić uznania, czasami nawet wstrętem przejmuje. I ona nie zna właściwie hamulców moralnych, ale powstrzymuje ją od wybryków lub lekkomyślnych stosunków miłość dla Bernarda Sandsteina, powzięta w dzieciństwie jeszcze, kiedy się wspólnie z sobą bawili, a podtrzymywana i podsycana późniejszą jego obojętnością, a zwłasza staraniem się o rękę panny Toli. Nie mając lepszego towarzystwa, musi przebywać z Feingusówkami; wpływowi ich atoli nie ulega stanowczo; co najwyżéj przybiéra pewne pozory, które ją zewnętrznie tylko do nich upodobniają. Miłość silna, niepokonana w połączeniu z brakiem zasad moralnych tłómaczy jéj postępowanie a czasami nawet ją uniewinnia. Gdy pierwsza obejmuje i całuje Bernarda, to nie widzimy w tém ani wyrachowania, ani wietrznictwa, lecz wyraz szczerego uczucia, które nie dało się w objawie swoim zewnętrznym opanować i powstrzymać.

Na trzecim niejako szczeblu uspołecznienia znajduje się rodzina Sandsteinów. Dorobiwszy się majątku, równocześnie postarała się zarówno o ogładę towarzyską, jak i o wykształcenie; ażeby zespolić się z tą klasą zamożną, która tradycyjnie już otrzymała wszystkie nabytki cywilizacyi. W urządzeniu domowém, w trybie życia towarzyskiego, nawet po części w sposobie myślenia i czucia lekkie już tylko pozostały ślady tego, że nie od kolébki otaczała tę rodzinę atmosfera obyczajowa moralna, wśród któréj obecnie żyją. Że ceni wysoko materyalną stronę życia, to nie byłoby jéj cechą znamienną, gdyż w naszych mianowicie czasach wszędzie się spotykać daje; ale że się tego nie zapiéra, że nie usiłuje wcale popisywać się frazesami idealistycznemi, że nie używa formuł przyjętych w warstwach innych, ażeby zachować przynajmniéj pozór wyższego szacunku dla skarbów duchowych; to już jest znamieniem wybitniejszém. Z niém się łączy pragnienie wyniesienia się pod względem społeczno - towarzyskim, choćby kosztem znacznéj ofiary pieniężnéj a nawet pewnych upokorzeń, lubo skądinąd zasada oszczędności ciągle jest żywo praktyko-

wana i to w drobiazgach, jak kupno zaręczynowego pierścionka z niedojrzaną niemal skazą, dlatego że cokolwiek tańszy.

Rodzice Bernarda, a zwłaszcza wyborna ciocia Voss, uważająca się za główną sprężynę całéj akcyi, nie zastanawiają się nad tém, jakie być może pożycie Bernarda z biédną sierotą świata arystokratycznego, Tolą, nie myślą wybadywać usposobienia jéj i poglądów; lecz zgóry uznawszy potrzebę wejścia w świat arystokratyczny, przypuszczają milcząco, że wszystkie możliwe kolizye usunie bogactwo, którém zostanie otoczona.

Jak sam Bernard zapatrywał się na projektowane małżeństwo, o tém nas autor nie powiadamia. Jest to, zdaniem mojém największy błąd „Mechesów.“ Aż do ostatnich niemal kart powieści nie widzimy go w rozmowie z Tolą, nie poznajemy jego zapatrywania się ani na stosunki rodziców swoich do szlachty wogóle, ani na jego osobiste uczucia i zamiary. Wszystko za niego robią rodzice i ciocia Voss, on wpatruje się tylko w Tolę i odbywa za nią pojedynek. Z owego wpatrywania się, które troszkę dziwnie wygląda w tym świecie, jaki tu odmalowano, możnaby przypuścić, że Bernard ślepo, bez rozbioru, bez zastanowienia pokochał się w Toli i nie miał zgoła możności robienia jakichkolwiek refleksyi. Ależ Bernard nie jest bynajmniéj romantycznym marzycielem; wyrósł i wychował się wśród otoczenia, gdzie rachuba i roztrząsanie spraw codziennych, praktycznych było koniecznością. Prócz tego pociąg, choćby chwilowy, do Malwiny wskazuje, że nie był bynajmniéj zaślepionym swoją miłością dla Toli, że miewał bodaj chwile, w których mógł rozważać i kombinować. Zdawałoby się, że autorowi tak bardzo chodziło o wytworzenie sytuacyi dramatycznéj w stosunku Bernarda do Toli, iż z ujmą dla charakterystyki Bernarda ułatwił ją sobie brakiem uprzedniego pomiędzy obojgiem porozumienia się. To wszystko, co mówi Bernard do Toli po półtoraroczném z nią pożyciu, jest rozumne i uzasadnione, jeżeli się przyjmie sytuacyę, jaką autor nakreślił; lecz gdy się wspomni, że sytuacya ta trochę sztucznie została sprowadzoną, to się traci bardzo dużo ze spółczucia dla Bernarda, który niewątpliwie, jak z téj rozmowy a raczéj mowy się okazuje, na lepszy los zasługiwał.

Zarzut niezupełnego uwydatnienia charakteru zastosować téż należy do bohaterki powieściowéj, do Toli. Mówi ona wprawdzie i wywnętrza się ze swemi poglądami, poznajemy w niéj parę rysów sympatycznych, pewną samodzielność charakteru, pewną świéżość w pojęciach, do wyrobienia których przyczynił się Kulisz. Nie jest ona maryonetką ani figurką konwencyonalną i wiemy, że robi z siebie dobrowolne i świadome poświęcenie dla poratowania swoich dotych-

czasowych niby-opiekunów, lekkomyślnéj szlachty. Z prawości jéj charakteru wypadałoby, ażeby raz zrobiwszy postanowienie, usiłowała przynajmniéj być dobrą żoną dla Bernarda. Tymczasem od pierwszéj chwili poślubnéj odpycha go, odmawia mu praw i dopiéro w chwili podniecenia oddaje mu się, ażeby potém znowu się odsunąć. Wprawdzie zaznaczył autor chwiejność jéj charakteru, ale nie dostatecznie; zadużo jéj przypisał szlachetności, szczerości i prawości, a nie zastosował do tego jéj postępowania.

Z powyższego przedstawienia rzeczy wynika, że w „Mechesach“ nie osoby główne wątku powieściowego zajmują psychologicznie i artystycznie pierwsze miejsce, lecz osoby poboczne, zwłaszcza wybornie kreślony i wszędzie wierny sobie stary Sandstein, ciocia Voss, Feingusówki, Samet, doskonały w swojéj podejrzliwości względem dawnego swego spólnika Sandsteina, wreszcie epizodycznie występujący sknera arystokratyczny hr. Zabiełowski, skąpiący sobie we wszystkiém i starający się do ostatniéj chwili życia robić pieniądze. Rozmowa jego z tego powodu ze starym Sandsteinem, należy do najlepiéj, najkonsekwentniéj i najcharakteryczniéj przeprowadzonych.

P. Gawalewicz urwał trochę swą powieść i obiecuje powrócić do tegoż tematu niebawem; jeżeliby mu się rada nasza przydała, tobyśmy zwrócili jego uwagę na większe, psychologiczne pogłębienie figur głównych. Pod względem języka wartoby już raz zerwać z germanizmem i galicyzmem w użyciu przysłówka *więcéj* w zdaniach przeczących.

P. Chmielowski.





NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *L. Szepielewicz.* Studya nad Dantem I. Apokryficzne „**Widzenie św. Pawła**". Część 2. Charków, 1892, str. 135 (po rusku). Przed rokiem zdawaliśmy na tém miejscu sprawę z pierwszéj części tego wielce pracowitego i wielce szczegółowego studyum, które ma posłużyć autorowi do wykazania, o ile i jak korzystał Dante z pism, mających pewną z głównym jego pomysłem analogią. W obecnéj drugiéj części swéj pracy p. Sz. zastanawia się krytycznie nad tekstami łacińskiemi, francuskiemi, włoskiemi, niemieckiemi i angielskiemi „Widzenia św. Pawła", wykazując filiacyę wszystkich dostępnych mu wydań i rękopismów, z których kilka po raz pierwszy ogłasza drukiem w dodatkach do swego studyum. Następnie przytacza sporo interesujących szczegółów, dotyczących przerwy męki potępieńców w dni niedzielne i zaznacza, że Dante wskutek swych poglądów filozoficzno-religijnych nie mógł przystać na myśl o całkowitéj przerwie, choćby na czas tylko pewien, mąk piekielnych, lecz zarazem nie mógł podzielać opinii surowych teologów i obrał w téj sprawie drogę pośrednią, zastosowując karę do występku. Uwaga ta stanowi przejście do rozważania drabiny mąk piekielnych w „Widzeniu św. Pawła" i sposobu jéj traktowania w „Boskiéj komedyi." W „Widzeniu św. Pawła" nigdzie nie znalazł p. Sz. ścisłego logicznego związku między karą a występkiem a uszeregowanie kar jest, zdaje się, zupełnie przypadkowe. U Dantego przeciwnie widzimy konsekwentnie rozwinięty system kar. Kary, według poety, powinny być koniecznem, logiczném następstwem występku i powinny odpowiadać cechom tego, czém były wywołane. Im grzech jest cięższy, tém daléj od oblicza bożego winni się znajdować potępieńcy. Środkowym punktem doniosłości grzechu jest Lucyfer; ku niemu to, stosownie do swéj ważności zmierzają wszystkie inne występki. P. Sz. szczegółowo przechodzi wszystkie kręgi piekła i wykazuje wszędzie ścisłe zastosowanie powyższéj zasady. Co do formy, kary są dalszym cią-

giem tego stanu grzesznego, w jakim się znajdowali występni za życia. Oni robią daléj to, co robili na ziemi, ale im to nie daje najmniejszego zgoła zadowolenia, sprawiając owszem bóle nowe, nieskończone. Dotykalnie czują oni cały ciężar grzechu, ale nie mogą się go pozbyć. Wyrzuty sumienia opanowują ich teraz. Niewyraźne poczucie grzechu, zagłuszane w życiu pobudkami namiętnemi, staje się w świecie zagrobowym jedną z kar grzeszników, dochodząc do niezwykłych rozmiarów i uosabiając się niekiedy symbolicznie w kształty straszydeł piekielnych. Nadto, to wrogie usposobienie, jakie mieli względem siebie występni na ziemi, występuje w piekle z siłą niezmierną, wywołując szereg cierpień. Tym sposobem w systemie Dantego kara dotyczy nietylko samego faktu, ale także przyczyn i skutków pewnego grzechu i cel osiąga się przez trwanie tego stanu, w jakim się występni znajdowali na ziemi. Zestawiając ten system kar, jaki Dante rozwinął w „Boskiéj komedyi", z bezładnie zazwyczaj nakreślonemi obrazami mąk w „Widzeniu św. Pawła", autor zupełnie słusznie powiada, że taki między niemi zachodzi stosunek, jaki widzimy między bełkotaniem dziecka a wytworną mową krasomówcy. W dodatkach drobnym drukiem, podaje p. Szepielewicz tekst łaciński „Widzenia św. Pawła" prozą pisany, a wydobyty przezeń z rękopismów biblioteki berlińskiéj, następnie tekst francuski, wierszowany z XIV stulecia z „Biblioteki narodowéj w Paryżu", oraz drugi tekst rymowany francuski z XVII stuleciu wierszami 12-zgłoskowemi z téj saméj Biblioteki.—W porównaniu z I-ą częścią, ta druga odznacza się większą przejrzystością, do czego dopomogła oczywiście potrzeba kolejnego rozpatrywania różnych tekstów, trzymająca w skupieniu uwagę autora. Rezultat téj pracy polega głównie na samym rozbiorze różnych wersyi „Widzenia św. Pawła" i na domniemaniach co do charakteru tekstu pierwotnego, dziś już nieistniejącego. Co do wpływu tego „Widzenia" na utwór Dantego, to autor doszedł przeważnie do wyników negatywnych. Obiecuje autor, jako dokończenie tego dzieła swéj pracy ogłosić osobno drobne komentarze i dopełnienia.

= *Jakóba Górskiego* **Rada pańska**, 1597. Wydał dr. *Wiktor Czermak*. W Krakowie, 1892, 8°, str. XV + 137 („Bibl. pis. polsk.", tom 21-szy). — Jakób Górski (1525—1585) należał do znakomitszych uczonych i najdzielniejszych krzewicieli humanizmu w Polsce w wieku XVI-ym. Słynny w swoim czasie profesor retoryki, następnie prawa kanonicznego w uniwersytecie krakowskim, w r. 1573 podkanclerzy tegoż uniwersytetu, kanonik i archiprezbiter kościoła P. Maryi

w Krakowie, w ostatnich latach życia był sekretarzem Stefana Batorego. W działalności swojéj literackiéj posługiwał się łaciną i w języku tym wydał szereg dzieł (15) z zakresu retoryki i dyalektyki, przeznaczonych dla użytku uczącéj się młodzieży. Jedyny śród nich wyjątek stanowi „Rada pańska“, napisana po polsku około r. 1577, którą dopiéro w lat 20 potém (a we 12 blisko po śmierci autora) ogłosił uczeń jego Jan Januszowski, uczony drukarz krakowski, w dowód hołdu dla swego niegdyś „preceptora“. Jest ono przeróbką włoskiego przekładu hiszpańskiego dziełka Cerioli p. t. „O radzie i doradcach“, 1559 r. [Traktat ten na język łaciński przełożył Warszewicki, w Krakowie 1595 r.]. Przeróbkę, dokonaną przez Górskiego, nazwać można samodzielném rozszerzoném opracowaniem zasadniczéj treści oryginału Cerioli. Górski bowiem umiał ją „do spraw i obyczajów polskich“ wedle potrzeby zastosować; stąd liczne w dziełku tém uzupełnienia i rozwinięcia, będące wynikiem osobistych zapatrywań naszego autora na życie i stosunki polskie. Dla tych to uzupełniających ustępów, które w dwójnasób i objętość dziełka powiększyły, nabiéra ono dla nas szczególnéj wartości. Autor, przejęty zasadami postępowemi, światłym umysłem swoim ocenia sprawiedliwie niektóre wady i przesądy szlacheckie, wykazuje niewłaściwość pewnych urządzeń w kraju i przedstawia potrzeby zaradzenia złemu. Przez „radę pańską“ rozumié on zebranie osób mądrych z wielu obranych, którychby król i pan używał we wszystkich potrzebach państwa czasu pokoju i wojny. Zastanawia się tedy w części 1-éj nad różnością rady według różności samych spraw; mówi więc o radzie skarbu, zarządu wewnętrznego, o radzie praw i t. d. — Następnie w części 2-éj i 3-éj rozpatruje radę samą pod względem wewnętrznym i zewnętrznym, a mianowicie w części 2-éj rozwija rzecz o godności wszelkiéj rady, t. j. o przymiotach wewnętrznych, jakie członkowie rady posiadać winni, jako to: o bystrości umysłowéj, konieczności wykształcenia umysłowego, o potrzebie znajomości języków, dziejów i t. d.; w 3-éj części o przymiotach natury fizycznéj: o urodzie, wieku, wdzięczném ułożeniu i t. p. Myślą przewodnią całego dzieła jest zasada, że zarówno dobro ogólne, jak i sława i pożytek pana na tém zależy, ażeby miał „dobrą radę, godną, mądrą a wierną.“ — Cały wykład zwięźle tu przedstawionéj treści powyższego dziełka odznacza się jędrnym i pięknym językiem, którego niemałą ozdobę stanowi obfity dobór przysłów rodzimych, trafnie w samym tekście użytych. Tak zewnętrzne zalety dzieła, jakoteż niezaprzeczona wartość jego wewnętrzna każą zaliczyć je do znakomitszych utworów prozaicznych wieku XVI-go. Oryginał pierwodruku tego

dziełka jest unikatem i stanowi własność biblioteki Działyńskich w Kórniku. Z tego téż egzemplarza przygotował dokładny tekst do druku p. Wiktor Czermak, dodawszy na początku zajmujący wstęp, a na końcu słowniczek wyrazów przestarzałych. Rozczytując się w ogłoszonym traktacie, z przyjemnością zaznaczymy, iż cała rzecz wykonana jest starannie i z taką znajomością rzeczy, jakiéj wymagają wydawnictwa pisarzy starodawnych. *A. A. Kr.*

= *Baumann.* **Elemente der Philosophie.** *Logik, Erkentnisstheorie und Metaphysik, Moral, für das akademische Studium und zum Selbstunterricht.* Leipzig, Veit et C., 1891, str. 196. — Jakkolwiek dzieło to nie jest traktatem filozoficznym, ale prostym podręcznikiem i to podręcznikiem nader przystępnie napisanym, niech mi wolno będzie zwrócić na nie uwagę polskich czytelników. Zasługuje ono na nią z wielu względów: 1) Praca Baumanna (profesora filozofii w Tubindze) daje doskonały wzór tego, jak i w jakim zakresie filozofia może wejść jako przedmiot wykształcenia średniego. Książka jest tak napisana, że, zwłaszcza przy pomocy nauczyciela, może być daną jako podręcznik uczniowi gimnazyum. 2) Pomimo że jest przystępne, treściwe i nie ma pretensyi do oryginalności, dzieło to odpowiada ściśle współczesnemu stanowi wiedzy filozoficznéj (czego nie można powiedzieć np. o „Zasadach filozofii“ Boiraca, wydanych po polsku); wszystkie zagadnienia przedstawione są wszechstronnie, ale pogląd na nie autora jest jasny i stanowczy, oparty na znajomości rzeczy. 3) Brak jéj wreszcie zupełnie tego niemiłego typu podręcznika szkolnego, tego szablonowego, odwiecznego sposobu traktowania rzeczy, jaki zwykle w podobnych książkach spotykamy (jak np. u Boiraca, który nietylko że rozwiązania wszystkich zagadnień stosuje do wymagań prawomyślności sorbońskiéj, ale obok tego posuwa eklektyzm do bezmyślności; lub w wydanym po polsku przed laty „Przewodniku filozofii“ Amad. Jacquesa, Jul. Simona i Emila Saisseta). Dzięki temu książka czyta się z zajęciem nawet przez ludzi obeznanych z literaturą filozoficzną i może służyć zarówno do lektury, jak i do samouctwa. W logice zajmującéj 67 stron omówione są wszystkie ważniejsze kwestye logiki i metodologii, nie pominięto téż różnic w poglądach wybitniejszych przedstawicieli téj umiejętności na przedmioty sporne, ani nowych prób logiki matematycznéj (Bulla, Jevonsa, Wenna), które roztrząsa autor krytycznie. — Teoryę poznania rozmyślnie łączy Baumann z metafizyką, uważa bowiem ich rozdzielenie za niewłaściwe. Roztrząsa się tu wogóle teorya wiedzy i poznania; wyniki teoryi przyrodniczych, oraz rozmaite po-

glądy na świat: materyalistyczny, monistyczny, idealistyczny poddane są krytyce w naukach ich twórców i głównych przedstawicieli; szczegółowo zatrzymuje się autor na pojęciach substancyi, przyczynowości, prawie logiczném tożsamości, prawach przyrody i pojęciach matematycznych, oraz pojęciach czasu i przestrzeni. Wreszcie porusza inne kwestye metafizyki i roztrząsa poglądy nowsze: Herbarta, Schopenhauera i Wundt'a.—Filozofia praktyczna, po uzasadnieniu podstaw moralności, potrąca o cały szereg zagadnień, które mają już zbyt praktyczne znaczenie i zanadto krótko są omówione; znajdujemy tu rozdziały o stosunkach ekonomicznych, militarnych, nauce, sztuce, religii, rodzinie, państwie i prawie.—Ze względu głównie na pierwsze dwie części (t. j. logikę i metafizykę), polecić można książkę Baumanna jako doskonały wstęp do filzofii każdemu, ktoby chciał przystąpić do głębszych studyów w tym zakresie; jako książkę, która daje wystarczające zoryentowanie się dla tych, którzy nie chcą iść dalej. Pragnęlibyśmy zwrócić na nią uwagę wydawców; przekład bowiem podobnéj rzeczy odpowiadałby istotnéj potrzebie naszego społeczeństwa.

Wł. M. Kozłowski.



— Redakcya „Tygodnika ilustrowanego“ przesłała nam następującą odezwę:

W poczuciu jedynego w kraju organu artystycznego, w którym sztuka polska od lat trzydziestu i trzech znajduje swój wyraz, redakcya „Tygodnika ilustrowanego“ postanawia ogłosić: **Konkurs artystyczny** — I. na Obraz olejny pastel, karton lub akwarelę z nagrodą **rs. pięciuset**, i II. na Rysunek z nagrodą **rs. stu.**

Do konkursu powyższego mamy zaszczyt zaprosić wszystkich naszych artystów malarzy i rysowników, w nadziei, że raczą wziąć w nim jak najliczniejszy udział i pobudzoną w ten sposób twórczością przysporzą w obopólnym interesie naszym nie mało cennych prac talentu i natchnienia. W wyborze swojskiéj treści i dowolnych tematów pozostawiamy wszelką swobodę, aby nie krępować pomysłowości artystów i szczególnych upodobań w tym lub owym rodzaju i kierunku. Pragnąc naszemu Konkursowi nadać najpoważniejszą opiekę artystyczną, porozumieliśmy się z Komitetem Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie, który łącznie z reprezentantem redakcyi „Tygodnika ilustrowanego“ kwalifikować będzie do przyjęcia nadesłane na konkurs utwory i ułożyliśmy wspólnie dodatkowe warunki następujące:

Termin nadsyłania prac konkursowych oznacza się do dnia 25-go kwietnia 1893-go r. włącznie. W Salonie Towarzystwa zachęty przy Krakowskiém Przedmieściu odbędzie się wystawa wszystkich przyjętych do konkursu artystycznego utworów i potrwa od 1-go maja roku przyszłego do 15-go czerwca tegoż roku, niezależnie od tego wszystkie prace konkursowe celem zapoznania z niemi naszych prenumeratorów zamiejscowych, będą odtworzone w „Tygodniku ilustrowanym“ w drobnych reprodukcyach cynkograficznych z podstawą nie przenoszącą pięciu cali. Nagrody przyznane zostaną większością głosów, składanych na wystawie osobiście przez członków Towarzystwa zachęty, oraz przez prenumeratorów „Tygodnika ilustrowanego“ na kuponach, które w swoim czasie do numeru dołączone będą, jak to już wielokrotnie bywało przy poprzednich artystycznych i literackich konkursach naszych. Utwory nagrodzone zostaną pomieszczone w „Tygodniku“ w rozmiarach dwustronicowych, co do innych prac konkursowych, redakcya „Tygodnika ilustrowanego“ zastrzega sobie ewentualnie prawo umieszczenia ich w drzeworycie za wyjątkowém wynagrodzeniem: rs. 15 za pół, rs. 25 za całą i rs. 40 za dwie strony formatu „Tygodnika ilustrowanego“. — Obraz nagrodzony pozostaje własnością laureata, rysunek zaś uwieńczony nagrodą, przechodzi na własność redakcyi „Tygodnika ilustrowanego“.

Pomimo podzielonych zdań o trafności sądu zbiorowego przy tego rodzaju przyznawaniu nagrody, powołać się możemy jednak na rezultaty poprzednich konkursów „Tygodnika ilustrowanego“, które dały świadectwo wcale trafnego krytycyzmu i wyróżniły głosem światłéj opinii publicznéj utwory literackie lub artystyczne, posiadające tylko wartość rzeczywistą i znamiona niezaprzeczonego talentu. Żywimy przeto nadzieję, że i ten nowy **konkurs artystyczny** „Tygodnika ilustrowanego“ nie minie się ze swoim celem i zostanie rozstrzygniętym słusznie i sprawiedliwie, dając zwycięztwo tylko utworom, godnym miana prawdziwych dzieł sztuki; ośmielamy się przeto polecić go raz jeszcze najgoręcéj wszystkim interesowanym, a powodzenie jego uważać będziemy za sowitą nagrodę naszych usiłowań w tym kierunku.

Redakcya i Wydawcy „Tygodnika ilustrowanego“.





KRONIKA MIESIĘCZNA.



Flirt i jego cechy.— „Nauczycielka“ i „Dyoniza“, podobieństwa i różnice. — Kazimierz Witkowski.—Zmiana w zapatrywaniach na parcelacyę.—Spór między plantatorami buraków a cukrownikami. — Echa emigracyi brazylijskiéj. — Przemysłowe stosunki w Łodzi. — Czytelnia bezpłatna i Tow. dobroczynności. — Domki na raty. Epidemia i dobroczynność.

Jaki jest najpopularniejszy wyraz w Warszawie i miastach naszego kraju? „Flirt“ niewątpliwie. Wkrótce zaczną flirtować i chłopi po wsiach, lecz dotychczas wyrazu tego jeszcze nie używają.

Za wyrazem stoi zawsze idea, rzecz, pojęcie lub usposobienie, których on jest znakiem. Istotnie, jesteśmy flirtujący i rozflirtowani. W redakcyach warszawskich artykuł napisany treściwie i logicznie, nazywa się „kaznodziejskim“; w towarzystwach człowiek mówiący krótko, przedmiotowo i powściągliwie nazywa się „nudnym“ lub „ciężkim“; w teatrze tragedya i dramat nie śmieją się pokazać przed rozflirtowaną widownią; panienki mają swoją grę w karty, „nerwówkę“, która najlepiéj odpowiada ich rozflirtowanym główkom; kelnerki w przedniejszych restauracyach, wymawiając z angielska „flert“, zapraszają do niego z uprzejmym uśmiechem swoich „gości“; najsympatyczniejsze w Warszawie koncerty Towarzystwa muzycznego zapełniają się ożywionymi „flircistami“ i „flircistkami“ (o ile te wyrazy zostaną łaskawie wpuszczone do modnego dyalektu współziomków — nie śmiem myśléć); flirtująca muzyka najwięcéj wzbudza zapału w słuchaczach, z wykluczeniem „ciężkiego“ Beethovena i Wagnera; flirtują myśli, głowy i serca, literatura i dzienniki, pióra i pędzle, salony i operetki.

Flirtowana rozmowa jest najwięcéj pożądaną i poszukiwaną. Wybuchy dynamitowe, proces panamski w Paryżu, reforma wojskowa w Niemczech i małżeństwa cywilne na Węgrzech, drogi cukier i epidemia w domu, wszystko to przepuszczamy obecnie przez filtr flirtu i wtenczas dopiéro spożywamy.

Nie można się nadziwić, że nie powstało dotychczas w Warszawie pismo z tytułem „Flirt", w którym artykuły polityczne i ekonomiczne, krytyki literackie i teatralne, byłyby pisane w duchu wymagań flirtu. Powieść i nowela, jako blizko z flirtem spokrewnione mogłyby zostać, jakiemi są. O duże powodzenie takiego wydawnictwa możnaby być spokojnym.

Jeden z tych, których wartki prąd flirtu jeszcze nie uniósł, tak go w „rozmowie prywatnéj" charakteryzował. „Ten prąd, tak dzisiaj wydatny, jest, kochany panie, wynikiem kobiecości naszego usposobienia. Nie wiem, czy o tém już napisano specyalne studyum, ale dawno zauważyłem, że wielką poczytnością cieszą się u nas autorowie, których inteligencya nie posiada określonéj płci, jest dwupłciową. Malarstwem bliżéj się nie interesuję, więc o niém nie orzekam. Co do muzyki, jestem także swego spostrzeżenia pewny. Uważam, że te hermafrodyty literackie cieszą się sympatyczną poczytnością u kobiét zwłaszcza; przyczyny nie dociekam, bo nie jestem fizyologiem.

„Flirt, który drwi z logiki i zdrowego rozsądku, jak najlepiéj odpowiada właśnie dwupłciowym usposobieniom i erotyczno-mdłym temperamentom, których wielki wzrost w naszéj społeczności z przerażeniem spostrzegam. Niech pan doda do tego towarzyską i literacką hegemonię naszych kobiét, które obdarzyliśmy pod tym względem przywilejom „intuicyi", i których smak i znawstwo w obu tych kierunkach mają być rozstrzygające, a otrzyma pan prawdopodobną mniéj więcéj genezę tego specyficznie warszawskiego, tak dzisiaj rozpowszechnionego flirtu.

„Nazywam go specyficznym, bo widzę w jego towarzyskich i artystycznych formach tę mdłą nieokreśloność, tą dwupłciowość, która mi nie jest sympatyczną. Trzeba być wielkim bałwochwalcą swojskości, ażeby to miłować dla tego tylko, że swojskie. Flirt nie jest mi więc sympatyczny, bo widzę, że szkodzi logiczności naszéj inteligencyi, która na tym punkcie nigdy nie była zbyt silną; że rozluźnia naszą wrażliwość, która nigdy nie była zbyt spoistą; że rozpowszechnia ten warszawski dyletantyzm, który jest zanadto płytki, ażeby go z estetycznych choćby względów pożądać można.

„O obyczajowo-płciowéj stronie tego zjawiska i mówić co nie

ma. Nad kobietę i mężczyznę, zajętych ciągłą grą w miłość, w serca i w oczy, rozcieńczających, że się tak wyrażę, swoje soki moralne i uczuciowe w téj mdlącéj limonadzie— przenoszę otwartych cyników. W tych ostatnich uznaję przynajmniéj odwagę własnych instynktów i opinii.

„To téż flirt jest jedną z postaci obłudy płciowéj. Przyszłość, która, przypuszczać wolno, rozumniéj ureguluje stosunki uczuciowe między płciami, będzie drwiąco urągała téj flirtującéj obłudzie, która jest poniżającą cechą naszych czasów. Kobiéta i mężczyzna, wzniesieni do poziomu istotnéj godności, a któréj konieczną oznaką powinna być otwartość, żałowaliby czasu, zdrowia i szczerości na tę grę nudną i pospolitą. Nie mamy powodu o tém wątpić, jeżeli już dziś nie widzimy między flirtującymi kobiét i mężczyzn istotnéj wartości lub wyższości.“

Trzecia dopiéro ze sztuk konkursowych „Kuryera Warszawskiego“ „Nauczycielka“, jest dobrym nabytkiem dla teatru. Po zapadnięciu kurtyny, widz policzywszy swoje wrażenia może powiedziéć, że tym razem nie żałuje przepędzenia wieczoru w teatrze. Przeciwnie, jego umysł i sumienie, otrzymały dość pożywny pokarm, zostały o coś zapytane, musiały się nad czémś zastanawiać, rozważać i sądzić. Spotkaliśmy się z jakąś treścią życiową, a to przecież coś znaczy, choć autorowie teatralni tak często o tém zapominają. Historyk literatury mówi, że utwór pisarski, który nie roztrząsa zagadnień ważnych i żywotnych, który nie posiada treści, nie należy właściwie do literatury.

Jakaż jest ta treść w „Nauczycielce“? Krytycy nasi porównywali ją z „Dyonizą“ Dumas'a. Marta, tak samo jak Dyoniza, została, jako nieświadoma życia dziewczyna, uwiedzioną. I jedna i druga pokutują za swój błąd cierpieniem; przez to cierpienie, przez pracę, przez wykształcenie, przez poznanie życia, wznoszą się obie do wysokiéj godności ludzkiéj i kobiecéj. Obie umieją walczyć, poświęcać się, rozsiewać dobro i ciepło, z cierpieniem tajoném i nieuleczoném. Skaza przeszłości jest według ich mniemania nie do zatarcia, i Marta, tak samo jak Dyoniza, odpowiada kochającemu i kochanemu człowiekowi, że żoną jego zostać nie może.

Podobieństwo zatém między bohaterkami jest wielkie; lecz różnica między sztukami, między ideami autorów jest także wielką. Właściwie autor francuski ma ideę, o słuszności któréj chce przekonać audytoryum; nasz autor konkursowy takiéj idei nie ma, a przynajmniéj wyraźnie jéj nie wypowiada; Dumas dowodzi wogóle, że mężczyzna ma obowiązek wybaczyć kobiecie przeszłość, jeżeli ona miło-

ścią, łzami i życiem dobrém nieświadomość swoją opłaciła; nasz autor to samo wprawdzie każe zrobić ukochanemu Marty, nie starając się jednak wcale utworzyć z tego ogólnéj reguły moralnéj; pierwszy zajął stanowisko ogólne, teoretyczne i argumentacyjne, drugi pojedyńcze, rzewne i uczuciowe; Dumas stara się przekonać, że tak być powinno zawsze; nasz autor rozpatruje tylko wypadek pojedyńczy i sądzi, że w tym wypadku tak być mogło i powinno; pierwszy jest śmiałym adwokatem sprawy obyczajowéj; drugi, poetą rzewnego uczucia i cichym zwolennikiem rehabilitacyi kobiecéj. W ostatniéj konsekwencyi tych różnych zapatrywań, widzimy jeszcze, że kiedy autor „Nauczycielki“ każe się narzeczonemu Marty bić z jéj uwodzicielem, Dumas o pojedynku wcale nie wspomina. Zakończenie więc w sztuce naszéj jest epizodyczno-rycerskie, we francuskiéj — teoretyczno-logiczne.

Przypuścić można, że właśnie ta rzewność, rezygnacya i spokój „Nauczycielki“, która drgając wielką prawdą i uczuciem, i będąc realnym kawałkiem życia, nie zdradza jednakże żadnych pretensyi reformatorsko-obyczajowych — sprawiły, że nie wywołała ona sporów i dyskusyi. Widzimy tam, że tak się dzieje i dziać może; przekonań pod tym względem ani „Nauczycielka“ nie prostuje, ani swoich nie narzuca, ani dawnych nie obala. Ustalone lub nieustalone zapatrywania widzów zostają takie same po, jak i przed sztuką. Zobaczyliśmy rzewny i prawdziwy dramat uczuciowy, to i wszystko. Nie mogąc więc zaczynać sporu z tendencyami autora, bo te wyraźnie ujawnione nie zostały, zauważyć tylko musimy, że kazał swojéj Marcie być już zanadto pokorną, nieszczęśliwą i przygnębioną. Jeżeli śmiercią za swój błąd nieświadomości zapłacić chciała, i wzniosła się do heroicznéj prawie godności i cnoty, to już zbytecznem chyba było kazać jéj drżéć przed spojrzeniem każdego chłystka lub gąski. Po kobiecie z takim hartem, stałością i dumą, mamy prawo spodziewać się większéj odwagi cywilnéj nad tę, jaką okazuje Marta. Mamy prawo oczekiwać, że w chwili stanowczéj z podniesionem czołem powié: Zbłądziłam, ale cierpiałam i umiałam spełnić swoje zadanie ludzkie. Mój błąd mnie tylko dotyczy; was może tylko obchodzić mój stosunek do zasady obowiązku: pod tym względem jestem czystą i usprawiedliwiać się nie potrzebuję.

Inaczéj zaś, jeżeli uczynimy Martę wiecznie wylęknioną i płaczącą: wtedy stajemy się mimowolnymi sprzymierzeńcami całéj obłudy obyczajowéj, ciskającéj na nią szyderstwem, a innym Martom, między którémi bezwątpienia są istoty dzielne i szlachetne, zostawiamy tylko truciznę i rozpacz. Wprawdzie autor, jak chcieliśmy wyjaśnić, sze-

rokich założeń nie miał, zdaje się, na celu, ale od czegóż jest obłuda, ażeby nie napadać na chwiejność i słabość?

Bądź co bądź dla ludzi szczerych sztuka ta posiada wartość choćby ze względu na szlachetną i moralną nutę, która w niéj dźwięczy i jesteśmy nawet zdania, że więcéj sztuk o takim poziomie działałoby może spoiście na rozluźnione wrażenia i obyczaje.

Umarł Kazimierz Witkowski, długoletni redaktor „Kaliszanina.“

Witkowski był pracownikiem wytrwałym i pożytecznym. Gorąco przywiązany do swéj rodzinnéj okolicy, w któréj spędził całe swoje, niedługie życie (miał lat 39) znał dobrze jéj ludzi, potrzeby, pojęcia i interesa. Ten uczciwy, skromny i życzliwy człowiek, zawsze gotów do służenia każdéj sprawie publicznéj, oddany całém sercem ukochanemu miastu, był prawdziwą i pożyteczną ozdobą społeczeństwa kaliskiego.

Stosunki prowincyonalne potrzebują takich właśnie ludzi, jakim był Witkowski. Ażeby wśród uraz, plotek, zawiści i wielkości prowincyonalnych, zachować na swojém społeczném stanowisku równowagę i inicyatywę, ażeby nie zgorzkniéć i nie zniechęcić się — trzeba miéć dużo taktu, zimnéj krwi i miłości dobra ogólnego. Człowiek inteligentny, umieszczony na partykularzu, jeżeli usposobienie nie pozwoli mu wciągnąć się do winta lub zapisać do miejscowego towarzystwa wzajemnéj adoracyi, narzeka najczęściéj na czczość życia, pospolitość ludzi i stosunków, i albo machnie ręką na wszystko, formalnie tylko odrabiając swoje obowiązki, albo o ucieczce z nieprzyjemnego miejsca pomyśli. Zwyczajem w takich razach stało się powtarzać: Co tu można zrobić? Życie na partykularzu jest plagą, a głupoty i małości szanownych naszych współobywateli sam dyabeł nie zwalczy. Nie warto się niczego dotykać i basta.

Tém tak powszechném a tak smutném w swojéj istocie „nie warto“ rzecz się najczęściéj kończy. Witkowski czynami odpowiadał zawsze, że warto i trzeba. Był i redaktorem „Kaliszanina,“ i radcą magistratu, i członkiem Tow. dobroczynności, i straży ogniowéj, i czynnym i chętnym współpracownikiem w każdéj instytucyi kaliskiéj, mającéj na celu dobro ogólne. Wszędzie wnosił pracę, inicyatywę, pogodną twarz, słowo życzliwe i zachęcające. Nigdy nie powiedział „nie warto.“

Kwestya parcelacyi większéj własności ziemskiéj już dość dawno nie stała na szpaltach naszych pism. Przed kilku laty była przedmiotem bardzo gorących sporów między stronnikami większéj własności, pragnącymi utrzymać ją za jakąbądź cenę a gorącymi zwo-

lennikami parcelacyi. Pierwsi dowodzili wówczas, że większa własność najlepiéj zabezpiecza cywilizacyjne interesa społeczeństwa, drudzy zaś, że parcelacya stała się konieczną zarówno dla uratowania od ruiny większéj własności, jaki dla rozwoju dobrobytu ludu wiejskiego. Stanowisko pierwszych było mniéj więcéj zachowawczo-szlacheckie; drugich — społeczno-demokratyczne. Wogóle jednak walczono więcéj zasadniczemi, niż ekonomicznemi argumentami.

Od dłuższego czasu te spory o społeczne znaczenie parcelacyi ucichły. Zdaje się, że jak przy obecnym stanie téj sprawy, zasady poszły swoją, a realne, kierowane koniecznością, interesa, swoją drogą. Dzisiaj, o ile wiemy, mało kto ogląda się na to, czy parcelacya majątku zgadza się lub nie z jedném z dwu wymienionych zapatrywań, ale o ile odpowiada jego interesom, czyli patrzy na parcelacyę nie z zasadniczego, ale z ekonomicznego stanowiska.

Niedawno właśnie czytaliśmy w „Gazecie Warszawskiéj“ kilka artykułów pod tytułem: „Czy parcelować?“ Autor podpisujący się Arworem, zna widocznie nie źle stosunki rolne i wiejskie, tak pod względem technicznym, jak i społecznym, a nadewszystko bardzo plastycznie i prawdziwie przedstawia naturę i skłonności chłopa naszego. Uważając, że częściowa parcelacya obdłużonych majątków stała się i pod finansowym, i pod gospodarczym względem konieczną, pociesza tych, którym z takim obrotem sprawy pogodzić się trudno, że ziemia przejdzie do rąk wytrwałych, pewnych i pracowitych. Potępianie parcelacyi na nic się nie zdało. „Rozparcelowanie wioski było uważane za czyn ujemny, nieobywatelski. Ten sąd pobudzał wielu do fałszywego wstydu, trzymania się ojcowizny do krańcowéj ostateczności i odbijał się piętnem ruiny zupełnéj na wielu posiadaczach większéj własności. Nie jeden z ziemian, który sprzedając paręset morgów posiadanéj przestrzeni przed laty kilku, mógł uratować pozostałą cząstkę dla dzieci, opiérając się téj konieczności do ostatka, zmuszonym był do wyzbycia się wszystkiego. Czy parcelacya mimo to nie nastąpiła? Bynajmniéj! Nowonabywca, — najczęściéj żyd, kupiwszy wioskę na publicznéj licytacyi, spekulacyjnym sposobem zrobił to samo, z tą różnicą, że kupujący odebrali warsztat w gorszym stanie i pod uciążliwszemi warunkami, a zysk wpłynął do kieszeni spekulanta.“

Zastanawiając się, jakiego obszaru parcele nadają się najlepiéj do dzisiejszych warunków gospodarczych, Arwor uważa za najwłaściwsze albo 30-morgowe, albo 3—4 morgowe osady; pierwsze dlatego, że dają samodzielność, umożliwiają pewien system gospodarski i za-

pewniają byt właścicielowi; drugie dlatego, że nabywca ma możność, poświęciwszy czas letni zajęciom na roli, udać się zimą na zarobek do fabryki. Dziesięcio-morgowe udziały, najczęściéj dotychczas w tranzakcyach spotykane, nie są, zdaniem autora, odpowiednie, bo samoistnie ostać im się trudno, a na oddalanie się włościanina na dłuższy przeciąg czasu zajęcia gospodarcze nie pozwalają.

Zwracamy uwagę na artykuły Arwora, naprzód ze względu na widoczną kompetencyę autora, a następnie jako na opinię światłego rolnika w sprawie żywotnéj.

Toczy się bardzo żywy spór między cukrowniami i plantatorami buraków. Między tymi ostatnimi, zniecierpliwionymi długim, a coraz bardziéj wzrastającym wyzyskiem, tworzy się podobno związek celem zmuszenia cukrowników do zmiany warunków, które dotychczas zupełnie dowolnie narzucają plantatorom. Przemysł cukrowniczy, jak wiadomo, rozwinął się w ostatnich latach bardzo w naszym kraju, fabryki cukru mnożą się i szybko wzrastają w zamożność. Jaki więc może być powód — zapytują plantatorowie, że przy znaczném powiększeniu wagi korca buraków, udoskonalonym, a więc i mniéj kosztownym systemie produkcyi cukru, zdwojonéj wydajności buraków i nadmiernych wymaganiach fabryk co do oczyszczania buraków, plantator otrzymuje za swój produkt cenę niższą, niż otrzymywał dawniéj? Zdawałoby się, że z rozwojem przemysłu cukrowniczego, a więc i większą konkurencyą na produkt surowy, warunki dostawców tego produktu winnyby się znacznie polepszyć, a to tém więcéj, że postęp w udoskonaleniu produkcyi buraków nie może być nigdy tak szybki, jak postęp w fabrykacyi cukru.

Pytanie to i wątpliwość interesowani rozstrzygają tak: Właściciele fabryk cukru postarali się usunąć, w stosunku z plantatorami, wszelką możebną konkurencyę. Przez tajny, a wysoce niemoralny układ, fabrykanci rozdzielili między siebie majątki ziemskie, ustanowili wspólną mniéj więcéj cenę buraków i warunki kontraktów; w ten sposób każdego pojedyńczego plantatora oddali na łup fabryki a silni przewagą kapitału, solidarnością interesu i obezwładnieniem plantatora, rozpoczęli dzieło wyzysku tém łatwiejszego, że wskutek niekorzystnych urodzajów w latach ostatnich, nizkich cen zboża i znacznego zmniejszenia się zamożności rolników, plantator z konieczności narzucone mu warunki przyjąć musi.

Nikt zapewne nie wątpi, że z dwu stron, wyzyskiwanym jest nie fabrykant, lecz plantator. Za dodatni nawet objaw uważać trzeba te silne i liczne protesta plantatorów, jakie spotykamy w dziennikach przeciwko gnębiącym ich przemysłowcom, boć dowodzą one pe-

wnéj świadomości interesów, która jest pierwszym warunkiem ich poprawy. Pozwolimy sobie jednak zauważyć, że ziemianie nasi, ilekroć wystąpią do walki z przeciwnikiem, to czy tym przeciwnikiem będzie własna ich z wyborów powstająca instytucya Towarzystwa kredytowego ziemskiego, czy kapitał żydowski, czy syndykat cukrowniczy, zdradzają nieporządek lub sprzeczność w argumentacyi, która kończy się najczęściéj na rozstrzelonéj, podjazdowéj walce. Zdarza się przy tém, że poważną i przekonywającą argumentacyę jednego psuje następująca po tém chaotyczna i lekkomyślna innego.

I w tym wypadku nie jest inaczéj. Jaka np. niezgodność w cyfrach: Jeden z plantatorów oblicza czysty zysk fabrykanta z każdego korca buraków na rub. 1 kop. 20, a drugi tylko na 77 kop. Widoczną jest rzeczą, że każdy tu działa na własną rękę, bez obmyślonego wspólnie planu. A przecież plantatorowie wiedzą, z kim mają do czynienia, wiedzą, że fabrykanci cukru stanowią związek silny i solidarny, który w argumentach i cyfrach tak rażących omyłek z pewnością popełniać nie będzie.

Przeniesienie tego sporu na szpalty dzienników ma zapewne między innemi, na celu zjednanie sobie opinii publicznéj; lecz aby tego dopiąć, należy ją wprzód przekonać dokładnie i niewątpliwie.

Godną uwagi uchwałę pod tym względem powzięło zebranie gminne w Opolu. I tamtejsi plantatorowie buraków, widząc, że im krzywda się dzieje, że fabryka, korzystając z położenia, daje zamożniejszym lepsze, a w złém położeniu interesów będącym, gorsze warunki, że nadużywa zwłaszcza położenia i dobréj wiary plantujących buraki wieśniaków — na zebraniu gminném wyznaczyli z pośród siebie pełnomocników, jedynie upoważnionych do zawiérania kontraktów z fabryką cukru. Odtąd warunki dla wszystkich będą te same: nikt nie może otrzymać ani gorszych, ani lepszych. Gdyby ktokolwiek z pod uchwały wyłamać się zechciał, zapłaci od każdego korca buraków, bez wiedzy pełnomocników sprzedanego fabryce, karę 50 kop.

Pełnomocników wybrano trzech: po jednym od mieszczan, od włościan i od obywateli wiejskich. Ta solidarność wszystkich mieszkańców gminy i to postanowienie powzięte na zebraniu gminném, są ciekawe i świadczą dodatnio o zmyśle społecznym opolan. Zrozumiano dobrze naszego wieśniaka, który, do uchwały takiéj, w miejscu urzędowém powziętéj, będzie miał niewątpliwie zaufanie i będzie ją uważał za obowiązującą. Opolanie w każdym razie zrobili fakt, że się tak wyrazimy, na drodze walki z przemysłowcami. A tylko faktami, przez wspólne siły dokonanemi, plantatorowie zmusić mogą prze-

mysłowców cukrownianych do zaprzestania wyzysku, który, jak np. powszechna skarga na strącanie z wagi buraków dużego procentu pod pozorem, że nie są należycie oczyszczone — jest istotnie gorszącym i etykę cukrowników w nieszczególném pokazuje świetle.

W téj sferze interesów trudno jednak etycznemi argumentami wiele wygrać. Trzeba się łączyć i działać, jak to uczynili opolanie. Zobaczymy zresztą, co wielcy i mniejsi potentaci cukru na zarzuty, wzmiankowane wyżéj, odpowiedzą. Nie chcemy przypuścić, ażeby nic nie odpowiedzieli.

Podobno rząd brazylijski nową znów zawarł umowę z dostawcami emigrantów do Brazylii.

Wprawdzie los tych, którzy tam wyjechali, wcale się dotąd nie ustalił i nie poprawił, i wiadomości o naszych emigrantach, przedstawiają zawsze w rozpaczliwém świetle ich dolę, ale chęć rozkolonizowania wielkich obszarów z jednéj, a chciwość przedsiębiorców emigracyjnych i kompanii przewozowych z drugiéj strony, wywołały nową próbę zwabienia emigrantów. Prowincye Amazonas i Pernambuco, do których nowe partye wychodźców europejskich skierowane być mają, leżą w sferze tropikalnéj i pobyt europejczyków jest tam niemożliwy. Dlatego przedstawiciel angielski w Brazylii miał nazwać zamiar kolonizowania tych prowincyi barbarzyństwem i niedorzecznością. Klimat tam zgniły, ustawiczne febry a ludność wiedzie marny żywot, utrzymując się z handlu suszonemi rybami, albo z plantacyi trzciny cukrowéj. Nawet Portugalczycy i Hiszpanie nie znoszą tego klimatu.

Chociaż ludność nasza sparzyła się bardzo boleśnie na emigracyi do Brazylii, to jednakże nikt nie może dać pewnéj gwarancyi, że się już więcéj łudzić nie da. Największa, drogo opłacona niedorzeczność, może mieć drugie, choćby zmniejszone i zmienione wydanie. Może je mieć zwłaszcza wtedy, kiedy na pierwotnéj wyobraźni, jak na tablicy, szarlatanerya dowolnie maluje fantastyczne obrazy. Ostatniéj emigracyi towarzyszyła ta niezdrowa gorączka podnieconego tłumu, która popycha go do szaleństwa. Nie są przecież wolne i klasy oświecone od takiéj gorączki, która je także popycha do szaleństwa innego rodzaju.

Należy więc czuwać, ażeby stan taki nie powrócił. Wiadomości o pozostałych w Brazylii emigrantach, są ciągle bardzo przykre. „Partya robotników polskich — piszą — przybyła w tych dniach z Rio de Janeiro do Marsylii, przyniosła smutną wiadomość, która uszła uwagi wszystkich dotychczasowych sprawozdawców z Brazylii. Chodzi tutaj o opłakany stan sierot, pozostałych po emigrantach

w Rio de Janeiro. Ma ich być spora liczba, których brazylijska komisya kolonizacyjna oddała do przędzalni bawełny, istniejącéj w pobliżu stolicy. Są tam dzieci 4-ro i 5-io letnie, pracujące na równi ze starszemi po 11 godzin dziennie. Pracują one bezpłatnie za strawę i ubranie. Sieroty te, jak mówią świadkowie naoczni, ledwie żywe ze znużenia, okryte wrzodami i pożerane przez robactwo, nie mogą podołać przechodzącéj ich siły pracy.“

Gdyby wiadomości takie były jak najszerzéj przez druk rozpowszechniane, gdyby trafiały do masy ludowéj i przez pisma ludowe, i z ambony, i z kancelaryi gminnéj, i ze dworu, wówczas wpływ ich byłby chyba skuteczny. Niebezpieczeństwo drugiego wydania emigracyi obecnie wprawdzie nie grozi; lecz choćbyśmy nawet nie mieli powodu do złych przewidywań, to i wtenczas jeszcze warto wskazać masie ludowéj, jakie następstwa prowadzi za sobą łatwowierność.

Do wskazywania i tłómaczenia tych następstw obowiązuje nawet logika społeczna.

Rozporządzenie rządowe polecające, ażeby technicy, majstrowie i oficyaliści w fabrykach łódzkich znali język ruski lub polski, oraz, ażeby znajomości téj nie posiadający od 1 stycznia r. p. z zajmowanych posad usunięci zostali — zaczyna obecnie właśnie wchodzić w wykonanie. Władzom administracyjnym polecono przystąpić do egzaminów wymienionych osób.

Stosunki niemieckich zwierzchników, majstrów, podmajstrzych i t. d., do podwładnych krajowców, t. j. robotników i praktykantów, są w zakładach łódzkich w wysokim stopniu gorszące. Ci zwierzchnicy są tak zazdrośni o swoje stanowiska, tak je uważają za swój monopol, że krajowiec jest skazany na wiekuiste zajmowanie miejsca podrzędnego. Jakim sposobem może on się wykształcić na praktycznego specyalistę, jeśli, jak powiadają powszechnie, w Łodzi miał niedawno miejsce taki wypadek, że praktykant, który był notabene protegowanym właściciela, nie mógł się obeznać ze swoim fachem, bo werkmajster nie chciał wtajemniczyć go w tak zwane przez siebie „sekreta“ produkcyi. Majstrowie łódzcy są tak pod tym względem solidarni, że nie ulegają nawet żądaniom właścicieli, uważając się widocznie za magów, a krajowców za helotów. Wiedząc, że są koniecznie potrzebni, oświadczają, że raczéj gotowi opuścić swoje stanowiska, niż zgodzić się na równouprawnienie z krajowcami.

Czyż stosunki takie nie są anachronizmem i zgorszeniem?

O tych stosunkach przemysłowych w Łodzi i Sosnowcu czytał niedawno referat w Tow. popierania przemysłu i handlu w Petersburgu, p. Biełow, który, jako delegat téj instytucyi, był niedawno w obu

miejscowościach. Autor referatu zaznacza jednak pewną różnicę między Łodzią a Sosnowcem, uważając, że pierwsza jest więcéj zespolona z krajem, więcéj uległa przepisom państwowym, kiedy Sosnowiec jest i dla przemysłu krajowego i dla państwa niebezpieczny. Wykupienie przemysłu sosnowieckiego w razie, gdyby się nie znalazło prywatnych nabywców przez skarb, proponuje p. Biełow, jako radykalne uregulowanie kwestyi.

Przekształconą ma być także wyższa szkoła rzemieślnicza w Łodzi. Trzy ostatnie klasy zostaną podzielone na dwa oddziały: tkacki i chemiczny. Reforma szkoły ma na celu uczynienie jéj więcéj odpowiadającą wymaganiom miejscowego przemysłu. Do narad nad tym przedmiotem powołano oprócz nauczycieli i fachowców także i byłych wychowańców szkoły, którzy pracują w zawodzie przemysłowym, i którzy mogą trafnie wskazać jéj braki i usterki. Jest to niezawodnie myśl praktyczna.

Jeszcze jedną mamy o Łodzi wiadomość, która winnaby się wydać nieprawdopodobną, chociaż ją znaleźliśmy jednobrzmiącą aż w kilku pismach. Ktoś wystąpił z projektem założenia przy tamtejszém Towarzystwie dobroczynności bezpłatnéj czytelni. Potrzebę takiéj czytelni w Łodzi od dawna rozmaici korespondenci wskazywali, albowiem uboższa i robotnicza klasa otrzymałaby naukę i szlachetną rozrywkę w postaci książki, która jednocześnie byłaby dobrém antydotum przeciwko knajpie i pijaństwu, bardzo w tych klasach tam grasującym. I cóż powiecie na to, że kiedy projekt przedstawiono instytucyi dobroczynnéj, podobno prezes bez rozpatrywania nawet odrzucił go. Taki czyn przewodnika filantropii w Łodzi, jeżeli istotnie miał miejsce, powinien zostać zapisany ku wstydowi współczesnych i zgorszeniu potomnych. Nie wolno nam jednak mieć tak złego wyobrażenia o filantropach naszego Manchesteru, ażebyśmy przypuścili, że opinię szanownego prezesa wszyscy oni zgodnie podzielą. Przeciwnie, skłonniejsi raczéj jesteśmy do mniemania, że teraz, kiedy wiadomość ta przez dzienniki ogółowi podaną została, stanie się to dla nich stanowczym bodźcem do otworzenia czytelni. A może i pan prezes dobroczynności postrzeże się, iż postąpił niewłaściwie.

Ponowiono znów dawny zamiar budowy domków, któreby następnie sprzedawano nabywcom na raty. Obmyślano już podobno gwarancyę dla właścicieli, w razie bankructwa przedsiębiorcy. Tym ostatnim ma być właściciel cegielni i spółka kapitalistów.

Budowa domków na raty jest jednym z bardzo obchodzących ludność warszawską projektów. Z przykładów zagranicznych, z Lon-

dynu i Paryża, wiemy, jak domki także, przeważnie klasę robotniczą, mające na widoku, przyczyniają się do podniesienia zdrowia, oszczędności, przedsiębiorczości a nawet obyczajów klasy niższéj. Ciasne i przeludnione mieszkania są — według wielu badaczy — siedliskiem złych obyczajów, chorób fizycznych i nerwowych, jak odwrotnie: przestronne i czyste, gwarancyą cielesnego i moralnego zdrowia. Gdzież kwestya ta może być więcéj doniosłą i palącą, jak w Warszawie, w któréj większość mieszkańców zajmuje ciasne, brudne, pozbawione światła i powietrza mieszkania?

Prawdziwą więc zasługę wyświadczy ludności, warszawskiéj ten, kto potrafi obudzić zajęcie, wśród kapitalistów, i ludności do budowy domków na raty. Nie wiemy wprawdzie dokładnie, jaką klasę ludności ma przedsiębiorstwo na widoku: zamożną czy uboższą i robotniczą. Choć i w pierwszym i w drugim razie zamiar na uznanie zasługuje, to jednakże uwzględnienie potrzeb, téj drugiéj klasy mieszkańców ze szczególniejszą powitaćby należało sympatyą.

Środki, zabezpieczające przeciwko epidemii, przedsięwzięte w chwili grożącego niebezpieczeństwa, będą stosowane w wielu miejscach i przez zimę, a pragnąć trzeba, aby stosowane były wszędzie. Tanie kuchnie i tanie herbaciarnie, które powstały we wszystkich prawie miastach gubernialnych i kilku powiatowych, oddają wielkie, usługi ludności. Jak wiadomo, zdrowe i ciepłe pożywienie jest lepszém zabezpieczeniem od zarazy, niż lekarstwa apteczne. I ludność widocznie takie przekonania podziela, jeżeli w Płocku sprzedają np. dziennie około 400 porcyi herbaty, nie mówiąc o większéj ilości, bezpłatnie udzielanéj zupełnie ubogim. Zima obecna nakłada wogóle wielki obowiązek czujności i energii na wszystkie organa dobroczynne, a tém samém na wszystkich światłych członków społeczeństwa, boć dobroczynność nie jest abstrakcyą, do któréj wszystkich potrzebujących odsyłać śmiało można, ale zbiorowym wynikiem pojedyńczych ofiar i usiłowań.

Jeżeli będziemy drzemali lub bawili się spokojnie, w błogiem mniemaniu, że niebezpieczeństwo minęło, to możemy się bardzo przykro ocucić. W Lublinie, który tak nieszczęśliwie przez epidemię został doświadczony, zajęto się dosyć skrzętnie ubogiemi, których tam zostało bardzo wielu. Sieroty, po zmarłych na epidemię, w większości znalazły już także przytułek. Tamtejsza inteligencya żydowska urządziła przedstawienia amatorskie na rzecz swoich współwyznawców.

Zakłady dobroczynne, komisye sanitarne i wpływowe osoby prywatne, powinny pozostać, że się tak wyrazimy, w stanie uzbrojenia

aż do wiosny. Zakładanie tanich, bezpłatnych kuchni i herbaciarni, dostarczanie ubogim opału w czasie mrozów, nie przewyższa wcale, jak się już z praktyki okazało, środków zakładów dobroczynnych i społeczeństwa. Chodzi więc tylko o cnotę dobréj woli. Po wsiach zaś, gdzie inicyatywa nie jest tak żywą, organizacya tak ustaloną, i dozór władzy nad wykonaniem tak silny, jak w mieście, komisye sanitarne mają już jednak i nieco praktyki i ułożony program działania. Byłoby więc grzechem tłómaczyć się nieświadomością i niemożnością działania. I znów powiemy, że trzeba energii i dobréj woli.

W Warszawie, w celu walki z epidemią, został zorganizowany komitet dobroczynny do którego powołano najwybitniejszych obywateli miasta: I tak: działem finansowym zarządzać będą pp. Bloch, Kronenberg, Lesser, Szlenker, Kirszrot i Szoltze; wydziałem dobroczynnym — pp. hr. Branicki, Wiktor hr. Ronikier, ks. Chełmicki, Szwede i Poznański; sprawami gospodarczo-sanitarnemi — pp. dr. Baranowski, dr. Markiewicz, dr. Natanson, Wojciechowski i Brauman. Na czele kancelaryi stoi rz. r. st. Nowakowski, wiceprezesem jest dr. Baranowski, sekretarzem p. Wydżga, a kasyerem p. Szoltze.

Mamy uprawnioną nadzieję, że tak zorganizowany komitet zaznaczy swoją działalność skutecznie i że w ofiarności prywatnéj znajdzie dostateczne do niéj źródła.

B. Lut.



NEKROLOGIA.

† **Wacław Sadkowski,** urodzony r. 1844, ukończywszy wydział prawny w Szkole Głównéj r. 1869, wstąpił do sądownictwa i jako asesor sądu policyi poprawczéj w Brześciu Kujawskim urzędował do d. 1876, poczém przeniósł się do Warszawy i brał udział w czasopiśmiennictwie, mianowicie w „Gazecie Warszawskiéj“ i w „Kuryerze Porannym,“ gdzie prowadził kronikę sądową. Zmarł 29 października r. b.

† **Bogumił Hipolit Tarczyński,** urodzony 11 sierpnia 1851 r., kształcił się w szkole powiatowéj w Łowiczu i w gimnazyum realném we Włocławku; odbył podróż do Austryi i Prus; na Szląsku zapoznał się z Karolem Miarką. Był naprzód nauczycielem ludowym w Drobinie, Boguszynie i Osiecku nad Wisłą; potém przeniósł się do Warszawy i zdobywając kawałek chleba dla rodziny dawaniem lekcyi i urzędowaniem, zajął się gorliwie pisaniem książek dla ludu. Pierwszą swą pracę pomieścił w „Przeglądzie Tygodniowym,“ pisząc: „O szkołach i nauczycielach ludowych w kraju naszym“ (1875). Następnie prócz współpracownictwa w tém piśmie drukował artykuły swe dotyczące włościan lub podające obrazki dziejowe dla młodzieży w „Świecie,“ w „Tygodniku powszechnym,“ w „Prawdzie,“ w „Nowinach,“ w „Przeglądzie bibliograficzno-archeologicznym.“ Osobno wydał w Warszawie: „Pierwsze wiadomości o świecie“ (1876, wyd. 2-gie 1880), „Obowiązki obywatela“ (1878), „Smok we wsi“ (1879, wyd. 2-gie 1886), „Zwierciadło towarzyskich nieprzyzwoitości“ (1879). Działalność jego wzmogła się mianowicie od r. 1880, kiedy ogłosił: „Co Piotrek z Drobina widział w Łowiczu?“, „O drogach na lądzie, wodzie i powietrzu,“ „Jan Samulczak,“ „Wieś i miasto,“ „Kret, jeż i nietoperz,“ „O Franciszku Karpińskim,“ „Pokutujący duch.“ W 1881 wyszedł jego „Michał Kubicki, strażak.“ W 1883: „Ksią-

żeczka dla więźniów," „Ziemia," „Praca i kapitał," „Szara Bera, krotochwila w 1 akcie" (grana w Alhambrze), „Czém był i jest włościanin?," „Pan Laborski w małém miasteczku." Potém wychodziły: „O rozbójniku Florku, kulawym dyable i czarownicy Marynie" (1885), „Zagadki, pytania i żarciki dla dzieci" (1887, „O ks. Adamie Durskim, kanoniku uniejowskim" (t. r.), „Gęsi Barnaby" (1888), „U nas a w Brazylii" (1891). W rękopiśmie pozostawił dzieło obszerne: „Stan oświaty naszego ludu czyli gminu od najdawniejszych do dzisiejszych czasów, w połączeniu z jego historyą, bytem ekonomicznym i prawami, a to w stosunku do cywilizacyi i przywilejów możniejszych klas narodu." Zmarł w Warszawie, stargawszy przedwcześnie siły, 2 listopada r. b.

† **Kazimierz Witkowski**, ur. 6 stycznia 1852 w Piątku (pow. łęczyckim) ukończył gimnazyum w Kaliszu. Do pióra wziął się rychło, z początku jako korespondent „Gazety Warszawskiéj" i „Polskiéj," potém jako beletrysta pod pseudonimem Kazimierza Nowiny. Główniejsze prace jego są: „Rys statystyczny gub. kaliskiéj" (1875), „Wyrwane kartki" (obrazki i poezye, Kalisz, 1878), „U wrót wolności," obrazek dramatyczny (r. 1882). Najważniejszą atoli jego zasługą było prowadzenie pisma prowincyonalnego „Kaliszanin," założonego w 1870 r. przez Adama Chodyńskiego; od r. 1875 redakcyę objął ś. p. Witkowski, powiększył format, ożywił treść, starając się o odzwierciedlenie życia swojéj okolicy. Żywy brał udział we wszystkich sprawach społecznych. Zmarł 5 listopada w Częstochowie.

† **Aleksander Niewiarowski**, ur. 1824 we wsi Prostyni na Podlasiu, nauki gimnazyalne pobiérał w Warszawie. Z wierszami, powiastkami i recenzyami wystąpił r. 1843 w „Gazecie teatralnéj," wydawanéj przez Kiesewettera. Następnie był współpracownikiem „Przeglądu Naukowego," gdzie zwrócił na siebie uwagę wierszem: „Człowiek." Należał do grona tych literatów, których przezwano „cyganami," a czasowo „cechem głupców;" wespół z nimi wydał książeczkę zbiorową p. t. „Jaskółka" (1843). W r. 1847 wyjechał za granicę i przebywał tam do r. 1851; wówczas poznał się w Paryżu z Juliuszem Słowackim. Powróciwszy do kraju przez lat 10 był bardzo czynnym w dziennikarstwie warszawskiém. Ogłosił najprzód dawniéj napisaną fantazyę: „Rękopism mego kuzyna waryata" (1853), a potém: „Laokoon" (1854), „Rotmistrz bez roty," „Los opiekun," „Galerya panien" (1855), „Życie na żart" (1856), „Galerya konkurentów i konkurentek," „Stara osa" (1857). Od 1854 do końca 1857 był jednym z głównych współpracowników „Gazety Warszawskiéj," gdzie prowadził stałą rubrykę feljetonów tygodniowych, t. zw.

„Gwiazdki,“ które miały rozgłos znaczny, oraz dział p. n. „Poezya,“ w którym pomieszczał rozbiory nowo ukazujących się utworów poetycznych. W końcu r. 1857 objął główną redakcyę „Gazety Codziennéj“ i prowadził ją do jesieni r. 1859, kiedy dziennik ten sprzedał Leopoldowi Kronenbergowi. W kilka miesięcy potém zaczął wydawać a raczéj pisać sam całe pisemko, co dziesięć dni wychodzące p. n. „Gwiazdka“ (zeszytów 15). Potém w 1861 założył wespół z J. A. Miniszewskim, Romanem Zmorskim i Ludwikiem Brzozowskim gazetę p. n. „Pszczoła“ (wyszło nn. 295). Sprzedawszy „Pszczołę“ Ludwikowi hr. Krasińskiemu, począł wydawać: „Kuryer Niedzielny“ od 1862, przezwany potém „Kuryerem Świątecznym,“ który z początkiem r. 1865 odstąpił Arkadyuszowi Kleczewskiemu. Przez następnych lat 10 pisywał do „Dziennika Warszawskiego.“ Dopiéro gdy Zygmunt Sarnecki założył w r. 1877 „Echo,“ wystąpił na nowo, jako Aleksander Półkozic, pomieszczając głównie wspomnienia ze swéj młodości: „W ruinach czerskiego zamku“ i t. p. Po trzyletniém współpracownictwie w „Echu“ przeniósł się do „Wieku,“ drukując i w innych czasopismach pamiętnikowe artykuły; najobszerniejszym z nich była drukowana 1883 w Kuryerze Warszawskim „Cyganerya warszawska.“ Zmarł 13 listopada w Warszawie.



Wydawcy: ***W. Spasowicz*** i ***A. Pawiński.*** — Redaktor ***P. Chmielowski.***

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Ноября 1892 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w Listopadzie 1892 r.

1. **Biała kamelia.** Komedya w 1 akcie („Teatr amat." Nr. 6). Warsz., nakł Gebethnera i Wolffa, 8-vo, str. 28 (kop. 30).
2. **Gramatyka czyli kandydant** do rady powiatowej. Krotochwila. Przerobił z francuskiego *Stanisław Koźmian.* („Teatr amat." Nr. 7). Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 8-vo, str. 50 (kop. 30).
3. **Dwóch głuchych.** Krotochwila. Z francuskiego („Teatr amat." Nr. 8). Warszawa, Gebethner i Wolff, 8-vo str. 36 (kop. 30).
4. **Schadzka.** Krotochwila przez *Zygmunta Przybylskiego.* („Teatr amat." Nr. 9). Warsz., Gebethner i Wolff, 8-vo, str. 21 (kop. 30).
5. **Na przekór.** Krotochwila przez *Zygmunta Przybylskiego.* („Teatr amat." Nr. 10). Warsz., Gebethner i Wolff, 8-vo, str. 27. (kop. 30).
6. **Przed obiadem i po obiedzie** Komedya przez *Jana Chęcińskiego.* („Teatr amat." Nr 13). Warsz., Gebethner i Wolff, 8 vo, str. 58. (kop. 30).
7. **Przegrany zakład.** Krotochwila przez *Zygmunta Przybylskiego.* („Teatr amat." Nr. 15). Warsz., Gebethner i Wolff, 8-vo. str. 33, (kop. 30).
8. **O własnych skrzydłach.** Powieść przez *Włodzimierza Zagórskiego (Chochlika).* Warsz., nakł. S. Lewentala, 8-vo, str. 189.
9. *Walerya Marrené.* **Dzieci Szczęścia.** Powieść. Warsz., nakł. Lewentala, 8-vo, str. 293.
10. *Angelo Mosso.* **Znużenie.** Z drugiego wydania oryginału włoskiego przełożył *Maksymilian Flaum.* Warsz., nakł. S. Lewentala 1892, 8-vo, str. 228 i V.
11. **Sprawozdania meteorologiczne** za miesiące Styczeń, Luty i Marzec 1891 r. (Wydz. Sekcyi VI Oddziału warsz. Towarzystwa popier. przemysłu i handlu). Warsz., 1892, str. 18 + 16 + 16.
12. **Czy mówisz Pan po niemiecku?** Praktyczny przewodnik. Ułożył *D-r. M. M.* („Bibliot. powsz.", № 39—42, nakł. Zukerkandla). Warsz. u Paprockiego i S-ki, str. 184, (k. 40).
13. *Bernardin de St. Pierre.* **Paweł i Wirginia.** Z francuskiego przełożył *Hipolit Witowski,* („Bibl. powsz.", Nr. 48—49, nakł. Zukerkandla). Warsz. u T. Paprockiego i S-ki, str. 157. (kop. 20).
14. **Krzysztof Kolumb.** Przypomnienie życia i zasług. Skreślił *Stanisław Krzemiński.* Warsz. nakł. T. Paprockiege i S-ki, 1892, str. 68. (z portretem).
15. *H. B. Gausseron.* **Życie we dwoje.** Przekład z francuskiego *C. N.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1893, 8-vo, str. 224.
16. *Falkenhorst.* **Z dziejów odkrycia Ameryki.** Opowiadanie historycz. Przełożył z niemieckiego *K. Jurkiewicz.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1893, 8-vo, str. 560. (z 16 rys.).
17. *Ks. kanonik Schmid.* **Róża z Tannenburga.** Powieść. Przełożył *Jan Chęciński* (z ryciną). („Bibliot. dla młodzieży" t. VII. Warsz., Gebethner i Wolff, 1893, str. 186. (oprawna).
18. *Fr. Hoffmann.* **Zagrzebani w śniegu.** Powiastka. Przełożył *St. M. Rzętkowski.* („Bibl. dla młodzieży" t. IX). Warsz., Gebethner i Wolff, 1893, st. 164, z ryciną (oprawna).
19. **Robinson dla młodszej dziatwy.** Przełożył *Jan Chęciński.* („Bibl. dla młodzieży" t. VIII). Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1893, str. 123, z czterema rycinami (oprawna).
20. **Skarby na wyspie.** Powieść dla młodzieży przez *R. Stephensona.* Przetłomaczył *W. P.* z rysunkami. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1893, 8-vo, str. 214.
21. **Bajeczki prawdziwe,** podług Zuzanny Kornar, opowiedziała dziatwie *M. J. Zaleska.* Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1893, 8-vo, str. 247 z 6 obrazkami (oprawna).
22. **Różne ścieżki.** Powieść dla dorastających panien przez *Teresę Jadwigę.* Petersburg, księg. Br. Rymowicza, 1892, 8-vo, str. 242 z ryciną (oprawna).
23. **Słownik Geograficzny.** Królestwa Polskiego i innych krajów, słow. Pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego,* t. XII, zesz. 140. Warsz. 1892, (str. 561 — 640).

